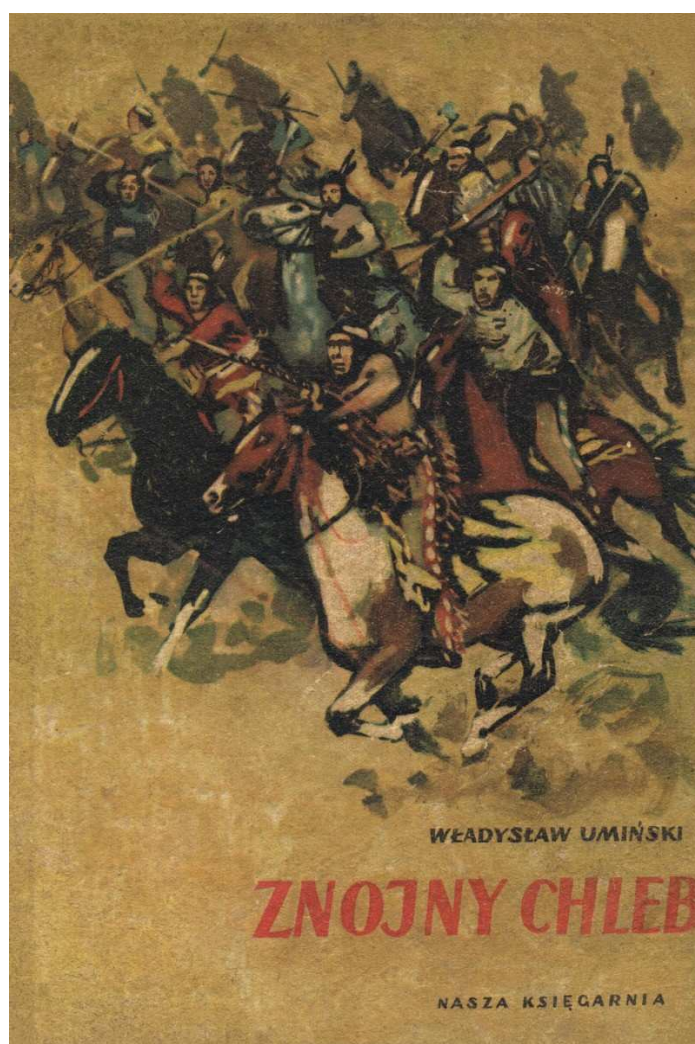


WŁADYSŁAW UMIŃSKI

ZNOJNY CHLEB



WŁADYSŁAW UMIŃSKI

ZNOJNY CHLEB

NASZA KSIĘGARNIA



NASZA KSIĘGARNIA • WARSZAWA • 1954

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

CHWILKA ZAPOMNIENIA I DONIOSŁE JEJ NASTĘPSTWA

Sobiesław Mrocki, którego przygody mam zamiar opowiadać, urodził się w zaborze pruskim, w Poznaniu, w mieście rozpaczliwej walki polskość z nacierającą potężnie falą germanizmu.

Rodzicem jego był skromny rzemieślnik, stolarz. Był to człowiek inteligentny, kochający bardzo swoją nieszczęśliwą ojczyznę, jeden z dzielnych wojowników w tej bezkrwawej walce, jaką toczyło społeczeństwo polskie z potomstwem Krzyżaków, walce nierównie okropniejszej od wielu zapasów z bronią w ręku.

Zaborcy znali jego usposobienie i prześladowali starego Mrockiego zajadle, nie tylko w życiu publicznym, ale na każdym kroku,

Sobiesław został wcześniej oddany do szkoły, gdzie na równi z innymi dziećmi cierpiął srogie prześladowania za umiłowanie języka praojców; niejednokrotnie wracał do domu posiniaczony trzcina niemieckiego pedagoga, z goryczą w sercu i z kielkującą do ciemności nienawiścią, która obrzydzała mu naukę. Musiał się jednak uczyć i uczył się. Wstąpił wreszcie do gimnazjum, gdzie w dalszym ciągu trzeba było znosić znęcanie się profesorów.

Ojciec koniecznie pragnął wykształcić swego najstarszego syna na lekarza albo na adwokata.

— Jak to będzie ładnie, Sobiesławie, jeżeli będziesz prawnikiem i będziesz umiał bronić rodaków przed sądami pruskimi! Ilu niewinnie oskarżonych wybawisz od kary, ile ataków ślepej nienawiści odeprzesz z kodeksem w ręku!

Tak czasami marzył sobie stary Mrocki nie wiedząc, że te marzenia pozostaną nie ziszczone.

Sobiesław nie skończył gimnazjum, a to dla następującej przyczyny:

Był pilny, uczył się dobrze, lekcje odrabiał zawsze starannie; miał tylko bardzo daleko do szkoły, bo rodzice mieszkali na przedmieściu, o trzy kilometry od gimnazjum.

Nic więc dziwnego, że w zimie zdarzyło się chłopcu spóźnić parę razy na wykłady.

W pruskim gimnazjum, jak w koszarach, karność utrzymywano pięścią.

Panował tam zwyczaj, że uczniom, którzy się spóźnili, choćby o parę minut, nie wolno było wchodzić już do klasy, ale musieli oni czekać na korytarzu, aż nauczyciel, skończywszy lekcję, rozmówi się z nimi.

A rozmowa ta była jedyna w swoim rodzaju.

Nauczyciel spasiony na piwie, czerwony jak ćwik, zatrzymywał się przed ustawionymi w szereg chłopcami i pytał pro forma o powód spóźnienia się; potem bił, wyprostowanych jak świece, z całych sił w twarz. Było to „ojcowskie napomnienie”. Chłopiec do czternastego roku życia nie może mieć, według pruskiego poglądu, poczucia godności. Jako bursz obowiązany jest stawać do śmiesznej walki na rapiery o byle jakie skrzywienie palcem, będąc zaś chłopcem nie ma prawa obrażać się nawet za policzek wymierzony brutalnie przez „pedagoga”.

Za pierwszym razem Sobiesław, otrzymawszy takie napomnienie za niepunktualność, płakał całe trzy dni; za drugim odchorował tydzień, ale przysiągł sobie, że po raz trzeci nie

zniesie już takiej obelgi.

Unikał więc jak ognia spóźnienia i w ogóle starał się wszelkimi siłami być w porządku. Niestety jednak chciało, że pewnego zimowego ranka ojciec Sobiesława wstając z łóżka zemdłał, upadł na podłogę i boleśnie się skaleczył. Sobiesław, jako dobry syn, pomagał matce opatrywać rodzica i przybył do szkoły o całe pół godziny za późno. Nie byłoby to nic, gdyby nie trafił akurat na lekcję nauczyciela historii, który najbrutalniej postępował z uczniami. Inni zresztą profesorowie czynili to samo, ale przynajmniej uwzględniali powody poważne. Historyk zaś nauczający, że „Polska był to kraj barbarzyński, który powinien czuć wdzięczność dla Prusaków za to, że wkroczyli doń, aby zaprowadzić porządek i cywilizację”, był nieubłagany.

Ujrawszy Sobiesława stojącego na korytarzu, zatrzymał się przed nim z ironicznym uśmiechem.

Chłopiec, błądzący ze strachu, zaczął się tłumaczyć ze łzami w oczach, ale nauczyciel, nie słuchając nawet, zamierzył się i gruba jego ręka spadła na chudą twarz chłopca. Ten instynktownie uchylił się, co doprowadziło historyka do wściekłości.

— Gerade stehen! * — zakomenderował.

Sobiesław połykając łzy wyprostował się. Wtedy nauczyciel wymierzył mu potężny policzek z przeciwnej strony.

— Ja cię tu wyprostuję, poczekaj! — zawołał.

Już zamierzał się po raz trzeci, kiedy Sobiesław, doprowadzony do rozpacz, rzucił mu obelgę i uciekł.

Ojciec płakał razem z synem, ale przyznał mu słusność.

— Nie mogłeś inaczej postąpić — rzekł.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że śmiały czyn Sobiesława pociągnął za sobą surową karę i wydalenie z gimnazjum, jako dodatek do niej.

Sobiesław wstąpił na praktykę rolną do jednego z majątków polskich, przebył tam kilka lat i skorzystał bardzo wiele. Właśnie miał zostać rządcą w jednym z folwarków, kiedy wzięto go do wojska. Ponieważ umiał doskonale jeździć konno, był sprytny i zgrabny, więc przeznaczono go do artylerii konnej. Byłby zapewne skończył służbę szczęśliwie, gdyby nie uległ na jedną krótką chwilę zapomnieniu. A ta krótka chwila oburzenia i gniewu, nad którym nie umiał zapanować, zadecydowała o całej jego przyszłości, ściągnęła nań długi szereg cierpień, które mam zamiar przedstawić w dalszym toku powieści.

ROZDZIAŁ II

W ARTYLERII PRUSKIEJ

Poranek zimowy. Jest już ósma, a słońce dopiero co wyjrzało w ognistej chmurze spośród nędznych domostw przedmieścia poznańskiego i zalewa zimnym światłem ciasne podwórko, gdzie odbywa się niezmiernie smutna scena pożegnania. Sobiesław już w szynelu żołnierskim, z tobołkiem na plecach, ścisnąc po raz ostatni rodziców. Matka przypadła do piersi ukochanemu synowi i nie może oderwać od nich swej siwej, zrozpaczonej głowy.

— Sobiesławie, Sobiesławie, już ja ciebie nigdy nie zobaczę!

— Ależ co znowu, matko! Wrócę, dostanę urlop, zobaczymy się! — protestował chłopiec, który nie miał podobnie smutnych przeczuć. — Będę często pisywał o wszystkim, nie zapomnę o was nigdy, przenigdy!

* Gerade stehen! (czyt: Gerade sztejen) — stać prosto!

Całował rozszlochaną, moką od łez, pomarszczoną twarz staruszki, potem jej spracowane ręce, które kurczowo zacisnęły się dokoła jego szyi i nie chciały go puścić.

Ojciec stał obok pogrążony w ponurym milczeniu i gryzł wargi, żeby odegnać wzruszenie, które nim owładnąć chciało. Staremu rzemieślnikowi łzy cisnęły się także do oczu, ale panował nad sobą.

— Wróci, co nie ma wrócić! — pocieszał żonę. — Ot, chłop tęgi, zdrow, nic mu nie będzie. No, błogosławię ci, moje dziecko kochane. Pamiętaj o nas, przede wszystkim o ojczyźnie, nie popełnij nic takiego, co by było niezgodne z imieniem Polaka. Spełniaj swoje obowiązki, o ile ci twój honor pozwoli. Idź, skróć mękę rozstania matce, która cię kocha, jak każda kobieta kocha swoje dziecko. Myśli nasze i serca będą zawsze przy tobie! A tu schowasz sobie na czarną godzinę! — dodał wtykając synowi w rękę papieraek. — Na czarną godzinę. Rozumiesz?

Sobiesław przypadł do nóg ojcu, uściśnął serdecznie matkę, ręce jej ucałował i wybiegł z podwórka nie oglądając się.

Biegł śnieżną drogą, goniąc swój długi cień pełzający przed nim. .

Ból rozsadał mu piersi, ból rozstania z tymi, którzy go najbardziej kochali, którzy mu najlepiej życzyli. Łzy perliły mu się na policzkach zaróżowionych mrozem.

Musiał zdążyć punktualnie na punkt zborny, gdzie oczekiwała jego partia, przeznaczona do małego miasteczka na Śląsku, nad samą granicą. Przyszedł w ostatniej chwili. Rekruci już stali w szeregu, podoficer odczytywał listę. Sobiesław stanął na końcu, odkrzyknął, usłyszawszy swoje nazwisko, i odetchnął.

Odtąd był już żołnierzem. Stało się!

Otucha wstąpiła w jego serce, kiedy spojrzał na twarze kolegów, po większej części Polaków, a nawet znajomych.

Kiedy więc partia wsiadła do wagonu, Sobiesław dla dodania sobie animuszu zaintonował wesołą polską piosenkę, którą natychmiast podchwycili inni, i chór młodych, potężnych głosów zagłuszył turkot pociągu po szynach stalowych.

Śpiewano, twarze rozpogodziły się i wkrótce może smutek pierzchnąłby z duszy, gdyby nie zjawienie się podoficera prowadzącego partię.

Niemiec, usłyszawszy polską piosenkę na ustach rekrutów pruskiej armii, wpadł we wściekłość.

— Maul halten! * — ryczał przyskakując do najbliższych siedzących młodzieńców. — Zakazuję wam śpiewać w tym przeklętym języku! Jeżeli chcecie, możecie zaintonować sobie „Wacht am Rhein”!

Ale chłopcy nie przestawali śpiewać. Podoficer zaczął więc wygrażać; wymyślał i pieniał się. Na najbliższej stacji przyzywał żandarmów i koniec końców postawił na swoim. Przestraszeni pogroźkami rekruci zamilkli zlorzecząc w duszy temu, który zatrzał im tę pierwszą chwilę i tak przepelnioną piołunem rozstania się z najbliższymi.

Miejsce wesołego usposobienia zajęło ponure; rekruci zaczęli szeptać pomiędzy sobą, bali się niemal mówić głośniej i w takim nastroju dojechali nad wieczorem do miejsca przeznaczenia.

Stał tam od wielu lat, rozrzucony po rozmaitych punktach pogranicznych, pułk artylerii konnej, wespół z pułkiem dragonów i piechotą. Wojska te były niejako strażą mającą czuwać nad bezpieczeństwem państwa niemieckiego od strony sprzymierzonej Austrii.

Koszary baterii, do której przeznaczony był nasz Sobiesław, znajdowały się na samym skraju miasteczka, odosobnione zupełnie.

Był to budynek parterowy, murowany. Obok niego stał taki sam, dłuższy tylko cokolwiek, przeznaczony na stajnie. Za koszarami znajdowały się: kasyno oficerskie, cekhaus,

* Maul halten! — milczeć!

czyli skład broni, amunicji i odzieży, trochę dalej na uboczu, w polu stała prochownia strzeżona zawsze przez sztyldwacha. Oto i wszystko.

O parę mil dalej stacjonowała druga bateria.

Każda więc bateria, znajdująca się pod dowództwem pułkownika albo przynajmniej podpułkownika, stanowiła jakby niezależną całość, która żyła własnym życiem, doić ciasnym i zamkniętym.

Sobiesław ujrzał się nagle jakby na wygnaniu w pustyni.

Odziano go w mundur artylerzysty konnego, dano buty z brzęczącymi ostrogami, przypasano pałasz do boku, słowem, Mrocki został kawalerzystą.

W baterii, oprócz pułkownika von Wildensteina *, służyło jeszcze ośmiu oficerów.

Sobiesław miał za swego najbliższego przełożonego — nie licząc naturalnie kaprała — młodziutkiego, drobnego, ale czupurnego porucznika, który nosił nazwisko brzmiące z polska.

Biały nienawidził Polaków, a Ślązaków w szczególności, Zdawało mu się zapewne, że tą swoją nienawiścią zdoła złagodzić niemiłe dla ucha pruskiego słowiańskie brzmienie swego nazwiska, którego, jak każdy renegat, wstydził się niezmiernie.

Podoficer był Ślązakiem, ale zupełnie i od dawna zniemczonym. Nazywał się, a raczej jego przodkowie nazywali się zapewne Szczygłami, ale on mianował się Stiglitzem ** i dobrze mu z tym było. Kapral posiadał wstrętą, służalczą, niewolniczą niemal naturę; największym szczęściem dla niego było zasłużyć na zadowolenie przełożonych.

Zaraz pierwszego dnia wyszła na jaw jego niska, pochlebna natura. Nowych rekrutów przedstawiono naturalnie oficerom, to znaczy uszykowano ich w szereg w maneużu zimowym, czyli w wielkiej szopie, gdzie odbywała się nauka konnej jazdy.

Oficerowie obejrzeni rekrutów i byli, jak się zdaje, zadowoleni z nich. Już to Polacy we wszystkich trzech zaborach uchodzili za urodzonych kawalerzystów i w istocie zostawali doskonałymi jeźdźcami.

Mrocki, zręczny, przystojny chłopiec, o inteligentnym wyrazie twarzy, podobał się pułkownikowi; zbliżył się on do niego, poklepał po ramieniu i zapytał o nazwisko.

— Mrocky, Mrocky — wymówił z trudnością Niemiec. — Pole?

— Tak, Polak — odparł Mrocki podnosząc głowę.

To wyznanie, nacechowane w dodatku pewną dumą, nie przypadło pułkownikowi do smaku: skrzywił się nieznacznie, ale patrzył dalej z przyjemnością na tęgiego, doskonale zbudowanego i sympatycznego rekruta.

— Sobiesław Mrocky. Was für ein Name!*** — rzekł. — Mrotz! To brzmiałoby daleko lepiej.

— Ja, ja, Mrotz! — podchwycił kapral Stiglitz.

— Nazywam się Mrocki, nie żaden Mrotz — odparł Sobiesław, oburzony tym przekreśleniem swego nazwiska.

Ale Niemcy nie zwrócili uwagi na ten protest.

Pozostawszy wieczorem sam, Sobiesław miał ochotę płakać. To pierwsze bowiem zetknięcie się z przełożonymi zrobiło na nim niezmiernie przygnębiające wrażenie. Nakrył się cienką kołdrą na głowę, żeby nie widzieć nikogo dokoła, i marzył o domu, o rodzicach, pytał sam siebie, co oni tam o nim teraz myślą, co robią, czy bardzo odczuwają jego nieobecność. Najbardziej tęskno było Sobiesławowi za małą siostrzyczką, która liczyła dopiero dwunasty rok życia, kiedy opuszczał dom.

Na imię jej było Leonka; obiecywała pisywać często do brata, który w zamian za to miał jej przysyłać karty pocztowe z widokami krajów, do jakich losy go zapędzą. Umowy tej

* Czytaj: fon wildendstajn.

** Czytaj: sztylic.

*** Was für ein Name! (czyt.: was für ajn name) — Cóż ta za nazwisko!

dotrzymywano sobie przez długie lata i Leonia, kiedy już była dorosłą panną, otrzymywała karty pocztowe ze wszystkich niemal krańców świata od kochającego ją niezmiernie brata, który w tej korespondencji nieraz doznawał ulgi w zmartwieniach i przygodach.

Jak już zaznaczyłem, wśród rekrutów znajdowało się paru znajomych Sobiesława, jego rówieśników ze szkoły, pamiętających jeszcze wspólne plagi otrzymywane od nauczyciela.

Jeden z nich nazywał się Wojciech Potrzeba. Znajdował się on w tym przykrym położeniu, że ani podoficer, ani oficerowie nie potrafili wymówić jego nazwiska, przekręcali je niemiłosiernie; w końcu przechrzcili Potrzebę na Potzera i mimo stanowczych protestów pokrzywdzonego, nie chcieli go zwać inaczej.

Tak więc Potzer był towarzyszem niedoli Mrotza.

Mieli oni łóżka żelazne tuż przy sobie stojące; postarali się o to drogą zwykle praktykowaną w wojsku, to jest „fundą” dla podoficera, co kosztowało kilkanaście kufli piwa w kantynie żołnierskiej.

Pierwsze dni służby nie należały do przyjemnych; ale im dłużej przebywali nasi chłopcy w wojsku, tym bardziej dawało się im ono we znaki.

Rekrutów, jak zwykle, przeznaczano do najniższych posług.

Kazano im oczyszczać stajnie, zwozić siano i owies z kolei, myć podłogi, rąbać drwa, słowem, znęcano się nad nimi, jak tylko się dało; ale nie na tym bynajmniej koniec. Starsi żołnierze posyłali ich po różne sprawunki, nierzadko kazali wyręczać się w swoich własnych obowiązkach, nawet przynosić sobie piwo. A kiedy przysłała musztra, nie daj Boże jak się pocili biedni rekruci.

Najprzód uczono ich hierarchii wojskowej; musieli znać na pamięć całą rodzinę panującego poczynając od samego cesarza, a kończąc na kuzynach i kuzynkach domu Hohenzollernów, dalej nazwiska ministrów, generałów korpusu, dywizji, brygady, pułku, słowem, wszystkich swych bezpośrednich naczelników, najważniejsze przepisy wojskowe, obowiązki żołnierza itd.

Nauka ta odbywała się rankami, potem pędzono żołnierzy do klas, gdzie wykładano im, stosownie do roku służby, artylerię, fortyfikację, praktykę artylerii, zaznajamiano ich drobiazgowo z budową działa i wszystkich jego części pomocniczych. Sobiesław w parę miesięcy, jako człowiek posiadający czteroklasowe wykształcenie, potrafił sobie dobrze przyswoić przerobiony materiał; ale było między rekrutami kilku słabo znających język niemiecki, którzy dobrze się nieraz napocili, żeby się wszystkiego nauczyć jak należy.

A nauczyciele rekrutów nie żalowali.

Zła odpowiedź wywoływała nieraz wymysły w najordynarniejszych wyrazach, a nawet uderzenie pięścią pod brodę, co się nie nazywało bynajmniej biciem, bo bicie zakazane było oficjalnie w armii pruskiej, ale ot, napomnieniem, gestem zniecierpliwienia, za który podoficer nie potrzebował odpowiadać.

Nieraz zdarzało się, że od takiego uderzenia pięścią biednemu rekrutowi krew rzucała się ustami; wtedy szedł do kąta i wypluwał nieborak parę zębów; bo któż tam zważał na takie bagatelki.

Najbardziej atoli dawała się we znaki wszystkim rekrutom nauka konnej jazdy. Należy wiedzieć, że konna artyleria jest to rodzaj broni wymagający niezmiernej ruchliwości i zręczności.

Działa zaprzężone w cztery konie muszą pędzić galopem na pozycję, odprzodkować, zając w mgnieniu oka stanowisko; kanonierzy zeskakują z koni, które jeden z kolegów szybko odprowadza w bezpieczniejsze od strzałów nieprzyjacielskich miejsce. Paf! Paf! Po kilkunastu strzałach trzeba opuszczać zajętą pozycję równie szybko, jak się na nią wjechało. Konie nadbiegają galopem, działo zaprzęga się znowu do przodka; kanonierzy nie mają zwykle czasu dosiąść swych wierzchowców, wskakują na nie w biegu jak cyrkowcy. Toteż muszą być sprawniejszymi kawalerzystami aniżeli nawet ułani. Zeskakiwać w pełnym galopie

i wskakiwać z tyłu na siodło, to dla konnego artylerzysty fraszka. Zanim jednak wzięty od pługa chłopiec dojdzie do takiej wprawy w jeździe na koniu, ileż gorzkich chwil musi przeżyć!

W zimie konna jazda odbywa się w maneżu. Biedni rekruci zaznajamiali się tam z koniem, najprzód na oklep, potem dopiero na siodle.

Oficer stał w środku z podoficerami i dawał wskazówki, strofował, krzyczał trzaskając długim biczem. Rekruci zaś siedzieli w najkomiczniejszych nieraz pozach na koniach biegających w kółko, jak na arenie cyrkowej. Bartki i Maćki poczciwe, którzy umieli od biedy dostać szkapy chudej, krytej derką i, kierując uzdeczką zrobioną z kawałka powroza, truchcikiem pojechać do miasteczka na jarmark albo do sąsiedniej wioski, najgorzej właśnie cierpieli; oficerowie bowiem musieli oduczać ich tego, do czego się przyzwyczaili, zmieniać ich postawę na koniu, sposób trzymania nóg i rąk, słowem, naprawiać karygodne dla dobrego kawalerzysty nałogi. Nie obeszło się przy tym bez wymysłów, w których wyborze oficerowie, zjawiający się w białych rękawiczkach, lakierowanych butach i błyszczących mundurach, najbardziej celowali. Był to cały szereg drwin ordynarnych, naigrawań się bez końca, wspomnienia domu, świń, krów, całego inwentarza i porównywania go z biednymi kandydatami na konnych artylerzystów jego królewskiej mości.

Zahukani chłopcy nie śmieli nawet okazać niezadowolenia przełożonym; znosili wszystko, ale nie dowodziło to bynajmniej, że nie brali do serca tych obelg i wyśmiewania. Pod wpływem doznawanych krzywd rodziła się w nich głucha nienawiść do tych eleganckich paniczków w oficerskich mundurach i do podoficerów, ich wiernych i skwapliwych naśladowców.

Wojtek Potrzeba, niezgrabny, ciężki, osadzony na cokolwiek krzywych nogach, niezbyt przystojny chłopak, nacierpiał się zapewne więcej aniżeli ktokolwiek inny.

Porównywano go z małpą w cyrku, z żabą siedzącą na kamieniu, słowem, nie szcędzono mu żadnego upokorzenia. Biedny Potrzeba wściekał się nieraz i musiał wzywać całą swoją cierpliwość, żeby nie „machnąć — jak powiadał w zaufaniu do Mrockiego — którego gładkiego Szwaba przez ucho na odlew” Ale musiał, w obawie przed srogą odpowiedzialnością, powściągnąć swoją niechęć.

Zima minęła szybko, biedni rekruci nauczyli się jako tako trzymać na siodle; ale był to dopiero wstęp. Kiedy bowiem nadeszła wiosna, miano co dzień przez kilka tygodni jeździć na praktykę. Poligon artyleryjski znajdował się o parę kilometrów od koszar zimowych, na obszernym błoniu pozbawionym drzew.

O świcie żołnierze wstawali, zaprzęgali działa, siadali na koń i udawali się na ćwiczenia.

Dla młodych żołnierzy, którzy nie umieli jeszcze trzymać się tak jak starzy, manewry takie przedstawiały wielkie niebezpieczeństwo. Trzeba było nie tylko jechać galopem przez rowy, ale zakręcać szybko, zeskakiwać z koni na nierównym gruncie, wskakiwać, kiedy już działa znajdowało się w ruchu, słowem, wykonywać cały szereg iście akrobatycznych ćwiczeń.

W baterii znajdowało się sześć armat, które zwykle jechały jedna za drugą. Otóż, jeżeli zdarzyło się jakiemuś niezręcznemu jeźdźcowi spaść z konia, to prawie zawsze kończyło się to smutnie: albo przejechaniem na śmierć przez ciężkie działo, albo złamaniem nogi, ręki, zgnieceniem kilku żeber, słowem, biada temu, kto nie trzymał się dobrze w siodle.

Sobiesław, który, jako rolnik, doskonale jeździł konno, dość gładko zastosował się do wymagań swoich umundurowanych profesorów. Miał on wrodzone uzdolnienie kawaleryjskie. Gdyby Mrocki był Niemcem, na pewno by go przełożeni lubili; ponieważ jednak przyszedł na świat jako Polak, więc Prusacy znęcali się nad nim przy każdej sposobności i ciągle mieli mu coś do zarzucenia. Podoficer doprowadzał go do rozpaczki przesadnymi wymaganiami co do czystości w stajni. Co dzień musiał biedny chłopiec słuchać urągania pod

adresem swoich rodaków, którzy, według pojęć Prusaka, byli przysłowiowymi niechlujami i niedołęgami. Stiglitz, który, jak wiadomo, sam był pochodzenia słowiańskiego, odznaczał się szczególnie w tych zaczepkach. Kiedy rano zjawiał się w stajni, nie omieszczał nigdy obejrzeć konia Sobiesława i zawsze znalazł, że ten nie był dobrze oczyszczony i utrzymany.

Dla dokonania próby, kładł zwykle Stiglitz na swoją wielką, grubą łapę białą rękawiczkę i silnie tarł nią sierść konia. Jeżeli rękawiczka cokolwiek zabrudziła się, natychmiast sypał się na głowę Mrockiego grad wymysłów i kary w postaci pełnienia służby nie według kolei, zakazu wydalania się z koszar przez parę dni itd.

Sobiesław zdawał swoje usiłowania, nie wypuszczał prawie z ręki zgrzebla, ale niewiele to pomagało; Stiglitz zawsze znalazł jakieś niedopatrzona i zanosił skargi przed von Bialsky'ego, który ze swej strony dokuczał Mrockiemu.

Nic więc dziwnego, że w sercu Sobiesława i jego kolegi rosła nienawiść, która miała pewnego razu wybuchnąć z żywiołową siłą.

ROZDZIAŁ III

Z ROZPACZY

Było to na wiosnę, w końcu kwietnia, kiedy bateria artylerii, w której służył Sobiesław, wybierała się na ćwiczenia w polu.

Wiosna stała w całej swojej krasie. Pączki na drzewach rozwijały się, w górach stopniały już śniegi, buki pokryły się młodziutką zielenią. Na leśnym podszyciu, jeszcze nie zaciecionym przez nagie drzewa, puściła się bujna, młoda trawka, spomiędzy której strzelały ku słońcu główki sasanek, przyłasczek, całe pokolenie kwiatów wczesnych, które śpieszyły, żeby okwitnąć i wydać nasiona, zanim maj okryje zielonym, nieprzeniknionym dla promieni słonecznych płaszczem konary buków, dębów i innych olbrzymów leśnych.

Korzystając z wolnego czasu Sobiesław często wychodził na przechadzki. W tych wycieczkach do samotni towarzyszył mu często Potrzeba. W lesie, na dywanie szmaragdowym, pośród pachnących kwiatów wiosennych, chłopcy zwierali się sobie ze swoich utrapień, narzekali na ciężary służby i knuli, płonne zresztą, plany zemsty.

Płonne, bo zarówno Potrzeba, jak Mrocki należeli do ludzi co prawda porywczych, ale szybko zapominających o krzywdach.

Oficerowie tak jednak dokuczali biednemu Potrzebie, że ten nieraz wybuchał płaczem gdzieś na uboczu.

— Co ja tym szelmom zawiniłem, że mię tak prześladują? Czy nie robię tego, czego ode mnie żądają? Czy zaniedbuję się w nauce? Oto po prostu dokuczają nam, żeśmy Polacy; nie mogą nam darować naszej mowy.

Mrocki kiwał głową potakująco, bo i on sam nie potrafił sobie inaczej wytłumaczyć tych ślepych wybuchów nienawiści, która na każdym kroku stawała się widoczną w postępowaniu niemieckich oficerów względem Polaków.

— Za co oni nas tak nie cierpią? — pytał Potrzeba. — Czy może dlatego, że pragną nas wygnać z ziemi naszych praojców i zagarnąć ją dla siebie? Jak sądzisz, Mrocki? Przecież nie my ich napastowaliśmy, ale oni nas, nie my do nich, ale oni do nas przyszli.

— Wiesz co... — ciągnął po chwili dłuższego milczenia — życie mi już obrzydło na tej służbie i często bierze mnie ochota raz z tym wszystkim skończyć.

— Bój się Boga, Wojciechu, co też ty wygadujesz! — oburzył się Sobiesław. — Jeszcze by też! Z powodu takich kanalii, jak ci nasi Stiglitz albo Bialscy! Zwariowałeś

chyba! Te dwa czy trzy lata miną jak z bicia trzask; ani się obejrzysz!

Biedny Wojtek zamyślił się, łyzy mu się zakręciły w oczach, ale szybko je rękawem otarł. Spoglądał na wyciągnięte w trawie swoje krzywe nogi. Oburzony był snadź na tę niesprawiedliwość natury, która jednemu daje postać pełną wdzięku, drugiego zaś upośledza, czyni niemal kaleką.

Sobiesław zwrócił rozmowę na inny temat. Prawił Wojciechowi o rodzicach i zdawało mu się, że wybił koledze z głowy niedorzeczne zamiary.

Ale nieszczęście chciało, że zaraz nazajutrz podoficer Stiglitz dokuczył znowu Potrzebie tak boleśnie, jak nigdy i na nowo zbudził w biednym chłopcu ponure myśli.

Rano zaszedłszy do stajni podoficer zauważył, że koń Potrzeby ma lekko natartą pod siodłem skórę.

Wpadł więc w straszny gniew, wymyślał rekrutowi od ostatnich za niedbalstwo, za brak opieki nad koniem. Tymczasem Wojciech nic a nic nie był winien. Siodło podczas długiej jazdy z lekka nadwerżyło skórę, ale otarcie miało się ku zagojeniu.

— Ja ciebie nauczę, ty polski wieprzu, jak na koniu się siedzi! — wołał Stiglitz.

Wieczorem, kiedy wszyscy wrócili z ćwiczeń, Stiglitz kazał Wojciechowi za karę wsiąść na drewnianego konia służącego do początkowej nauki dla rekrutów, ale na odwrót. Zamiast ogona, zatknął manekinowi miotłkę i polecił Potrzebie trzymać się za ten ogon. Nieszczęśliwy Potrzeba musiał spędzić cały wieczór pod tym swego rodzaju pręgierzem. Stiglitz był nieubłagany; nie wzruszyły go ani łyzy, ani błagania rekruta.

Wkrótce zjawił się w koszarach i Bialsky w świecącym jak zwykle mundurze; ale zamiast zganić podoficera za znęcanie się nad podwładnym, jeszcze sam dorzucił parę dowcipów.

Potrzeba siedział więc na drewnianym koniu cały w pąsach, z zaciśniętymi ustami, z przymkniętymi oczami i słuchał docinków.

Kiedy wreszcie, po odcierpieniu kary, zeszedł z manekina, taczał się jak pijany, a twarz jego pokrywała trupia błądź.

Mrocki zbliżył się do niego i ostentacyjnie uściskał mu rękę.

Inni koledzy: Polacy oraz kilku Niemców, także zmanifestowali swoje współczucie dla biedaka, ale ten nie zwracał na nic uwagi. Poszedł do łóżka i, nie rozbierając się, przykrył kołdrą. Nie spał jednak całą noc.

O świcie zrobił się ruch w koszarach. Wstawano i wyruszano o szóstej w drogę na poligon, gdzie zwykle trwały do południa ćwiczenia.

Potrzeba wstał także i ubierał się, ale znać było po nim jakieś dziwne zdenerwowanie.

Kiedy już miano siadać na koń, Wojciech zbliżył się nieznacznie do Sobiesława i wsunął mu coś w rękę.

— Weź — szepnął — i oddaj to moim rodzicom.

Mrocki drgnął boleśnie.

— Co to ma znaczyć? — zagadnął groźnie.

— Nic, nic — zmieszał się Potrzeba — ale widzisz, miałem dziś sen: śniło mi się, że spadłem z konia i że mnie armata przejechała przez pól; od paru dni mam jakieś złe przecucia. Jeśliby się to miało sprawdzić, broń Boże, to wręczysz te pieniądze i ten list moim, dobrze?

— Wojciechu, spojrzij mi w oczy.

Potrzeba spojrzał swymi mętными, znużonymi oczami jeszcze czerwonymi od łez wylanych w nocy.

W spojrzeniu tym malował się taki ból, takie znękanie, że Sobiesława aż coś zamroczyło.

— Ty może znów masz złe myśli, Wojciechu? — zagadnął badawczo. — Pamiętaj...

— Eh! Nie, Sobiesławie, doprawdy nie, ale ten sen...

Potrząsnął głową. W tej chwili rozległ się sygnał na wsiadanie. Przyjaciele rozstali się; Potrzeba uścisnął jakoś bardzo mocno i długo dłoń koledze i skoczył na siodło. Znowu trąbka — i cała bateria wyruszyła z dziedzińca na drogę.

Jechano coraz prędzej. Pogoda była piękna, wszystko dookoła pachniało wiosną; ptaki tak śpiewały w gajach, na stokach, pagórkach, że aż zagłuszały turkot kół po leśnej drodze. Słońce śmiało się do ludzi, swawolnie przeglądało się w lufach dział, w blachach mundurów żołnierskich, błyskało w guzikach, w chomątach. Kwiatki podnosiły główki pachnące, wietrzyk przynosił szum pędzących i grających po kamieniach strumieni górskich, słowem, było tak uroczyście, odświeżenie w całej przyrodzie, że niebawem Sobiesław otrząsnął się ze smutnych myśli i zapomniał o swych przypuszczeniach.

W godzinę potem bateria wjechała na obszerny poligon i rozpoczęły się ćwiczenia.

Rozległy się dźwięki trąbki. Działa, pociągnięte żwawo przez ogniste konie, z głuchym turkotem potoczyły się po trawie. Prędzej, prędzej! Jeźdźcy, przynaglani sygnałami, napierają ostrogami rumaki. Armaty skaczą po nierównościach żłobiąc obręczami kół bruzdy w ziemi. Po pierwszej armacie pozostaje ślad niezbyt widoczny, następna pozostawia już znaczniejszy, trzecia również, a dziesiąta, jedenasta — głęboką koleinę. Dość przejechać kilku bateriami przez rów, żeby go całkiem wyrównać.

Nic dziwnego, jaszczyki i działa ważą dużo.

Ale konie nie czują jakby tego ciężaru; pędzą z kopyta nastawiając uszy na sygnały, które znają doskonale, toteż nie czekają na ukłucie ostrogą, żeby wykonać nakazany manewr; zawracają same, przyśpieszają kroku, kiedy trzeba odprzodkować i zająć pozycję, słowem, dają liczne dowody zmyślności, do której wojskowi są już przyzwyczajeni.

Koń, jeździec i działa to całość nierozłączna i ożywiona jedną myślą, jedną wolą. Tak być powinno; Sobiesław zaczynał to pojmować i patrzył z przyjemnością na ruchy wykonywane z matematyczną niemal dokładnością.

W odległości jakiegoś kilometra leżały wzgórza o dość stromych zboczach. Na tych pagórkach pułkownik lubił zajmować pozycję podczas manewrów. Dostać się na nie nie było łatwo.

Odezwała się znowu trąbka. Konie automatycznie przeszły z kłusa w rytmiczny galop; działa warcząc biegły za żywym łańcuchem ludzi i rumaków. Natrafiając na kamienie odbijały się od nich ze zgrzytem, nachylały nieco, jakby się miały wywrócić, ale prostowały się szybko i pędziły naprzód coraz prędzej, nabierając coraz większego rozpędu.

Sobiesław widział przed sobą na jednym z koni przygarbioną postać Potrzeby siedzącego nieruchomo jak posąg. „Biedny chłopiec” — pomyślał sobie Mrocki. Znowu sygnał: działa pędzą już pod górę. Zatrzymują się, odprzodkują, rozlega się w ciszy leśnej kilka strzałów, które jak grzmot odbijają się od górskich grzbietów i konają wolno gdzieś w dali. Dym z prochu pełza po krzakach i omszonych kamieniach.

Zmiana pozycji! Armaty, porwane przez podniecone hukami konie, lecą jak opętane na dół nie bacząc ani na wystające odłamy skały, ani na korzenie buków. Jazda szalona, na łeb, na szyję, taka, jaką lubił namiętnie Wildenstein!

Aż tu nagle nad turkotem rozszałałych kół, nad tętentem kopyt o skalisty grunt góruje okrzyk bólesci i trwogi.

— Halt! Halt!

Konie ściągnięte gwałtownie cugłami stają dęba, skręcają bok, żeby uniknąć zderzenia z rozpędzonym działem. Wszczyła się zamieszanie, które jednak szybko mija. Bateria zatrzymała się. Co to jest, co się stało?

Sobiesław czuje, że coś mu ścisnęło serce aż do jęku. Skulona postać Potrzeby zniknęła z siodła.

— Nieszczęśliwy wypadek! — powtarzają żołnierze. — Ale pech.

Mrocki nie może dłużej wytrzymać: zeskakuje z konia i biegnie wstecz. O dwa działa w

tył zatrzymuje się jak wryty. Na mchu czerwonym od krwi, jakby jagodami leśnymi porośłym leży szczupła postać Potrzeby. Leży bez ruchu, dziwacznie jakoś powyginana.

Sobiesław klęka i patrzy z przerażeniem na bladą, siniejącą już twarz kolegi. Ogarnia go przestraszony.

— Wojciechu, Wojciechu! Cóż ty zrobił?!

Na twarzy Potrzeby znać było mękę okrutną, przemaganą wysiłkiem woli. Usta chcą się uśmiechnąć, ale zamiast uśmiechu wybiega na nie skurcz bolesny. Wargi poruszają się. Sobiesław nachyla się, ale jedno tylko słowo może zrozumieć: list!

Mrocki załamuje ręce; teraz rozumie wszystko.

— Boże, mój Boże!

Chce podźwignąć kolegę, ale inni żołnierze nadbiegają także, potrącają go; wszyscy się tłoczą.

— Potzer, Potzer! — rozlegają się głosy.

I to przekręcone nazwisko biegnie od końca do końca wyciągniętej baterii.

Do leżącego podjeżdża pułkownik i przygląda mu się przez chwilę, nie zsiadając z konia.

— Felczer! — woła.

Ale felczer już jest. Ogląda Potrzebę i kiwa głową.

Sobiesław bada wyraz jego twarzy z niepokojem.

Felczer schyla się nad rannym i słucha bicia serca; rozpina mundur, maca posiniałe piersi i szybko wstaje.

— Żebra połamane, krzyż także!

— Odstawić go do lazaretu! — wydaje krótki rozkaz pułkownik i każe trębaczowi grać „wsiadanego”.

Artylerzyści, jak pod działaniem sprężyny, wskakują na siodła; porządek, naruszony na krótko, w jednej chwili wraca. Sobiesław ociąga się, chce pozostać przy rannym, ale ostry głos Stiglitza brzęczy mu w uszach:

— Siadać!

Bateria rusza. Mrocki odwraca się i widzi na tle mchów grupkę złożoną z czterech ludzi i czterech koni. Potem w znika na zakręcie, działa toczą się po pochyłości w dolinę. Sygnały rozchodzą się głośnym i dźwięcznym echem w górskiej pustyni. Ale Sobiesław pozwala się unosić swojemu koniowi, nie widzi nic prócz wykrzywionej męką, zbroczonej krwią twarzy Potrzeby i nie słyszy nic prócz słowa „list”, wyszeptanego przez zbielejące wargi.

A w sercu jego podnosi się wielka zawziętość i żal.

ROZDZIAŁ IV

KREW NIE WODA

Przyjechawszy tego dnia po południu z ćwiczeń. Sobiesław dowiedział się, że Potrzeba umarł w drodze do lazaretu. Śmierć kolegi zrobiła na Mrockim wrażenie straszne. Przez kilka tygodni nie schodziła mu z oczu blada, siniejąca twarz, wykrzywione bólem usta i gasnący wzrok nieszczęśliwego. List powierzony sobie przechowywał niby jaką relikwię; układał zawczasu plan, jak dostać się do rodziców przyjaciela, obwieścić im smutną wiadomość i wręczyć ten papier, dowód pamięci ich syna o gnieździe rodzinnym.

Zażądał urlopu, ale mu go odmówiono, bo rekrutów przed upływem roku do domu nie puszczano. Powierzyć listu pocztę nie chciał. Na razie zatem opisał cały wypadek rodzicom

Potrzeby. Spełniwszy ten smutny obowiązek czekał cierpliwie na sposobność dostania się do nich.

Tymczasem życie jego stało się jeszcze nieznośniejsze aniżeli dawniej.

Jedynym skutkiem śmierci biednego Potrzeby było wzmożone prześladowanie Polaków w baterii.

Pułkownik Wildenstein wydał rozkaz dzienny, w którym zwracał uwagę podwładnych oficerów na niedostateczne przygotowanie rekrutów, nie umiejących trzymać się dobrze na koniu. W tym braku przygotowania widział pułkownik przyczynę wypadku.

Ponieważ zaś władza wyższa ze swej strony zganiła von Wildensteina za narażanie w karkołomnej jeździe życia żołnierzy, więc szanowny dowódca baterii wpadł w nadzwyczajnie zły humor. Poleciał oficerom rozpocząć na nowo naukę jazdy konnej dla młodszych żołnierzy i zdać sobie raport o postępiech.

Oficerowie, oburzeni, że im zajmują wolny czas, który zwykle spędzali na pohulankach, wpadli już nie w zły humor, ale w prawdziwą wściekłość.

— Już ja nauczę wszystkich Polaków jeździć konno! — odgrażał się Bialsky do Stiglitz. — Do siodeł mi poprzyrastają!

I zaraz następnego dnia rozkazał po powrocie z ćwiczeń zaprowadzić trzech rekrutów na podwórze koszarowe. Zamiast jednak wierzchowców, na których zawsze jeździli, przyprawdzono im konie znane ze złego klusa i narowów.

Godzinna jazda na takiej szkapie, przeznaczonej już tylko do sprzedaży, mogła i starego kawalerzystę doprowadzić do rozpacz.

Pan porucznik stał w samym środku koła, którym szedł koń, i długim swoim biczem popędzał go od czasu do czasu.

Ażeby zaś, jak mówił, przyzwyczaić rekrutów do dobrego trzymania się, nie pozwolił siodłać konia, a nawet kłaść derki. Była to zatem jakby szkoła jazdy cyrkowej.

Sobiesław chcąc nie chcąc musiał także brać udział w lekcjach, chociaż wiadomo było wszystkim, że należał do najlepszych jeźdźców w całym pułku.

Upokarzało go to, ale gdyby na upokorzeniu i na zmęczeniu się skończyło, zdołałby może wytrzymać.

W tydzień jakoś po nieszczęściu przyszła kolej na Sobiesława.

Był to wtorek, piękny dzień majowy, jakieś święto. Bateria nie wyjeżdżała wcale na ćwiczenia, żołnierze po większej części byli urlopowani i włóczyli się po górach albo przesiadywali w okolicznych karczmach na piwie.

Mrocki miał właśnie zamiar udać się do lasu i podumać samotnie w swym ulubionym ustroniu, w gaju bukowym. Poszedł więc do Stiglitz prosić, według regulaminu, o pozwolenie wyjścia z koszar.

— O nein! — odrzekł Stiglitz uśmiechając się złośliwie. — Porucznik Bialsky odbędzie dziś lekcję.

Sobiesław zaciął usta, sądził bowiem, że podoficer szuka tylko pretekstu dla niewypuszczenia go z koszar; ale wnet przekonał się, że naprawdę miała się odbyć lekcja jazdy konnej.

Mrocki osiodłał, według rozkazu, swego wierzchowca, starannie go przedtem obejrzawszy, czy jest bez zarzutu i czy nie da Stiglitzowi sposobności do nałożenia jakiejś kary za nieporządek. Ale koń był czysty, sierść świeciła się na nim jak lustro. Wyprowadził więc konia na plac przed koszarami. Zaledwie stanął na wskazanym miejscu, ukazał się Bialsky.

Był ubrany w nowy mundur, w świeże rękawiczki, w ręku miał swoją ulubioną szpicrutę ze złotą gałką, ale odłożył ją i kazał sobie podać długi bicz.

— Ach, Her von Mrotz!* — zawołał z ironiczną uprzejmością zoczywszy czekającego Sobiesława. — Ist mir sehr angenehm!** Dzendobry! — dodał łamaną polszczyzną.

Po tym wstępie Sobiesław intuicyjnie odczuł, że porucznik jest w fatalnym usposobie-

niu. Istotnie, Bialsky projektował sobie konną przejażdżkę w towarzystwie pięknej córki rotmistrza i już miał wyruszyć, kiedy jak na złość wpadł na Wildensteina, który zapytał go znowu o lekcje konnej jazdy.

— Mam nadzieję, że w pańskiej sekcji nie wydarzy się nic podobnego na przyszłość — dodał podając na pożegnanie rękę porucznikowi.

Pułkownik mieszkał akurat naprzeciwko koszar i Bialsky nie chciał, żeby go posądzono o brak gorliwości. Postanowił więc bez zwłoki „dać lekcję” i zatelefonował do Stiglitz.

Przejażdżka, jak to powiadają, „wzięła w łeb”, co napełniało porucznika źle tłumioną wściekłością.

— To przyjaciel Potzera? — zagadnął Stiglitz, który stał przy nim.

— O tak, i to bardzo serdeczny — odparł podoficer przykładając dłoń do czapki.

— Ach, so!

— Jak ty, Stiglitz, myślisz? — dodał po chwili Bialsky. — Mnie się zdaje, że ten Potzer to... lubił robić na złość, he?

— Oh, ja, wohl möglich *** — skwapliwie przytaknął Stiglitz.

Sobiesław słyszał tę rozmowę prowadzoną półgłosem, poufnie.

Bialsky przez chwilę kreślił na piasku końcem biczyska jakieś litery czy imię, potem nagle podniósł głowę.

— Wsiadać! — zawołał.

Mrocki posłuszny, wskoczył na konia nie dotykając strzemion i zaczął harcować dokoła Bialsky'ego.

Oficerek stał czas jakiś, ale snadź wydawało mu się, że koń idzie za wolno, bo trzasnął z bicza. Sobiesław usłyszał świst powroza tuż przy twarzy, tak iż zmrużył oczy.

Koń kłusował żwawiej.

— Nogi! — huknął Bialsky.

Sobiesław przypuszczając, że nieprawidłowo trzyma stopy, zrobił jakiś ruch niedostrzegalny.

— Noga! — powtórzył Bialsky.

Mrocki poprawił się znowu.

Jeszcze jednak nie ochłonął, kiedy bicz znów się zwinął i jak żmija, wyprężony ręką oficera, dotknął jego uda.

Mrocki poczuł nieznośny, palący ból. Zdawało mu się jednak, że Bialsky uderzył go niechęcący. Nie odwrócił więc głowy, ale jechał dalej przyspieszonym kłusem.

Zrobił może ze trzy koła, gdy rozległo się trzaśnięcie bicza i znów Mrocki poczuł piekące uderzenie. Zbladł, w oczach zrobiło mu się ciemno. Ściągnął gwałtownie konia.

To dało Bialsky'emu sposobność do nowego zamachnięcia się biczem.

„Biją mnie! — wołało coś wielkim głosem w sercu rekruta. — Biją mnie!”

Sobiesław nie był jeszcze całkiem pewien, czy tak jest, ale niebawem wszelkie wątpliwości rozwiązy się.

Bialsky rzucił znowu krótkim, rozdrażnionym głosem jakąś uwagę galopującemu dookoła niego jeźdźcowi, po czym, niby to podcinając konia, dotknął samym końcem bicza ciała Sobiesława.

— O Jezu! Nie wytrzymam! — szepnął do siebie Mrocki zagryzając do krwi usta.

Odwróci! głowę. W pośrodku placyka stał piękny, młody, świecący oficerek. Od czasu do czasu rzucał przez zęby jakiś rozkaz; jego wprawna ręka zginała się ledwie dostrzegalnym ruchem. Bicz, poderwany gwałtownie, wił się w powietrzu z ponurym świstem i spadał na ciało końskie znacząc pręgi na świecącej skórze zwierzęcia.

* Ach, Herr von Mrotz — Ach, to pan Mrotz!

** Ist mir sehr angenehm (czyt.: ist mir zer angenejm) — Bardzo mi miło.

*** Oh, ja, wohl möglich (czyt.: och, ja, wol möglich) — O, tak, to zupełnie możliwe.

Po kilku chwilach ręka poruszała się cokolwiek inaczej i wtedy to koniec bicza dotykał nogi albo uda rekruta.

— Ręka! — krzyknął Bialsky.

Jeszcze Mrocki nie zmiarkował, o co idzie Bialsky'emu, kiedy znów koniec bicza wpił się w jego obcisłą odzież. Tym razem ból był piekielny, nie do wytrzymania. Jakby rozpalony nóż zagłębił się w skórę Mrockiego. I nagle krew zagotowała się w żyłach młodzieńca. Lewa ręka gwałtownie pociągnęła cugle. Rozpędzony koń skręcił w jednej chwili, dźwignął się na tylne nogi, a poczuwszy, że ostrogi wbijają mu się głęboko w boki, skoczył naprzód. Jego podniesione kopyta spadły na głowę i ramiona eleganckiego porucznika.

Mrocki, obejrzawszy się, ujrzał leżącego bezwładnie i trzymającego się za twarz Bialsky'ego. Stiglitz w najwyższym przerażeniu śpieszył mu z pomocą.

Jeździec zrozumiał w jednym mgnieniu oka sytuację, zdał sobie sprawę z całego zuchwalstwa swego postępu i z jego nieodłącznych następstw. Nie było po co wracać.

Ścisnął więc raz jeszcze ostrogami swego wierzchowca i w pełnym galopie wypadł na drogę przez otwartą na ścieżaj bramę podwórza.

Nikt mu nie przeszkodził. Słał się przed nim piękny, równy, ocieniony drzewami gości-niec, który prowadził daleko, daleko w szeroki świat.

Rumak, jakby pojmował, że od jego rącości zawisło życie jeźdźca, galopował jak wyścigowiec. Po chwili Mrocki znalazł się pośród drzew starego lasu i odetchnął spokojnie. Zawrócił nawet i rzucił okiem w stronę koszar. Na drodze nie było jednak nikogo; nie ścigano wcale przestępcy.

Sobiesław wziął mocno cugle w rękę i puścił się boczna, kamienistą drogą, prowadzącą w głąb górskich pustkowi.

— Stało się! — zawołał głośno.

ROZDZIAŁ V

DEZERTER

Sobiesław jechał kłusa jak na manewrach i rozmyślał nad swoją dolą.

„Jestem dezertorem z wojska pruskiego! — powiedział sobie wreszcie. — Jeżelibym teraz powrócił, oddaliby mnie pod sąd wojenny i zapewne rozstrzelali albo skazali na długoletnie więzienie. Zależałoby to od tego, czym ciężej, czy lżej stratował tego pudła, Bialsky'ego. Nie dam się bić bezkarnie! To trudno, choćbym miał życiem przypłacić, nie dam”.

Należało jednak coś postanowić. Mrocki dumiał, aż nareszcie powziął postanowienie.

Nie wróci! Uciekł, to uciekł! Trzeba dostać się jak najprędzej do stacji kolejowej. Już niedaleko! Dwie mile co najwyżej. Może tam znaleźć się za godzinę, jeśli popędzi konia.

Ale dokąd jechać? Do Poznania nie, bo tam go najpierw będą szukali listami gończymi. Policja zwali się na kark rodzicom nie jutro, to pojutrze; trzeba ich uprzedzić listem, żeby sobie nie wyobrażali czegoś gorszego, niż się stało w istocie.

Ale najpilniejszą potrzebą Mrockiego było zobaczyć się z rodzicami biednego Potrzeby i wręczyć im list, który miał na piersiach w woreczku, razem ze stumarkówką od ojca, jedynym w tej chwili majątkiem.

A więc do starych Potrzebów!

Sobiesław oglądał się raz po raz poza siebie i nadstawiał uszu. Rozum kazał mu mieć się na baczności. Zamiast tedy udać się na najbliższą stację, gdzie go, być może, zaaresztują,

bo od czego telefon albo telegraf, lepiej nadłożyć drogi, kilka mil choćby, i powędrować na zupełnie inną linię kolejową, którą już prosto zajedzie do celu.

Okolicę znał dobrze, bo niedawno jeździł po siano i odbywał parę wycieczek w te strony, nie obawiał się więc zabłąkać.

Z początku chciał zejść z konia, puścić go wolno, a sam pieszo, przez góry, lasami dotrzeć do kolei. Wnet jednak zmiarkował, że pośpiech odgrywa tu dużą rolę. Pognął więc konia i przez dwie godziny jechał wciąż dobrym kłusem, unikając przy tym gościńca. Kiedy słońce zaczęło już skłaniać się ku zachodowi, poczuł, że jest prawie zupełnie bezpieczny.

Ze szczytu góry dostrzegł u nóg swoich stację, cel podróży. Mijając chałupę wieśniaka, zatrzymał się na chwilę, żeby coś przekąsić. Kupił bochenek chleba, serek i z tym zapasem puścił się w dalszą drogę.

W lesie Sobiesław rozstał się ze swym koniem.

Zaprowadził go na polanę, zdjął mu munsztuk i puścił na trawę. Na siodle przypiął karteczkę: „Własność pułku artylerii konnej w N”; poklepał pocziwe zwierzę po spoconej szyi, zajrzał mu w oczy, pogłodził po czole i odszedł.

Kiedy był już dość daleko, żał mu się zrobiło wierzchowca, do którego zdążył się przywiązać.

„Co też z nim się stanie? — myślał. — Czy trafi do koszar, wiedziony instynktem, czy go sobie kto przywłaszczy może?”

Koń nie zastanawiał się jednak nad swym losem, skubał sobie smacznie słodką trawę górską; podszedłszy do jakiegoś strumyka, szmerzącego pomiędzy kamieniami, ugasił pragnienie i znów się pał. Podniósł jednak głowę i spojrzał za oddalającym się; do uszu Sobiesława doszło jego rzenie.

„Żegna się ze mną! — pomyślał sobie Mrocki. — Pocziwe zwierzę, przez ciebie wycierpiałem wiele, ale tyś temu nic niewinne! Przebaczam ci, a nadto czuję dla ciebie wdzięczność. Gdyby nie ty, nie zemściłbym się na Białsky'm i nie uciekłbym potem od kary. Bywaj zdrów!”

Złożywszy to życzenie swemu wierzchowcowi, Mrocki z przyjemnością zauważył dymek zbliżającego się pociągu. Szczęście mu sprzyjało. Czekał nie więcej niż dziesięć minut.

Kupił bilet do Wrześni i spokojnie siadł sobie, jakby nigdy nic, w wagonie czwartej klasy. Jechał prawie całą noc, przesiadając się parę razy w drodze. Nad ranem był już w mieście, wstawionym męczeństwem dzieci polskich, broniących drogiego każdemu człowiekowi prawa do języka swoich ojców.

Sobiesław odszukał niebawem ubogi domek stojący w cieniu zielonych lip. Przyszedł w porę, bo stary Potrzeba wybierał się w pole do roboty. Ujrzawszy człowieka w mundurze artylerzysty stanął jak wryty i patrzył na wół z przerażeniem, na wół z ciekawością.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — przywitał Sobiesław nieszczęśliwego starca.

Usłyszawszy to pozdrowienie Potrzeba rozpromienił się, wrócił do izby i posadził gościa na najlepszym stołku.

Mrocki nie czekając na pytania sięgnął do zanadrza, wyciągnął pomięty list i podał go starcowi.

— Od syna; oddał mi to w sam dzień śmierci! — rzekł po prostu.

Stary zachwiał się, ręce zaczęły mu się tak trząść, że koperta wypadła mu z palców na podłogę.

W tej chwili z sąsiedniej izby wybiegła stara kobieta. Drżącymi dłońmi pochwyciła list.

Czytała zalewając się co chwila łzami i zanosząc się od płaczu. Była to krótka, ale gorzka spowiedź gnębionego, prześladowanego rekruta.

List kończył się prośbą, żeby rodzice modlili się za syna potrzebującego siły nadludz-

kiej do wytrwania.

„Jeżeli mi będą nadal tak dokuczali, ucieknę chyba — kończył list — niech się dzieje, co chce!”

Boleść, cokolwiek złagodzona przez czas, odżyła na nowo; siadła chmurą na duszy, zasłoniła oczy gorzkimi łzami.

Stary Potrzeba w napadzie rozpaczy przeklinał wojsko i wszystkich Prusaków, którzy przyczynili się do śmierci syna.

Kiedy minął pierwszy wybuch, starzy zarzucili Mrockiego gradem pytań. Musiał im opowiedzieć wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, zatajając jednak to, co mogło jeszcze bardziej rozkrwawić serca rodzicielskie. Potem przedstawił swoje własne położenie.

— Dobrześ zrobił temu Prusakowi! — mówiła Potrzebina z zaciętością. — Dobrze!

I Potrzeba przytakiwał.

— Gorącyś był, ale należało mu się to, temu Bialsky'emu. Pies musi być z niego. To za mojego syna. Ale miej się na baczności, bo ci na pewno tego nie darują. Źle będzie z tobą, jak cię złapią. Zrzuć najprzód tę liberię królewską, żeby cię nie poznali.

— Ba, kiedy nie mam innej odzieży!

— Na to znajdzie się rada. Po moim synu to i owo zostało. Noś z panem Bogiem, niech ci służy.

Stary zaprowadził Sobiesława do komory, wyjął z kufierka co najlepsze i kazał mu się w to przebrać.

W pół godziny potem Sobiesław z artylerzysty pruskiego przemienił się znów w cywila. Wydawało mu się, że wraz z mundurem pozbywa się zmyły, która go trapiła, że się na nowo na świat narodził.

Rad byłby nasz dezerterski zabawić tutaj jak najdłużej, ale przecucie mówiło mu, że nie powinien swoją obecnością narażać poczciwych Potrzebów na przykrości.

Gdyby go tutaj zastano, dostałoby się i starym. Należało wędrować w szeroki świat.

Sobiesław nie mógł sobie tylko odmówić jednej przyjemności; oto napisał długi list do rodziców i do Leonki, zapieczętował i poprosił starego Potrzebę, żeby, wywdzięczając się za przysługę, oddał własnoręcznie przy sposobności to pismo jego rodzinie.

— Nie mam odwagi pokazać się w Poznaniu — rzekł. — Obawiam się, że mnie tam najpierw będą szukali. Nie zobaczę więc zapewne moich drogich rodziców i ukochanej siostrzyczki.

— Bóg świadkiem, ile mnie to kosztuje — rzekł po chwili — ale trzeba być mężczyzną!

Nad wieczorem Sobiesław, odprowadzony przez całą rodzinę Potrzebów, udał się na dworzec kolejowy. Jechano na wózku w milczeniu. Starzy byli zmartwieni, polubili go bowiem od razu i w sercach zbolałych żywili dla niego dozgonną wdzięczność.

Kiedy wsiadał do wagonu, uściskali go jak rodzzonego syna.

Potrzebina wcisnęła mu w rękę koszyczek z zapasami na drogę, Potrzebianki — wiązanek wiosennego kwiecia z łąnu polskiego.

Sobiesław przyjął wszystko. Bukieciak przycisnął do ust i schował starannie.

Nieraz po latach, kiedy nasz wygnaniec znajdował się w obcych krajach, o tysiące mil od utraconej ojczyzny, wyjmował z ukrycia tę skromną zasuszoną wiązanek i przyciskał ją do ust.

Lokomotywa ryknęła głucho, wagon zadrżał, pociąg, jak wąż ze świecącymi fosforycznie oczami, pełzać zaczął po szynach i niebawem Sobiesław znalazł się sam, tym razem nieodwołalnie sam.

W gardle zaczęło go dławić, łzy zapiekły pod powiekami i spłynęły po twarzy.

Tułacz stał w oknie wagonu i żegnał westchnieniami śpiące w ciszy, pod skrzydłami ciepłej nocy majowej, ojczyste niwy. Pociąg w kilka godzin stanął na pogranicznej stacji.

Sobiesław żegnał ziemię polską płaczem. W piersiach czuł wielki ból. Przeczuwał, że

to rozstanie będzie długie.

ROZDZIAŁ VI

W SZEROKI ŚWIAT

Mrocki pragnął jak najprędzej znaleźć się poza granicami pruskimi. W Berlinie zabawił tylko parę godzin, kupił sobie bilet do Hamburga i jechał nie tracąc ani chwili czasu.

W Hamburgu czuł się już nieco bezpieczniej; przecież to „wolne miasto”.

Przyjechał wieczorem, przenocował w jakiejś taniej oberży, pomiędzy wyrobnikami portowymi, i leżąc na nędznym łóżku, otoczony chrapiącymi towarzyszami układał plan dalszej podróży.

Teraz rozumiał jasno, że nie zostaje mu nic innego, jak przeprowić się za ocean, do Stanów Zjednoczonych albo do Brazylii i w Ameryce szukać nowej ojczyzny.

Wszystko jednak rozbijało się o brak funduszków. Na wiosnę i w lecie parowce podnoszą dość znacznie opłatę za przewóz.

Najgorsze miejsce kosztowało przynajmniej sto marek, a Mrocki, wydawszy na kolej dość znaczną kwotę ze swojej stumarkówki, nie posiadał już tego niezbędnego minimum.

A gdyby nawet je posiadał, to przecież bez grosza nie puszcza go na ląd. Kto chce wylądować, ten musi okazać pewną kwotę w gotówce.

Zarządzenie to zamykało Sobiesławowi drogę do Ameryki.

Należało więc albo zarobić w Hamburgu kilkadziesiąt marek, albo dostać się na okręt bezpłatnie, w charakterze jakiegoś pracownika. Przecież taki wielki parowiec potrzebuje obsługi palaczy, kucharzy, lokajów, kuchcików, smarowników, słowem, całego legionu ludzi.

Tak sobie rozmyślał Sobiesław w nocy, którą spędził prawie bezsennie. Kiedy się rozwidniło, ubrał się najpierwszy i zaczął gawędzić z towarzyszami pytając, czy nie mają dla niego jakiegoś zajęcia.

Ale jego towarzysze noclegu sami żyli z dnia na dzień.

Jeden z nich wylądowywał okręt przybyły właśnie z Ameryki Południowej z ładunkiem drzewa brazylijskiego i kawy; drugi miał chwilowe zajęcie przy budowie jakiegoś składu; trzeci wczoraj był zajęty, ale dziś nie wiedział, za co zje śniadanie, słowem, była to nędza ostatnia.

Oświadczyli oni dość niechętnie Mrockiemu, że w Hamburgu miejscowych sił jest dosyć, że dla przybyszów, zwłaszcza z kresów wschodnich, nie ma wcale miejsca.

Wyglądało to na odprawę. Mrocki się więc nie narzucał. Postanowił sam szukać sobie zarobku.

Należało dołożyć wszystkich sił, żeby dostać się na okręt. Tu, w Hamburgu, na ziemi Rzeszy niemieckiej, mogli go także aresztować. Tylko tam, za oceanem, czułby się całkiem bezpiecznie.

Podniecony obawą, Sobiesław powlókł się do biura towarzystwa żeglugi oceanicznej.

Zaprowadzono go do kantoru mieszczącego się w obszernej izbie, zastawionej biurkami i stołkami.

Przy jednym z najładniejszych biurek siedział wygolony Niemiec i palił grube cygaro.

W kantorze tym, jak objaśniono Sobiesława, sprzedawano szyfkarty * emigrantom. Właściwe biuro dyrekcji mieściło się na pierwszym piętrze. Nie chciano tam wpuścić Mro-

* Szyfkarta — bilet okrętowy.

ckiego, wywnioskowano bowiem z jego niezbyt eleganckiego ubrania, że jest człowiekiem prostym.

Sobiesław, wysilając się na jak najlepszy akcent niemiecki i kłaniając się jak najuprzejmiej, przystąpił do owego spasionego urzędnika.

— Ośmielam się prosić o jakiegokolwiek zajęcie na jednym z okrętów udających się do Ameryki — rzekł. — Podejmę się chętnie każdej, najcięższej nawet pracy, bo nie mam czym opłacić szyfkarty.

Urzędnik ani drgnął, puszczał tylko coraz to większe kłęby dymu tytoniowego spomiędzy mięsistych warg.

— człowiekiem chętnym, energicznym i sumiennym.

Milczenie. Urzędnik, jak się zdaje, ani słyszy, ani widzi Sobiesława, który skutkiem tego obojętnie traci coraz bardziej odwagę.

— Mógłbym być w ostateczności lokajem, palaczem, smarownikiem, czymkolwiek zresztą; zdecydowałbym się nawet przyjąć jakieś zajęcie w kuchni.

Urzędnik podnosi nieco głowę i rzuca na Mrockiego ironiczne spojrzenie.

— Czym się pan zajmowałeś? — pyta z zimnym lekceważeniem.

— Byłem rolnikiem.

— Dla rolników nie ma, jak panu wiadomo, żadnego zajęcia na morzu.

Wybuch śmiechem ze swego własnego dowcipu i znowu kładzie cygaro między grube wargi.

Sobiesław nie rozumie, stoi i patrzy bardzo nieśmiało.

— Może jednak...

— Zboże na oceanie nie rośnie! — dodaje Niemiec.

— Ja się każdej roboty podejmę, nawet najuciążliwszej, byle zarobić na przejazd — jąka Mrocki.

— Alles besetzt!* — odpowiada lakonicznie urzędnik.

Sobiesław stoi i czeka, ale człowiek palący cygaro nie odwraca oczu od papierów i najspokojniej puszcza kłęby dymu.

Mrocki jest już doprowadzony do wrzenia; panuje jednak nad sobą; w duszy przeklina nieuprzejmego i drwiącego urzędnika, ale nie daje jeszcze za wygraną.

— Proszę pana — mówi znów po długiej chwili milczenia. — Mnie b a r d z o zależy na tym, żeby się dostać do Ameryki; chcę się tam osiedlić na długo, szukać zajęcia... Niech mi pan nie odmawia. Jeżeli moja praca okaże się zbyt mało warta, jestem gotów dopłacić cokolwiek...

Urzędnik odwraca się i mierzy badawczym spojrzeniem Mrockiego.

— Hm, b a r d z o panu zależy? — mruczy. — A może pan m u s i jechać? Może pilno, he?...

Słowo „musi” jest wypowiedziane z takim przeciągłym akcentem, że Sobiesławowi robi się zimno...

Niebacznie ściągnął na siebie podejrzenie; zapomniał o tym, że do Ameryki uciekają rozmaici wykolejeńcy albo wprost kryminaliści pragnący zatrzeć za sobą ślady, uniknąć więzienia i że wszyscy doskonale o tym wiedzą, a urzędnicy towarzystwa najlepiej. Należało się wycofać jak najprędzej z tej pułapki. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby Niemiec zawołał teraz policję i kazał aresztować podejrzanego pasażera, który „musi” jechać do Ameryki.

Zimnej krwi!

— Tak jest, m u s z ę — odpowiada z podobnym naciskiem — bo nie mam tutaj z czego żyć; daremnie szukam pracy; nikt mi jej dać nie chce.

— Cóż ja na to poradzę?

* Alles besetzt (czyt.: alles bezect) — wszystko zajęte.

Urzędnik wzruszył ramionami i znów zagłębił się w swoje papiery. Sobiesław czuł, że go w gardle dławi rozpacz i gniew, włożył więc zamasyście czapkę na głowę i nie kłaniając się nawet urzędnikowi wybiegł na ulicę.

Szedł prosto przed siebie, potracając ludzi; pięści zaciskały mu się, miał ochotę kłać na cały głos, rzucił nawet pod adresem niegodziwego urzędnika parę dobitnych polskich wyrazów.

Sobiesław, doznawszy niepowodzenia, nie upadł wcale na duchu; przeciwnie, zaostriżyło to jego energię.

Chciało mu się jeść, bo opuścił oberżę bez posiłku. Zamiast jednak udać się do jakiejś restauracji w mieście, wsiadł do tramwaju i pojechał do dzielnicy portowej.

Wysiadłszy, znalazł się w prawdziwym labiryncie ulic zabudowanych po obu brzegach rzeki, jak w Wenecji. Na wodzie snuły się łodzie, barki, a nawet i większe statki. Jeszcze dalej widniał istny las masztów. Stały tu setki okrętów pochodzących ze wszystkich krajów nadmorskich całego świata. Mogłeś się tu napatrzeć na przedstawicieli wszelkich narodowości; o uszy obijały ci się języki pomieszane jak w biblijnej wieży Babel. Sobiesław kroczył oglądając się dokoła ze zdumieniem. Nie wyobrażał sobie nawet takiego zbiorowiska okrętów; potracano go, krzyczano nań brutalnie, żeby się usunął z drogi; on jednak nie zważał na to; stał na bulwarze nadbrzeżnym, pomiędzy stosami pak, i patrzył w głąb tego masztowego lasu, a serce mu biło z radosnego wzruszenia.

„Toż to raj prawdziwy dla człowieka pragnącego puścić się w świat szeroki” — pomyślał Sobiesław.

Mrocki, który miał doskonały wzrok, mógł odczytywać ze znacznej odległości nazwy statków, wypisane wszelkimi językami: „Orinoco”, „Pernambuco”, „Hong-Kong”, „Natal”, „Aurelia”, „Louisiana” itd. Najwięcej było statków angielskich, ale nie brakło holenderskich, niemieckich, francuskich, amerykańskich.

Wielkich parowców oceanicznych nigdzie nie mógł dostrzec; stały one na kotwicy przy ujściu Łaby do morza. W porcie rzeczonym, pod miastem, tłoczyły się przeważnie okręty handlowe, z których każdy przy sposobności zabierał naturalnie podróżnych.

„Po co ja mam się pchać na wielki, szybki parowiec? — myślał Sobiesław wlokąc się bulwarem. — Czy mi zależy na pośpiechu? Wcale nie! Przecież mam aż za wiele czasu. Słyszałem zawsze, że za przeprawę, trwającą krótko, trzeba płacić słono, bo taki „Kaiser Wilhelm” na przykład pożera ogromną ilość węgla, daje komfort i dobre życie pasażerom. Nic dziwnego, za wygody trzeba płacić setki marek! Skoro tak, to na zwyczajnym, towarowo-osobowym parowcu dostanę się do Ameryki za połowę tej sumy, a kto wie, czy nie znajdę jakiegoś zajęcia. Przede wszystkim trzeba zasięgnąć języka”.

Na szeregu domów, ciągnących się wzdłuż bulwaru portowego, Sobiesław dostrzegł kilka wymownych malowideł wyobrażających butelki, kufle, marynarzy trącących się kieliszkami i inne godła pijackie; powyżej zaś napisy w rodzaju „Bierquelle”, „Bierhalle”. Przed jedną z tych brudnych i ciasnych knajp stała grupa oficerów prowadzących rozmowę w niezrozumiałym języku.

Z kilku wyrazów zasłyszanych Mrocki domyślił się, że to byli Anglicy.

Zbliżył się więc nieśmiało do oficera, którego fizjonomia najbardziej mu się podobała, i rzekł po niemiecku:

— Proszę bardzo, niech mi pan raczy wskazać jakiś statek, na którym za skromną opłatą mógłbym przeprawić się do Ameryki — rzekł uchylając czapki.

Marynarz, sympatyczny młody porucznik, obrzucił Sobiesława badawczym spojrzeniem. Widocznie młodzieniec zrobił na nim korzystne wrażenie, bo uśmiechnął się przychylnie.

— Przyjdź pan tu wieczorem — odparł po chwilowym namyśle — może ci co poradzę, ale teraz nie mam czasu.

Sobiesław uklonił się.

— Będę czekał — rzekł z radością.

Liczył nieborak minuty do zachodu słońca. Siedział na bulwarze i czekał cierpliwie, czy nie nadejdzie ów oficer, którego fizjonomię zapamiętał doskonale.

Kiedy zaczęło się już robić ciemnawo, nieznajomy ukazał się na brzegu. Sobiesław zbliżył się zdejmując czapkę.

— Ach, to pan! — rzekł uprzejmie Anglik. — Proszę siadać ze mną do szalupy.

Mrocki jednym susem znalazł się na łódce, przy czym o mało co nie wpadł do wody. Szczęściem podtrzymał go wiosłarz.

W kilka minut przybyli do boku jakiegoś statku i wleźli po trapie, czyli bocznych schodkach, na pokład.

Oficer, powitany przez marynarzy zgromadzonych na pomoście, odprowadził Sobiesława na tył statku, gdzie znajdowały się kajuty oficerskie, i tutaj, z dala od świadków, zaczął mu zadawać pytania.

— Podobałeś mi się, młodzieńcze — rzekł złym akcentem niemieckim. — Chciałbym coś dla ciebie uczynić, ale wiesz, mój statek nie kursuje między Ameryką a Europą, dlatego też nie mogę cię zabrać; to jest mógłbym cię przewieźć, nie dalej jednak niż do Londynu. Ponieważ, jak powiedziałeś, język angielski znasz bardzo słabo, więc niepotrzebnie byś tylko czas tracił. Tutaj, w Hamburgu, stoi dużo statków albo udających się do Stanów, albo takich, które stamtąd wracają. Myślę właśnie o pewnym kapitanie angielskim, który powinien znajdować się w porcie; dam ci do niego list polecający. Człowiek to na pozór twardy, nieokrzesany, ale w gruncie rzeczy bardzo dobry i uczynny. Poczekaj, zobaczę tylko, czy jego żaglowiec zawinął do tutejszej przystani.

Oficer poszedł na chwilę do swojej kajuty i przyniósł stamtąd jakiś zadrukowany papier.

— To jest spis wszystkich okrętów, które przychodzą do Hamburga i stąd wypływają. Zapisane są tu nazwiska kapitana i właściciela, pojemność statku, jego przeznaczenie i tak dalej. Zaraz się przekonamy.

W milczeniu przebiegł papier oczami; Sobiesław tymczasem rozglądał się z zaciekawieniem po pokładzie.

Panowała tutaj wzorowa czystość. Towar był widocznie wyładowany i „Victoria” oczekiwała na nowy ładunek. Marynarze siedzieli na zwojach lin czy na schodach i albo palili fajki, albo żuli tytoń plując na wszystkie strony, przeważnie jednak do morza.

Po kilku minutach oficer machnął radośnie ręką.

— Mój poczciwy Robert jest właśnie w Hamburgu; to doskonale! Poszukasz pan „Delfina”, tak się nazywa barka Roberta, i wezmiesz ten oto bilecik, w którym proszę, żeby cię zabrał, jak będzie mógł najtaniej. Dodaję, że nie odmówisz w podróży pewnych usług, ażeby w ten sposób wynagrodzić skąpą zapłatę. Ostrzegam cię tylko, mój chłopcze, że podróż żaglowcem trwa znacznie dłużej aniżeli na parowcu i jest dość przykra dla osób, nie oswojonych z morzem. Robert bawi tutaj od tygodnia; jest więc nadzieja, że podniesie kotwicę lada godzina, kto wie, może nawet jutro... Powodzenia... A gdyby ci się nie udało zabrać, to przyjdź znowu.

Oficer podał Sobiesławowi rękę na pożegnanie, którą ten uściśnął z całym zapalem.

Okrętowa szalupa odwiozła Mrockiego na ląd. Niebawem Sobiesław, z listem w kieszeni, kroczył żwawo do biura okrętowego. Dopiero jednak nazajutrz znalazł „Delfina”.

Była to niezbyt duża barka, która właśnie zabierała ładunek. Stała przy samym bulwarze, tak iż Sobiesław bez trudu dostał się na pokład.

— Gdzie kapitan? — spytał po niemiecku pierwszego napotkanego marynarza.

Marynarz na razie nie zrozumiał, ale kiedy mu Mrocki pokazał kartkę, kiwnął głową i zaprowadził go do drzwi kajuty.

Sobiesław stał przez dłuższy czas, nie śmiejąc się dobijać. W końcu jednak zebrał się na odwagę i zastukał.

Drzwi się otworzyły.

Mrocki miał przed sobą prawdziwy typ wilka morskiego» Stał przed nim człowiek o muskularnej postaci w poplamionym mundurze oficerskim, o twarzy czerwonej od nadużycia grogu, pomarszczonej i ponurej. Oczy jego błyszczały jak stal i rzucały spojrzenia przenikające do głębi. Od razu można było domyślić się, że człowiek ten przywykł rozkazywać.

— Czego? — zagadnął krótko po niemiecku, ujrzawszy młodzieńca.

Zamiast odpowiedzi Sobiesław pokazał mu list.

Kapitan wyszedł na pokład, odsunął cokolwiek papier od oczu i w milczeniu przeczytał kartkę.

— Dokąd chcesz pan jechać? — zapytał nie patrząc na Sobiesława.

— Do jakiegokolwiek portu w Stanach Zjednoczonych, byle na samym południu — odparł Sobiesław.

— Wybieramy się do Baltimore, który jest w Marylandzie, o ile panu wiadomo. Stamtąd możesz pan łatwo dostać się chociażby do Nowego Jorku.

— Bardzo chętnie; ostatecznie bowiem wszystko mi jedno, gdzie wyląduję.

— Ile możesz zapłacić?

— Jak najmniej; posiadam bowiem całego majątku siedemdziesiąt marek, a potrzebuję przecież wylądować z paroma dolarami w kieszeni, żeby z głodu nie umrzeć.

— No, to dasz pięćdziesiąt. Będzie to tylko zwrot tego, co zjesz w drodze, bo podróż potrwa najmniej sześć tygodni, jeśli przeciwne wiatry albo burze nas nie zatrzymają.

— A jeżelibym pomagał załodze? — zagadnął z biciem serca Sobiesław.

— Na cóż taki jak ty szczer lądowy może się przydać na pokładzie? — rzekł kapitan, pogardliwie mrużąc oczy. — Chyba w kuchni albo przy wyladowywaniu towarów. No, niech cię tam! Pomożesz w Baltimore, a na morzu będziesz do wszystkiego, jeżeli cię choroba morska nie zrobi do niczego. Zastrzegam sobie tylko, żebyś nie udawał pana; ja pasażerów nie zabieram z zasady; to więcej kosztuje, niż przynosi, a zresztą dziś nikt nie chce płynąć pod żaglami; każdemu pilno i gotów zapłacić za przejazd parowcem trzy razy tyle, ile ja od ciebie wezmę.

— Więc ile pan kapitan żąda, jeżeli się zgadza przyjąć moją pomoc na pokładzie?

— No, kiedy tak. to przewiozę cię po cenie kosztu, za czterdzieści marek. Załatwione?

Sobiesław ucieszył się niezmiernie, chociaż ponura fizjonomia kapitana i jego beczere-monialne obejście niezbyt mu się podobały. Nie należało jednak wahać się. Na podobną sposobność wypadłoby zapewne czekać długo. Po chwilowym namyśle Sobiesław kiwnął głową.

— A więc czterdzieści marek. Dziękuję panu — rzekł kłaniając się.

— No, będziesz zadowolony, mój chłopcze — rzekł kapitan. — Uprzedzam cię jednak, że podnoszę kotwicę nie prędzej niż za trzy dni; możesz więc tymczasem wałęsać się po szynkach. Ale żebyś nie przepił pieniędzy przeznaczonych na drogę, radzę ci, pozostaw je u mnie.

Mrocki, westchnąwszy, wyjął z kieszeni woreczek i wręczył kapitanowi czterdzieści marek.

Marynarz poszedł do kajuty i za chwilę powrócił z kwitkiem.

— Masz oto dowód, żeś opłacił koszty przejazdu na barce „Delfin”. A teraz wynoś się, bo nie mam czasu. Czwartego dnia o świcie podnosimy kotwicę. Jeżeli się spóźnisz, pozostaniesz w Hamburgu.

Powiedziawszy to, kapitan odwrócił się na pięcie.

Mrocki jednak, zamiast opuścić pokład statku, przysiadł się do marynarzy, którzy na nim pracowali, i w paru słowach przedstawił swoje zamiary.

— Podróżny, oho! — rzekł jeden z majtków uśmiechając się złośliwie. — A czy ty kiedy jeździłeś po morzu?

— Nie mam zamiaru zostać marynarzem — odparł Sobiesław.

— Więc nie skosztowałeś jeszcze wcale piany morskiej?

— Oprócz piany na piwie nie miałem w ustach żadnej innej.

— Cha, cha, cha! No, to musisz się trzymać, sprzedam cię bowiem, że nasza barka nie należy do najlepiej zbudowanych statków.

— I najnowszych — dodał inny majtek wtrącając się do rozmowy.

— Skacze niemiłosiernie, kiedy się fala podniesie! — dorzucił trzeci. — Weź ze sobą parę butelek rumu, jeżeli chcesz dojechać żywy do Ameryki.

Te kpiny smutno nastroiły Sobiesława; zaczął rozglądać się po pokładzie i niebawem sam się przekonał, że „Delfin” jest bardzo zniszczonym statkiem. Wszystko na nim było zdezelowane, połatane, chociaż utrzymane bardzo czysto, jak w ogóle na angielskich statkach; może tylko holenderskie rywalizują pod tym względem z angielskimi.

Zaczęły mu przychodzić do głowy ponure myśli.

„W tym, co mi mówili ci marynarze, musi być trochę prawdy, przecie nie zniechęcaliby mnie bez powodu. Widocznie okręt nie jest najlepszy”.

Ale radość ze znalezienia sposobu przeprawy zagłuszyła w Mrockim niepokój. Wesół poszedł na bulwar, do pierwszej lepszej tawerny, żeby cokolwiek przekąsić.

Dla oszczędności, zamiast udać się do hotelu, postanowił przenocować pomiędzy stosami pak leżących na bulwarze.

Tak też uczynił. Wsunął się między beczki, znalazł nawet jedną dużą, zupełnie pustą i urządził sobie w niej posłanie ze słomy, której nie brakowało.

Zachowywał się jednak cicho, jak mysz pod miotłą, obawiając się zwrócić na siebie uwagę policji portowej, której przedstawiciele snuli się pilnując towarów nagromadzonych w niezmiernej ilości.

Nikt go jednak nie zauważył. O świcie, zbudzony ruchem, jaki dokoła niego panował, wstał i zaczął zastanawiać się, jak spędzić te parę wolnych dni, które go dzieliły od odjazdu.

Lękając się wydawać ostatni grosz, postanowił poszukać sobie zajęcia, chociażby przygodnego.

Idąc bulwarem pytał robotników wyładowujących okręty, czy nie przydałaby się jego pomoc.

Po kilku godzinach daremnych prób udało mu się znaleźć pracę. Chciano wyładować jak najprędzej okręt przybyły zza morza; przyjmowano więc każdego, kto się tylko zgłosił, płacąc po dwie marki za dzień.

Praca jednak była nad wyraz ciężka: należało wynosić na bulwar paki z towarami, których była nieskończona ilość. Ostre ćwieki darły odzież i kaleczyły plecy tragarzom; na szczęście Sobiesław w porę się spostrzegł, bo jego porządna marynarka zniszczyłaby się do szczętu.

Złożył ją w bezpiecznym miejscu, sam zaś pracował w samej koszuli, która niebawem była mokra od potu.

Wieczorem Mrocki, znużony tak, iż ledwie trzymał się na nogach, dostał dwie marki i zapowiedź, że nazajutrz może się jeszcze stawić do tego samego zajęcia, jeżeli ma ochotę.

Biedak, głodny, bo oszczędzał na jedzeniu, znów spędził noc w jakiejś pustej szopie, pomiędzy pakami. Nie miał jednak co podłożyć pod głowę, bo słomy nie było; przeleżał więc na gołym drzewie. Kiedy się obudził o świcie, czuł się jak wyjęty spod wozu.

Chwiejąc się na nogach, poszedł jednak do pracy, łakomy na najmniejszy choćby zarobek.

Po drodze wypił kufel piwa i zjadł kawałek kiełbasy z chlebem; było to jego pożywienie do samego wieczora, ponieważ w ciągu dnia nie miał ani jednej wolnej chwili. Gnano traga-

rzy jak zwierzęta, obiecując im dołożyć za pośpiech po marce. Nie było to do pogardzenia, toteż Sobiesław nie narzekał. Kości go bolały, nie mógł się schylać, ale koniec końców zarobił tego dnia aż trzy marki, z czego był niezmiernie zadowolony. Nie naruszył przynajmniej ostatnich trzydziestu marek, które za chował, jak to się powiada, na czarną godzinę.

Wieczorem zaczął jednak padać zimny deszcz przy północnym wietrze; ponieważ zaś Mrocki nie posiadał płaszcza ani ciepłego palta, więc nie miał odwagi nocować pod gołym niebem, ażeby nie zachorować. Musiał tedy przespać się w jakiejś norze, pomiędzy najuboższymi robotnikami, co go kosztowało pół marki.

Na trzeci dzień, pomimo poszukiwań, nie potrafił sobie znaleźć pracy: wałęsał się więc bez celu po porcie przyglądając się okrętom. Zaszedł, sam nie wiedząc kiedy, do miejsca, gdzie stał na kotwicy „Delfin”, i wstąpił na pokład dowiedzieć się, czy nie zmieniono godziny odjazdu.

Okazało się, że statek wychodzi z portu o wyznaczonej godzinie.

Sobiesław poprosił, żeby go już przyjęto na pokład. Kapitan zgodził się na to z zastrzeżeniem, że przez ten jeden dzień Mrocki nie dostanie jedzenia z kuchni okrętowej, ale sam sobie kupi, co mu potrzeba. Za to miał prawo przenocować.

Ładowanie Delfina było już skończone. Zabierał on dużo wina reńskiego i innego wartościowego towaru. Załoga gotowała się do drogi, pijąc zapamiętałe grog.

Namawiano Sobiesława do kompanii, ale on nie dał się wciągnąć do żadnego szynku. Poszedł do sklepu, kupił sobie papieru listowego, pióro, markę pocztową, zasiadł na pokładzie pomiędzy jeszcze nie uprzątniętymi pakami i zaczął pisać długi list do rodziców.

Teraz, kiedy już mu nic nie groziło, postanowił opowiedzieć im całą prawdę. Gdy ta koperta dojdzie do miejsca przeznaczenia, on będzie już znajdował się na pełnym morzu.

Była to spowiedź pełna żalu i skruchy; przeproszał w niej rodziców za zawód, jaki im zrobił, za swoje uniesienie, które zmusiło go do opuszczenia swoich ukochanych staruszków i pozbawiło ich nadziei wypoczynku przy boku synowskim; błagał o przebaczenie tak szczerze, że jego łzy pozostawiły niezatarte ślady na papierze i jak ogniste pieczęcie świadczyły o tym, co się działo w jego sercu w tej ostatecznej chwili rozstania.

Obiecywał, że nigdy, w najgorszych nawet dla siebie czasach, nie zapomni o Polsce i o swoich, że będzie się starał osłodzić, choć z dala, los rodzicom. Wyraził nadzieję, że będzie mógł zabrać ich do siebie za ocean, na lepszą dolę, i prosił, żeby pisano do niego na Baltimore.

Najwięcej czułych słówek zwrócił do Leonki. Przyrzekał, że na pamiątkę przyśle jej z Ameryki coś ciekawego i ładnego. List zajął dwa bite arkusze pisma.

Sobiesław oddał go sam na pocztę i wrócił z ulgą w sercu na okręt, który szykował się do wypłynięcia z portu.

O dziewiątej Mrocki już spał na swoim hamaku, zawieszonym u sufitu kambuza, to jest obszernej kajuty dla załogi.

O świcie samym marynarze powstawali, zwołani donośną piszczałką kapitana, i wybiegli na pokład, gdzie panował wielki ruch.

Uprzątno ostatnie paki i kładziono je na dno okrętu Zamykano drzwi prowadzące pod pomost, szorowano wszystko, zamiatano. Wreszcie około piątej, kiedy zrobiło się już widno, zazgrzytał wał od kotwicy.

W tej chwili wpadł ktoś do kajuty i pochwycił za kołnierz Mrockiego.

— Do kotwicy! — zawołał nad nim głos jednego z towarzyszków. — Kapitan kazał!

Mrocki zerwał się na równe nogi i wybiegł na pokład.

Kazano mu stanąć u kołowrotka z kilkunastu innymi i wyciągać kotwicę, która na szczęście nie była ciężka i nie siedziała bardzo głęboko w mule rzecznym.

W pół godziny potem rozwinięto żagle i „Delfin” zaczął powoli płynąć środkiem rzeki, między labiryntem statków, ku morzu.

Podróż rozpoczęła się.

ROZDZIAŁ VII

NA OCEANIE

Mrocki przekonał się bardzo prędko, że nie jest stworzony na marynarza. Kiedy „Delfin” opuścił koryto rzeki i wydostał się na Morze Północne kierując się w stronę sławnego kanału La Manche, Sobiesław doznał od razu skutków tego, co żeglarze nazywają „krótką falą”.

Należy wiedzieć, że na otwartym Atlantyku bałwany są wysokie, ale następują po sobie w znacznych odstępach. Jedna grzywa fali odległa jest od drugiej o paręset metrów. Statek, unoszący się na takich bałwanach, podnosi się i opada miarowo, mniej więcej co minutę. Inaczej jednak mają się rzeczy na ciasnych morzach, a zwłaszcza na nawiedzonym przez wiatry północne kanale La Manche.

Tam idzie krótka fala. Od jednego pienistego grzbietu do drugiego jest zaledwie kilkadziesiąt metrów, a często znacznie mniej. Jeszcze więc statek nie doszedł do równowagi, spadłszy z grzbietu jednego, a już następny porywa go na swoje spienione barki i podrzuca w górę. Toteż okręt na krótkiej fali tańczy jakieś wściekłe, nie ustające ani na chwilę fandango czy szalonego mazura, idąc w ciągłych podskokach, tacza się jak pijany, pochyla na boki, staje dęba, jednym słowem, podlega zarówno poprzecznemu, jak podłużnemu kołysaniu bez żadnej przerwy.

Ktoś kto przepłynął bez złych następstw Atlantyk, może rozchorować się na zakończenie podróży w marnym kanale i tak też się zwykle dzieje.

Mrocki w parę godzin zaledwie po opuszczeniu portu zrozumiał, co to jest owa podła krótka fala.

Naprzód doszedł do przekonania, że podnoszenie się dzioba okrętowego, na którym się znajdował, jest bardzo nieprzyjemne, a opadanie na dół jeszcze przykrzejsze i że najlepiej mu będzie gdzieś w samym środku pokładu.

Rzeczywiście, kołysanie podłużne nie dawało mu się tam we znaki, tak jak na przodzie, ale za to kołysanie poprzeczne było najsilniejsze.

Nie pomogło zajęcie stanowiska w samym środku pudła. W pół godziny po wyjeździe na morze Mrocki zbłądł jak płótno, potem zzieleniał i pożółkł. Wszelka woń napawała go niewypowiedzianym wstrętem, zwłaszcza zapach potraw dochodzących z kuchni. Przeniósł się do kajuty, ale i tam było mu niedobrze; wrócił na świeże powietrze wypiwszy według wskazówek kolegów kielich rumu dla odprężenia zbliżającej się choroby.

Ale ten właśnie środek, pomocny marynarzom, dla niego okazał się zgubny. Biedak nie mógł sobie nigdzie znaleźć miejsca; ukrył się pomiędzy jakimiś pakami, żeby uniknąć szyderczych śmiechów swoich kolegów. Ale odór oleju i smoły dokuczał mu i tutaj. Sobiesław doznawał wrażenia całkiem sobie obcego. Zdawało mu się, że wnętrzości przelewają się w nim jak woda; czuł się jak na huśtawce zbyt wysoko rozbujanej; kroplisty pot spływał mu z czoła. Wreszcie nastąpiło to, co staje się zwykłym udziałem osób rozpoczynających znajomość z morzem i okrętem: nieborak położył się bezwładnie na pokładzie i rozchorował się w całym znaczeniu tego wyrazu.

Ogarnęła go apatia do tego stopnia, że nie zwracał najmniejszej uwagi na majtków, którzy stali nad nim i dowcipkowali niemiłosiernie.

— Szczur lądowy skosztował piany morskiej i niezbyt mu ona smakuje! — rzekł jeden.

— Pozwól sobie, kochaneczku! — zachęcał go drugi. — Ocean nie wystąpi od tego z brzegów. Może ci podać miedniczkę?

— Albo rumu szklanke?

— I on chciał nam pomagać! — odezwał się miażdżący pogardą głos podsternika. — Taki niedołęga!

— Zobaczycie, że przez całą podróż nie wstanie z tej paki!

— Może mi odstąpisz swoją porcję dzisiejszą? — przymilał się jakiś żarłok.

— Och, on może wam oddać wszystkie porcje z całego miesiąca. Założyłbym się, że nie weźmie nic do ust aż do samego Baltimore!

Takie i gorsze jeszcze żarciki i kpinki sypały się na Sobiesława jak grad podczas burzy. On słyszał to wszystko, ale był zupełnie obojętny. Gdyby mu teraz powiedziano, że okręt tonie, nie ruszyłby się na pewno z miejsca.

Zmiałował się nad nim wreszcie porucznik. Kazał go zaprowadzić do kajuty i dał mu jakieś krople w kieliszku.

Ale Sobiesław był tak osłabiony, że nie miał nawet siły sięgnąć po lekarstwo. Dopiero oficer sam wlał mu je w usta.

Mrocki doznał na razie ulgi i w parę godzin zasnął twardo, na wpeł nieżywy.

Obudził się jednak nieborak nad wieczorem. Kołysanie stało się jeszcze gwałtowniejsze aniżeli przedtem. Dowiedział się, że „Delfin” wpływa w Cieśninę Kaletańską i że znajduje się o kilkadziesiąt mil morskich zaledwie od brzegów Anglii. Zerwał się przy tym gwałtowny wiatr północno-wschodni, który podnosił fale jeszcze wyższe aniżeli przedtem. Objawy choroby morskiej, stłumione lekarstwem i snem, wybuchnęły ponownie ze zdwojoną gwałtownością. Mrockiemu zdawało się, że już ducha wyzionie. Cierpiał niewymownie, przeklinając swój zamiar udania się do Ameryki i swoją popędliwość.

„Czyż nie lepiej było znosić prześladowania tego niegodziwego Bialsky'ego, aniżeli tak strasznie męczyć się tutaj na marnym, źle zbudowanym okręcie, który na pewno nie dopłynie do Ameryki, tylko zginie w pierwszej lepszej burzy?!” — rozmyślał gorzko Sobiesław leżąc na wpeł nieprzytomny swym hamaku zawieszonym u niskiego sufitu, w dusznej kajucie marynarskiej.

Dano sygnał na wieczerzę; ale Mrocki czuł niewypowiedziany wstręt do wszelkiego jadła.

„Jak tamci mogą jeść! — myślał z podziwem. — Ba, przyzwyczajeni. I ja może się przyzwyczaję”.

Ta myśl, że może się przyzwyczaic i znosić kiedyś kołysanie się statku, napęliła go dumą.

„Oby nastąpiło to jak najprędzej, jeżeli w ogóle ma kiedyś nastąpić! Chociaż nieprawdopodobne, żeby ktoś był obojętny na harce, jakie wyprawia »Delfin« na falach!”

Istotnie, kołysanie się barki było wprost dzikie. Podłoga stawała niemal dęba, że ściany robiła się powierzchnia prawie pozioma. Po chwili było już całkiem odwrotnie. Statek tańczył, kładł się bokiem na fali, podnosił łeb w górę, to znów wierzgał zadem jak znarowiony koń. A każdy taki wybryk odzywał się bolesnym echem w rozciągniętym na hamaku Sobiesławie.

Głowa omal mu nie pękła; miał przekonanie, że nie przeżyje nocy; gdyby nie obawa narażenia się na śmieszność wobec kładących się spać kolegów, jęczałby bez przestanku.

Nie potrafił jednak zapanować zupełnie nad sobą; wyrzywały się co chwila z jego piersi głębokie, bolesne westchnienia.

— La Manche daje niedołędze dobrą lekcję! — mówiono dookoła niego. — Co prawda na pokładzie ledwo na nogach można się utrzymać. Wicher taki, że tylko górne żagle na masztach pozostały; jeżeli się to nie uciszy, to jutro będzie sztorm. Kapitan kazał wszystko poznosić z pomostu i dobrze ułożyć.

Co chwila któryś z marynarzy zjawiał się w kajucie cały mokry. Dowód to, że krótka, ale wysoka fala, podnoszona przez wzmagający się wicher, wskakiwała na pokład „Delfina”. Ta okoliczność pocieszała trochę Mrockiego.

„Nie jest to znowu wielki wstyd chorować podczas takiego strasznego kołysania się statku i takiego wichru, prawie burzy” — myślał.

Jeden tylko z majtków, Bill, okazał trochę współczucia Sobiesławowi. Zwilżył słodką wodą chustkę i przyłożył ją na głowę nowicjuszowi, potem poszedł do kapitana po nową dozę lekarstwa, które cokolwiek ulżyło choremu, tak iż około północy, kiedy wichura najwidoczniej zaczęła się uspokajać, biedak zmieniony do niepoznania, jakby po ciężkiej chorobie, zasnął iście kamiennym snem.

Tymczasem „Delfin” korzystając z silnego, pomyślnego wiatru, pruł szybko wody kanału La Manche. Fala stawała się coraz dłuższa. Ruchy statku były mniej gwałtowne, miarowe, kołysanie poprzeczne także bardzo się zmniejszyło. Sobiesław spał więc głębokim snem aż do południa następnego dnia.

Kiedy się obudził, „Delfin” płynął już po Atlantyku, szybko się oddalając od najbardziej na zachód wysuniętych krańców Anglii. Pogoda poprawiła się, wiatr był silny, ale nie podnosił już ze szmaragdowej toni potężnych, wskakujących na pomost bałwanów.

Mrocki wstał, umył się, uczesał, doprowadził do porządku swoją odzież i dla odetchnięcia świeżym powietrzem zdecydował się wyjść na górę z dusznej kajuty, pełnej przykrych wyciewów.

Pojawienie się na górnym pomoście Sobiesława powitano z ironiczną radością. Marynarze salutowali go żartobliwie; porucznik dyżurujący tego dnia, zapytał go, jak się czuje. Mrocki czuł się bardzo marnie; w głowie kręciło mu się jeszcze, ale już nie chorował w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Usiadł sobie na zwoju lin i patrzył na ocean. Oglądał go po raz pierwszy w życiu w całym jego majestacie.

Fale nie były już ani tali wysokie, ani tali krótkie, jak w kanale La Manche. Szły one wolno, z najeżonym grzbietem, przyskając od czasu do czasu śniegiem pian; zbliżały się z całą powagą do okrętu, brały go na potężne swe barki, dźwigały w górę, ażeby za chwilę uciec w dal nieskończoną i oddać go na grzbiety innych fal.

Był to ruch umiarkowany i Mrocki wcale nie mógł narzekać.

Bawił wzrok tym nigdy nie kończącym się korowodem szmaragdowoniebieskich fal, załamujących się od czasu do czasu z łoskotem i miotających potoki rozbitej na pył, pomieszanej z gryzącą pianą wody. Zdarzało się dość często, że jakiś większy bałwan wskoczył na pochylony statek. Wtedy po całym pokładzie rozlewały się słone potoki zatapiając wszystko. Nie dochodziły one tylko do rufy okrętu, gdzie znajdował się Mrocki w bezpiecznym miejscu.

Wiała silna morka, ale niebo wypogadzało się zwiastując pogodę.

Na „Delfinie” odbywało się wszystko z niezmierną dokładnością. Majtkowie znajdowali się na swoich stanowiskach; na mostku kapitańskim, wzniesionym nieco ponad pokładem, stał dyżurny oficer, owinięty w nieprzemakalny płaszcz gumowy, i co pewien czas podnosił do ust kościaną piszczałkę; kiedy rozlegał się jej przenikliwy głos, górujący nad szumem największych nawet fal, majtkowie rzucali się do wykonania jakiegoś manewru z żaglami. Rozumieli oni doskonale te umówione sygnały marynarskie.

Właśnie rozległ się taki sygnał. Sześciu majtków ze zwinnością wiewiórek, albo powiedzmy lepiej małp, wdarło się na maszty, z drabinek sznurowych wleźli na reje, czyli poprzeczne drągi na masztach, dźwigające żagle, i jęli rozpinać te, które były dotąd zwinięte. Stawali przy tym na linach opierając się ciałami na rei, chodzili na zawrotnej wysokości, mając pod sobą spieniony ocean albo pokład. Mrockiego dreszcz przechodził, kiedy patrzył na tych ludzi. Lada obsunięcie się bosej nogi na wilgotnej od mgły i deszczu rei albo linie, lada nieuwaga czy nieostrożność — i śmierć niezawodna. Któż by bowiem zdołał uratować najlepszego choćby pływaka w taką pogodę. Zanim zatrzymano by statek, upłynęłoby kilka-

naście minut; trzeba bowiem albo zwinąć żagle, albo też zawrócić; ani jedno, ani drugie w taką pogodę nie należy do łatwych zadań.

Na szczęście majtkowie byli zwinni, pewni siebie. Nie upłynęło parę minut, a już żagle środkowe na dwóch masztach były rozwinięte i barka najwidoczniej przyśpieszyła biegu, bo pozostawiała za sobą większą bruzdę na oceanie.

Mrocki nie mógł się powstrzymać, ażeby nie pochwalić przechodzących marynarzy za ich zręczność.

Zatrzymali się przy nim, widocznie zadowoleni.

— Za parę tygodni podziękujesz losowi, który rzucił cię na porządny żaglowiec — rzekł mu Bill, najsympatyczniejszy z majtków „Delfina”. — Na parowcu wcale nie ma marynarzy, sami mechanicy i inne ciury. To nie jest wcale żegluga, powiadam ci. Bodajem napił się słonej wody, jeżeli uważam ich za kolegów, tych smarowników, palaczy i inną hołotę, od której aż się roi na każdym parowym statku. Tutaj, na „Delfinie”, zupełnie co innego; znajdujesz się w porządnym towarzystwie marynarskim; przestań tylko chorować, a dowiesz się wielu ciekawych rzeczy.

— Czy pan zechce dać mi wskazówki dotyczące statków żaglowych? Będę za to bardzo wdzięczny.

Bill skinął głową i pobiegł dalej, bo znów rozległa się świstawka porucznika, nakazująca jakiś manewr.

Ciężka to była robota, ale majtkowie widocznie nie przykrzyli jej sobie. Walka z żywiołami, wymagająca całego natężenia sił i zręczności, sprawiała tym dzielnym ludziom przyjemność. Szli na maszty nucąc piosnkę, drapali się na same szczyty żartując. Widok przepaści płynnej pod nogami nie robił snadź na nich żadnego wrażenia.

— Co to znaczy przyzwyczajenie... — szeptał do siebie Mrocki, oczami goniąc towarzyszy na najwyższych rejach.

Pogoda robiła się coraz piękniejsza. Słońce wyjrzało spoza chmur i rozpałiło powierzchnię oceanu tysiącami blasków; każda fala mieniła się drogimi kamieniami. Było tam złoto i srebro, szmaragdy, żółtawe topazy, diamenty najpiękniejszej wody, przezroczyste szafiry. Przeważała jednak głęboka zieloność szmaragdu szlachetnego, w dali zaś błękit łagodny turkus. Fale, zwijające się w grzebienie od naporu wiatru i opadające z szumem na pomarszczoną powierzchnię morza, były tak piękne, że Mrocki nie mógł się na nie dość napatrzeć.

W tym ciągłym, pełnym różnorodności ruchu, w którym odbijała się cała nieprzewyciężona potęga oceanu, cały majestat nieokiełznanego żywiołu, Sobiesław nasycił duszę nie zatartymi niczym wrażeniami. Pojmował on teraz, że w morzu można się rozlubować do namiętności, że można poświęcić swoje życie, że można się modlić w tej wielkiej świątyni przyrody i zanosić tu w ofierze, co się ma najdroższego.

Im lepiej czuł się Sobiesław, tym wrażenia bardziej się w nim potęgowały. Siedział nieruchomo i patrzył w daleki horyzont, skąd, gonione niewidoczną siłą, nadbiegały pianą okryte, huczące fale, żeby podnieść na chwilę na swoich barkach okręt i spieszyć znów w dal, nie wiadomo dokąd, do brzegów dalekich i tam się rozbić w pył o jakieś czarne skały.

Ale niedługo trwały marzenia naszego podróżnika.

Rozległ się znów przeraźliwy świst piszczałki oficera i wnet po tym na pokład wybiegło kilkunastu ludzi ze szczotkami w rękach, z kubłami na sznurach.

— Dalej do roboty! — wrzasnął nad głową Sobiesława podsternik. — Marsz, przynieś sobie szczotkę! Przecież nie będziesz darmo jadł chleba,

„Darmo! — pomyślał sobie Sobiesław z goryczą. — Alboż nie zapłaciłem za przeprawę?”

Ale nie śmiał opierać się rozkazowi. Tacząc się jeszcze jak pijany, poszedł pod pokład, gdzie mu dano szczotkę.

Zaczęło się szorowanie czystego jeszcze pokładu. Nabierano z morza wody, oblewano

nią obficie pomost i myto niemiłosiernie deski jeszcze wilgotne.

Sobiesław chciał naśladować towarzyszy, ale jakoś nie umiał poruszać się na chwiejącym się ciągle pokładzie.

Kiedy się okręt pochylił w lewo, nieborak biegł w tym kierunku, żeby za chwilę zostać rzuconym w stronę całkiem przeciwną. Przewrócił się nawet parę razy, dając powód do głośnego i szyderczego śmiechu wszystkim majtkom.

Zamiast uwzględnić to, podsternik jeszcze usilniej napędzał Mrockiego do roboty. Młodzieniec robił wszelkie wysiłki, żeby się utrzymać na nogach: rozstawiał je szeroko, stapał ostrożnie, trzymając się przedmiotów znajdujących się w pobliżu. Nie na wiele się to jednak zdało wobec nieustającego kołysania się okrętu.

Po godzinnej pracy zamiast odpoczynku kazano marynarzom czyścić wielką, zardzewiałą skutkiem kilkudniowego leżenia na dnie morskim, kotwicę. Mrocki wziął się do tego ochotnie, nie potrzebował bowiem chodzić. Widząc jego gorliwość, podsternik dał mu inną robotę; mycie garnków w ciasnej kuchni okrętowej.

Kucharz był to stary marynarz, o pomarszczonej jak suszona gruszka twarzy, i dobry człowiek.

— No, postaraj się u mnie, a nie pożałujesz tego! — rzekł zachęcająco do Mrockiego.

Sobiesław szorował zapalczywie kociołki i garnki. Wyglądały niebawem jak srebrne. Kucharz był zadowolony; sięgnął więc do spiżarni, odkrajał kawał słoniny wędzonej, wyjął z paki suchar i podał to wspaniałomyślnym gestem swemu pomocnikowi.

— Masz i wiedz, że Bob umie wynagradzać porządnych ludzi za ich pracę!

Ale Sobiesław nie miał jeszcze najmniejszego apetytu na jakiekolwiek jedzenie: podziękował więc, czym wielce zdziwił swego dobroczyńcę.

— Nie możesz jeść? Nic nie szkodzi, jutro nabierzesz apetytu. Masz po chorobie morskiej żołądek pusty jak stara beczka. Schowaj to sobie, bo u nas przy stole nigdy się do syta nie najesz.

Sobiesław posłuchał tej rady — jak się niebawem pokazało, bardzo dobrej — i zawiąwszy w papier poczęstunek, wsunął go w miejsce bezpieczne.

W ciągu paru dni następnych Mrocki przyzwyczał się na tyle do kołysania okrętu, że już nie cierpiał. Nie mógł tylko nauczyć się prosto chodzić po pokładzie; pocieszało go w strapieniu, że i marynarze nieosobliwie chodzili po łądzie, taczając się i chwiejąc. Kto zatem chce dobrze chodzić po pokładzie okrętowym, ten za to nie jest w stanie chodzić porządnie po ziemi. Ponieważ zaś Sobiesław nie miał zamiaru zostać marynarzem, przeto niezbyt go to jego niedoświadczenie martwiło.

Daleko bardziej dawało mu się we znaki skąpstwo kapitana i ciężka praca.

Kucharz powiedział nie tylko prawdę, ale, jak się pokazało, nie dosolił. Według jego przewidywania Mrocki niebawem odzyskał apetyt i to w trójnasób. A tutaj nie było co jeść. Na śniadanie marynarze otrzymywali najczęściej zupę mączną okraszoną słoniną starą i niesmaczną, z dodatkiem kawałka peklowanej wołowiny amerykańskiej, niemiłosiernie słonej, albo zupę rybną, jeśli zdarzyło się cokolwiek złapać w sieci. Na obiad także zupa, z tą różnicą, że grochowa, z rozmoczonymi sucharami; na wieczrę suchary i coś na podobieństwo herbaty z kieliszkiem okropnego jakiegoś, sztucznego rumu, jeśli kapitan znajdował się w dobrym humorze i jeśli w ciągu dnia praca była szczególnie wyczerpująca.

Porcje przy tym były niedostateczne, marynarze więc wstawali od talerza na wpeł głodni; ale kapitan nie zważał na ich sarkania.

— Dobrze wyglądacie mimo waszych wyrzekań; przecież nie potrzebujecie opychać się — mawiał.

Sam jadł równie mało i kazał podwładnym brać z siebie przykład.

Sobiesław koniec końców pogodziłby się ze swoim losem, ale nie mógł w żaden sposób przyzwycząć się do nieznośnych, twardych i nieraz zapleśniałych od starości i wilgoci sucha-

rów, do solonej nie do zniesienia wołowiny, do suszonego sztokfisz, którym kapitan raczył załogę „Delfina” na przemiany z mięsem. Ryba ta była twarda jak podeszwa, niesmaczna, słona, cuchnąca tranem.

Groch, kapusta kwaszona, kluski były to specjały, które ukazywały się raz na tydzień na stole marynarskim!

Za to podawano wszystko na idealnie czystych miseczkach i talerzach. Za napój służyła niemal wyłącznie woda słodka; szklankę piwa, i to prawie kwaśnego, otrzymywała załoga raz na tydzień, w niedzielę.

Sobiesław jednak, tak jak dawniej, w zamian za pewne przysługi dostawał od czasu do czasu od kucharza kawał chleba i słoniny ze stołu oficerskiego. To mu pozwalało nie odczuwać tak bardzo diety panującej na „Delfinie”.

Było wielkie święto, kiedy powiódł się połów. Jeśli pogoda na to pozwalała, zatrzymywano na parę godzin statek, a najczęściej zwalniano tylko biegu przez zwinięcie niektórych żagli i zarzucano sieci. „Delfin” ciągnął je za sobą i zagarniał wszystko, co się po drodze nadarzyło.

Wyciąganie takiej sieci stanowiło dla Mrockiego, który nie znał fauny oceanicznej, niezmiernie ciekawe widowisko.

Najpierw ukazywały się rośliny morskie i dziwaczne kształtu głowonogi. Pod nimi dopiero trzepotały się ryby, jakich Sobiesław nigdy nie widział: śledzie, tuńczyki dochodzące kilkuset kilogramów wagi, makrele o barwie stalowej przechodzącej w błękitną, niezmiernie smaczne; były to prawdziwe przysmaki, za które Sobiesław chętnie oddałby nawet świeże mięso.

Jeżeli, co się rzadko zdarzało, „Delfin” natrafił na ławicę sardynek, była to prawdziwa gratka, bo do sieci wpadały tysiące tych wykwinnych rybek. Na statku nie brakło wtedy jadła; kapitan nie żałował oliwy i marynarze raczyli się tak długo, póki im się smaczne ryby nie przejadły zupełnie. Wówczas resztę wrzucano do morza, ku wielkiemu zmartwieniu kucharza lubiącego robić oszczędności.

Nie brakowało także różnych głowonogów i skorupiaków, słowem, ocean urozmaicał marynarzom monotonne pożywienie.

Pewnego razu, było to w dziesięć dni może po opuszczeniu portu, na morzu zaległa zupełna cisza i żagle na masztach „Delfina” zwiły niemal bezwładnie na rejach; ocean wygładził się tak, że małe fale lizały łagodnie boki okrętu, który prawie wcale nie posuwał się naprzód, ku wielkiej irytacji kapitana.

Trwało to dość długo. Pogoda przy tym zrobiła się przepiękna; na morzu, które rywalizowało ciemnym błękitem ze sklepieniem niebios, można byłoby pływać bezpiecznie w najmniejszej łódce jak po stawie. Widząc to kapitan pozwolił marynarzom zażyć kąpieli morskiej. Zwinięto wszystkie żagle i „Delfin” stanął na miejscu. Majtkowie rozebrali się i bądź z pierwszej rei znajdującej się na wysokości piętrowej, bądź z pokładu — skakali kolejno do morza. Była to zabawa wesoła w całym słowa tego znaczeniu. Marynarze żartowali, śmiali się, pluskali jak bobry, nurkowali, dokazywali jak małe dzieci. Sobiesław przez jakiś czas patrzył na nich z zazdrością, nareszcie nie mogąc dłużej wytrzymać rozebrał się także i wskoczył do wody. Umiał pływać jako tako, więc nie narażał się w liczonym towarzystwie doskonałych pływaków na żadne niebezpieczeństwo.

Zaledwie jednak popluskał się kilka chwil, gdy nagle marynarze wydali okrzyk trwogi i na wyścigi, jeden przed drugim, zaczęli się cisnąć do sznurowej drabinki zwieszającej się z pokładu. Sobiesław nie rozumiał powodów tego nagłego popłochu oglądał się więc zdziwiony dookoła.

— Co to? — zagadnął przepływającego obok niego Billa.

— Uciekaj czym prędzej na pokład, rekin ukazał się w pobliżu! — odparł majtek rozpierając potężnymi ramionami wodę.

— Rekin?

Sobiesław nie był tchórzem, ale tyle słyszał o strasznych zębach żarłacza, że nie miał najmniejszej ochoty bliżej się z nimi zapoznać. Zaczął więc płynąć z całych sił do drabinki i niebawem znajdował się w pobliżu niej. Nie mógł jednak wejść, bo koledzy mu w tym przeszkadzali. Wszyscy, gnani strachem, odpychali słabszych, żeby czym prędzej wydostać się z wody. Wtem tuż koło statku plusnęło i spod powierzchni oceanu ukazał się wielki ogon. Majtkowie wydali okrzyk nieludzki; zaczęła się przy drabince istna walka o pierwszeństwo. Sobiesław już trzymał w ręku powróż, ale jakaś pięść twarda uderzyła go w samo czoło tak, iż musiał puścić linę i zanurzył się w morze. W tejże chwili ujrzał coś, co zmroziło krew w jego żyłach.

O kilka zaledwie metrów od niego wielki rekin, jak to zwykle czynią te ryby, przewracał się ociężale białym brzuchem do góry, otwierał paszczę uzbrojoną w ostre zęby i starał się pochwycić Mrockiego za nogi miażdżącymi szczękami.

Ale Sobiesław, który należał do niezmiernie zwinnych i doskonale wygimnastykowanych młodzieńców, rozpaczliwym wysiłkiem pochwycił znów szczebel drabinki i dźwignął się z wody. Zanim straszne szczęki zdołały się zamknąć, był już bezpieczny. Rekin wyskoczył za nim z wody, ale nie dosięgnął wymykającej się zdobyczy. Rozległo się głuche kłapanie zębów, woda zabulgotała i potwór zniknął równie szybko, jak się ukazał.

Sobiesław wychodząc na pokład czuł, że serce bije mu jak młotem ze wzruszenia; teraz dopiero spostrzegł, że był ostatni, bo wszyscy majtkowie już znajdowali się na pokładzie i z najwyższym niepokojem śledzili przebieg napaści rekina na Mrockiego.

Kiedy stanął obok nich, powitali go gromkim „hura!”

— No, w sam czas uniknąłeś jego ząbków — rzekł kapitan klepiąc Sobiesława po gołych ramionach.

— Już myślałem, że cię chapnie — dodał podsternik robiąc charakterystyczny ruch szczękami.

Marynarze słusznie uważają rekina za swego najgorszego wroga.

ROZDZIAŁ VIII

ZDRADNE WODY

Piękna i cicha pogoda trwała parę dni, po czym Atlantyk znowu się rozkołysał. „Delfin” szedł jednak szybko na zachód pod wszystkimi żaglami rozpiętymi na rejach, znacząc poza sobą pianistą brudę. Robiono po dziewięć węzłów, co dla statku żaglowego było wcale ładną szybkością. Jednakże Sobiesław, któremu pobyt na morzu już po dwóch tygodniach zaczął się porządnie przykrzyć, z zazdrością spoglądał na parowce, wymijające barkę i „tratujące — jak on się wyrażał — pogardliwie największe bałwany swoją potężną śrubą”.

Takie olbrzymy spotykano dość często na uczęszczanym szlaku pomiędzy Europą a Ameryką Północną.

Wymieniano sygnały morskie służące do porozumiewania się pomiędzy statkami na morzu; udzielano sobie lakonicznych wieści i na tym zwykle kończyło się spotkanie.

Sobiesław nic a nic z tych sygnałów nie rozumiał, ale Bill, który już spędził na morzu lat piętnaście, zapewniał go, że te chorągiewki tworzą tyle kombinacji, że można przy ich pomocy rozmówić się doskonale, choćby nawet o tym, jaki gatunek rumu jest najsmaczniejszy.

Kapitan „Delfina” dokonywał wszelkich pomiarów bardzo dokładnie i chętnie wyjaśniał Mrockiemu tajemnice swojej sztuki. Dzięki doskonałym tablicom astronomicznym mo-

zna z każdej gwiazdy, nawet z księżyca, oznaczyć położenie okrętu na morzu.

Wobec tego, że wiatry sprzyjały w ciągu dwudziestu dni, „Delfin” przebył już trzy czwarte swojej drogi. Kapitan spodziewał się za tydzień albo za dziesięć dni zawinąć do zatoeki, w głębi której rozłożył się port Baltimore. Wszyscy byli w dobrym humorze. Wieczorami, kiedy morze było spokojne, marynarze, korzystając z wolnego czasu, grali sobie na pokładzie w stare i zatłuszczone karty albo urządzali koncert na zdezelowanej katarynce, którą Mrocki musiał kręcić z urzędu, jako najmłodszy.

Poświęcał się tej czynności kataryniarza okrętowego dość chętnie, a nawet parę razy brał udział w tańcach, służąc kolegom za damę.

„Bale” odbywały się w sobotę po południu; dnia tego bowiem, po skończeniu czyszczenia i szorowania, majtkowie zażywali największej swobody i dostawali zwykle po miarce rumu. Niedziele natomiast były dla Mrockiego nieznośnie nudne, bo Anglicy poświęcali cały ten dzień na czytanie biblii i skupianie ducha.

Jeżeli Bill miał czas, to Sobiesław wciągał go w pogawędkę.

Stary marynarz znał wcale nieźle język niemiecki i porozumienie się z nim nie przedstawiało znaczniejszej trudności naszemu dezenterowi; wypowiadał się on Billowi ze wszystkich swych przygód i utrapień i nie żałował tego.

Marynarz, płacąc szczerością za szczerść, opowiadał młodemu towarzyszowi o swoich przygodach żeglarskich, które mogły dostarczyć każdemu pisarzowi tematów do całego szeregu sensacyjnych powieści.

Gdzie Bill nie był, czego nie widział, czego nie doznał!

Godzinami całymi Sobiesław słuchał jego prostych, ale pełnych prawdy opowieści i niejedną z nich zanotował sobie w pamięci.

Było to może w połowie czwartego tygodnia podróży; w jedną z takich sobót Sobiesław siedział na pokładzie z Billem.

— Czy każdy statek żaglowy tak strasznie się kołysze podczas fali, jak nasz? — zagadnął majtką.

Bill uśmiechnął się znacząco i spojrzał dookoła, jakby chcąc się przekonać, czy go kto nie słucha:

— „Delfin”, widzisz, braciszku, wygląda całkiem pokaźnie, ale jego budowniczy bardzo kiepsko znał się na swoim rzemiośle. Dobry żaglowiec powinien mieć pionowe szpangonty * na wysokości linii zanurzenia się w wodzie, inaczej rzuca go gwałtownie w górę i na dół przy lada falowaniu i kołysze strasznie wzdłuż i w poprzek. Otóż „Delfin” nie ma właśnie boków pionowych, gdzie potrzeba, stąd każdy nowicjusz musi się na nim porządnie rozchorować. Z tego to głównie powodu nasz kapitan nigdy nie zabiera podróżnych; ciebie zaś przyjął wyjątkowo, wiedział bowiem, że nie masz za co płynąć na dobrym okręcie, no i gapa jesteś...

— Ja, gapa? — oburzył się Sobiesław.

— A no chyba. Przecież nigdy nie pływałeś na morzu, więc nie potrafisz odróżnić porządnego statku od byle jakiego, a na chorobę morską zachorowałeś po raz pierwszy...

— No, tak.

— A widzisz. Ale nie na tym koniec. „Delfin” jest za szeroki w stosunku do swojej długości i dlatego zanadto sztywno trzyma się na morzu. Pływa jak balia na oceanie i lada silniejszy bałwan może go na swoim grzbiecie wywrócić.

— Im szerszy, tym chyba lepszy?...

— To nowy dowód, że nie masz pojęcia o okrętach. Dobry statek powinien się chwiać od fali, pokładać się, żeby ta ześlizgiwała się po jego pochylonym boku, przeskakiwała w razie czego ponad nim, ale wywrócić go nigdy nie zdołała. To przecież znane rzeczy. Najgorsze zaś, że nasza barka przez skąpstwo kapitana jest kiepsko załadowana, mój chłopcze.

* Szpangonty — boczne żebra w kadłubie.

Kapitan żałuje pieniędzy na to, żeby zapłacić za ładowanie towarzystwu znającemu się na rzeczy, ale pakuje towary sam i nie zawsze szczęśliwie. Dziób i rufa są przeładowane, skutkiem tego statek z trudnością odzyskuje równowagę przy kołysaniu podłużnym. Ale co ty się na tym znasz!

Bill urwał; Sobiesław prosił go, żeby mówił dalej.

— No, głupstwo, ładunek kiepsko rozłożony wewnątrz kadłuba. Środek ciężkości jest stanowczo za wysoko, stąd kołysanie jeszcze się zwiększa. Ale co najfatalniejsze...

Marynarz uciął, bo koło niego przechodził właśnie oficer. Zmienił więc szybko temat rozmowy i w żaden sposób nie dał się już nakłonić do dalszych zwierzeń.

— Nie ma o czym gadać! — rzekł, kiedy Mrocki nalegał. — Nie daj Boże jednak, żebyśmy mieli spotkać się u wybrzeży amerykańskich z burzą, co się zowie...

— A barometr opada — rzekł Mrocki, który co dzień robił spostrzeżenia meteorologiczne i w ten sposób ułatwiał pracę kapitanowi.

— Bardzo?

— W przeciągu ostatniej doby zniżył się o dziesięć milimetrów.

— Ja się tam na tych wszystkich przyrządach nie znam, ale widzi mi się, że pogoda nie potrwa długo. Patrz na chmury. Na niebie od kilku godzin piętrzą się jakby bardzo wysokie góry, o zaokrąglonych szczytach, pokrytych śniegiem. U stóp zaś ich snują się delikatne obłoczki, jakby piórka z rajskiego ptaka. Otóż przekonałem się nieraz, że to zła przepowiednia. Przy tym wiatr zmienia kierunek. Uważaj na wiatr, powiadam; od Antylów ku północy nieraz idą burze i wędrują sobie daleko na północ. Oby nas tylko nie spotkał na drodze jaki cyklon!

Bill zamyślił się i zmarszczył czoło; teraz dopiero Mrocki zauważył, że i kapitan „Delfina” niespokojnie spogląda na niebo. I on więc spostrzegł złowrogie oznaki zbliżającej się burzy.

Sobiesław, słysząc złowróżbne słowa swego kolegi, zamyślił się.

— Czy ja znowu będę chorował? — zagadnął Billa.

— Hm, zdarza się, że i starzy marynarze podczas wielkiego kołysania się, na złym zwłaszcza statku, dostają choroby morskiej — rzekł. — Powinieneś więc w razie czego przygotować się na najgorsze.

Mrocki skrzywił się.

— Podła rzecz — takie kołysanie.

Rozmowę tę przerwało wołanie majtka siedzącego w koszu na maszcie, czyli w tak zwanym bocianim gnieździe.

Marynarz sygnalizował zbliżanie się wielkiego statku pod wiatrem. Sobiesław wytrzeszczył oczy we wskazanym kierunku, ale nie dostrzegł nic prócz mglistej opony na widnokręgu.

— Gdzie ten statek? — zagadnął niecierpliwie towarzysza.

— Czyż nie widzisz szczytu grot- i fokmasztu? — rzekł Bill wskazując palcem.

— Gdzie?

— Ależ tam najwyraźniej widać spod widnokręgu wynurzającą się bramsztangę *. O, widać już forbramreję ** i zwieszający się na niej grotforbramżagiel ***.

Mrocki podziwiał doskonałość wzroku marynarzy, którzy odróżnić mogli takie szczegóły, gdy tymczasem on nic jeszcze nie mógł zobaczyć.

— Zdaje mi się, że to będzie wielka fregata płynąca pod wszystkimi żaglami na południe, pewnie do Indii. Trzeba ci bowiem wiedzieć, mój szczurze ładowy, że dziś, pomimo niezmiernie podłej konkurencji, jaką musimy znosić ze strony parowców, nie dajemy się jeszcze połknąć. Na oceanach spotkasz wiele żaglowców, nie tylko trójmasztowników, ale i

* Bramsztangę — najwyższa część masztu.

** Forbramreja — najwyższa reja masztu przedniego.

*** Grotforbramżagiel — żagiel zawieszony na najwyższej rei masztu przedniego.

czteromasztowych okrętów, ba, i pięciomasztowe nie należą do żadnych osobliwości. Są to prawdziwe olbrzymy, które dopiero na pełnym oceanie potrafią wykazać swoje zalety, mój chłopcze. Nie pożerają one węgla wagonami dziennie jak parowce; płyną co prawda wolniej, ale znów nie za wolno. Za to potrafią tak tanio przewozić towary, jak żaden parowiec. Z Europy co dzień wypływa kilkaset fregat do Indii albo do Chin i dalej do Japonii. Fregaty, mój drogi, nie boją się morza i chętnie okrążają sławny z nawałnic Przylądek Dobrej Nadziei, byle tylko nie płynąć Kanałem Sueskim, gdzie drą siódme łyko z kapitanów; rogatekowe kosztuje już pokaźną sumkę; trzeba w dodatku zapłacić za holowanie przez kanał. Nie opłaci się więc płynąć przez Morze Czerwone. Lepiej okrążyć Afrykę, jak dawniej czyniono, póki ten Lesseps, czy jak go tam, nie przekopał międzymorza. Trochę dalej, ale za to niedrogo. O, patrz, właśnie nadarza ci się sposobność przyjrzenia się fregacie.

Niebawem wynurzył się olbrzymi żaglowiec spod widnokrzęgu. Mrocki z zainteresowaniem patrzył na cztery maszty pokryte od stóp do szczytów czworokątnymi żaglami. Fregata zbliżyła się do barki, powitała ją wywieszeniem flagi Wielkiej Brytanii, potem zręcznie lawirując zmieniła kierunek. Załoga miała snadź dużo do roboty, musiano zwijać niektóre żagle, bo wicher się powiększył. Taki sam rozkaz wydał kapitan „Delfina” swojej załodze. Rozmowa urwała się, Bill bowiem skoczył na drabinkę sznurową i za chwilę siedział już na dolnej rei grotmasztu i zwijał główny żagiel.

Połowę żagli zwinięto, pozostawiono tylko najmniejsze, na wyższych rejach, a pomimo to „Delfin” pruł fale z zadziwiającą szybkością, gnany wichrem, który zrywał się coraz potężniejszy. Najwyraźniej zmieniał on kierunek; marynarze, chcąc płynąć na zachód, musieli co jakiś czas przekładać żagle.

Sobiesław, zaciekawiony, a zarazem zatrwożony, zbliżył się do porucznika Smitha, z którym już parę razy rozmawiał, i rzucił mu pytanie:

— Czy naprawdę zagraża nam cyklon?

Oficer spojrział nań ze zdziwieniem.

— A co pan wiesz o cyklonach?

— Bardzo niewiele, proszę pana porucznika. Są to wielkie, wirowe burze; pośrodku takiego wiru znajduje się niż barometryczny, czyli minimum, jak powiadają meteorologowie; powietrze dąży gwałtownie z okolicznych punktów do środka po ślimakowatej linii, tworząc bardzo niebezpieczny wir.

— Hm, na ogół trafnie, ale... to jeszcze nie dosyć.

— Dlaczego marynarze tak bardzo lękają się cyklonu?

— Na pełnym morzu dobrze zbudowany okręt nie potrzebuje lękać się najgwałtowniejszej nawet burzy, chyba żeby się znalazł w samym oku cyklonu, gdzie na pozór jest najpiękniejsza pogoda, nawet słońce we dnie świeci, a w nocy widać gwiazdy.

— Jak to, więc takie miejsce znajduje się w wirze? — zagadnął zdziwiony Sobiesław.

— W całym wirze powietrze porusza się dążąc po linii, jak powiedziałeś, spiralnej do środka, gdzie panuje najzupełniejsza cisza. Nazywamy to miejsce „okiem cyklonu”, bo masa czarnych chmur lejących potokami deszczu, od której odrywają się małe chmurki i dążą na skraje wiru, otwiera się nagle ponad naszymi głowami i widzimy czyste niebo. Ale ten środkowy punkt olbrzymiego wiru, to oko cyklonu, jest właśnie najniebezpieczniejsze, pomimo ciszy w powietrzu. Olbrzymie bałwany biegną ze wschodu, zachodu, północy, ze wszystkich stron widnokrzęgu i, spotykając się w oku cyklonu, wyprawiają piekielny taniec. Rzucają się na siebie z wściekłością, łamią się straszliwie, wyskakują w powietrze do niewiarogodnej wysokości, to znów otwierają pod okrętem istne przepaści; słowem, w środku cyklonu panuje nieopisany chaos i zamęt. Ocean zmacony jest niemal do dna. Biada słabemu, źle zbudowanemu okrętowi, który rozbestwione bałwany wciągną w szalony taniec. Albo przewróci się on na grzbiecie jakiej góry wodnej, albo zostanie zmiażdżony, zgruchotany masami wody spadającymi z wysokości kilkunastu, ba, nawet trzydziestu metrów na jego pokład... I z nami

działoby się jak najgorzej, gdyby się nam nie udało zejść z drogi burzy.

Ostatnie słowa porucznik wymówił z pewnym wahaniem, co utwierdziło Mrockiego w przekonaniu, że Bill trafnie przedstawił położenie.

— A czy cyklon przesuwa się na morzu?

— Tak jest, mój chłopcze; wir olbrzymi, który ma nieraz kilkaset mil średnicy, posuwa się ruchem postępowym, niezależnie od tego, że powietrze w jego wnętrzu wiruje. Zwykle cyklony powstają w okolicach Zatoki Meksykańskiej, w Ameryce Środkowej i wędrują daleko na północny wschód, docierając aż do brzegów zachodniej Europy.

W Europie zaś rodzą się na zachód od Wielkiej Brytanii, ciągną przez Irlandię i Anglię, przez Morze Niemieckie, Skandynawię, Finlandię i giną na północy Rosji. Mnie się zdaje, że i „Delfin” znajduje się na drodze cyklonu, który zrodził się gdzieś na Morzu Karaibskim i zapewne przeprawi się na drugą stronę Atlantyku. Muszę ci jeszcze powiedzieć, że na naszej północnej półkuli powietrze wiruje w cyklonie w kierunku odwrotnym do tego, w jakim porusza się wskazówka na zegarze; na południowej zaś — jak wskazówka właśnie. Pamiętając o tym i badając kierunek zmieniającego się ciągle wiatru, można wywnioskować, czy okręt znajduje się na północ, czy na południe od środka burzy, i w ten sposób usunąć się jej z drogi, co my właśnie staramy się zrobić. Mieliśmy niedawno wiatr południowy, teraz południowo-zachodni, a niebawem tenże zmieni się zapewne na zachodnio-południowy. Jeżeli się to sprawdzi, będziemy mieli dowód, że „Delfin” jest na południe od środka huraganu.

Rozmowa urwała się, porucznik przyłożył do ust kościaną świstawkę, z której wydobył się przenikliwy pisk. Był to sygnał do zmiany kierunku statku.

Nie upłynęła godzina, a niebo silnie się zachmurzyło, przy czym wyglądało najgroźniej w północno-wschodniej stronie. Porucznik nie chciał już odpowiadać Mrockiemu na żadne z pytań, które były artylerzysta jeszcze mu zadawał. Cała jego uwaga była ześrodkowana na barometrze, który spadał w zastraszający sposób.

Pokazywał on zaledwie 680 milimetrów. Nie ulegało już wątpliwości: zbliżał się straszliwy orkan; morze przy tym kołysało się coraz niespokojniej. Bałwany, które do niedawna biegły wyraźnie w jednym kierunku, teraz szły ukośnie jedno do drugich. Przy każdym starciu się dwóch grzbietów pienistych powstawała wysoka góra. Jeżeli taka fala porwała „Delfina” na grzbiet, to chwiały się on i rzucał stękając jak żywy człowiek. To silne kołysanie się okrętu, zwiększające się z każdą chwilą, najwidoczniej wprawiało w najwyższy niepokój kapitana. Wyszedł on na pokład w swoim nieprzemakalnym płaszczu i prowadził narady z porucznikiem Smithem.

Po kilku minutach kapitan dał rozkaz, żeby sześciu ludzi stawiło się do jego rozporządzenia. Wybrał najsilniejszych i zaprowadził ich przez otwartą lukę towarową do wnętrza. Mrocki nie zwrócił na to wielkiej uwagi, zaczynało mu się bowiem robić niedobrze pod wpływem rosnącego kołysania się „Delfina”. Miał wielką ochotę iść na przód okrętu, gdzie znajdowały się kajuty dla załogi, i położyć się w hamaku. Ale wstyd mu jeszcze było.

Skorzystał z tego, że porucznik przechodził koło niego i zapytał:

— Czy wiatr zmienił się, tak jak pan porucznik przewidywał?

Oficer skinął głową:

— Środek wiru na północ od nas. Zdaje się, że w porę zdołaliśmy mu zejść z drogi.

Mrocki uspokoił się.

„To szczęśliwie — myślał sobie. — Żeby tylko ocean nie rzucał się tak niemiłosiernie na wszystkie strony”.

Istotnie, kołysanie stało się znowu nie do wytrzymania.

Bałwany wskakiwały na pokład tak, że jeden z nich oblał Sobiesława od stóp do głów słoną wodą i pianą gryzącą.

Klnąc w duszy młodzieniec poszedł do kajuty, żeby się przebrać i położyć, bo już nie mógł dłużej wytrzymać. Choroba morska znów go powaliła na łożo boleści. Niebawem,

pograżony w apatii, nie wiedział, nie chciał wiedzieć, co się z nim i dookoła niego dzieje.

Leżąc w swoim hamaku z zamkniętymi oczami, zgnębiony, z głową pękającą od szalowego bólu, słyszał tylko straszne skrzypienie wiązań statku, wycie wichru w takielunku barki, plusk fali bijącej w burty i czuł coraz silniejsze kołysanie się okrętu.

„Delfin” nie potrafił snadź zejść zupełnie z drogi huraganowi, bo inaczej nie chwiałby się tak okropnie, nie byłby podrzucany w górę, nie spadałby znów gwałtownie w przepaść. To spadanie, połączone z pochylaniem się, było dla Mrockiego najprzykrzejsze. Biedak męczył się prawie tak samo, jak za pierwszym razem, kiedy dopiero co wyjechał na morze. Ogarnęła go apatia niezmierna.

Ile czasu upłynęło w ten sposób, nasz podróżnik nie umiałby powiedzieć, może osiem godzin, może więcej... Musiało się jednak przez ten czas stać coś niedobrego, bo majtkowie stukali bez przerwy po pokładzie swoimi trzewikami, a świstawka kapitana nie milkła ani na chwilę. Wydało się dziwnym Mrockiemu, że ściana przeciwległa hamakowi, a odpowiadająca lewej burcie, pochyliła się bardzo znacznie i pomimo nieustającego kołysania się okrętu zachowała to nienormalne położenie.

„»Delfin« chyba musiał się pochylić na bok — pomyślał sobie Mrocki. — Niech tam”.

Niezbyt go to obeszło.

„Pochylił się, to pochylił, wyprostuje się, jak go bałwan dobrze z przeciwnej strony uderzy”.

Kiedy tak rozumował, poczęły rozlegać się nad jego głową głucho uderzenia, zupełnie jakby kto walił z całych sił siekierą w drzewo. Wygnaniec nadstawił uszu i na wpeł podniósł się z hamaku.

Tak, najwyraźniej rąbano coś na pokładzie. W kilka minut potem rozległ się łomot i trzask. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że to maszt zrąbano chcąc widocznie ulżyć pochylonemu na bok statkowi. Istotnie, musiało to pomóc, bo „Delfin” nieco się wyprostował; nie przybrał jednak normalnego położenia.

Mrocki nadstawił uszu; apatia bezgraniczna poczęła go opuszczać, budził się w nim uśpiony instynkt samozachowawczy.

Chwilę panowała cisza, przerywana tylko hukami piorunów i potężnymi uderzeniami bałwanów bijących w pokład okrętu. Luki w kajucie, przepuszczające światło do wnętrza i pokryte grubymi szybami, były zamknięte okiennicami, nie mógł więc Mrocki wyjrzeć przez nie. Przez szczeliny wpadało od czasu do czasu do kajuty światło fioletowe błyskawic, a łoskot gromów był nieraz tak potężny, że głużył wszystko. Statek drżał wtedy jak w febrze.

Mrocki, przyzwyczajony do huku działań, nic by sobie z tego wszystkiego nie robił, gdyby ciosy siekiery nie odezwały się znów po krótkiej przerwie. Rąbano teraz maszt tylny. Przy tym uderzenia toporów były pośpieszne, nerwowe, jak gdyby marynarzom było pilno. Jakoż po kilku minutach znów zatrzeszczało, pokład zatrzęsł się od upadku ciężkiego pnia, potem jeszcze rąbano, ale już lekko; zapewne starano się poprzecinać liny przytrzymujące maszt.

Teraz niepokój Mrockiego zamienił się w trwogę.

„Delfin” tonie!

Myśl ta wśrubowała się tułaczowi w mózg i utkwiła w nim twardo. Szybko zerwał się z hamaku, podbiegł do drzwi i rozwarł je. Musiał się jednak cofnąć, bo do kajuty lunęła natychmiast struga zimnej, spienionej wody i w mgnieniu oka zalała podłogę sięgając Mrockiemu po kostki.

Mimo to Sobiesław zdołał wyjść na pokład.

Zdrętwiał. Był to przecież dzień, a jednak dookoła panował półmrok, niemal ciemności. Na niebie kłębiły się czarne chmurzyska, z których co chwila wypadały węże ogniste i były w ocean, w szczyty spienionych, strasznych bałwanów, tłoczących się na ciasnym widnokregu jak stado rozhukanych baranów albo bawołów o śniegiem przyprószonych grzywach. Pokład

pokryty był siatką sznurów i lin. Marynarze starali się je szybko poprzecinać, aby zepchnąć co prędzej do morza dwa powalone maszty, które skutkiem kołysania się „Delfina” uderzały co chwila w jego boki, grożąc ich przedziurawieniem.

A biedny „Delfin” leżał pochylony na bok i pomimo zrąbania największych masztów nie mógł się podnieść. Leżał na lewym boku, odwrócony na szczęście pokładem od fal, które też przeskakiwały ponad nim pogrążając najwidoczniej lewą burtę coraz głębiej w wodę.

Jeden z marynarzy pracujących nad przecinaniem lin, wezwany nagłym sygnałem kapitana, porzucił swój topór. Mrocki podniósł narzędzie i zaczął pracować, ile mu sił starczało. Rąbano zaciekle tę zaplątaną sieć lin i drabinek sznurowych. Nareszcie, po dziesięciu minutach pracy, okręt zdołał uwolnić się z więzów. Maszty przestały walić w boki „Delfina” i fale je zniosły.

Niestety! Okręt się nie dźwigał. Pozostał fokmaszt z jednym, jedynym małym żaglem, który opierał się z wysiłkiem uderzeniom orkanu. Kapitan nie chciał go walić, wiedział bowiem, że w takim razie ster odmówi posłuszeństwa.

Mrocki nie umiał sobie wytłumaczyć, dlaczego okręt leży na boku. Pochwycił więc jednego ze stojących przy sobie marynarzy za rękaw i, nachyliwszy mu się do ucha, zapytał o przyczynę pochylenia „Delfina”.

Marynarz wzruszył ramionami niechętnie.

— Ładuga się przesypała na lewy bok! — odparł lakonicznie.

„Ładuga, to znaczy towary znajdujące się wewnątrz statku — przesypały się — rozmawiał Sobiesław. — Dlaczego? Widocznie skutkiem strasznego kołysania się okrętu środek ciężkości przesunął się na lewo i »Delfin« utracił równowagę”.

Mrocki nie potrafił wprawdzie zrozumieć całej doniosłości tego wypadku; przeczuwał jednak, że statkowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Czyżby bowiem inaczej kapitan zdecydował się rąbać maszty?

Co chwila któraś z ogromnych fal przeskakiwała przez kadłub pochylonego statku i okrywała wszystko potokami spienionej wody, która gryzła w oczy i tamowała oddech. Mrocki musiał się dobrze trzymać, żeby go takie uderzenie nie zmiotło w morze. Marynarze mieli się także na baczności. Burza szalała ciągle, fale łamały się najwyraźniej. Co kilka minut następowało pomiędzy nimi starcie. Na powierzchni oceanu pojawiała się wówczas góra wodna dwa razy wyższa od zwyczajnej fali i zapadała się wnet z hukiem i pluskiem. Często też „Delfin” pogrążał się na dno wodnej doliny, pomiędzy dwie długie góry, o wierzchołkach jakby śniegiem przyprószonych, i z trudnością niezmierną wydobywał się z niej na powierzchnię.

Mrocki upatrywał Billa, żeby się z nim rozmówić, ale nie było go nigdzie widać. Chodzić zaś po pochyłym i splekiwanym ciągle falami pokładzie nie miał odwagi; czuł, że dla niego, jako niedoświadczonego, mogłoby się to skończyć śmiertelną kąpielą w morzu. Nie opuszczał więc swego miejsca, czekając z trwogą, co nastąpi. Czy „Delfin” zdoła się wyprostować, czy też pozostanie tak na rozhukanym morzu?

Niebawem wątpliwości rozwiąły się zupełnie: „Delfin” nie mógł się podźwignąć. Zjawił się na mostku rozkazowym kapitan, który wyszedł właśnie z kilku ludźmi spod pokładu, i dał przenikliwy sygnał na swojej świstawce.

Na pokładzie zrobił się ruch; wszyscy marynarze rzucili się do szalup i zaczęli je najwidoczniej przygotowywać do spuszczenia na wodę.

Kładziono w nie pośpiesznie zapasy żywności i baryłki z wodą słodką, okręt bowiem coraz bardziej pochylał się na bok i niebawem spuszczenie szalup stałoby się niezmiernie trudne i ryzykowne.

Nie można było namyślać się. Pod wpływem kołysania się, a raczej piekielnego tańca na rozkołysanych bałwanach, towary w dalszym ciągu przesypywały się na lewy bok „Delfina” i katastrofa stawała się już nieunikniona. Widział ją wyraźnie nawet taki nieświadomo-

my rzeczy człowiek, jak Mrocki.

„Jak jednak szukać ocalenia na wzburzonym morzu?” — myślał Sobiesław patrząc z trwogą na ocean zmacony do zawrotnej głębokości.

Ten wzgląd musiał także powstrzymać kapitana, bo szalup, chociaż już gotowych do spuszczenia na morze, nie zajmowano. Kilku marynarzy, między nimi Bill, nie dowierzając snadź łodziom, zaczęło z rei i desek zbijać szybko rodzaj tratwy, której nie groziło zatonięcie. Był to jednak krok rozpaczliwy.

— Z nami czy na szalupę? — rzucił Mrockiemu stary marynarz.

— Z wami — odpowiedział bez wahania Sobiesław, sam nie wiedząc dlaczego.

— Idź do kajuty i przywdziej pas ratunkowy — dodał Bill.

Sobiesław nie dał sobie dwa razy tego powtarzać. Z wielkim trudem dostał się do pomieszczenia dla majtków i tam, przy pomocy kolegów, przywdział pas korkowy. To samo uczynili ci, co chcieli płynąć tratwą. Spieszono się, bo każdy większy bałwan, rzucający statkiem, pograżał lewą burtę głębiej w wodę. Niewiele brakowało, żeby się zanurzyły okna kajut oficerskich i luki.

Przygotowano wszystkie szalupy do odpłynięcia.

Kiedy Sobiesław znalazł się na pokładzie, trudno już było po nim chodzić trzymając się lin. Wicher cokolwiek zmniejszył swoją gwałtowność, ale ocean szalał jak przedtem. Nieprędko rozhukane fale mogą powrócić do spoczynku. Mrocki trzymał się w pobliżu Billa, do którego żywił nieograniczone zaufanie.

— Czy długo jeszcze pozostać można na statku? — zagadnął.

— Czekamy rozkazu kapitana — odparł marynarz. — Czas już wielki. Wyleliśmy beczkę oleju celem uspokojenia fal.

Za chwilę rozległ się sygnał. Kilku marynarzy, korzystając z krótkiej przerwy pomiędzy jedną a drugą falą, spuściło szalupę wskakując do niej ze zręcznością wiewiórek.

Usiłowali odbić od „Delfina”, ale wnet nadbiegła potężna fala, przeskoczyła przez okręt i runęła całym ciężarem na szalupę. Wszystko znikło w potokach piany. Kiedy bałwan przeszedł, oczy pozostałych na pokładzie daremnie szukały na powierzchni rozkołysanego morza łodzi i jej załogi; wszystko znikło bez śladu w płynnej otchłani. Majtkowie spoglądali w ponurym milczeniu na ocean; ale nie można było się wahać. Zazgrzytały łańcuchy na blokach i druga szalupa znalazła się na wodzie. Teraz jednak kierowano nią ostrożnie. Marynarze, którzy do niej wsiedli, odbili szczęśliwie od „Delfina” dotykającego już lewą burtą powierzchni oceanu. Udało się im. Przy świetle błyskawicy, zalewającej wszystko jaskrawym, fioletowym światłem, Mrocki ujrzał szalupę na szczycie wielkiego bałwana, który ją porwał na grzbiet jak drzazgę i poniósł w dal ciemną.

— No, teraz popłyną! — mruknął Bill, który spokojnie przypatrywał się rozpaczliwym wysiłkom kolegów szukających ocalenia od niechybnej zresztą zguby na okręcie.

Sobiesław chciał coś powiedzieć, ale fala z taką siłą spadła na pokład, że omal nie porwała go ze sobą w odmęty. Pochwycił silnie za poręcz i tylko dzięki temu uratował życie. Te ataki powtarzały się coraz częściej. Pochylony okręt nie nabrał jeszcze wody, ale bałwany rozpoczęły już dzieło zniszczenia: każdy z nich zabierał jakąś oderwaną deskę, druzgotał swoim ciężarem przedmioty mniej odporne. Rozpoczęła się agonía pokonanego burzą „Delfina”. Lada chwila woda mogła wedrzeć się do środka. Kapitan snadź pojmował to, bo znowu rozległy się sygnały wzywające do opuszczenia okrętu.

— No, czas i na nas! — rzekł Bill. — Czyś gotów?

Sobiesław kiwnął apatycznie głową. Straszne niebezpieczeństwo sparaliżowało jego wolę. Biernie poddawał się rozkazom starego wilka morskiego. Pozwolił się przywiązać linami do tratwy. Bill przywiązał jeszcze czterech innych kolegów, a w końcu samego siebie. Jeden z pozostałych marynarzy zsunął tratawkę na sam brzeg burty i tutaj czekano na pierwszy lepszy bałwan, żeby się mu dać porwać na barki.

Fale były w nich z góry, zalewając co chwila potokami słonej wody. W przerwach między jedną a drugą kąpielą Bill robił usiłowania, ażeby odzepić się od kadłuba statku.

Gdy sześciu marynarzy próbowało odbijać na wątej tratwie od „Delfina”, kapitan i porucznik stali na pochylonym mostku rozkazowym jak dwa posągi spiżowe. Żaden z nich nie ruszył się nawet. Szalupy po kolei opuszczały zalewany przez bałwany okręt; jedna z nich znów zatonięła w oczach Mrockiego, który patrzył na tę tragedię osłupiałymi oczami. Dziwna rzecz, jak ten ocean pochłaniał wszystko. Ani głowy, ani ręki wyciągniętej spod wody i wzywającej ratunku, ani okrzyku! Ludzie i łodzie tonęły w mgnieniu oka, jakby wciągani w otchłań jakąś tajemniczą siłą. Raz, jedyny raz, zdawało się Sobiesławowi, że na czarnym tle odmętów, nad którymi już zawisło skrzydło nocy, dostrzega walczącego z tonią topielca i widzi szeroko rozwarłe trwożą śmiertelną oczy.

Ale czy to była rzeczywistość, czy złudzenie, nie potrafiłby powiedzieć na pewno.

— Kapitanie! Kapitanie! — zawołał.

— Kapitanie! Poruczniku! — powtórzył Bill dając znaki oficerom stojącym wciąż nieruchomo na mostku rozkazowym.

Ale kapitan nie słyszał ich wezwania. Stał na stanowisku jak żołnierz na posterunku, niebaczny na śmierć, która otwierała przed nimi swoje kościste ramiona.

Bill zaklął potężnie, oswobodził się z linek i rzucił się do dowódcy.

— Pora opuszczać okręt! — rzekł twardo. — Przecież nie pozwolimy panu utonąć z rudera, która nie warta życia człowieka.

I niemal przemocą sprowadził kapitana do tratwy. Porucznik podążył za kapitanem.

— Odbijać! — zakomenderował Bill. — A trzymać się mocno!

Marynarze, korzystając z nadbiegającej fali, odepchnęli się co sił wiosłami od kadłuba okrętu; fala porwała tratwę jak piórko. Wiosła uderzyły o powierzchnię morza i wąty stateczek odłączył się od „Delfina”, który leżał już na boku.

Nagle rozległ się krzyk bóleści.

Odłamek rei, miotany bałwanami, uderzył w głowę starego Billa, który zalał się krwią.

Mrocki nachylił się nad towarzyszem. W skroni jego tkwiła wielka drzazga. Nie zastanawiając się gwałtownym ruchem młodzieniec pochwycił ją i wyciągnął z rany głębokiej.

Stary majtek poblądł, ale nie stracił przytomności.

— Nic, to nic! Wiosłujcie, wiosłujcie! Musimy jak najprędzej odbić od „Delfina”, inaczej zginiemy bez ratunku! — wołał.

Marynarze podwoili usiłowania. Tratewka oddalała się coraz bardziej od tonącego okrętu. Za chwilę sylwetka pochylonego i deptanego przez bałwany „Delfina” znikła w ciemnościach.

ROZDZIAŁ IX

W MORSKIEJ PUSTYNI

Noc, która nastąpiła po zatonięciu „Delfina”, była dla rozbitków, szukających ocalenia na tratwie, jednym pasmem udręczeń.

Ocean, wzburzony cyklonem, bardzo wolno powracał do równowagi. Chmury rankiem znikły, błękit niebieski znów zajaśniał nad głowami żeglarzy, a bałwany wciąż się ciskały, pienne, groźne, ciężkie, niszczące.

Tratwa, nie mająca burt, była co chwila zalewana od końca do końca. Powrozy, którymi nasi rozbitkowie przywiązali się do desek, wpijały się im w ciało do krwi, a morska słona

woda i piana gryząca wżerały się w te skaleczenia, sprawiając męki nieznośne.

Najbardziej jednak cierpiał nieszczęśliwy Bill ciężko ranny w głowę. Towarzysze opatrzyli go, jak mogli, szmatami oddartymi z własnej bielizny, ale opatrunek ten niewiele pomógł. Z otwartej rany ciekła powoli krew i już nad ranem zjawiły się pierwsze objawy gorączki, która bardzo szybko podnosiła się.

Sobiesław opiekował się sumiennie starym marynarzem: urządził mu z własnej mokrej odzieży poduszkę pod zranioną głowę, zrobił z paru desek rodzaj łoża; siedział przy chorym i spełniał każde jego życzenie; niestety — najważniejszego nie mógł urzeczywistnić. Chory coraz natarczywiej prosił pić, a tutaj nie było nic, ani kropli wody słodkiej, która by mogła ugasić wzmagające się pragnienie biedaka. Na szalupy zabrano trochę żywności, na tratwę zaś nie wzięto nic prócz skrzyni narzędzi, bo woda zaraz by spłukała wszelkie zapasy. Ośmiu ludzi siedziało na nagich deskach, trzymając wiosła w rękach. Wzrokiem pełnym rozpaczyny wodzili po pustyniach morskich, wypatrując zbawczego żagla.

Nie oddalano się zbyt od miejsca katastrofy, kapitan bowiem miał nadzieję, że „Delfin” nie poszedł na dno, ale trzyma się i skoro morze się uspokoi, będzie można dotrzeć do niego i zabrać najniezbędniejsze przedmioty albo nawet wejść na pokład i czekać, aż jaki statek nie ukaże się w pobliżu.

— Czekajmy, kto wie, czy nawet nie dałoby się przyholować „Delfina” do portu — mówił kapitan zatapiając swoje sokole oczy w linię widnokręgu.

Rozbitkowie nie mieli nic, prócz tego, co na sobie; czekała ich zatem szybka i niezawodna śmierć z pragnienia i głodu, jeżeli nie napotkają wybawców.

Dzień był skwarny, jakby na domiar złego paliło słońce i tratwa, mokra od fal wdzierających się na nią, parowała wyraźnie. Rozbitkowie znajdowali się w wilgotnej atmosferze, która do pewnego stopnia łagodziła brak napoju, ale tylko do pewnego stopnia. Po południu wszyscy odczuwali gwałtowne pragnienie, ranny zaś tracił przytomność od gorączki.

Kapitan, który znał się cokolwiek na chirurgii, opatrzył starannie Billa, ale zapytany przez Mrockiego, czy staremu marynarzowi nie grozi niebezpieczeństwo, kiwnął głową znacząco.

Sobiesławowi zrobiło się tak przykro, tak smutno, że łzy mimo woli zaczęły mu spływać po policzkach. Nie wiedział dlaczego, ale ten majtek, jedyny spośród całej załogi życzliwie dla niego usposobiony, głęboko wrósł mu w serce. Czego by nie uczynił nasz młodzieniec, żeby w czymś ulżyć biedakowi! Niestety, nie mógł zrobić dla niego nic. Gdyby miał choć kubek wody dla ugaszenia tej gorączki, która rozszerzała źrenice rannego i zapalała w nich jakieś straszne iskry!

„Tyle wody dookoła! Olbrzymimi falami otacza nas, zalewa, a pić jej nie podobna!” — myślał sobie.

— Proszę pana! — odezwał się do kapitana siedzącego nieruchomo obok rannego. — Czy nie ma sposobu zamienić wody morskiej na słodką?

Dowódca „Delfina” uśmiechnął się gorzko.

— Jeżeli bardzo dokucza ci pragnienie, wystawiaj się na falę; woda będzie wsiąkała nieco przez pory twojej skóry do krwi. To ci ulży, innego środka nie ma. Upatruję, czy gdzie nie ujrzę żagla jednej z naszych szalup. Gdybyśmy spotkali którą, dostalibyśmy cokolwiek zapasów żywności i wody dla rannego.

— Ale czy spotkamy? — westchnął Mrocki.

— Prawdopodobnie nie — odparł kapitan — mają oni busole i żagle i zapewne starają się żeglować na zachód, żeby czym prędzej dotrzeć do lądu albo przynajmniej na szlak bardziej uczęszczany przez okręty. My zaś, pozbawieni wszystkiego, możemy spuścić się tylko na Opatrzność.

— Więc mamy tak siedzieć z założonymi rękami i czekać końca? — oburzył się Mrocki, w którym młodość i przedsiębiorczość buntowały się przeciwko bierności.

— Bynajmniej! Zaraz zabezpieczymy się od głodowej śmierci.

Kapitan mówił to całkiem poważnie.

— Czy będziemy łapać ryby? — zagadnął Sobiesław.

— Nie mamy przecież ani wędek, ani haków, ani przynęty. Zresztą rybołówstwo na pełnym morzu nie udałoby się nam na pewno; na to trzeba udoskonalonych, głęboko sięgających sieci. Mam wszakże na myśli plankton, który powinien nam dostarczyć środków do życia nawet tutaj, z dala od lądu. Należy tylko sporządzić małą choćby siatkę. Czy podejmiesz się tego, młodzieńcze?

— Cóż to jest plankton? — zagadnął Sobiesław. — Nigdy nie słyszałem tego wyrazu.

— Otóż nie wiesz pan zapewne o tym, że w pobliżu lądów morze roi się nie tylko od ryb, ale od rozmaitych drobnych stworzeń należących do wszelkich grup i rzędów. Do niedawna nauka nie zwracała na nie uwagi; w nowszych jednak czasach zbadano tę faunę i florę przybrzeżną dość dokładnie. Planktonem nazywamy drobne organizmy roślinne i zwierzęce unoszone przez prądy i fale. Należą do nich: drobne pierwotniaki będące przyczyną świecenia morza, a podobne do maleńkich, niewidzialnych gołym okiem pęcherzyków przezroczystych, meduzy, cewioplawy, które bez wątplenia należy zaliczyć do najpowabniejszych istot morskich, wreszcie małe, przezroczyste skorupiaki, larwy szkarłupni i wiele innych stworzeń. Najwięcej, jak powiedziałem, jest tego w pobliżu lądu, ale i na pełnym morzu nie brak planktonu. Hola, chłopcy! — zawołał odwracając się do marynarzy. — Który ma nową koszulę z najgrubszego i najmocniejszego płótna?

— Ja, kapitanie! — odrzekł Joe, najmłodszy z majtków.

— No, to daj ją, sporządzimy siatkę i mam nadzieję, że przy jej pomocy nie umrzemy przynajmniej z głodu.

Marynarz nie dał sobie dwa razy tego powtarzać. Zdjął koszulę i wręczył kapitanowi.

— Dobra — rzekł dowódca. — Teraz powyciągajcie co drugą nitkę z płótna, tak żeby się utworzyła gęsta siatka.

Jeden z majtków podjął się tej żmudnej roboty i wykonał ją w kilka godzin zupełnie dobrze. Koszula zamieniła się w rodzaj grubej kanwy, z której kapitan uszył naprędce coś w rodzaju worka. Worek osadził na kawałku rei i wręczył Sobiesławowi.

— Siedź na brzegu tratwy i zagarniaj siatką po powierzchni morza — rzekł mu. — Pamiętaj jednak, nie zgub siatki. Wszystko zaś, cokolwiek uda ci się złapać, wysypuj śmiało tu na deskę.

Mrocki z zapalem zabrał się do pracy, od której miało zależeć życie jego towarzyszy. Istotnie, okazało się, że kapitan miał słusność. W siatce niebawem ujrzano mnóstwo drobnych, galaretowatych istotek; pomiędzy nimi było dużo przezroczystych raczków oraz jakieś stworzenia całkiem niezbrane, które kapitan określił jako larwy szkarłupni i innych jamochłonów. W pół godziny potem Sobiesław wyrzucił na deskę sporą garść tych stworzeń.

— Cóż z nimi zrobimy? — zagadnął kapitana.

— Najlepiej byłoby ugotować z tego zupełną i smaczną. Ponieważ jednak nie mamy ognia, trzeba jeść plankton na surowo. Dziś nie zechcecie na pewno takiej potrawy wziąć do ust, ale zapewniam was, że jutro, pojutrze najdalej, przekonacie się do niej.

I chcąc dać dobry przykład kapitan wziął garść planktonu, pogryzł go kilkoma ruchami szczęk i połknął z uśmiechem.

— Trudno by się tym najeść — rzekł z ironią Joe.

— Mój kochany, nie zapominaj, że planktonem, nie czym innym, żywią się wieloryby, które przecież są królami świata zwierzęcego, gdy idzie o rozmiary. I my więc możemy utyc nawet na tych przysmakach.

Ale marynarze pierwszego dnia, jak przepowiedział kapitan, nie jedli planktonu, dopiero nazajutrz, kiedy im głód obok pragnienia nie na żarty zaczął dokuczać, odważyli się go skosztować. Przekonali się, że żyjątka morskie, zawierające dużo wody, i to nie słonej, dosko-

nale gaszą pragnienie. Od tej chwili nikt już nie pogardzał planktonem. Jeden tylko Bill nie brał nic do ust. Gorączka w ciągu ubiegłej nocy podniosła się tak, że ranny tracił chwilami przytomność i bredził ku zmartwieniu Sobiesława.

Chwilami jednali stary majtek miał zupełną świadomość i nawet rozmawiał z Sobiesławem.

— Nie ma co mówić — rzekł trzeciego dnia, kiedy się przekonał, że spod chusty ciągle krew broczy — już ja się z tego nie wylizę. Trudno, umieram na morzu, jak na uczciwego marynarza z dziada pradziada przystało. Zanim jednak wrzucicie mnie do morza rybom na pożarcie, musisz mi przyrzec, młodzieńcze, jedną rzecz.

— Przyrzekam najchętniej i uroczyste zobowiązuję się dotrzymać! — zawołał z zapalem Mrocki, rozrzewniony słowami rannego.

— Wieczorem, kiedy się ściemni, albo nawet wcześniej, już mnie nie będzie... Och! Podnieś mi trochę głowę, bo mnie bardzo, bardzo boli... — jęczał Bill.

— Cóż znowu, jeszcze się wyleczysz! — pocieszał go Sobiesław.

Gorzki i bolesny uśmiech zakwitł na pomarszczonej jak pergamin, spalonej twarzy marynarza.

— Już ja się znam na tym... Gdybym jeszcze miał trochę wody do picia, ale tak gorączka mnie weźmie niezadługo, zobaczysz. Posłuchaj mnie teraz, zanim stracę do reszty przytomność.

Mrocki ułożył rannego tak, żeby mu było najwygodniej, i siadł przy nim na wzniesieniu.

— Nachyl się nade mną, nie chcę bowiem, żeby oni słyszeli, co ci powiem. Otóż trzeba ci wiedzieć, że ja mam żonę i dziecko — zaczął z trudnością i jakby przemagając się w sobie. — Tak, mam, chociaż nie widziałem ich od dziesięciu lat! Nie chciałem widzieć! Żona moja bowiem to zła kobieta, porzuciłem ją; musiałem to uczynić. Córka moja ma teraz ze czternaście lat, nie więcej; na imię jej Nelly. Widzisz, pragnąłbym przed śmiercią zrobić coś dla tego biednego dziecka, które ojca prawie nie znało. Ciągle o niej myślałem, czy bawiąc na lądzie, czy żeglując po oddalonych morzach. Śliczne to było dziecko, kiedy ostatni raz przycisnął ją do piersi: istny obrazek; o złocistych włosach, wijących się w kędziory, oczkach jak morze południowe, ciemnobłękitnych, a takich głębokich, jak przepaść oceanu, gdzie mam zaraz spocząć na wieki. Nelly nie pamięta mnie; matka nie mówiła jej nawet, być może, o ojcu. Ale ona ma ojca i teraz trzeba, żeby się dowiedziała o jego zgonie.

Przez całe dziesięć lat stary Bill odkładał ze swoich zarobków czwartą część dla Nelly. Bywało źle, bywało i dobrze, ale zawsze wyznaczoną część odłożył i uzbierała się sumka czterystudolarowa.

— Nie umrę spokojnie — mówił Bill — póki nie będę pewien, że te krwawo zarobione pieniądze dojdą do rąk mojej Nelly, skoro dorośnie albo pójdzie za mąż przed pełnoletnością. Może ona, biedactwo, cierpi niedostatek? Może matka nie troszczy się o nią? Musisz mi, młodzieńcze, to przyrzec, że napiszesz do niej i jeżeli trzeba będzie, weźmiesz pod swoją opiekę. Oto torebka ceratowa — ciągnął dalej umierający sięgając z wysiłkiem pod bluzę na piersi. — Weź ją, proszę. Znajdziesz tam dowód na złożone w banku baltimorskim pieniądze. Wydadzą każdemu, kto przedstawi ten dokument; prosiłem o to wyraźnie. Napiszesz więc do mego biednego dziecka, dowiesz się o jego losie i postąpisz, jak sam będziesz uważał za właściwe. Dobrze? Przyrzekasz mi? Wierzę, że postąpisz uczciwie. Ufam ci więcej aniżeli samemu kapitanowi nawet... Kapitanie!

Dowódca zbliżył się do Billa.

— Kapitanie! Robię tego człowieka wykonawcą mojej ostatniej woli; powierzam mu moje dziecko i moje skromne oszczędności. W razie potrzeby zaświadczy, że tak było. Boże! Jak ja pragnę! Czy nie macie chociażby jednej kropli słodkiej wody? Ludzie, zmiłujcie się! Błagam, dajcie mi się napić!

Kapitan spuścił głowę przygnębiony. Mrockiemu łzy zakręciły się w oczach.

„Dlaczego krwią nie można gasić pragnienia? — myślał. — Chętnie dałbym mu się swojej własnej napić”.

Milczenie głucho zaległo na tratwie. Pośród szumu słabiej już bijących fal słychać było tylko ciężkie westchnienia marynarzy, którzy odczuwali żywo cierpienie swego towarzysza. Nikt się jednak nie ruszył z miejsca. Na tratwie nie było ani kropli wody.

— Może zjesz tego trochę, to ci ulży! — rzekł Sobiesław podając konającemu trochę masy galaretowatej, którą niedawno wyciągnął z sieci.

Ale Bill pokręcił głową.

Tak upływały godziny. Ranny najwidoczniej dogorywał. Od czasu do czasu, w napadzie gorączki, zrywał się, krzyczał dziko, chciał się rzucić w morze, zaledwie siłą zdołano go od tego powstrzymać.

Życie ulatywało ze starego marynarza. Oczy tylko świadczyły, że nie skonał jeszcze, ale śmierć zbliżała się szybkimi krokami. Przed zachodem słońca biedny Bill zaczął poruszać się niespokojnie, wydawał jakieś głucho jęki, z którymi mieszały się wyrazy ledwie zrozumiałe.

Sobiesław siedział przy umierającym wsłuchując się w rzucane w gorączce słowa. Właśnie tarcza słoneczna dotknęła widnokregu ścieląc olbrzymią, złocistą drogę pomiędzy oceanem a niebem tonącym w fioletach i w purpurze, kiedy marynarz zerwał się, ze spieczonych jego ust wyrwał się jeden jedyny wyraz: „Nelly”. Był on ostatnim, jaki wyszeptał ranny. Po tym wysiłku głowa jego opadła bezwładnie... Kapitan, porucznik i majtkowie powstali. Niektórzy mieli łzy w oczach, wszyscy bowiem na pokładzie „Delfina” lubili poczciwego starego Billa.

Sobiesław klęczał, spod powiek wymykały mu się łzy, których wola stłumić nie zdołała.

— Trzeba temu dzielnemu towarzyszowi, któremu zawdzięczamy nasze ocalenie, wyprawić pogrzeb, jak się należy — rzekł po długiej chwili milczenia porucznik. — Bracia, postarajmy się, żeby jego ciało spoczęło tam, w otchłani, nie rzucajmy go fali na poniewierkę. Zaszujmy nieboszczyka. Poświęcam na ten cel moją koszulę.

— I ja moją — dodał kapitan. — Ale trzeba jeszcze jakiegoś ciężaru, który by pociągnął naszego poczciwego Billa w głąb oceanu. A tu nie ma nic. Przykro by mi było pozostawić go na powierzchni.

— Cośkolwiek się znajdzie — odparł porucznik. — Oto różne niepotrzebne drobiazgi.

Za przykładem oficerów poszli majtkowie. Każdy wyjmował z kieszeni jakiś przedmiot, który nie mógł się na nic przydać w tej chwili, a który miał pociągnąć ciało Billa w otchłani. Obciążono tym kieszenie zmarłego, potem zaszyto go w płótno i złożono na desce.

Kapitan odmówił krótką modlitwę; deska na jego skinienie pochyliła się i ciało starego marynarza znikło pod powierzchnią.

— Niech spoczywa w pokoju! — rzekł kapitan.

— Gdyby popadał deszcz, to byśmy mogli napić się do woli — rzekł porucznik, który bacznie śledził niebo. — Obłoki dzisiaj wróżą zmianę pogody.

Istotnie, firmament pokrył się gęstymi obłokami, które pozwalały spodziewać się deszczu. Zamiast jednak opadu zjawił się wiatr.

Marynarze byli głodni, bo złowiony w ciągu dnia plankton nie wystarczył.

Czwarty dzień upłynął niezmiernie smutnie. Rozbitkowie byli ciągle oblewani wodą słoną, która parowała silnie pod wpływem wiatru i promieni słonecznych i zabierała im tak znaczną ilość ciepła, że formalnie szczykali zębami. Kapitan kazał więc wszystkim porozbierać się do naga, a odzież zawiesić na maszcie, żeby obeschła. Rozbitkowie przytulili się do siebie dla ochrony od wiatru przejmującego. Z paru desek zrobiono rodzaj burty, która osłabiała zbyt silne uderzenia bałwanów.

W tych warunkach nie można było myśleć o połowie planktonu; więc zarówno głód, jak i pragnienie i zimno zwróciły się przeciwko rozbitkom.

Mrocki nieprzywykły, tak jak marynarze, do znoszenia złej pogody i wilgoci, przeziębił się, kaszlał i czuł ból w piersiach. Silny katar przerzucił mu się na płuca.

Czuł przy tym, że siły opuszczają go coraz bardziej że niedługo już będzie w stanie wytrzymać, i w myśli przygotowywał się na najgorsze.

Po południu przez jedną krótką chwilę zdawało się, że koniec nastął tym męczarniom, ujrzano bowiem wyraźnie na widnokręgu dym; rzucono się do wiosła, ale niebawem przekonano się, że parowiec przeszedł mimo nie dostawszy się poza linię widnokręgu. Wobec tego ani rozbitkowie go nie widzieli, ani on nie mógł dostrzec tratwy. Marynarze złożyli swemu nieznanemu koledze, który siedział w bocianim gnieździe parowca, ale na nic się nie zdały objawy niezadowolenia. Dym znikł niebawem i znów pustka okropna zapanowała na oceanie.

Po strasznej nocy, która przeciągała się jakby w nieskończoność, nadszedł piąty dzień tułaczki na oceanie. Słońce wzeszło jakieś ponure, na niebie zgromadziły się chmury. Około południa zaczął padać deszcz, ale niezmiernie drobny.

Rozbitkowie powitali go jednak z radością. Natychmiast zdjęto żagiel, rozpostarto go na tratwie i czekano, aż się w nim zbierze cokolwiek wody. Ale deszcz był za drobny. Musiano więc wyżyć wilgoć z płótna przepojonego smołą. Zebrało się po długich usiłowaniach ze dwie czapki cuchnącej, przykrej w smaku wody, którą rozbitkowie pochłonęli chciwie.

Nad wieczorem deszcz przestał zupełnie padać i niebo, jak na złość, znów się wypogodziło.

Rozbitkowie czuli nieznośny głód, który skręcał im formalnie kiszki.

Planktonu wyławiano bardzo mało z powodu niespokojnego morza. Marynarze znieśli-by jednak głód, ale pragnienie stawalo się nie do wytrzymania.

Wprawdzie załoga błakającej się po bezmiarze Atlantyku wątej tratwy, idąc za radą kapitana, używała co dzień długiej kąpieli, a jednak ilość wody dostająca się do organizmu przez pory w skórze nie wystarczała wobec dokuczliwego upału, który w postaci potu wysączył wilgoć z ciała.

Uczucie to potęgowało się jeszcze przez fakt, że rozbitkowie widzieli dookoła siebie bezmiar wód.

Jeżeli jutro nie wyłowią nas, zginiemy bez ratunku — rzekł kapitan, kiedy ciemności znów zasłały ocean.

— A czy znajdujemy się na szlaku uczęszczanym przez okręty? — zagadnął Sobiesław starego marynarza.

— Nie powinniśmy się znajdować daleko odeń — odrzekł Kapitan. — Wprawdzie zdryfowaliśmy znacznie skutkiem burzy, ale różnica ta nie powinna wynosić więcej nad sto mil morskich. Musimy starać się jak najbardziej posunąć w kierunku północnym.

Na noc nie zwinięto żagla, jeden z majtków czuwał, żeby zbyt silny wiatr nie zerwał go, pozostali zaś rozbitkowie pogrążeni byli w niezdrowym półśnie. Gorączka paliła ich wewnętrzności, co chwila zrywał się któryś, wydając jęki. W ciszy nocnej z bluzgotem fal liżących tratwę mieszały się złorzeczenia i przekleństwa.

Ludzie ci, zwykle szorstcy, ale w gruncie rzeczy dobrzy, stawali się pod wpływem zabójczego pragnienia źli, opryskliwi, skłonni do uniesień i gniewu. O lada drobnostkę wybuchły między nimi swary, które kapitan starał się łagodzić.

Rankiem nasz młodzieniec, nie tracąc nadziei, usiłował złowić coś w swoją siatkę. Na razie nie mógł poszczycić się powodzeniem. Wyrzucił garść planktonu, którego jednak żółdki spalony pragnieniem nie mogły strawić. Ale koło południa niespodziewanie jakaś igrająca swawolnie ryba wpadła do siatki.

Zaledwie jednak sieć wychyliła się z wody i ujrzano w niej trzepoczącą się zdobycz, kiedy najmłodszy majtek imieniem Joe rzucił się z błyskawiczną szybkością, pochwyił rybę, kilkoma ruchami szczęk poszarpał ją i połknął, zanim zdołano mu przeszkodzić w tym

zamachu na wspólną własność.

Czyn ten, ma się rozumieć, wywołał wybuch oburzenia pośród pozostałych marynarzy. Majtkowie rzucili się na młodego towarzysza i na jego głowę spadł istny grad uderzeń twardej pięści.

— Zdrajca! Wrzucić go w morze! — krzyczano.

Kto wie, czy w napadzie rozgoryczenia marynarze nie spełniliby tej pogroźki, gdyby nie kapitan.

Posiadał on powagę, która i w tej chwili okazała się jeszcze wielką.

— Dajcie mu spokój — rzekł wybuchając śmiechem. — Zrobimy z nim to samo, co on z rybą, kiedy już będzie całkiem źle!

Ten żart zmienił w oka mgnieniu ogólny nastrój. Zawstydzonego majtka zaczęto obsypywać gradem równie dotkliwych, jak kułaki, szyderstw. Joe siedział w milczeniu, znać było po nim, że uległ niepomahowanej żądzy, która zagłuszyła w nim na chwilę poczucie obowiązku, i że się teraz wstydy swojej słabości.

W milczeniu zdjął z siebie część odzieży i zaczął fabrykować wędkę. Po kilkugodzinnej pracy udało mu się to znakomicie. Pływak zrobił z kawałka drzewa, haczyk — z drutu, używanego przez jednego z kolegów do przetykania fajki, za przynętę użył szczątka ryby i zarzucił na dość znaczną głębokość.

Upływały jednak godziny, a nic nie dało się wziąć na zaimprovizowaną wędkę. Tymczasem położenie naszych rozbitków stawało się coraz smutniejsze.

Nie znalazł się ani jeden pomiędzy nimi, który by nie poniósł podczas katastrofy „Delfina” jakichś obrażeń i skaleczeń, lekkich co prawda; ale teraz słona, gryząca piana morska drażniąc te skaleczenia porobiła z nich jątrzące się, palące i gnijące rany, których nie było, niestety, czym opatrzyć.

Mrocki miał przy tym gorączkę z powodu wzmagającego się kataru płuc. Dwóch marynarzy zachorowało także z wycieńczenia; leżeli oni bezwładnie, czekając, aż śmierć wybawi ich z tych mąk nieznośnych, niewrażliwi już na fale, które co chwila wdzierały się na tratwę i opłukiwały ich od stóp do głów.

Ale dobrodziejka śmierć nie przychodziła. Plankton podtrzymywał rozbitków nie zabezpieczając ich jednak od głodu. Było tego nędznego pokarmu za wiele, żeby umrzeć, ale i za mało, żeby się utrzymać przy życiu.

Rozbitkowie z „Delfina” byli więc skazani na powolne konanie, gorsze może od szybkiego utonięcia. Znaleźli się pomiędzy nieszczęśliwymi i tacy, którzy głośno wyrzekali, że ocean nie pochłonał ich natychmiast po opuszczeniu okrętu... I, rzecz dziwna, niechęć i rozpacz obróciły się przeciwko Mrockiemu. Złorzeczono mu niemal, wyśmiewano się z jego siatki, z jego planktonu, natomiast wszyscy zwrócili się w oczekiwaniu przyjaznym do Joego, który niedawno popełnił brzydki występki; darowano mu to już. Oczy marynarzy były wpatrzone w pływak wędki, śledzono w najwyższym napięciu, czy nie zniknie on pod powierzchnią na znak, że przynętę połknęła ryba.

Sobiesław, nie zważając na coraz złośliwsze docinki towarzyszków, robił swoje; od czasu do czasu wyciągał siatkę, znajdując w niej garstkę planktonu, którym dzielił się sumienie z kolegami.

Jedli nie przestając wykpiwać Mrockiego. Gdyby im nic nie dał, zapewne oburzyliby się jeszcze bardziej aniżeli na Joego, kiedy ten połknął rybę.

Po południu natrafiono na wielką pływającą roślinę morską. Wodorost był sam przez się niejadalny, ale zbadawszy go znaleziono na nim poprzyczepiane do łodygi i liści drobne żyjątka, przeważnie mięczaki, które pochłonięto w jednej chwili. Samą roślinę przeżuвано, żeby wyssać z niej pożywne soki. Majtkowie twierdzili, że zawiera ona słodką wodę w swych naczyniach. Nie były te soki zupełnie słodkie, ale w każdym razie mniej słone od wody morskiej.

Ponury nastrój zwiększał się z każdą godziną.

Ponad tratwą krążyły żaglości, burzyki i inne latawce morskie, mistrzowie w sztuce żeglugi powietrznej. Marynarze śledzili niedostrzegalne ruchy ich długich, potężnych skrzydeł żałując, że nie posiadają broni myśliwskiej. Mięso albatrosa, tranem przesiąknięte, byłoby w tej chwili przysmakiem nieporównanym.

Jeden z albatrosów unosił się na niewielkiej wysokości, porucznik strzelił z rewolweru, ale niestety, bezskutecznie. Wspaniały ptak lekceważąco odleciał i, jak na urągowisko, zawrócił właśnie w chwili, kiedy Joe wyciągał z wody swoją wędkę, na której końcu srebrzyła się wspaniale w słońcu jakaś ryba. Albatros rzucił się na tę zdobycz z szybkością strzały i porwał ją pomimo krzyków i machania wiosłami. Poczawszy opór, zaczął się szarpać silnie. Joe ze swej strony ciągnął za sznurek i drżał z obawy, że ten lada chwila pęknie. Rozpoczęła się walka o zdobycz pomiędzy zgłodniałymi ludźmi a silnym ptakiem. W tej chwili odezwał się znów rewolwer. Albatros, choć nie trafiony, przeląkł się huku, wyrzucił z dzioba zdobycz i poszybował w dal.

Kapitan pochwyił rybę, którą podał mu Joe.

Była to spora dorada. Podzielono ją na równe kawałki z wyłączeniem samego łowcy i zjedzono w oka mgnieniu.

Jeszcze jednak nie przełknięto, w gruncie rzeczy wstrętnego kąska, gdy wtem rozległ się piorunujący głos porucznika:

— Dym, dym, w północno-zachodnim kierunku!

Okrzyk ten zelektryzował rozbitków; zapomniano w jednej chwili o rybie, o zuchwalcu-albatrosie, o planktonie, wszystkie oczy wpatrzyły się w małą, ledwie dostrzegalną chmurkę unoszącą się nad samym widnokręgiem. Sokole oczy majtków sprawdziły wiadomość i przekonały się, że porucznik nie pomylił się.

Rozpoczęło się oczekiwanie podobne do przykrego snu. Pełne obawy oczy marynarzy wpatrzone były w dym. Czy rośnie, czy maleje? Czy parowiec zbliża się, czy oddala? Spostrzeże tratwę czy ją minie?

W kołających sercach nadzieja ważyła się z rozpaczą.

Oczy zachodziły łzami z wysiłku. Nareszcie rzecz wyjaśniła się. Parowiec zbliżał się, nie mogło już być żadnej wątpliwości!

Porucznik chwycił złamane wiosło, przywiązał na jego końcu wielką płachtę z żagla i zaczął nią energicznie machać w powietrzu.

Śłup dymu włączył się ciężką smugą ponad oceanem. Niebawem można było zobaczyć komin. Parowiec szedł szybko, przecinając drogę tratwie. To dodało odwagi rozbitkom; byli pewni, że ich spostrzegą. Ci, którzy mieli jeszcze cokolwiek siły, zaczęli wiosłować.

W pół godziny później ukazał się już cały kadłub okrętu, który widocznie zwalniał biegu. Porucznik podwoił usiłowania.

Tratwa posuwała się wolniutko... wolniutko, z leżącymi na niej, na pół już omdlałymi rozbitkami. Nawet radość nie potrafiła podnieść ich na nogi. Patrzyli na okręt, widzieli, że zatrzymuje się, że spuszczają z pokładu szalupę, że do tej szalupy wsiada sześciu majtków, że wiosła miarowymi ruchami zanurzają się w wodę... Już, już są niedaleko. Młody oficer stoi trzymając w ręku sznurki od rudla. Wiosła podnoszą się w górę, bo szalupa dotyka tratwy. Wzruszenie odbiera resztki sił nieszczęśliwym; trzech leży nie mogąc już podnieść się na nogi o własnych siłach, tylko Joe wiosłuje do ostatniej chwili.

Wybawcy w milczeniu wskakują na tratwę i przenoszą bezwładnych na szalupę. Kapitan „Delfina” daje jakieś objaśnienia, przybyły oficer kiwa głową; na jego twarzy maluje się współczucie. Już wszyscy znajdują się w szalupie; wiosła opuszczają się i uderzają w fale. Mrocki pamięta jeszcze, jak szalupa zatrzymała się u trapu i jakieś silne ręce dźwignęły go w górę; potem ciemność zasłoniła mu oczy.

Wiedział tylko doskonale, że jest uratowany, że jego cierpienia skończyły się.

ROZDZIAŁ X

W PUŁAPCE

Opuściliśmy Sobiesława Mrockiego w chwili, kiedy po kilkudniowej tułaczce pośród wodnej pustyni znalazł się na pokładzie okrętu, który w ostatniej chwili wyratował rozbitków „Delfina”.

Była to rzeczywiście ostatnia chwila; Sobiesław czuł się tak wyczerpany i chory, że przez osiem dni nie opuszczał hamaka okrętowego. Jego towarzysze znajdowali się w tym samym, co on, stanie. Kapitan tylko, zahartowany w wieloletnich zapasach z oceanem marynarz, i Joe po dwóch dniach wrócili zupełnie do zdrowia.

Kiedy nareszcie nasz tułacz dźwignął się z łoża i, z polecenia lekarza okrętowego, usiadł na górnym pokładzie, ażeby oddychać świeżym, słonecznym powietrzem, które mu miało powrócić siły, wtedy dopiero dowiedział się, że nie płynie bynajmniej do Baltimore. Okręt, który ocalił garstkę marynarzy, znajdował się w drodze do Rio de Janeiro, stolicy brazylijskiej, z ładunkiem wyrobów przemysłowych, z Nowego Jorku zabranych. Załoga jego składała się po większej części z Meksykańczyków mówiących po hiszpańsku.

Kapitan „Delfina” nie obiecywał bynajmniej zabrać Mrockiego do Baltimore bezpłatnie. Młodzieniec przeczuwał więc, że będzie w opałach, ale w najbujniejszej i najbardziej pesymistycznie nastrojonej wyobraźni nie mógłby się odbić obraz tego, co go naprawdę czekało.

Ostatnie kilkanaście dni podróży morskiej były nawet dla Mrockiego bardzo przyjemne: patrzył na szafirową toń oceanu, z której od czasu do czasu podrywały się stadka ryb latających, śledził szybkie ruchy zgrabnych delfinów, towarzyszących okrętowi, nocami podziwiał świecenie morza, zjawisko wywołane obecnością pewnych drobnoustrojów wypływających podczas pięknej pogody ku powierzchni... Życie na parowcu spokojnie płynęło rozbitkom. Nie wymagano od nich żadnych posług, traktowano jak miłych gości, po koleżeńsku, bo kapitan i lekarz postawili sobie za najpilniejsze zadanie przywrócenie sił wynędzniałym marynarzom i współczuli żywo ich minionym nieszczęściom.

Kapitan opowiadał szczegółowo i barwnie o doznanych przygodach, a ponieważ był niezrównanym towarzyszem przy kieliszku, zjednał więc sobie w mig przyjaźń oficerów hiszpańskiego statku. Mrocki znów pociągał swych wybawców ogładą towarzyską, wykształceniem i czytaniem oraz sympatyczną powierzchownością. Nie mógł więc narzekać. Pozostali rozbitkowie z „Delfina” cieszyli się także życzliwością załogi; toteż ani się obejrzano, kiedy na widnokręgu ukazała się ciemna linia lądu.

Była to Brazylia.

„Brazylia! — pomyślał Mrocki. — Czy mi kiedy do głowy przyszło, że, wsiadając w Hamburgu na »Delfina«, wysiądę aż w Rio de Janeiro?”

Troska o przyszłość miotła jego sercem, ale pocieszał się, że ma zdrowe ręce, chęć do pracy, a więc nie zginie.

Mrocki słyszał wiele o piękności stolicy brazylijskiej, ale to, co ujrzał, przewyższało wielokrotnie jego wyobraźnię. Trudno zaiste znaleźć cudniejszą miejscowość pod słońcem. Statek wszedł na krótko przed zapadającym mrokiem do olbrzymiej zatoki, nad której zielonymi brzegami malowniczo rozłożyło się milionowe z górą miasto. Sobiesław nigdy jeszcze w życiu nie widział tak wspaniałego zachodu. Niebo płonęło, jakby wielki pożar ogarniał spiętrzone obłoki. Było tu nieprzebrane bogactwo soczystych, gorących barw, olśniewających zdumione oko. Purpura, odbita od chmur, zalewała powierzchnię zatoki i położoną na niej wyspę. Wszystko stało jakby w łunie albo we krwi, rozpalonej do świecenia. Port, mogący

pomieścić wszystkie floty świata, był napełniony setkami okrętów przybyłych z najodleglejszych zakątków ziemi. Obok pancerników wojennych stały tam potężne parowce zaoceaniczne, a między nimi snuło się mrowie mniejszych i większych żaglowców, łódki jak muchy wypełzały rojami na spotkanie wchodzących do przystani okrętów. Mrocki mimo woli doznał wrażenia, że ta błogosławiona kraina tonie w szczęściu i błogości.

Na południowym brzegu zatoki wznosi się ostry szczyt górski, zwany Głową Cukru. Miasto leży bezpośrednio nad morzem i wciska się głęboko między góry służące mu za wsporniki. Góry te, jak się później przekonał Mrocki, są zamieszkane. Zamożni Brazylijczycy pobudowali tam wśród niezwyklej piękności ogrodów wspaniałe wille, z dala od niskich wybrzeży, gdzie panuje febra. Ale ulice dolnego miasta są przeważnie tak wąskie, że pojazdy nie mogą po nich kursować. Domy są dwu- lub trzypiętrowe. W ciasnocie tej, podczas tropikalnego upału, panuje nieznośny zaduch. Co parę kroków spotykasz kawiarnie, w których za kilkanaście groszy podają ci wyborną, aromatyczną kawę. Są one od wczesnego ranka do późnego wieczora przepełnione gośćmi. W niektórych już bardzo wcześnie rozpoczyna się koncert. Okolice Rio są pełne malowniczych zakątków. Jeden z najbardziej godnych uwagi to Corcovado, położone na sześćset metrów nad poziomem morza, dokąd można się dostać koleją zębatą w półtorej godziny. Lasy, porastające okoliczne góry, zachowały do dziś dnia swój dziki charakter. Pełno tam wąwozów i dolin porośniętych puszcza pierwotną, a o parę kilometrów od miasta można sobie zapolować na aligatory.

Mrocki, niebawem po przybyciu do Rio, udał się z porady kapitana do miejscowości Tijuca, odległej od Rio o półtorej godziny drogi. Jest to miasto bogaczy, którzy uciekają z właściwej stolicy, żeby oddychać balsamicznym, chłodnym i zdrowym powietrzem górskim. Sobiesław miał nadzieję otrzymać tam jakieś korzystne miejsce w charakterze stangreta lub dozorca stajni. Całe dwa dni błądził między wspaniałymi willami, wśród prześlicznych ogrodów, zaglądał wszędzie, gdzie widział bogactwo, ale nieznaną portugalskiego języka stała mu na przeszkodzie. Zewsząd odprawiano go z niczym. Za to napatrzył się cudnych widowisk z wyżyn na miasto i szafirowe, spienione morze, leżące u jego stóp.

Kapitan „Delfina” wynajął tymczasowo w dolnym Rio parę pokojów dla siebie, porucznika i majtków, pozwolił też Sobiesławowi korzystać z tego mieszkania. Miał on zamiar czekać na pierwszy lepszy okręt odchodzący do Anglii. Tymczasem zaś wysłał depezę do Europy z wiadomością o zatonięciu powierzonego mu okrętu z całym ładunkiem i o katastrofie z ludźmi.

Był on niezmiernie przygnębiony i zgryziony, prawie że nie opuszczał swego pokoju.

Pewnego razu, spotkawszy się z Sobiesławem, poklepał go życzliwie po ramieniu i zagadnął:

— Co zamierzasz robić, młodzieńcze? Czy pozostaniesz tutaj, czy też postarasz się dostać do Stanów?

Sobiesław sam nie wiedział, co ze sobą począć.

Słyszał wprawdzie, że w Paranie znajdują się liczne kolonie polskie, ale do rolnictwa nie miał ochoty; brakło mu też pieniędzy, a bez grosza trudno było dać sobie radę, otrzymawszy nawet grunt za darmo od rządu.

— Szukam pracy! — odparł. — Spodziewam się, że ją znajdę w końcu.

Kapitan potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Hm, to ci nie przyjdzie tak łatwo — rzekł trzaskając w palce. — W Brazylii praca ciężka... Wiesz co? Wprawdzie dostajesz się do Ameryki, ale nie na moim okręcie i nie tam, gdzie pragnąłeś wylądować. Ponieważ wchodzę w twoje położenie, zwracam ci więc połowę pieniędzy, które mi zapłaciłeś za przejazd. Oto są! Ta mała sumka przyda ci się w Rio, gdzie panuje zdzierstwo haniebne.

Mrocki podziękował kapitanowi, nie spodziewał się takiej bezinteresowności z jego strony. Fundusze jego pomnożyły się. Nabral otuchy.

Idąc za poradą kapitana szukał okrętu odchodzącego do Stanów, ale żądano odeń tak dużej opłaty, że zwątpienie zaczęło się zakradać do jego duszy, czy w ogóle zdoła się za swoje fundusze dostać do Ameryki Północnej.

Nie zaniehbując myśli o przejeździe do Stanów, kręcił się w porcie, ofiarowując wszędzie swoje usługi.

Po kilku dniach dostał się do pracy przy ładowaniu okrętu, ale dźwiganie ciężkich worków na nieznośnym skwarze słonecznym przechodziło jego siły. Rzucił więc, choć z żalem, robotę w porcie.

Tymczasem kapitan „Delfina” wsiadł na parowiec angielski i odpłynął ze wszystkimi ocalonymi towarzyszami do Liverpoolu pragnąc jak najprędzej dostać się do Europy. Pożegnał serdecznie Sobiesława; majtkowie także z żalem rozstawali się z sympatycznym młodzieńcem, który z nimi tyle smutnych doznał przygód. Mrocki został sam jak palec, w stolicy Brazylii, z kilkunastoma zaledwie milrejsami w kieszeni.

Kiedy okręt, mający na pokładzie rozbitków z „Delfina”, zniknął w labiryncie wysp i statków, Sobiesław poczuł, że go coś dławi w gardle, że łyzy gwałtownie cisną mu się do oczu.

Ludzie ci byli dlań z początku najzupełniej obcy, ale długa żegluga, wspólne nieszczęścia i cierpienia zbliżyły wszystkich. Mrockiemu więc wydawało się przez chwilę, że to jego bracia rodzeni opuszczają go tutaj i pozostawiają w kraju dalekim na łaskę twardego losu.

Żal i zwątpienie nim miotają. Wybrał sobie ustronny kącik nad samym morzem, które lekko szemrało u jego stóp, usiadł na piasku w cieniu nie znanych mu drzew i pogrążył się w długą, bolesną zadumę.

Bezczynność gnębiła go najbardziej. Czuł, że każdy strawiony bezużytecznie dzień zbliża go do skraju przepaści. Co będzie robił, kiedy wyda ostatniego milrejsa? Z głodu umrze chyba, bo mu tutaj nikt ani grosza nie da.

Przez chwilę przyszło mu na myśl szukać rodaków w Rio i prosić ich o pomoc, ale natychmiast odezwała się w nim godność i duma.

Nie! Przenigdy! On znajdzie pracę, nie cofnie się przed żadną, najcięższą chociażby, póki czuje się zdrow i silny.

Z tym głębokim postanowieniem Mrocki podniósł się i, nie bacząc na piekące słońce, powlókł się do miasta.

W porcie i dziś nic mu się nie trafiało.

Dwa dni Sobiesław szukał, pytał daremnie; ale trzeciego dnia zaczepił go na ulicy, przed garkuchnią, jakiś Murzyn — a Negrów w Rio spotykał na każdym kroku — z zapytaniem, czy nie szuka zajęcia.

Mrocki skwapliwie potwierdził, że szuka i weźmie, co się znajdzie.

Murzyn kiwnął głową i zaprowadził młodzieńca do brudnego biura, położonego przy wąskiej uliczce.

W izbie, długiej a wąskiej, pełno było tytoniowego dymu, wiszącego, niby chmura, nad brudną podłogą.

Na środku izby stał Mulat olbrzymiego wzrostu, muskularnej budowy i krzyczał na całe gardło usiłując przekonać czarnych o czymś, przeciwko czemu ci oponowali.

W głębi pokoju znajdowały się za kratkami stoły pokryte czerwonym sukmem; tutaj, na trzcinowych fotelach, siedziało kilku urzędników nad brudnymi księgami.

Nieznajomy przywiódł Mrockiego do jednego z pisarzy i zaczął mówić po portugalsku, wskazując na młodzieńca.

Urzędnik wysłuchawszy zwrócił się do Sobiesława z zapytaniem. Kiedy jednak nasz tułacz zapewnił go po niemiecku i po francusku, że nic nie rozumie, powtórzono mu te pytania łamaną francuszczyzną.

— Czy pan szukasz pracy? — brzmiała w skróceniu rozmowa.

— Szukam, jakiegokolwiek.

— Czy jesteś pan zdrow i nie obawiasz się zostać pomocnikiem na plantacjach kawy, za dobrym wynagrodzeniem?

— Czuję się zdrow i silny — odparł Mrocki — i jeśli mi porządnie zapłacą, gotów jestem przyjąć każde zajęcie nie przekraczające sił zwykłego człowieka.

— To doskonale! Właśnie jeden z bogatych plantatorów kawy potrzebuje kilkudziesięciu ludzi; płaci dziennie cztery milrejsy i daje przy tym bezpłatne porządne mieszkanie i całkowite, bardzo dostatnie i przyzwoite utrzymanie...

— A gdzie leżą plantacje?

— Nie bardzo daleko stąd! O parę dni drogi zaledwie od Rio... Oto kontrakt do podpisania. Możesz dostać pięćdziesiąt milrejsów zadatku.

Z tymi słowy urzędnik podsunął Mrockiemu jakiś papier i wetknął pióro w rękę.

Ale Sobiesław zawahał się; zaczął przebiegać papier oczyma.

— Proszę mi przetłumaczyć tekst kontraktu na niemiecki.

Urzędnik wzruszył ramionami.

— My nie mamy na to czasu ani tłumacza — odparł sucho. — Mogę panu wyjaśnić ważniejsze punkty. Miejscowość nazywa się Coriba, nazwisko właściciela Miguel Arellana; kontrakt obowiązuje obie strony na rok jeden; wypłata w gotówce albo w towarach co tydzień. Plantator daje mieszkanie i życie. No, wiesz pan wszystko, co ci potrzeba; chcesz podpisać umowę, to dobrze, a nie, to nie! Nikt tu nikogo nie przymusza. No, jakże? Nie mam czasu na długie gadanie.

Sobiesław walczył ze sobą; przecucie jakieś mówiło mu, żeby nie podpisywać. Ludziom, zarówno tym, co siedzieli przy biurku, jak i agentowi, który go przyprowadził, źle jakoś patrzyło z oczu; biuro także wyglądało podejrzanie.

„Jeżeli nie podpiszę, to za kilka dni pozostanę bez grosza w kieszeni — myślał — i na łasce losu; kto wie, czy nie będę musiał przyjąć gorszych warunków. Ale po co mam się decydować od razu?”

— Pozwól pan, że się namyślę! — rzekł kładąc pióro.

— Co, namyślisz się pan? — wpadł na niego agent. — Widocznie nie potrzebujesz pan pracy! Po co to ludziom głowę zawracać?

— Przyjdę jutro.

— Zapisy już się kończą; potrzeba tylko trzech ludzi, którzy mogą się za godzinę znaleźć, a wtedy...

Agent gwizdnał jak odjeżdżający pociąg i machnął charakterystycznie ręką.

Swoją drogą Sobiesław wahał się; nic nie mówiąc wyszedł z biura pośrednictwa na ulicę, nie oddalając się jednali zbyt daleko, i tutaj wypatrywał kogoś zasługującego na zaufanie.

Zaczepił paru inteligentów, ale za każdym razem trafiał na osoby nie znające prócz portugalskiego żadnego obcego języka. Nadarzył mu się oficer kaleczący niemczyznę, ale ten nie umiał mu nic powiedzieć o biurze.

Sobiesław był zniechęcony i z coraz większą obawą spoglądał na pobliski zegar, licząc upływające godziny.

Do biura wchodził rozmaici ludzie, przeważnie kolorowi.

Nareszcie Mrocki nie mogąc oprzeć się myśli, że ktoś inny zajmie miejsce, którego on bardzo potrzebuje, powziął postanowienie.

— Ha, spróbuję! — zawołał głośno. — Przecie mi głowy nie ukręcą; jeśli mi będzie źle, to się wyniosę cichaczem i kwita!

Wszedł śmiało do kantoru i zbliżył się do urzędnika.

— Czy jeszcze te trzy miejsca nie zajęte? — zagadnął go.

Pisarz zaczął przesadnie długo grzebać w papierach.

— Na panu właśnie zamykamy listę! — zawołał. — Mamy już komplet robotników. Jutro zaraz wyprawiamy partię. Z jakiego kraju pochodzi pan?

— Z Polski.

— Aha, Polak! — rzekł urzędnik. — O, Polacy to dobrzy robotnicy. W Mattogrosso mógłby pan otrzymać zupełnie darmo kilkadziesiąt hektarów...

— Nie mam ani pieniędzy, ani chęci do zakładania kolonii, sam jestem i nie dałbym sobie rady.

Portugalczyk kiwnął głową potakująco i podsunął Mrockiemu papier.

Sobiesław podpisał pewną ręką, wziął za pokwitowaniem pięćdziesiąt milrejsów zadatku i schował pieniądze do kieszeni, zostawiwszy swój dokument osobisty.

— Jutro rano masz się pan stawić tutaj albo lepiej na dworcu kolejowym, tam zameldujesz się temu oto człowiekowi! — i wskazał na tego zbudowanego Mulata, który kłócił się wciąż z Murzynami. — Pedro — zawołał — oto robotnik należący do partii!

Mulat rzucił ciekawe spojrzenie na Mrockiego i jego grube wargi rozchyliły się w złośliwym uśmiechu, ukazującym dwa rzędy błyszczących jak u wilka zębów.

— Dobrze! — rzekł krótko. — A pamiętać nie spóźnić się! — dodał uderzając poufale w plecy Mrockiego.

Sobiesławowi ten człowiek nie podobał się od pierwszego wejrzenia. Cóż jednak było robić?

Młodzieniec, czując pieniądze w kieszeni, nabrał pewności siebie. Udał się na miasto celem porobienia drobnych sprawunków na drogę.

W miarę tego jak słońce podnosiło się na niebie, gorąco stawało się coraz nieznośniejsze. O jedenastej przed południem światło i ciepło nabierało takiej siły, że wszyscy, nawet ludzie kolorowi, szukali schronienia w mieszkaniach, gdzie przy zamkniętych okiennicach, w grubym półmroku odbywali drzemkę, czyli siestę, trwającą parę godzin. Ulice przez ten czas stawały się przerażająco puste; Rio robiło wrażenie wyludnionego przez zarazę miasta.

Sklepy, kantory, restauracje i kawiarnie zamykano, nawet psy zniknęły gdzieś w swych kryjówkach.

Mrocki, nieprzywykły do zwrotnikowego klimatu, oddychał z trudnością, siedząc w najgęstszej alei ogrodu miejskiego, w głębokim cieniu. Dopiero po czwartej godzinie ulice zaczęły się cokolwiek ożywiać, otwarto sklepy i młodzieniec mógł sobie kupić parę przedmiotów, które uważał za niezbędne.

Mrocki miał wielką ochotę nabyć od wszelkiego wypadku rewolwer; doznawał jakiejś trwogi na myśl, że jedzie między obcych sobie, a może wrogich ludzi, może w na wpół dzikie okolice i że będzie tam na łasce losu. Żądano jednak za najgorszą broń kieszonkową dwadzieścia milrejsów; zadowolili się więc mocnym nożem, oprawnym na podobieństwo sztyletu, i zatknął go sobie pod ubraniem wierzchnim za pas.

„Teraz przynajmniej mam się czym bronić w razie napadu” — pomyślał.

Nie zapomniał o bieliźnie, o lekkich, skórzanych trzewikach i zapasach żywności w postaci fasoli, kukurydzy i mąki oraz suszonego mięsa. Schował to wszystko do płóciennego worka, podbitego ceratą, na „czarną godzinę”.

„Nie wiadomo, jak mnie tam będą karmili — mówił sobie. — W pustkowiu żywność lepsza niekiedy od gotówki”.

Pozostały czas wolny spędził na ulicach miasta, które pod wieczór zmieniło się do niepoznania. Po zachodzie słońca na chodniki wyległ tłum strojnych kobiet i mężczyzn, żądny ruchu, znużony dziennym upałem; byli to po większej części Kreole, to jest potomkowie pierwotnych przybyszów z Europy. Koło dziesiątej na głównych ulicach, przy świetle latarni elektrycznych, było rojno i gwarno jak na Polach Elizejskich w Paryżu. Mrocki przyglądał się ciekawie temu nocnemu życiu wielkiego brazylijskiego miasta i żałował, że musi je nazajutrz opuścić.

Nadstawiał bacznie ucha, czy w tym rozgwarze nie usłyszy czasem ojczystego języka;

niestety, daremnie łąwił obce dźwięki, prawie wszyscy mówili po portugalsku, rzadziej dawał się słyszeć hiszpański, a strojne panie, wyróżzowane i wypudrowane, używały w rozmowie z panami w cylindrach, surdutach i białych kamizelkach francuszczyzny i to nieosobliwej. Bardzo rzadko doleciał Mrockiego wyraz angielski albo niemiecki, ale mowa polska nie wybiegła z niczyich ust.

„Sobiesław czuł się zupełnie tak samo, jak wtedy gdy się znalazł po raz pierwszy w koszarach pomiędzy Niemcami. Przypomniał sobie kolegów, feldfebla, znieawidzonego pruskiego oficera, którego stratował kopytami konia, śmierć kolegi, ucieczkę...

Wydaje się, że tak niedawno opuścił dom rodzicielski, a już tyle wycierpiał, tylu przygód doświadczył!

Koło północy powrócił do ciasnej izdebki, w podrzędym hotelu na przedmieściu wynajmowanej, z papierem, atramentem i piórem w kieszeni, i zamiast położyć się, napisał list do domu, na ośmiu stronicach kreśląc historię swojej podróży. Osobną pocztówkę z panoramą miasta poświęcił ukochanej siostrzyczce, żeby miała pojęcie o Rio i jego pięknej zatoce.

Wstał rano, musiał bowiem stawić się w porę na dworcu kolejowym. Obładowany swymi sprawunkami, w wielkim słomianym kapeluszu na głowie, zjawił się na godzinę przed odejściem pociągu. Na peronie zastał już olbrzymiego Mulata siedzącego wśród grupy zakontraktowanych robotników.

„Aha, oto moi towarzysze!” — pomyślał Sobiesław mierząc okiem zgromadzonych.

Przegląd ten dał wiele do myślenia młodzieńcowi. Robotnicy, zarówno biali jak i czarni, odziani byli w zniszczone, perkalowe spodnie i koszule. Robili wrażenie ludzi, których przygnała tutaj skrajna nędza.

Sobiesław zaniepokoił się znowu.

Czy nie byłoby lepiej wycofać się, póki czas? Sięgnął do kieszeni; miał w niej tyle, że po zwróceniu zadatku pozostałoby mu co najwyżej dwa milrejsy.

— Nie, nie mogę w żaden sposób! — rzekł z rozpaczą. — Musiałbym chyba z głodu umrzeć. Trudno!

Tłumaczył sobie, że przecie nie zaprzedał się w niewolę, że w razie gdyby mu było źle, opuści plantację, nie zważając na kontrakt, że będzie robił, co do niego należy, słowem, uspokajał sam siebie, jakby to uczyniła jaka życzliwa osoba pragnąca dodać mu odwagi.

To poskutkowało; Sobiesław nabrał lepszego usposobienia; kiedy dano znak wsiadania do wagonu, uczynił to bez wahania, zajmując miejsce niedaleko młodego robotnika o jasnych włosach. Byłby chętnie porozmawiał z nim, ale nie umiał ani słowa po portugalsku; milczał więc spoglądając ciekawie na sąsiada.

W wagonie było duszno; Mrocki siedział przy otwartym oknie. Bawiły go piękne krajozrazy, szybko się zmieniające. Pociąg szedł wspinając się krętą linią wzdłuż doliny rzecznej, coraz wyżej. Niebawem ukazały się strome zbocza górskie porośnięte gęstym, podzwrotnikowym lasem, w którym królowały palmy sterczące swymi pierzastymi głowami ponad tłum innych drzew. Na gałęziach Mrocki, obdarzony bystrym wzrokiem, dostrzegł pnącze, zwieszające się jak zielone festony, nierzadko pokryte barwnym kwieciem. Pomiędzy konarami leśnych olbrzymów krzyczały ptaki, nie znane Europejczykowi ani z nazwy, ani z wyglądu; słowem, przed oczami Mrockiego otwierał się całkiem nowy, pełen uroków bogatej przyrody kraj, o którym nasz tułacz nieraz czytał i marzył jako uczeń gimnazjum. Nie odrywał więc oczu od tych widoków, co chwila dostrzegając coś nowego.

Po paru godzinach pociąg, przedarłszy się przez góry, wydostał się w równiejsze okolice i mijał liczne wille, siedziby letnie bogaczy z Rio. Sobiesław widział drzewa pomarańczowe, okryte kwiatem i dojrzewającym owocem; zaciekawienie jego rosło z każdą chwilą; cieszył się po prostu jak dziecko i wcale nie narzekał na to, że podróż przedłużała się niespodziewanie.

Upływały godziny, a pociąg unosił w dal podróży; mijał gęste lasy i uprawne przestrzenie, zapuszczając się w głąb kraju.

Mrocki zaczynał miarkować, że go wprowadzono w błąd, że plantacja nie leży, jak go zapewniano w biurze, o kilkadziesiąt, lecz o kilkaset kilometrów od Rio. Słońce zniżało się, niecierpliwość młodzieńca rosła.

W końcu postanowił zapytać o cel podróży prowadzącego partię robotników Mulata Pedra, posiłkując się niemieckim językiem.

Siedzący obok Mrockiego blondyn, usłyszawszy jego głos, drgnął i odwrócił głowę.

— On nic nie rozumie! — rzekł dość czystą niemczyzną. — Nie warto do niego ust otwierać. Czy pan także zgodził się na robotę do plantacji? — dodał.

Sobiesław spojrział uważniej na towarzysza; jego ucho złowiło w tych paru zdaniach akcent dobrze znany, akcent słowiański.

— I ja zrobiłem to głupstwo! — odparł.

Nieznajomy westchnął.

— Pewnie że głupstwo — potwierdził. — Wiozą gdzieś na koniec świata, chociaż obiecali, że niedaleko.

— A po portugalsku pan nic nie rozumie? — zagadnął Mrocki.

— Ani słowa!

— Tak jak i ja. To fatalne! Nie podobna się nic dowiedzieć!

Nastała chwila milczenia. Sobiesław stał przed na wpół pijanym Mulatem, starając się dać poznać na migi, o co mu chodzi. Przewodnik uśmiechał się tylko szydlerczo.

Sobiesław zmiarkował, że Pedro nic sobie z niego nie robi.

— Podły! — mruknął odwracając się od Mulata.

Na dźwięk tego gniewnego wyrazu blondyn zerwał się z ławki i z rozjaśnionymi radością oczyma przyskoczył do Mrockiego.

— To pan Polak? Ja także Polak, spod Kalisza jestem!

Sobiesław nie wierzył swoim uszom. Patrzył na nieznajomego z szeroko otwartymi ustami; mowa rodzinna zagrała w jego uszach jak czarodziejska melodia... zasłuchał się w nią sercem całym, radość ścisnęła mu gardło, nie mógł słowa z siebie wydobyć.

— A pan skąd? — pytał dalej blondyn.

— Z Poznania!

— To pan z miasta? A ja wiejski jestem, zwań mnie Witold Grzymała, gospodarski syn! — dodał z pewnym odcieniem dumy.

— I po cożeście kraj opuścili?

— A no, powiadali, że w Brazylii ziemię i pieniądze na zagospodarowanie darmo rozdają, więc pojechałem.

— I nie dali?

Witold machnął ręką.

— Dużo by o tym gadać — odparł niechętnie. — Pieniądze rozlały się, trza było do byle czego się wziąć; no i zgodziłem się tak jak pan, na te plantacje. Zarobi się trochę, to i grunt wezmę na spłatę.

Mrocki słuchał tego krótkiego opowiadania o losie tak bliźniaczo podobnym do jego własnego; otwarta fizjonomia Grzymały zrobiła na nim przyjemne wrażenie. Gdyby nawet Witold wyglądał na bandytę, jeszcze by go nasz tułacz powitał jak brata rodzonego.

Rzucili się sobie w objęcia i ucałowali serdecznie, z dubeltówki.

Nowi przyjaciele siedli razem w kącie i, dając upust potrzebie pałacej, upajali się wzajemnie dźwiękami mowy ojczystej.

Grzymała opowiadał prostymi słowy swoją równie prostą historię, potem słuchał z niekłamanym podziwem przygód Mrockiego w wojsku i podróży morskiej. Nasz młodzieniec czuł, że mocno zaimponował ucieczką z wojska swemu towarzyszowi.

Nie upłynęła godzina, a pomiędzy Grzymałą i Mrockim zadzierzgnął się węzeł żywej sympatii, która rychło zmienić się miała w gorącą przyjaźń.

Sobiesław rad był niezmiernie. Nie czuł się już tak osamotniony i rzucony na pastwę obcych wyzyskiwaczy.

— Siądźmy razem! — zaproponował.

— A no, to pan niech się tu do mojego kąta przeniesie z rzeczami — odparł Witold.

Ulokowali się koło siebie i gwarzyli o dalekiej ojczyźnie.

Była już głęboka noc, kiedy Pedro kazał robotnikom przygotować się do opuszczenia wagonu,

Wysiedli wszyscy gdzieś na małej stacyjce stojącej w okolicy odludnej, oprócz bowiem paru nędznych budynków stacyjnych nie było widać w pobliżu żadnych innych.

— Nareszcie znajdujemy się na miejscu! — zawołał radośnie Grzymała. — Ale bo też kawał drogi kazali nam jechać!

Sobiesław potrząsnął głową.

— Coś mi się widzi, że jeszcze nie dotarliśmy do owych plantacji — rzekł.

Słowa jego sprawdziły się. Mulat kazał w pobliżu stacji kolejowej rozbić obozowisko i oświadczył, że dopiero rano wyruszą w drogę.

Sobiesław daremnie jednak usiłował dowiedzieć się, jak jeszcze daleko do plantacji; nie rozumiał, co do niego mówiono, i odwrotnie — inni nie pojmowali jego mowy. W tym przykrym położeniu Mrocki zabrał się do przepatrzenia słownika podręcznego, który zabrał ze sobą z Rio. Przy świetle ogniska zaczął naukę razem z Grzymałą.

— Słuchaj — mówił do swego towarzysza. — „Bardzo” po portugalsku jest *muito*; „baran” — *carneiro*; „bawełna” — *algodão*; „będę” — *serei*; „będą” — *serao*; „blisko” — *perto*; „brać” — *tomar*. Trudny język, nic a nic niepodobny ani do polskiego, ani do niemieckiego.

Ani trochę! — potwierdził markotnie Grzymała. — Daj go katu. No, ale czytaj dalej, będziemy się co dzień uczyli po dziesięć wyrazów, to w końcu zrozumiemy, co do nas gadają!

— „Dać” — *dar*; „brat” — *irmão*; „Brazylijczyk” — *Brasileiro*; „butelka” — *botelia* się wymawia, ale pisze się *botelha*!

— Nareszcie choć jedno słowo, co je łatwo zapamiętać! — zawołał radośnie chłopak. — A może więcej takich wynajdziesz w tej książeczce?

Mrocki szukał i istotnie znalazł.

— „Czekolada” — *chocolate*; „gardło” — *garganta*. Początek chociaż podobny. „List” — *carta*. I to podobne cokolwiek! „Lampa” — *lampada*. Dobrze i to! „Polak” — *Polaco*.

Lekcja ta trwała, dopóki wszyscy nie pokładli się spać z węzełkami pod głową na trawie, którą przyprószono liśćmi narwanymi z drzew sąsiednich.

Ta pierwsza noc spędzona w głębi Brazylii, na gołej ziemi, dała się porządnie we znaki naszym emigrantom.

Wilgotne powietrze do tego stopnia oziębiło się, że dreszcz przejmował wszystkich, nie wyłączając nawet Murzynów i Mulatów, urodzonych tutaj. Przy tym unosiły się w powietrzu krocie much, komarów, moskitów i innych owadów, które, nie bacząc na dym z ognisk, rzuciły się żarłocznie na ludzi i piły ich krew. Sobiesław i jego towarzysz nie zmrużyli nawet oka klnąc, na czym świat stoi, Brazylię i jej skrzydlatych mieszkańców. Ale nie dość na tym, i po ziemi łaziły jakieś nieznane owady: wielkie mrówki, które kąsały tak silnie, że wyrwały swoimi szczękami kawałki skóry z powierzchni ciała. Z rano tryskała krew.

— Słyszałem o mrówkach brazylijskich, ale nie miałem pojęcia, jakie to bestie! — narzekał Grzymała. — Toż one mogłyby człowieka żywcem pożreć, jeśliby się nie ruszał.

— Ojoj! — potwierdził Mrocki znękanym głosem.

Kiedy nareszcie słońce wzeszło, nasi dwaj towarzysze wyglądali jak dwa nieboskie

stworzenia. Twarze mieli popuchnięte od komarów i mustyków, ręce pogryzione. Murzyni też ucierpieli, ale nie w tym stopniu, przyzwyczajeni snadź bardziej do tej plagi. Podsycono ogniska, uwarzono na śniadanie czarną fasolę i supę z mąki kukurydzowej. Po tym skromnym posiłku Pedro uszykował swoich ludzi w jeden długi szereg, policzył i ruszono trawiastą równiną, z rzadka porośniętą drzewami, w zachodnim kierunku.

Nikt nie wiedział, gdzie leży plantacja.

Przez cały dzień wędrowano równiną porośłą drzewami; na nocleg rozłożono się pod gołym niebem, Mrocki i Grzymała rozpalili sobie osobne ognisko cokolwiek na uboczu i, korzystając z przyjemnego chłodu wieczornego, gwarzyli do północy.

— Zrobiliśmy ze trzydzieści kilometrów — rzekł Sobiesław — lecz plantacji nie widać. Oszukali nas ci agenci, nie ma co gadać. Spodziewam się jednak, że to nasz ostatni taki podły nocleg, że jutro staniemy już na miejscu.

Grzymała poskrobał się w głowę.

— Bóg to raczy wiedzieć — rzekł markotnie.

O wschodzie słońca zbudzono wszystkich i znów minął cały dzień w podróży. Ale równina ustąpiła miejsca lasowi, który stawał się coraz gęściejszy i starszy.

Trudno się było przez niego przedzierać zarośniętą drożyną. Na przodzie kroczył olbrzymi Mulat z tak zwaną „maczetą”, czyli szeroką szablą, i torował drogę posuwającym się za nim.

Ostre trawy, cierniste krzewy raniły wędrowców nawet poprzez odzież. Podnosiły się tu i ówdzie narzekania, ale Pedro udawał, że ich nie słyszy. Szedł nic nie mówiąc, od czasu tylko do czasu rzucał spode łba spojrzenia na szemrzącego, jakby chciał sobie zapamiętać jego fizjonomię.

Miał do pomocy dwóch, równie jak on barczystych Murzynów, którzy ślepo wypełniali jego rozkazy.

Inni zrozumieli, że ta trójka ma siłę, i nie odważali się zbytnio wyrzekać...

Kiedy jednak trzeciego dnia wędrowka leśnymi drogami nie skończyła się, kiedy robotnicy byli wyczerpani, niezadowolenie podniosło się tak, że się niemal zamieniło w bunt otwarty.

Dał do tego właściwie powód Grzymała, w którym siedziała twarda dusza i zaciętość prawdziwie chłopska.

O samym świcie Pedro, jak zwykle, zaczął budzić śpiących nie zadając sobie wielkiego trudu i nie zachowując żadnych ceremonii. Kto nie zerwał się na jego wołanie, tego kopał z całych sił nogą.

Tak samo postąpił z Grzymałą; ale trafiła kosa na kamień. Witold podniósł się, przystąpił do Mulata i pięść żyłastą podsunął mu pod sam nos. Był to gest aż nadto zrozumiały. Mulat w odpowiedzi palnął Grzymałę w kark; ten rzucił się na przeciwnika jak buhaj rozwścieczony, ale zanim zdążył uderzyć, dwaj murzyni, którzy pełnili, jak widać, obowiązki pomocników Mulata, w jednej chwili obezwładnili Grzymałę, powalili go na ziemię i chcieli bić, widząc jednak nadbiegającego Mrockiego i innych robotników dali spokój. Tylko Pedro chlasnął Grzymałę, leżącego na ziemi, biczem z bawolej skóry, znacząc mu krwawą pręgę na ciele.

Robotnicy, zarówno biali jak i czarni, głośno wykrzykiwali jakieś gniewne słowa. Oczy ich groźnie patrzyły na Pedra.

Grzymała, wypuszczony z rąk oprawców, nie przestawał wymyślać od serca Mulatowi...

Sobiesław przyłożył towarzyszowi na krwawą pręgę gałganek zmoczony w wodzie.

Jednak Pedro niewiele sobie robił z oburzenia robotników. Wywijając długim biczem, kazał szykować się do dalszej drogi, a jego czerwone oczy i ponura twarz świadczyły, że opornych czeka niemiłosierna chłosta.

Cóż było robić? Grzymała stanął w szeregu z innymi, ale spojrzenia, jakie rzucał na Mulata, źle wróżyły o przyszłości.

Odtąd Grzymała i Mrocki trzymali się razem, nie odstępując od siebie na krok.

— Nie obawiaj się, będę cię bronił w razie czego — rzekł Mrocki na pociechę towarzyszowi. — We dwóch zawsze raźniej.

— A masz ty jaką broń? — zagadnął Witold.

— Nie mam żadnej prócz noża — odparł Mrocki po chwilowym wahaniu.

— A ja mam — odrzekł z triumfem Witold. — Tylko schowana w węzełku i nie mogłem jej wyjąć w porę. Inaczej, nie ręczę, czybym tego hultaja nie wyprawił w pasji ostatniej na tamten świat.

— Bój się Boga, co za myśli przychodzą ci do głowy! — zawołał Sobiesław.

Mrocki czuł, że i on nie zniósłby podobnego traktowania, ale miał sobie za obowiązek nie podsycać zaciętości w swoim towarzyszcu. Zamilkł jednak, a potem, dla poprawienia swojej opinii u kolegi, dodał:

— W każdym razie licz na mnie, że cię nie dam skrzywdzić.

— Niech mnie spróbuje jeszcze dotknąć! — mruczał Grzymała.

Zaraz na następnym postoju Mrocki widział, jak jego zacięty towarzysz cichaczem wydobył z tłumoczek mały mauzer kieszonkowy, nabił go starannie i wsunął do kieszeni.

„Nie jesteśmy przynajmniej bezbroni” — pomyślał sobie Mrocki z zadowoleniem.

Ten pochód przez bagnisty las, zarośniętymi ścieżkami, trwał nie mniej, nie więcej niż pięć dni. Nareszcie, kiedy partia robotników była zupełnie wyczerpana uciążliwym marszem, zatrzymano się na niedawno wykarczowanym polu, gdzie rosło mnóstwo krzewów, na parę łokci wysokich, pokrytych owocami wielkości wiśni.

Była to owa plantacja kawy.

Pedro stanął przed domem zbudowanym z grubych pni, zaledwie po wierzchu ociosanych, uszykował partię, sam zaś z wielkim szacunkiem zameldował Murzynowi, stojącemu u drzwi, o swoim przybyciu.

Upłynął dobry kwadrans, zanim z wnętrza wyszedł właściciel plantacji, Brazylijczyk, Kreol, i bystrym wzrokiem ogarnął przybyłych.

Przegląd ten wypadł snadź dobrze, bo plantator poklepał po ramieniu Pedra, mile uśmiechającego się, potem policzył zwerbowanych ludzi, a widząc, że są zdrowi i po większej części silni, zadowolił się obejrzeniem ich z daleka; nie przemówił do nikogo ani słowa i zniknął w sieni z dwoma olbrzymimi brytanami, które miały na potężnych pyskach żelazne kagańce i wodziły dokoła siebie czerwonymi, krwią zaszłymi ślepiami.

Pedro śmiał się, snadź przyjęcie ze strony plantatora wprawiło go w dobry humor. Dał znak i Murzyni poszli za nim.

O paręset kroków od domu stało kilkanaście niedbale skleconych z gałęzi i krytych liśćmi palmowymi szałasów, dokoła których leżały stosy nie uprzątniętych śmieci.

Były to pomieszczenia dla robotników.

W tej chwili jednak ludzie znajdowali się zapewne przy robocie, tylko kilkoro zupełnie nagich dzieci na widok obcych uciekło pędem i schroniło się w krzewach pobliskich.

— To ma być nasze mieszkanie?! — zawołał Mrocki ujrzawszy brudne szałas.

— Toż to kurniki! — dodał Witold.

Ale oburzenie obu naszych emigrantów wzrosło jeszcze, kiedy weszli do wnętrza. Było tam zupełnie pusto, na ziemi leżało trochę brudnych szmat, cuchnących z daleka; kilka nędżnych, potłuczonych naczyń gospodarskich i innych niezbędnych sprzętów walało się na gołej ziemi. Wszędzie uderzało przybysza niechlujstwo i nędza najgorszego gatunku.

Mrockiego chciał Pedro rozdzielić z Grzymałą, ale ten energicznymi gestami dał do zrozumienia, że ani słyszeć nie chce o rozłące. Musiano więc umieścić ich w jednym szałasie, chociaż nie najlepszym.

— Bodaj ich lichy wzięło! — narzekał dalej Grzymała. — Toż psy u nas lepsze budy mają. Całe szczęście, że tu mrozów nie ma. A tak to może jeszcze nie przyjdzie najgorsza bieda na nas. Zaraz ja się wezmę i trochę porządku tu zrobię.

I rzeczywiście, zamiast spoczywać, wziął się do roboty. Czysto zamiótł szałas, wyrzucił daleko śmiecie, narwał świeżej trawy na podściółkę, jak się wyrażał, i w parę godzin obaj, wspólnymi siłami, urządzili się jako tako w szałasie, potem dopiero wypoczęli.

ROZDZIAŁ XI

NA PLANTACJI KAWY

Nasi wychodźcy nie wiedzieli jeszcze, jakiego rodzaju pracy będą od nich żądali. Witold spodziewał się, że przy kawie nie ma więcej zachodu niż przy burakach; Mrocki zaś nie miał po prostu żadnego pojęcia o tym, co go czekało. Był jednak pełen dobrej woli i zapału, pochlebiając sobie, że w potrzebie nie da się innym ubiec w robocie.

Jakoż niedługo czekał na próbę swoich sił.

Na drugi dzień po przybyciu, wieczorem, zawiadomił go Pedro, który odgrywał na plantacji rolę karbowego, że skoro świt, musi iść z Witoldem i z kilku jeszcze innymi karczować puszcę pod plantację, którą zamierzono znacznie rozszerzyć.

Robotników przeznaczonych do tego wypędzono w puszcę, wydano im ostre topory i kazano przygotować ziemię pod kawowe drzewka, które miano niebawem zasadzać.

Okolica, w której leżała plantacja, była jeszcze mało zamieszкана i przeważnie pokryta starą puszcą podzwrotnikową. Pod uprawę krzewu kawowego Arellana zajął kilkanaście hektarów, ale zamierzał rozszerzyć swoje plantacje, gdyż, jak chodziły pogłoski, miano przedłużyć najbliższą linię kolejową i wówczas transport towaru nie nastęrczałby takiej trudności jak obecnie, kiedy trzeba go było wywozić wielkimi dwukołowymi arbami zaprzęgniętymi w sześć par wołów albo koni.

Plantator posiadał znaczne przestrzenie, ale rosła na nich, jak rzekliśmy, stara puszcza.

Składała się ona z olbrzymich, nie znanych Mrockiemu drzew.

W wyścigu do słońca wybijały tak, iż najwyższe sosny polskie wyglądałyby przy nich jak karty. Ale nie stały one luźno, gdyż podszycie lasu stanowiły różnorakie krzewy, tak gęste, że bez maczety nie podobna się było przez nie przedrzeć. Prócz tego z gałęzi zwieszały się niezliczone pnącza tworząc gęstą siatkę. Jeżelibyś ściał jedno drzewo, to by się nie przewróciło, gdyż konary jego, splecione z sąsiadami, uniemożliwiały upadek, a pnie drzew były nieraz tak grube, że kilkunastu ludzi, wzięwszy się za ręce, z trudnością je obejmowało.

Taką to puszcę mieli trzebić sprowadzeni robotnicy, żeby przygotować grunt do sadzenia młodych drzewek kawowych.

Praca to była niezmiernie uciążliwa. Kilkunastu robotników otaczało olbrzymia i ze wszystkich stron równocześnie walili ostrymi toporami w pień.

Takie podcinanie kolosa trwało nieraz cały dzień. Potem zabierano się do sąsiedniego. Roboty miała dokończyć najbliższa nawałnica. Wicher porывał za łby podrabane kolosy i targał je.

Wówczas drzewa zaczynały walić się z łomotem, pociągając się wzajemnie. Puszcza zamieniała się w stos nieprzenikniony drzewa, które szybko wysychało w promieniach podzwrotnikowego słońca. Cenniejsze gatunki z wielkim trudem piłowano na kłody i wywłóczono końmi albo wołami. Pospolitsze zaś oddawano na pastwę ognia, który obracał je w ciągu kilku godzin w warstwę gorącego popiołu, mającego użyźnić ogołoconą ziemię. Grubsze pnie

opierały się jednak żywiolowi i leżały długo, wyciągając swe osmalone konary rozpaczliwie w górę.

Upał dzienny, dochodzący do pięćdziesięciu stopni, wyczerpywał ogromnie siły robotników. Ale mieli oni do czynienia i z innymi wrogami: w puszczy roiło się od moskitów, komarów i innych owadów, które rzucały się żarłocznie na ludzi i piły z nich krew nielitościwie. Mrocki i jego towarzysz mieli popuchnięte twarze, karki i szyje, opędzali się, jak mogli, ale nie na wiele się to zdało.

W kilka dni, może w tydzień po przybyciu, Sobiesław, korzystając z wolnego dnia, poszedł oglądać plantację; zajmowało go bowiem, w jaki sposób przyrządzają ziarna dające powszechnie ulubiony napój.

Drzewko kawowe, mające mniej więcej dwa metry wysokości, już w dwa lata po zasadzeniu zaczyna wydawać owoc wielkości naszej wiśni. Ponieważ zaś kwitnie przez osiem miesięcy, widział więc Mrocki na plantacji drzewka pokryte już to dojrzałymi, już to dojrzewającymi dopiero owocami. Zbierano je podobno trzy razy do roku, ale pracy plantacja wymagała wiele i ciągłej. Dużo czasu zajmowało okopywanie drzewek i pielenie bujnie pleniących się chwastów.

Dwaj towarzysze, którzy teraz nie rozstawali się prawie ze sobą, z ciekawością oglądali urządzenia plantacyjne. Zbiór kawy miał się rozpocząć za kilka dni, ale próbną partię owoców już zerwano. Macerowano je w wodzie, potem, wilgotne, rozcierano na walcach; mięksiz owoców przez mycie w sitach oddzielano od ziarna, które w końcu suszono. Pracę tę od pewnego czasu wykonywano jednak za pomocą niedawno zakupionych maszyn. Walce blaszane o powierzchni chropowatej, obracając się, miażdżyły owoce wiśniowej barwy. Masa dostawała się do bębna z otworami, przez które ziarna wlatywały do dużego dołu z wodą. Tutaj mieszano je przez kilka godzin, rozrzucono na ziemi i suszono na słońcu przez kilkanaście dni. Potem specjalnie zbudowane młyny oddzielały skórkę od ziarna, które szło do mechanicznych sortowników. Na ostatku polerowano kawę w kręcących się bębnach.

Przy wszystkich maszynach pracowali czarni, pod dozorem Mulatów albo Metysów, którzy za najmniejsze przeoczenie chłotali niemiłosiernie robotników, jak za czasów niewolnictwa. Zdarzało się, że taki prześladowany robotnik próbował ucieczki.

Murzyni opowiadali sobie dreszczem przejmujące historie o towarzyszach, którzy uciekali z plantacji.

Mrocki dowiedział się od nich oburzających rzeczy. Olbrzymie brytany, które z łatwością mogły rozerwać na kawałki najsilniejszego człowieka, były sprowadzone i trzymane na plantacji nie tyle dla zabezpieczenia jej od złodziejów, bo tych w puszczy nie ma, ile dla utrzymania w karbach czarnych, a głównie do tropienia zbiegów.

Skoro tylko plantator dowiedział się o zniknięciu któregoś z zakontraktowanych robotników, których widocznie uważał za swoich terminowych niewolników, natychmiast wypuszczał za nimi w trop dwa straszne brytany i dwóch dozorców.

Szli oni z psami w las i polowali na czarnych jak na dzikie zwierzęta. Zwykle tego samego dnia Murzyn, który nie mógł znieść nieludzkiego obejścia się z nim na plantacji, gdzie nie żałowano plag za najłżejsze nawet wykroczenie, był dostawiany z powrotem Pedrowi. Ten nie wdawał się nigdy w perswazje, jedyną jego mową był świst rzemieennego bata.

Za ucieczkę wymierzano sto plag; po takim „napomnieniu” zbieg nie mógł zwykle przez tydzień podnieść się z barłogu, i to skutkowało. Pomimo prawdziwego znęcania się nad robotnikami, ucieczki nie zdarzały się często. Byli i tacy robotnicy, którym kontrakt skończył się od paru lat, a jednak siedzieli i pracowali dla Arellany; ten zaś wyzyskiwał ich niemiłosiernie.

Wędrowka po plantacji przygnębiła obu przyjaciół. Zrozumieli, jak trudno będzie wytrzymać tutaj cały rok. Z ciężkim sercem szli nazajutrz do pracy. Tymczasem czekały ich nowe przykre doświadczenia. Pedro, pamiętając wrogie zachowanie się względem niego

Grzymały, dokuczał mu, jak tylko mógł. Zamiast dać mu robotę przy samej plantacji, wysłał go razem z Mrockim do puszczy, gdzie nasi przyjaciele musieli „fojsą”, czyli zakrzywionym tasakiem, osadzonym na długim drzewcu, wycinać zarośla.

Żyli więc przez parę tygodni jak robinsonowie, nie widząc całymi dniami otwartego nieba ponad sobą.

Z początku Witold srodze narzekał na takie życie, ale może by się z nim pogodził, gdyby nie nowe pretensje i nowe prześladowania ze strony Pedra.

Pewnego dnia Witold, pomimo ostrzeżeń, nie dopatrywał, że w lesie przeznaczonym do wykarczowania rosną drzewka herwy, czyli herbaty paragwajskiej, i powycinał je przez nieuwagę.

Na jego usprawiedliwienie należy powiedzieć, że nie znał się dobrze na roślinach brazylijskich, nie umiał odróżnić herwy od innych krzaków, nie był więc właściwie winien. Ale Pedro, ujrawszy porąbaną herwę, wpadł w złość wielką i zaczął lżyć biednego chłopca. Było to podczas siesty południowej; wszyscy robotnicy leżeli w cieniu drzew; tylko Mrocki, nie mogąc się jeszcze przyzwyczaić do drzemki, czuwał rozmawiając z towarzyszem.

Wymysły i pogrożki Mulata, które już, dzięki nauce portugalskiego języka, rozumiał piąte przez dziesiąte, wielce go oburzyły. Podniósł się więc z ziemi przeczuwając, że się ta cała historia może źle skończyć.

Jakoż Kujawiak, zadzierzysty, jak zwykle, nie mógł wytrzymać, ale tą samą monetą zapłacił dozorcę. Pedro nie śmiał już wprowadzić bić buntowniczego chłopaka, lecz nawygrażał mu okropnie i oznajmił, że mu nie wypłaci całotygodniowego zarobku za wyrządzoną plantacji szkodę i że poskarży się przed samym don Arellaną.

Grzymała nic sobie nie robił z tych pogrózek.

— Nie boję się i samego plantatora — rzekł do Mrockiego, kiedy Pedro poszedł. — Jeżeli mi nie zapłacą, to mnie popamiętają. Alboż to ja tutejszy, żebym wiedział, jakie to krzaki i że ta ich herwa coś warta?

Wieczorem, wróciwszy do domu, nasi dwaj przyjaciele siedzieli w chatce zasępieni.

— Ja już dawno myślę, jakby drapnąć, ale drogi nie znamy i pieniędzy mało — rzekł Grzymała. — Niech tylko uciułam kilkanaście milrejsów, to mnie tutaj nie będą oglądali długo.

— Nie tak to łatwo uciec! — rzekł Sobiesław zamyślając się. — Wpadliśmy w pułapkę!

ROZDZIAŁ XII

NA PLANTACJACH BRAZYLIJSKICH

Estancja Arellany, Hiszpana z pochodzenia, obejmowała coś z tysiąc hektarów obszaru, z którego dopiero połowę zamieniono na plantacje. Prócz drzew kawowych uprawiano tu fasolę czarną, czyli fizon, i maniok, z którego wyrabiano mąkę, oraz kilka innych roślin dostarczających środków bytu robotnikom.

Pod przewodnictwem Metysa Witold i Sobiesław, wraz z trzema innymi robotnikami, rozłożyli się obozowiskiem pod czarnym, nieprzebytym murem odwiecznej puszczy, która miała ustąpić przed potęgą i energią człowieka.

Zaraz na początku nasi przyjaciele zaznali, co to ciężka praca pod piekącymi promieniami zwrotnikowego słońca. Dano im ostre siekiery, ciężkie noże do wycinania krzewów, czyli fakony, i polecono rąbać las.

Nie chcąc wracać na plantację, urządzili się jako tako na skraju puszczy. Cztery drągi na

krzyż wetknięte w ziemię i żerdź położona na nich stanowiły szkielet szałas, który pokryto dachem z liści palmowych. Dawało to jakieś takie schronienie przed niezbyt ulewnym deszczem i chłodem nocnym, który nieraz był dokuczliwy, gdyż właśnie panowała zima, czyli sucha pora roku, i w ciągu nocy zdarzały się nawet lekkie przymrozki.

Rano gotowano we wspólnym kociołku czarną fasolę i suszone mięso, co stanowiło główne pożywienie robotników, z małym dodatkiem kukurydzy, z której wypiekano niezdarne podpłomyki. Po śniadaniu, równo niemal ze świtem, żeby korzystać z porannego chłodu, przystępowano do pracy. Drwale otaczali wieńcem wyniosły pinior, imbuję, cedr, sasafran czy innego olbrzyma leśnego i wrąbali się zaciekle w pień, tak nieraz gruby, że w pięciu nie zdołano go objąć. Ostra stal zagłębiała się w drzewo i po paru godzinach odwieczny mieszkaniec puszczy walił się z łoskotem podobnym do gromu. Biada temu, kto znalazł się na drodze jego upadku! Ale dodani do pomocy naszym przyjaciołom Metysi byli to ludzie doświadczeni i obywało się bez nieszczęśliwego wypadku. Często olbrzym leśny, połączony siecią powojów i lian różnej grubości z sąsiadami, nie chciał się przewrócić, wówczas pozostawiano go w pozycji stojącej i brano się do innego. Zanim jednak dostąpiono do stuletniego drzewa, trzeba było fojsą wyciąć gęste zarośla tworzące podszycie leśne.

Natrafiono tu przede wszystkim na grubą, ostrą i gęstą trzcinę zwaną takuara, potem na różne kolczaste i tnące rośliny, z którymi walka była nieraz uciążliwa. Wicher robił od lat ciągle spustoszenia w prastarej puszczy, obalając nadpróchniałe drzewa, które potem gniły na ziemi okryte pasożytniczymi roślinami. Wewnątrz powalonych olbrzymów roiło się od wijów, stonóg, jaszczurek, larw, różnych owadów; trafiały się nawet węże, których Witold szczególnie nienawidził. Ale niebawem przekonano się, że jadowite węże, między którymi najgroźniejsze były żararaka i grzechotnik, uciekały na odgłos kroków ludzkich i uderzeń toporów w głąb puszczy, gdyż raz tylko w ciągu całego tygodnia Witold dojrzał jednego z nich, wygrzewającego się na słońcu, i zabił go fojsą. Ale dla bezpieczeństwa przyjaciele chodzili w butach z cholewami, chociaż Metysi bez obawy łazili boso. Umieli oni, jak Indianie, powonieniem rozpoznać bliskość żmii, a zresztą do wszystkiego można się przyzwyczaić.

W gęstwinie leśnej panował głęboki zmrok, gdyż słońce nie mogło przeszyć swymi ognistymi strzałami gęstego sklepienia zbudowanego przez naturę z koron przeróżnych drzew, pnących się na wyścigi jedno przez drugie do ożywczego światła dziennego. Pomimo to praca z toporem w ręku, w gorącej i dusznej atmosferze panującej w puszczy, była niezmiernie uciążliwa dla zamorskich przybyszów. Obaj zalewali się potem i dyszeli ciężko. Nieraz już o dziewiątej, po trzygodzinnej pracy, Sobiesław był tak znużony, że ledwie utrzymywał się na nogach. O dziesiątej promienie słońca padały już z góry, stawało się bardzo gorąco, więc udawano się na wypoczynek, który trwał długo, bo do czwartej po południu. Tylko Murzyni mogli pracować na takim upale. Gotowano przy ognisku obiad, który zwykle składał się z jednych i tych samych potraw z dodatkiem owoców leśnych albo jakiegoś małego zwierzątka upolowanego przy sposobności. Wieczorem siadano przy dużym ognisku i wciągano w piersi ożywczy chłód. Metysi śpiewali, grali albo opowiadali sobie różne wspomnienia i przygody. Nasi przyjaciele niewiele z tego rozumieli, więc gwarzyli o swoich kłopotach, dzieląc się doznanyymi w ciągu dnia wrażeniami.

Noc jednak nie przynosiła tak upragnionego spokoju. Na ludzi rzucały się bowiem chmary moskitów, komarów, bąków, które kąsały z taką zajadłością i natarczywością, że nawet gryzący dym ogniska nie zdołał utrzymać ich z dala. Oganianie się niewiele pomagało. Zabiłeś milion choćby, a tysiące milionów obsiadały ci twarz i ręce, kłując niemilosiernie. A ponieważ ukąszenia brazylijskich komarów są znacznie boleśniejsze od ukłuc naszych, więc oblicza nieprzyzwyczajonych do tej plagi zamieniały się wkrótce w jeden bąbel pałacy.

Metysi utrzymywali, że ta klęska stawała się jeszcze dokuczliwsza w ciągu gorącej pory roku; ale nasi przyjaciele i tak nie mogli wytrzymać. Klęli i drapali swędzące ciało ku wielkiej uciesze towarzyszy, na których ukąszenia nie wywierały już silnego wpływu. Wiado-

mo! Do wszystkiego może się człowiek przyzwyczać!

Na samej plantacji stanowczo komarów było mniej niż w puszczy; tak samo zresztą jak w Polsce.

Karczowanie puszczy postępowało nadzwyczaj powoli.

Kiedy już wytrzebiono spory kawał lasu, podkładano ogień pod pnie powalonych olbrzymów. Pnącza i gałęzie, wysuszone na wióry po upływie kilkunastu dni, płonęły jak pochodnie, sięgając nieba jaskrawymi, ognistymi jezorami i kłębami czarnego dymu.

Pozbawione dawnej podpory olbrzymy, które jeszcze stały, waliły się ciężko, tak iż ziemia drżała i rozlegał się huk podobny do grzmotu.

Ale nawet ogień nie zdołał strawić twardych pni i grubych konarów imbuj i drzew żelaznych, które sterczały w górę rozpaczliwie jak ramiona pobitych rycerzy, wołających do nieba o pomstę nad barbarzyńskim człowiekiem, co to ośmielił się podnieść rękę na odwieczną puszcę.

Po pożarze pozostawała kupa zgliszczy, popiołu i czarna ziemia, którą dziwnie szybko promienie słońca pozbawiały wilgoci. Tak zdobytą na puszczy połać rozgrzebywano sochą albo pługiem zaprzężonym w muły i niezwłocznie obsiewano fasolą, kukurydzą albo manioziem. Na przyszły rok miano sadzić tutaj młode drzewka kawowe, które po trzech latach mogły już przynosić plon obfity. W tym gorącym, urodzajnym, obfitującym w wilgoć kraju rośliny wyrastały z zadziwiającą energią. Jeżeliby zostawić taki wydarty puszczy szmat ziemi odłogiem, to po paru tygodniach zarastał go nieprzebyty gąszcz krzewów zamieszkały liczenie przez jadowite żmije.

Nasi przyjaciele czuli się ustawicznie tak zmęczeni, że natychmiast po skończeniu dziennej pracy kładli się w szałasach, przykrywali nędznymi, starymi ponchami *, zasypiali snem kamiennym i siłą trzeba ich było budzić na wieczór. Ręce mieli popuchnięte, twarze czerwone i swędzące od ukąszeń, na domiar złego zakradły się im pod paznokcie pchły ziemne. Maluśkie te owady składają tam właśnie swe jajeczka. Palec zaczyna boleć, pod paznokciem tworzy się pęcherzyk: jeżeli go nie wyciąć zawczasu, to rana się gnoi, a zaniedbana może doprowadzić do utraty palca. Metysi zrobili obu towarzyszom bolesną operację oczyszczenia zajętych paznokci, po czym nogi wróciły do normalnego stanu. Nauczonymi doświadczeniem biali przybysze odtąd co dzień oglądali sobie wzajemnie nogi, żeby się ustrzec tej plagi. Jeśli w porę wyjmie się odwłok pchełki, to wizyta jej nie pociąga za sobą żadnych poważnych następstw.

Nie ma też cierpieli od bąków, które zapuszczały długie szpikulce w grzbiet ludzki, wysysając łakomie krew z rany. Ale najbardziej uprzykrzone były chyba drobne jak mak mustyki. Kilka z nich, zakradłszy się pod siatkę ochronną, może człowieka w ciągu nocy doprowadzić do prawdziwej rozpaczki.

Te wszystkie dolegliwości, nieodłączne od przebywania w puszczy, zupełnie obmierzły żywot naszym przyjaciołom. Z utęsknieniem oczekiwano niedzieli, która była dniem nie tylko wypoczynku, ale i rozrywki. Poświęcano ją na konne wycieczki w najbliższe okolice. W Brazylii wierzchowce są bardzo tanie, nie odmawiano ich więc robotnikom na plantacji. Witold tedy albo sam, albo w towarzystwie Sobiesława wyruszał o świcie, krążąc po okolicy.

Niebawem przekonano się, że plantacja Arellany nie była samotna. Znajdowało się ich kilka w promieniu dziesięciu kilometrów. Uprawiano na nich nie tylko kawę, ale bawełnę, trzcinę cukrową i drzewa pomarańczowe.

Większe fazendy, czyli folwarki, były dość dobrze zaludnione, przeważnie Metysami, Mulatami i Murzynami. Białych nie widziano prawie zupełnie.

Nasi przyjaciele odwiedzali napotykaną fazendę mając nadzieję, że znajdą dla siebie łatwiejsze i korzystniejsze zajęcie. Rozpytywali więc, ale na razie daremnie; wszędzie chętniej

* Poncho (czyt.: ponczo) — płaszcz zrobiony z derki podwójnie złożonej używany w Ameryce Południowej.

widziano zaaklimatyzowanych, miejscowych robotników niż białych imigrantów.

Na jednej z plantacji mieszkał dozorca Metys z żoną. Nasi przyjaciele byli częstymi gośćmi w jego domu, gdzie ich zawsze życzliwie witano.

Pewnej niedzieli, po długiej rozmowie z Metysem, Witold nachylił się tajemniczo do ucha kolegi:

— Chłopisko pocziwie obiecał nam sprzedać broń. Dostaniemy po karabinie wojskowym każdy, z nabojami, a jakże. Trzeba będzie oddać za to nasz cały dwutygodniowy zarobek, ale bez broni się nie obejdiesz, zwłaszcza jak będziemy stąd urządzali nura.

Na przyszłą niedzielę pojedziemy do niego, karabiny będą na nas czekały. Nie taki to wielki tutaj rarytas; każdy niemal Brazylijczyk ma broń i jak wybuchnie jaka wojna albo rewolucja, to siada na konia i zamienia się w żołnierza w trzy pacierze. Więc karabinów tu co niemiara i nie za bardzo drogie. Ale ciągle trzeba je czyścić, bo inaczej w tydzień na nic zardzewieją, taka tu wilgoć w powietrzu.

— Więc naprawdę myślisz dać stąd drapaką?

— A cóż, nic innego nie można zrobić. Długo tu przecież nie wytrzymamy. Czy to my gdzie indziej nie dostaniemy roboty?

Mrocki musiał przyznać słuszność towarzyszowi.

Po cichu więc układano plany ucieczki z plantacji.

Ale postanowiono przygotować się do niej, bo jak wiadomo z doświadczenia, do kolei był kawał drogi przez puszcę, w dodatku Arellana, któremu ciągle brakowało ludzi, na pewno będzie tropił dezerterów i postara się ich choćby przemocą odstawić na powrót do swej plantacji.

— Nikt nie powinien się nawet domyślać, co knujemy — mówił Witold. — Przyznam ci się, że się boję tego Hiszpana. Co dla niego znaczy człowieka zabić? Tyle co splunąć. Trzeba ostrożnie!

— Dokąd się mamy udać? — wymawiał się Mrocki. — Kraju nie znamy, jeszcze gdzie zblądzimy.

— Ten stan, co w nim jesteśmy, to ponoć jeden z najbogatszych; plantacji kawowych w nim co niemiara, zwłaszcza bliżej ku morzu. Robotę wszędzie znajdziemy, tu zaś marnie zginiemy. Przyznam ci się, że już zmarniał okrutnie przy tym karczowaniu puszczy! Ledwie kości w sobie czuję! Powiadają, że nic gorszego w Brazylii nie ma!

Witold, którego rozpieęła niepożyta energia chłopska, pociągał towarzysza. Mrocki zgodził się w końcu i rozpoczęto przygotowania do ucieczki z plantacji. W najbliższą niedzielę nasi dwaj przyjaciele poprosili o konie, które dano im bez trudności na cały dzień.

Okazało się jednak, że konie miały obrzydliwy chód. Były to tak zwane andadory, nie mające ani porządnego kłusa, ani galopu, i trzęsły niemiłosiernie. Ponieważ nie było w dodatku sodeł, więc przywiązano do kościstych grzbietów surowymi rzemieniami stare płaszcze i ruszono w drogę.

Poprzez najbliższe lasy prowadziła przetarta ścieżka, tak iż nie potrzebowano uciekać się do maczety i posuwano się dość szybko.

Jeszcze przed dziesiątą, kiedy zaczyna się największy upał, dotarto do celu podróży.

Metys przyjął ich obiadem zastawionym w cieniu drzewek pomarańczowych. Obiad był wyśmienity. Składał się z gotowanej kury, pieczonych słodkich kartofli, placków z mąki kukurydzowej, jakichś słodkich ciasteczek, owoców podzwrotnikowych, z których najlepiej smakowały Mrockiemu mango i ananasy, z doskonałej kawy czarnej i cygar wcale nienajgorszych. Za napitek służyła krajowa, niezbyt dobra wódka, pędzona z trzciny cukrowej, i woda z sokiem pomarańczowym, która doskonale gasiła pragnienie. Osnową jednak posiłku była czarna fasola, którą Brazylijczycy bardzo lubią i jadają trzy razy dziennie.

Przy rozmowie łamaną portugalszczyzną upływały szybko godziny. Ale Grzymała,

któremu pilno było do karabinów, wszczął wywiad co do drogi, jaką należałoby się udać, żeby dotrzeć do stacji kolejowej.

Kabokl * wskazał mu kierunek, ale ostrzegł, że do stacji jest przeszło sto kilometrów dość kiepskimi ścieżkami leśnymi, po których kilka razy zaledwie do roku jeżdżą arby albo chodzą muły obładowane kawą.

O czwartej, skoro upał stał się mniej uciążliwy, Witold zaczął zbierać się do powrotu. Kiedy nasi przyjaciele mieli już siadać na koń, kabokl z tajemniczą miną zaprowadził ich pod dach swej lepianki i spod stosu liści wydobył dwa wojskowe karabiny w dobrym stanie, choć mocno zardzewiałe, dwa pasy pełne nabojów i wręczył to wszystko białym, wziąwszy kilkadziesiąt milrejsów.

Nasi przyjaciele chętnie wypłacili tę dość dużą na ich środki sumę ciesząc się, że są wreszcie uzbrojeni, więc do pewnego stopnia niezależni. Podziękowali kaboklowi, pożegnali się uprzejmie z jego żoną i zapowiedzieli, że niebawem odwiedzą ich znowu.

Powracano w doskonałych humorach. Była już noc, kiedy znaleziono się na plantacji Arellany. Zamiast zaraz oddać konie, pojechano na porębę, żeby starannie ukryć nabytą broń.

Od tej chwili przygotowania do ucieczki postępowały szybko, bo Grzymała lubił swoje zamiary wykonywać bez straty czasu.

ROZDZIAŁ XIII

UCIECZKA Z PLANTACJI

Chociaż Witold stał twardo przy swoim projekcie porzucenia plantacji, Mrocki miał duże wątpliwości co do możliwości jego urzeczywistnienia. Przekładał więc towarzyszowi trudności, jakie stanąć mogły im na drodze.

— Kraju nie znamy, żadnej mapy nie mamy, wiadomo nam tylko, że do kolei szmat drogi, a w tę stronę uciekać nie należy, bo na pewno nas dogonią, złapią i obiją albo do więzienia wsadzą za złamanie umowy. Poza tym nie damy sobie sami rady w lesie albo natrafimy na źle usposobione dla białych plemię indiańskie, które może nas zamordować, i nikt nie będzie wiedział do końca świata, co się z nami stało. Ot, kamień w wodę i kwita.

Ale Kujawiak miał swój rozum chłopski.

— Kraju nie znamy, ale i tu są ludzie, więc się zapytamy. Jak nie do tej stacji, to do innej koniec końców trafimy, grosza trochę jest, więc nawet może do Rio dojedziemy, ale po drodze będziemy pytać o robotę. Ja tu za nic w świecie dłużej nie zostanę. Już tego Bułgara febra trzęsie, a nas jutro, pojutrze w swoje szpony chwyci, a z tego choróbska biały niełatwo się wylize. Z Pedrem jestem, jak wiesz, na noże. Więc nie masz inszej rady, jak wiać w świat szeroki. Idziemy w przyszłym tygodniu, szykuj się, Mrocki!

— A żywność?

— Będziemy polowali, w lesie zwierzyny nie brak, a i na niektórych owocach się poznałem.

— Karabiny to nie dubeltówki, trzeba śrutu.

— To się ustrzeli coś większego, na przykład dziką świnię.

Sobiesław widział, że ma do wyboru albo puścić samego Witolda i narazić go na większe niebezpieczeństwo, albo iść z nim razem w tę wędrówkę po dzikim i obcym kraju; wybrał więc koniec końców do drugie.

* Kabokl — chłop brazylijski.

Nie dowierając jednak zdolnościom myśliwskim Kujawiaka, kupił na drogę woreczek czarnej fasoli, mąki maniokowej, kukurydzy i trochę suszonego mięsa wołowego.

Przygotowywano się w wielkiej tajemnicy, obawiano się bowiem, żeby ich z poręby nie odesłano na plantację i nie strzeżono bacznie. Nasi przyjaciele wiedzieli, że plantatorzy mają do rozporządzenia policję konną, która na ich żądanie tropi i sprowadza zbiegów. Patrol wieczorem i nad ranem objeżdżał pobliskie okolice. Trzeba więc było czekać, aż wróci z objazdu, i dopiero wówczas puścić się w drogę.

Kujawiak miał zamiar zabrać konia, ale Mrocki stanowczo nie zgodził się na to.

— Konie są własnością Arellany, więc wyszlibyśmy na złodziejów. Gdyby nas po takim przywłaszczeniu pochwycono, kto wie, czy nie wsadzono by nas potem do więzienia. Wolę piechotą zmykać, niż nieuczciwie postąpić. A pieniędzy na kupno wierzchowców nie ma.

Stało tedy, że ucieczka będzie się odbywała pieszo. Zwiększało to niebezpieczeństwo ujęcia, więc chcąc go uniknąć nasi przyjaciele postanowili puścić się na wielce ryzykowne przedsięwzięcie, to jest udać się w przeciwną stronę przez puszcę i dopiero, uszedłszy kilkanaście kilometrów wertepami, odszukać drogę do stacji. Mrocki musiał się, choć niechętnie, zgodzić na tę włóczęgę, która narażała go nie tylko na zęby psów Arellany, ale także na zbłądzenie w puszczy. Mimo wszystko wyruszając nasi przyjaciele nie byli zdolni dobrze ocenić wszystkich trudności, gdyż za mało znali brazylijskie lasy.

Mrocki uznał tylko za stosowne zaopatrzyć się w fojsę do wycinania ścieżki w lesie.

Ostatni tydzień na porębie dał się im porządnie we znaki. Nocami było zimno nawet przy ognisku. W dodatku natrafiano na gatunki niezmiernie twardych, żelaznych drzew, o które siekiera się tępiła. Przyjechał do nich Pedro na przegląd i omal nie przyszło do wielkiej zwady z Witoldem, któremu dozorca zarzucił zupełnie niesłusznie niedbalstwo w pracy. Ale Kujawiak ścisnął jeno pięści i zaklął po polsku, wstrzymując całą siłą woli chętkę wygarbowania skóry Mulatowi, który zresztą był uzbrojony w olbrzymi rewolwer.

Była to sobota. Na ucieczkę obrano sobie niedzielę, licząc na to, że ludzie na plantacji popiją się „kaszą”, czyli wódką miejscowego wyrobu, i Arellana nie będzie mógł liczyć na ich pomoc.

Pogoda zrobiła się nieco cieplejsza. Nasi przyjaciele zawczasu przenieśli do lasu i ukryli żywność. Rankiem w niedzielę oświadczyli, że, jak zwykle, udają się w odwiedziny na sąsiednią plantację.

Zamiast jednali do kabokla, skierowali się do swej kryjówki w lesie, zarzucili na ramię karabiny, przepasali się rzemieniami, do których przytroczyli woreczki z żywnością, i odważnie zapuścili się w puszcę obierając kierunek na zachód.

Witold szedł przodem, wymachując ostrą i ciężką fojsą osadzoną na mocnym i długim toporzysku; za nim posuwał się Mrocki.

Wnet jednak nasi przyjaciele przekonali się, że takie przerąbywanie się przez zwarty gąszcz krzewów, trzciny, takuary i kolczastych roślin jest niezmiernie uciążliwe, a co gorsza — bardzo powolne. W ciągu godziny posunięto się zaledwie o pół kilometra. Zniechęcony tak nikłym rezultatem Witold zawrócił na wydeptaną ścieżkę, którą szli obaj szybko, aby jak najbardziej oddalić się od plantacji. Dopiero na jakieś dwie godziny przed zachodem słońca porzucono utartą dróżkę i zagłębiono się znowu w las. Dla zmylenia pogoni włożono do napotykanych strumieni i, brodząc w grząskim mule, wędrowano wytrwale, póki się dało. Ale taka podróż po wodzie miała swoje złe strony, jak się niebawem przekonał Witold. Raz natrafiono na aligatora, który wyglądał jak pień zbutwiełego drzewa. Bestia już rzuciła się na Witolda i byłaby go zapewne chwyciła w potężne zębiska, gdyby nie celny strzał Mrockiego.

Ta przygoda zniechęciła naszych przyjaciół do wody i wypędziła ich znów na stały grunt. Zdołano zmylić psom ślady, o co Witoldowi najbardziej chodziło.

Pod zwrotnikami noc robi się nagle, nasi przyjaciele na pół godziny przed zachodem

słońca obrali sobie nad brzegiem strumienia dogodne miejsce do noclegu.

Z trudem rozpalono ognisko, zawieszono nad nim kociołek i uwarzono fasoli z mięsem, potem, umówiwszy się co do zmiany wart, przygotowano mizerny szałas z trzciny i liści na nocleg.

Pierwszy położył się Mrocki, ale nie mógł zasnąć. Po zapadnięciu ciemności pusta na pozór puszcza ożywiła się nagle jak za skinieniem różdżki czarodziejkiej. Z jej głębi dochodziły tajemnicze wołania, jęki, krzyki, jakby mordowanych istot, wrzaski potępieńcze, poświęsty i pośmiewiska. Olbrzymie żabska siedzące w bagnach wrzeszczały ogłuszająco; wtórowały im ptaki nocne spośród gałęzi drzew niebotycznych. Nie znane zbiegom odgłosy przejmowały ich serca dreszczem trwogi. Czuli się otoczeni rojem niewidzialnych istot albo upiorów, które chciały ich wystraszyć ze swego królestwa, a w razie gdyby znaleźli dość odwagi, żeby wytrwać w tym piekle, napaść na nich zdradziecko pod osłoną nocy i życia pozbawić.

Witold trząsał się cały jak w febrze i dokładał wciąż drzewa do ognia, który przywabił całe roje nieznanych motyli nocnych o skrzydłach dużych jak kartki z książki. Grzymała odpędzał je gałęziami, ale niewiele to skutkowało. Gorsze jeszcze okazały się obfite w wilgotnej puszczy komary. Unosiły się one gęstym, szumiącym rojem nad naszymi przyjaciółmi, cisnęły się do oczu, uszu, siadały tysiącami na karku, twarzy, szyi i rękach tnąc niemiłosiernie. Nawet gryzący dym nie zdołał odpędzić żadnych krwi czered.

Witold kłął, palił fajkę, opędzał się, gniótł wrogów dziesiątkami, ale na ich miejsce nadlatywały nowe chmury. Mrocki cierpiał równie jak jego towarzysz. Daremnie przykrył się kurtką, komary dostały się pod nią i kąsały ze złośliwym, cienkim brzękiem. W końcu zdenerwowany, doprowadzony niemal do rozpacz, wstał ze swego łoża madejowego i siadł przy ognisku razem z Witoldem, który w ciągu godziny zmienił się do niepoznania. Jego twarz, ręce, szyja i kark były jednym piekącym, napuchniętym bąblem.

Grzymała kłął, na czym świat stoi, siedząc z karabinem nabitym na kolanach.

— A to ci tałatajstwo uwzięło się na nas! — narzekał. — Póki był dzień, póki człowiek ruszał się, to jeszcze nic, ale jak cię tu widzą siedzącego nieruchomo, to wszystko na ciebie. A psiajuchy jedne, chyba nie wytrzymam!

— Gdziez uciekniemy? — mówił zrozpaczony Mrocki. — Trzeba cierpieć, tylko zęby zaciskać.

— Najgorzej jest w pobliżu wody, jako że wszelki komar lubi wilgoć. Bierzmy więc głównie i przenieśmy się gdzie na wyższe i suchsze miejsce.

Ale za radą tą Mrocki nie chciał pójść, bo poszukiwanie nowego obozowiska w ciemnościach nocnych nie należało do bezpiecznych przedsięwzięć. Musiano więc cierpieć znęcanie się krwiożerczych owadów do samego ranka, nie zmrużywszy nawet na godzinę oka.

Skoro tylko słońce strzeliło swymi ostrymi, przenikliwymi promieniami w gąszcz leśną, Witold dołożył dREW na ognisko, ugotował nową porcję fizonu i porobił podplomyki z mąki kukurydzowej. Posiliwszy się ruszono w drogę.

Od czasu do czasu zatrzymywano się nad słuchując, czy w puszczy nie rozlegnie się szczekanie okropnych brytanów Arellany tropiących ślady zbiegów.

Na szczęście jednak, oprócz odgłosów leśnych, wśród których wybijało się wycie wilków i wrzask małop, żaden podejrzany dźwięk nie dochodził od strony plantacji, która musiała się znajdować w odległości kilkunastu kilometrów.

Dzień minął na przerąbywaniu się lasem. Nasi przyjaciele, nauczeni doświadczeniem, szukali ścieżek wydeptanych przez dzikie zwierzęta i, schyleni w pól, posuwali się nimi na chybił trafił, byle znaleźć się jak najdalej od plantacji i zabezpieczyć się od pościgu.

Nad wieczorem zbiegowie odetchnęli swobodniej, stawało się widocznym, że Arellana zaniechał poszukiwania swych robotników w puszczy; zapewne nie przypuszczał, żeby niedoświadczeni biali odważyli się zapuścić w dziewiczy, pełen niebezpieczeństw las, i szukał ich gdzie indziej.

Podróźni kierowali się w zasadzie według słońca, ale było to niezmiernie trudnym zadaniem, gdyż w puszczy panował gruby mrok i poprzez zbite sklepienie zieloności nie można było dojrzeć gwiazdy dziennej. Kompasowi zaś Mroczki nie miał.

Szli więc na chybił trafił, w nadziei, że prędzej czy później natrafiają na drogę leśną prowadzącą do siedzib ludzkich.

W ciągu dnia przebyto przypuszczalnie kilka, nie więcej, kilometrów poprzez gąszcze. Ale zauważono, że puszcza staje się jakaś suchsza, ziemia zaś mniej żyzna, skutkiem czego zarośla i drzewa nie rosły już tak bujnie, jak w pobliżu strumieni. Noc spędzono przy ognisku.

Było bardzo chłodno. Witold nakładł na ziemię mchu i liści i zrobił dość wygodne posłanie, na którym wędrowcy kolejno się wyciągali. Komary jakoś mniej dokuczały, zapewne z powodu przejmującego zimna jak i suchej okolicy; ale puszcza z nastaniem nocy znowu, jak szeroka i długa, napełniła się dziwnymi odgłosami. Najgorzej hałasowały małpy, zwane w Sao Paulo bujiosami. Darty się one na wszystkie możliwe sposoby, ryczały czasem jak woły. Wyjce też jak zwykle, urządziły na szczytach drzew swój koncert po społu z tysiącnymi gatunkami ptaków nocnych, które śpieszyły zastąpić gatunki dzienne, już uspione.

W tym zgiełku od czasu do czasu rozlegał się donośny ryk jaguara lub pumy. Wtedy Witold oglądał się trwożnie, czy nie dostrzeże wśród gąszczy świecących ślepiów drapieżnika, i gotował się posłać mu kulę ze swego karabinu, który ciągle trzymał na kolanach. Ale ognisko jasno płonące odstraszało snadź bestie, gdyż żadna na strzał nie wyszła.

Gdy tylko słońce zaświeciło, muzykanci leśni zmienili się. Odezwały się nowe odgłosy, tak różnorodne, że tylko wprawne ucho Indianina mogłoby je rozpoznać. Najdonośniej naturalnie skrzeczały papugi, zwane w języku miejscowym tiribami, równie donośnie odzywał się kuruku, zwany kapitanem leśnym. Jego smutny, samotny, przepiękny świst, przerywany od czasu do czasu, doskonale wyróżniać się dawał w rozgwarze puszczy. Roilo się w niej także od pewnego gatunku wróbli, których świergot stawał się czasem nieznośny.

Ponieważ nocowano z dala od strugi, na suchym miejscu, więc z nastaniem dnia Witold zaczął rozglądać się za wodą potrzebną do ugotowania fizonu, mięsa i naparzenia herbaty; wziął więc kociołek i manierkę blaszaną i udał się w zarośla z karabinem na ramieniu. Od czasu do czasu nadstawiał ucha, zdawało mu się bowiem, że słyszy w przerwach pomiędzy małpimi wrzaskami papug szemranie strumienia po kamieniach.

Chłopiec nasz rad, że tak blisko biwaku płynie duży strumień, przeciskał się szybko przez zarośla, ażeby dostać się jak najprędzej do wody.

Zdziwił się jednak, że szum był tak wyraźny, a strumień nie ukazywał się wcale. Co dziwniejsze, szumiał on teraz z innej strony. Witold więc skierował się na prawo, bo szemranie było bardzo głośne. Ale po dziesięciu minutach przekonał się, że i tam wody nie ma.

„Co to znaczy u licha? Czy mnie źle wodzi po lesie?”

Znowu nadstawił uszu. Ależ nie ulega żadnej wątpliwości! Niedaleko stąd musi płynąć duży strumień albo nawet bystra rzeka. Przecież nie może się mylić. Szum jest bardzo głośny!

Idąc wolno Witold rozglądał się, czy prędko pomiędzy drzewami błysnie mu płachta ruchoma wody. Nagle szmer wody ustał, a rozległo się w lesie jakby uderzenie toporkiem w drzewo.

„Oho, tutaj muszą pracować ludzie Arellany! — pomyślał zbieg. — Należy się mieć na baczności”.

Ale drwale nie odezwali się już, tylko woda znów szemrała przyjemnie.

Grzymała posunął się jeszcze kilkadziesiąt kroków, gdy wtem ujrzał na pobliskim drzewie stadko brodatych małp, guaribasów. Te właśnie zwierzęta, uciekające na widok człowieka, wydawały dźwięki do złudzenia przypominające szemranie wody w wartkim strumieniu i następnie uderzenia drwa. Przeniosły się na sąsiednie bardzo wysokie drzewo i z jego szczytu rozpoczęły na nowo swój koncert.

— A wy podłe małpiska! — zawołał oburzony do głębi Witold. — Dam ja wam

zwodzić porządnego człowieka, spragnionego i głodnego!

Chciał palnąć do pociesznych stworzeń, ale zmiarkował się, ograniczył się więc do wymysłów, z których małpy niewiele sobie snadź robiły, bo dalej ciągnęły swój koncert. Oto niebawem zawyły wszystkie razem i to ich zbiorowe wycie naśladowało teraz ryk przygłuszony wołu.

Grzymała pogroził jeszcze raz małpom, wieszającym się na rękach ponad jego głową i odprowadzającym go przekornie kawałek drogi, i poszedł szukać wody. Nabiedził się jednak niemało, zanim znalazł sączący się pomiędzy korzeniami starych drzew strumyczek, napełnił wodą rondelk i wrócił do towarzysza. Obaj potem uśmieali się serdecznie z tej przygody. Postanowiono odtąd obierać na miejsce noclegu brzegi strumieni albo źródła, żeby mieć wodę do gotowania strawy. Przyrządzono teraz podwójną porcję grochu, żeby na wieczór nie zostać bez jadła w razie braku wody i niemożności rozniecenia ognia.

ROZDZIAŁ XIV

ZABŁĄKANI W PUSZCZY

To, co przeszli nasi zbiegowie przez pierwszych kilka dni po ucieczce, było dopiero wstępem do całego pasma udręczeń i przygód, jakie ich czekały w wędrowce po odwiecznej puszczy, w którą tak nierozważnie się zapuścili.

Im dalej posuwali się na zachód, tym las stawał się niedostępniejszy i dzikszy. Wprawdzie w takiej puszczy olbrzymy leśne stoją w dość dużych odstępach jeden od drugiego, ale wędrowiec musi walczyć z podszyciem leśnym, które miewa różny charakter, zależnie od okolicy. Raz przedzierali się kilometrami przez zarośla bambusowe, które składały się z łodyg wysokich na kilkanaście metrów i więcej, bardzo gibkich i twardych, tak iż fojsa się o nie tępiła, to znów napotymano kresjumę, roślinę pnącą się po drzewach i czołgającą się po ziemi, jak niezliczone sploty węzłowe. Najgorsza jednak była takuara, o tykach grubości średniego drzewka, o kolankach zaopatrzonych w długie, ostre kolce, o które odzież darła się i skóra pokrywała się zadraśnięciami nieraz bardzo bolesnymi. Grubą takuarę zbiegowie znali już dobrze, robiąc z niej naczynia do przechowywania wody tak trwale, że nawet od biedy można w nich było uwarzyć wody na herbatę. Co najdziwniejsze jednak, takuara w łodygach swoich przechowuje wodę, nawet podczas największych upałów. Wiedzą o tym wszelkie stworzenia leśne, nawet ptaki i, cierpiąc pragnienie, wysysają przez maleńkie otwory zrobione dziobem ożywczy płyn. Inny znów gatunek takuary ma łodygi cienkie, wyrastające nieraz do samych szczytów olbrzymich drzew. Kabokle twierdzą, że takuara kwitnie co trzydzieści lat i zaraz potem usycha. Taural tworzy tak nieprzenikloną gęstwę, że nie można iść przezeń inaczej, jak wyrabując sobie krok za krokiem ścieżkę fojsą albo fakonem. Wreszcie putinga, nieco podobna do naszej trzciny, stanowi trzeci gatunek, rosnący obficie na znacznych połaciach puszczy, zarówno na mokrych, jak na suchych gruntach. Prócz tych trzech najważniejszych gatunków podszycia leśnego, wędrowcy napotykali na swej drodze mnóstwo grubszych i cieńszych lian zwieszających się kwiecistymi warkoczami z gałęzi drzew i tworzących miejscami nieprzenikloną siatkę, wysokie drzewiaste paprocie i mnóstwo innych kolących lub pnących roślin. W tym gąszczu panował wieczny mrok, bo nawet promienie zwrotnikowego słońca nie zdołały się przezeń przedrzeć. Z wilgotnej ziemi strzelały w górę drzewa, jedno przez drugie, w namiętnej chęci osiągnięcia wierzchołkiem wolnej przestrzeni, gdzie świeciło życiodajne słońce. Ta walka nieubłagana o światło między roślinami puszczy rzucała się w oczy każdemu.

Przez całe dwa dni wędrowcy przedzierali się przez gąszcze, tnąc fojsą ścieżkę. Upadali obaj ze znużenia w tej dusznej, wilgotnej atmosferze, w dodatku pełnej owadów krwiożerczych. Ale niebawem spostrzegli, że puszcza nie jest już tak gęsta. Pod nogami trafiały im się kamienie. Na gruncie mniej urodzajnym drzewa były jakieś karłowate, podszycie rzadsze, tak iż w końcu mogli iść naprzód, nie uciekając się do fojsy.

Zadowoleni z tej odmiany, zbiegowie postanowili rozłożyć się obozem nad małym źródelkiem, w cieniu krzewów ładnie kwitnących.

— Idź, Witoldzie, i nazbieraj chrustu na ognisko, póki jeszcze dzień — rzekł Mrocki towarzyszowi. — Dziś na ciebie kolej.

Grzymała, nie rzekłszy słowa, zaczął uwijać się po okolicznych zaroślach. Ujrawszy suchą gałąź schylał się i kładł ją na sznur leżący na ziemi. Utworzyła się już spora wiązka, która rosła coraz bardziej.

Chciał jeszcze odłamać upatrzoną gałąź od pobliskiego krzaku, gdy uszu jego dobiegł jakiś szelest i ujrzał, jak o kilka kroków od niego przemknęło szybko aguti, zwierzątko wielkości królika albo zająca. Tuż za nim z szybkością błyskawicy czołgał się wielki wąż ścigający swoją ofiarę.

Witold instynktownie cofnął się i patrzył na tę pogoń.

Zwierzątko biegło chyżo, ale wąż gonił je jeszcze prędzej. Przy świetle dziennym widać było wyraźnie jego czerwonawożółty grzbiet z podłużnym rzędem czarnych plam o białych oczkach w pośrodku. Spód tego gada, dosięgającego dwóch metrów długości, był żółtawy, głowa mieniła się w słońcu wszystkimi barwami tęczy.

Wąż, grubości ramienia rozwiniętego mężczyzny, robił prawdziwe susy, jak sprężyna stalowa.

Wnet dopadł umykającego rozpaczliwie stworzenia i ruchem tak szybkim, że się wymknął wzrokowi patrzącego, zapuścił zęby w ciało aguti.

Zwierzę jeszcze biegło kawałek, ale wnet zachwiało się i padło. Wtedy wąż podpełznął doń, rozdziawił swoją szeroką paszczę i zaczął połykać zdobycz.

Chociaż Witold przerażony był do najwyższego stopnia tą sceną, którą widział dobrze w rzadkich zaroślach, nie potrafił jednak oprzeć się ciekawości. Z długim prętem w rękę, gotowy do uderzenia, zbliżał się na palcach do uczującego węża. W odległości dwudziestu pięciu kroków zatrzymał się i patrzył dając znaki towarzyszowi, ażeby podszedł także.

Czekali obaj, aż wąż połknie zdobycz

— Teraz można zabić gada! — rzekł Grzymała widząc, że aguti znajduje się w paszczy swego mordercy. — Chociażby chciał, nie będzie mógł ukąsić. Weź, Mrocki, pręt. Dogodźmy mu.

Z tymi słowy Grzymała, zachowując ostrożność, zbliżał się do węża, w którym nie trudno było poznać straszego surukuru.

Nareszcie wąż dostrzegł człowieka, ale, ufny snadź w swoją broń, nie uciekał bynajmniej. Usiłował się dźwignąć w górę, ale zanim skręcił swoje kręgi, spadł na niego grad ciosów, które w jednej chwili rozciągnęły go bez życia.

Kiedy gad już się nie ruszał, nasi zbiegowie zbliżyli się do niego, dla wszelkiej pewności rozbili mu jeszcze łeb i zbadali dokładnie.

Wąż ten, jak wszystkie w ogóle jadowite, odróżnia się na pierwszy rzut oka od niejadowitych gatunków tym, że ma głowę płaską i szeroką, a z każdej jej strony otworek.

— Czy będziemy to jedli? — zagadnął Witold po chwilowym wahaniu.

Mrocki skrzywił się.

— Jak chcesz, to jedz, ale ja do ust takiego mięsa nie wezmę.

— Jak się pogłodzisz, to skosztujesz! — odmruknął Grzymała. — Słyszałem, że Indianie bardzo sobie chwalą węże.

— Ba, oni i robakami nie pogardzają.

— Tęgi gad — mówił dalej Kujawiak oglądając swoją zdobycz. — Trzeba się wystrzegać, żeby na takiego w gąszczu nie natrafić, bo tylko cię zębem tknie i już po tobie.

— Wężów się nie boję, bo wiem, że ich znowu tak dużo w puszczy nie ma; przez cały czas, cośmy karczowali las dla Arellany, ani jednego nie widziałem.

Sobiesław miał rację. Podróżnik, przedzierający się przez dziewicze lasy brazylijskie, nie jest narażony ze strony wężów na większe niebezpieczeństwo aniżeli nasz chłopak wiejski zbierający poziomki w lesie, gdzie trafiają się żmije. Badacze, którym zależy na tym, żeby dla celów naukowych jak najwięcej tych gadów upolować, z wielkim trudem mogą ich zdobyć kilkadziesiąt. Jeżeli nawet spotka się na swej drodze węża, to usunie się on na pewno na bok i nie napadnie przechodnia, chyba że ten nastąpi nań zniecka. Rzuca się na człowieka jedynie wtedy, gdy się musi bronić. Biada jednak temu, kto węża rozdrażni! Wtedy gad syczy, prostuje swoje muskularne ciało, staje na ogonie i ruchem tak szybkim, że go nie spostrzeże oko, kąsa swoim jadowitym zębem.

Ukąszony człowiek cierpi strasznie, zanim umrze.

Działanie jadu rozkłada krew z zastraszającą szybkością. Całe ciało drży jak w napadzie febry, twarz pokrywa się trupa bledością i ukąszony wygląda jak w trumnie, chociaż jeszcze żyje. Nieznośne bóle trapią nieszczęśliwą ofiarę, najsilniejsze dają się odczuwać w krzyżu i w sercu; zdrętwienie ukąszonej kończyny, szybkie uderzenia pulsu, jakby w gorączce, dopełniają tego obrazu zniszczeń, dokonywanego przez tajemniczy jad.

Po kilku już minutach trudno poznać biedaka ukąszonego śmiertelnie; nie upływa pół godziny, a z człowieka młodego, pełnego życia, robi się czarny, obrzmiały trup. Im goręcej, im bliżej zmiany księżycowej, tym bardziej piorunująco działa jad wężowy.

Głodny wąż, który dawno nie czerpał jadu ze swoich gruczołów, albo taki, który pozbywa się swojej skóry, jest niebezpieczny w najwyższym stopniu.

Brazylia to ojczyzna wielu gadów. Oprócz surukuru, którego zabili nasi zbiegowie, jest tam jeszcze jadowitszy odeń żararaka, surukurukatinga, to jest wąż z dziewiczej puszczy, wąż kolorowy, wąż dwugłowy, *cobra fria*, czyli wąż zimny, i wiele innych gadów, nie zawsze nazwanych i zapisanych do ksiąg przez uczonych, ale dobrze znanych Indianom. O zimnym wężu opowiadają sobie Brazylijczycy, iż spotkawszy węża choćby najbardziej jadowitego okrąża go wypuszczając lepka ślinę, która tworzy rodzaj jadowitego pierścienia. Wąż napadnięty jest jakby zamagnetyzowany i nie może przedostać się poza jadowity krąg utworzony przez wroga. Pozostaje więc nieruchomy i pozwala się pożreć.

Ma się rozumieć, że opowiadanie to nie jest stwierdzone przez naukę, ale maluje wyobrażenia mieszkańców puszczy, którzy obserwują nieraz, jak ptak, żaba albo dydelf spotkawszy węża ulegają jakby hipnotycznemu czarowi, wpatrują się w rozwartą przed nimi paszczę i pozwalają się połknąć nie ratując się nawet ucieczką.

Okropny, paraliżujący mięśnie strach na widok gada może wytłumaczyć ową zdumiewającą nieruchomość ofiary czekającej, aż ją potwór połknie. I ludzie, ujrawszy nagle tuż przed sobą jadowitego surukuru podnoszącego szeroki i płaski łeb i wysuwającego jadowite zęby z szeroko rozwarłej paszczы, ulegają owemu strachowi, który, tak samo jak zwierzęta, czyni ich niezdolnymi do ucieczki.

Długo w noc siedzieli nasi dwaj podróżni przy ognisku i rozmawiali o wężach, przypominając sobie wszystko, co o nich słyszeli na plantacji.

— Na długo jeszcze starczy nam zapasów żywności? — zapytał Witold spoglądając na towarzysza, który chował starannie nie dojedzoną fasolę jakby skarb jaki.

— Na trzy dni najdłużej — odparł Sobiesław.

— Kiedy tak, to trzeba się zabrać do polowania albo do rybołówstwa.

— Wędki nie mamy — przypomniał Sobiesław, który myślał także z trwogą o wyczerpaniu się zapasów.

— Drut jest, to się z niego haczyk sporządzi, nici zabrałem także, to się splecie wędkę, a

prętów, ile się komu podoba, z bambusów utniesz, jest więc wszystko! A co do ryb, tych nie brak.

— Zdaje się; żeby tylko trafić na większą rzekę!

Mrocki nie mógł długo zasnąć, raz dlatego, że postanowił czuwać do pierwszej, po drugie, że łamał sobie głowę nad sposobami zdobycia żywności.

„Jakoś nie zginiemy z głodu! — pocieszał się. — Za dwa dni albo za cztery najdalej powinniśmy dostać się do jakiej kolonii, jeżeli dobrze idziemy, nie myśląc się co do położenia. Tymczasem zaś trzeba jeszcze bardziej oszczędzać fasoli i mąki maniokowej”.

Z tym postanowieniem Mrocki usnął zbudziwszy towarzysza, który go zastąpił na straży obozowiska.

Drzewa w katindze * nie są ani rosłe, ani grube, a co dziwniejsze, napotykali nasi wędrowcy coraz więcej koron огоłoconych z liści, jak u nas jesienią.

Chwilami zdawało im się, że to początek listopada w jakiejś krainie europejskiej. Wiadomo, że w Brazylii, jak w ogóle w krajach południowych, są dwie pory roku: mokra i gorąca, odpowiadająca naszemu latu, oraz chłodna i sucha, która zastępuje zimę.

Pora deszczowa kończy się w lutym i powietrze staje się znośniejsze, bo suchsze. Wtedy to z braku wilgoci, gdyż susza z powodu piaszczystych gruntów szybko daje się odczuwać, liście zaczynają opadać z drzew i w lipcu las stoi prawie nagi. Nawet podszycie leśne składające się z krzaków także traci listowie. Dopiero w sierpniu pączki nabrzmiewają, jakby w przeczuciu zbliżającej się pory mokrej. Pierwsze deszcze powołują do życia młode listeczki i drzewa przywdziewają znów swoją szmaragdową sukienkę. Drzewa w katindze są miernego wzrostu, ich kasztanowata kora odbija wyraźnie na tle pożółkłych albo nagich zupełnie, niskopiennych roślin.

Podróżni więc mogli do woli przypatrywać się drzewom brazylijskim, pomiędzy którymi było kilka gatunków bardzo oryginalnych.

Drzewo brzuchate, czyli barrigudo, ma więcej aniżeli sześć metrów obwodu. U podstawy i ku górze cieńsze, pośrodku zaś pękate, przypomina wąską a wysoką beczkę albo wrzeciono. Co najciekawsze, wrzeciono na całej długości nie ma ani jednej gałązki, dopiero na samym szczycie nosi koronę składającą się z kilku konarów poziomo wyrastających. Utraciwszy tę nieznaczną koronę, drzewo brzuchate wygląda jak jaka olbrzymia kolumna podpierająca sklepienie niebieskie. Drzewo to jest bardzo miękkie i nietrwałe; Indianie robią z niego swoje łodzie, czyli pirogi, które jednak po paru miesiącach stają się już niezdatnymi do użytku. Inne drzewo, nie tak wysokie jak barrigudo, miało na pniu o kilka metrów od ziemi jajkowane zgrubienia; jeszcze inne, zwane przez Brazylijczyków imburana, ma pień trochę pochylony i pokryty korą pięknej zielonej barwy. Wszystkie wymienione gatunki drzew stały nagie zupełnie.

Im dalej nasi wędrowcy zapuszczali się w głąb katingi, tym groźniej im się przedstawiała.

Pomimo zimowej pory, w dzień upał dokuczał. W puszczy dziewiczej płynęły w cieniu prastarych drzew strugi i rzeczki, tutaj zaś zeschnięta ziemia była spragniona wilgoci; daremnie nasi przyjaciele poszukiwali źródła.

Kiedy słońce zaczęło się już zniżać ku zachodowi, a zbiegowie nie zdołali zwilżyć spieczonych ust, opadł ich strach.

— Czyby się nie wrócić? — mówił Witold. — Przecież idąc w tamtą stronę, nie napotykalibyśmy takiego suchego, bezlistnego lasu.

— To prawda, ale pamiętaj, że idziemy inną drogą — odparł Mrocki. — Ziemia tutaj musi być gorsza, a więc i las źle rośnie. Patrz — dodał poruszając ziemię kijem — piach; i coś dziwnego, że roślinność uboższa.

* Katinga — las złożony z drzew i krzewów kolczastych o różnej, na ogół niewielkiej wysokości, krajobrazowo dość jednostajny.

Niebawem puszcza stała się jeszcze smutniejsza; zamiast drzew pozbawionych liści, otaczały naszych podróżnych niskie, powykręcane krzaki, nie przekraczające czterech stóp wysokości. Były to lasy skarłowaciałe, które na płaskowzgórzach wewnątrz Brazylii zajmują nieraz olbrzymie obszary.

Kiedy się dwaj nasi przyjaciele zapuścili w te niegościnne okolice, gwar ptactwa leśnego umilkł, pustka przerażająca zapanowała dokoła. Nigdzie najmniejszego stworzenia; nawet owady, od których roіło się w puszczy, przestały dokuczać.

— Czyby nie zboczyć cokolwiek? — pytał Witold. — Idziemy prosto, tak jak sobie wytknęliśmy, ale w tej pustyni można zginać bez ratunku. Będzie z nami źle, jeśli nie znajdziemy jakiego źródła.

Mrocki przyglądał się bacznie zaroślom ciągnącym się jak okiem sięgnął.

— Tak, nie widać lasu; należałoby cofnąć się — rzekł. — Ale po nocy trudno wędrować. Zatrzymamy się więc tutaj.

— Pić mi się chce okrutnie!

— I tak po ciemku nic nie znajdziemy.

Narada trwała kilkanaście minut; koniec końców zdecydowano się zboczyć w zachodnim kierunku, gdzie na samym widnokregu majaczyły wyższe drzewa; prawdopodobnie stała tam puszcza dziewicza. Przy zapadającym mroku nie podobna jednak było tego rozpoznać dokładnie.

Przygnębieni, spragnieni zbiegowie rozpalili suty ogień, bo materiału nie brakowało tutaj, zasiedli przy nim i żuli w milczeniu fasolę, której cokolwiek im jeszcze zostało z dnia wczorajszego. Wieczereę zakończono garścią suchej mąki maniokowej, która stawała w gardle, i położono się spać czuwając na przemiany.

Nazajutrz zbiegowie wstali ze swego marnego barłogu, zziębnięci do szpiku kości, bo poranek był przenikająco chłodny. Rozniecili ognisko, ale nie mogli nic już jeść, bo pragnienie zamieniło im podniebienie w jedną twardą skorupę.

Znaleźć wodę — oto najważniejsze zadanie! Inaczej groziła samotnym wędrowcom śmierć z pragnienia. Słońce podnosiło się szybko nad widnokregiem i niebawem po przymrozku nocnym nastął upał nieznośny.

Witold kierując się na ów las, widoczny doskonale w odległości kilku mil, przyśpieszał kroku, czuł bowiem, że go siły opuszczają.

Nie mógł nawet mówić, bo ustami nie był w możności poruszać.

„Pić! Pić!” — myślał tylko.

Gdy roślinność była nieco bujniejsza, zatrzymywał się i bacznie rozglądał, czy gdzie nie dojrzy źródła. Nadaremnie jednak śledził wszystkie zakątki. Znajdowali się w pustyni bezwodnej, nie zraszanej najmniejszym strumykiem.

W cztery godziny po wyruszeniu w drogę las znajdował się jeszcze o milę od wędrowców, którzy już zupełnie opadli z sił.

Obaj w milczeniu usiedli w cieniu jakiegoś mizernego drzewa i patrzyli apatycznie jeden na drugiego.

— No i co będzie? — wybełkotał Witold rzucając niemal z rozpaczą swoje zawiniątko na zeschniętą ziemię.

Mrocki nie odrzekł nic, bo jego sercem owładnęło zwątpienie. Wodził oczami po tych dziwnych, ginących od posuchy roślinach, które stały dokoła, spragnione wilgoci jak i oni obaj, a do głowy przychodziły mu najdziwniejsze pomysły.

Wykopać studnię! Ale czym? Po co sobie głowę zawracać?

— Idziemy, póki można — rzekł wreszcie, podnosząc się.

Witold ociężale wstał i powlekli się znów dalej.

„A czy w lesie od razu natrafimy na wodę?” — myślał Mrocki.

Przez cały wczorajszy dzień szli i nie napotkali najmniejszej strugi. Gdyby nie zapas

wody w butelkach, już od dawna byliby pozbawieni napoju.

Witold szedł coraz prędzej naprzód. Wpadł w furję, bił kijem na lewo i prawo, torując sobie siłą przejście, czuł snadź potrzebę wywarcia na czymś swej wściekłości.

Nagle zatrzymał się i patrzył nieruchomym wzrokiem w jeden punkt.

Sobiesław stanął także i widział, jak jego towarzysz urwał coś i podniósł do ust wysysając z chciwością.

— Witoldzie, może to trucizna! — krzyknął Mrocki zbliżając się.

Grzymała trzymał w ręku kawałek mięsistego kaktusa, z którego kroplami ciekł przezroczysty sok.

— Niech sobie będzie trucizna — odparł twardo — ale ma wilgoć w sobie.

Znowu urwał kawałek i żuł, póki soków wszystkich nie wycisnął zębami; potem resztki wypuł.

Był to kaktus rozgałęziający się, podobny nieco do świecznika; ale ramiona jego szukały nieraz oparcia o sąsiednie krzewy. Pokrywały je kolce ułożone pęczkami. Witold urwał znowu jedno z takich ramion, szybko odłupał kolce, a miękisz wziął do ust.

Mrocki mimo obawy naśladował go. Kaktus zawierał w obfitości sok, mdły cokolwiek, ale bardzo przyjemny w smaku. Stali tak obaj i, nic nie mówiąc do siebie, żuli zbawczą roślinę.

Zawierała ona tak wiele soku, że w kwadrans obaj wędrowcy uczuli, iż dokuczliwe pragnienie mija. Ponieważ zaś objawy zatrucia nie występowały, raczono się więc kaktusem coraz śmielej.

— Napilem się! — rzekł z ulgą Grzymała. — Snadź Pan Bóg ma nas w swojej opiece. A już myślałem, że wypadnie marnie zginąć w tych krzakach!

Świeży duch wstał w naszych podróżnych. Uczuli się znów rześkimi. Witold narwał kaktusa, związał w spory pęczek mięsiste gałęzie i zarzucił sobie na plecy.

— No, teraz możemy iść śmiało, póki wody nie znajdziemy — rzekł wesole.

Niebawem jednak okazało się, że kaktus rośnie wszędzie w wielkiej obfitości. Osmielony tym Grzymała zostawił sobie niewielki zapas, resztę zaś porzucił, żeby nie dźwigać niepotrzebnego ciężaru.

Pokrzepieni znakomicie przez zbawczą roślinę, nasi podróżni szli rażno i w dwie godziny potem znaleźli się znowu w bezlistnej katindze. Nic sobie jednak nie robili z braku wody, wędrowali teraz znacznie prędzej, bo nie mieli do zwalczania takiego gąszczu pnączów, jak w lesie prawdziwym. Ale pod wieczór dotarli do puszczy i znów znaleźli się pośród mustyków, mrówek, niebotycznych olbrzymów, pośród labiryntu roślinności.

Noc spędzili nad brzegiem strugi leśnej, która dostarczyła im w obfitości napoju, co prawda niezbyt smacznego i zdrowego.

— Gdybym miał wodę, wolałbym jednak iść katingą — mówił Mrocki rozglądając się dokoła.

— No, to tak zrobimy — odparł Grzymała — nabierzemy wody, ile się da, postaramy się o coś do zjedzenia i będziemy się trzymali samego skraju puszczy.

Rada ta wydała się Sobiesławowi praktyczna. Do głowy przychodził mu jednak inny pomysł, jeszcze lepszy.

— Wiesz ty co? — rzekł po namyśle do towarzysza. — Jesteśmy nad rzeczką, niezbyt co prawda dużą, ale zawsze dość głęboką, żeby udźwignęła tratwę. Sklecimy z grubych gałęzi jaką taką, byle się trzymała, i popłyniemy na niej w dół rzeki, która koniec końców musi nas doprowadzić do jakiegoś zaludnionego miejsca. W ten sposób nie będziemy przy najmniej cierpieć pragnienia, które w tym gorącym kraju jest największym wrogiem człowieka. Dobrze?

— No, to byłoby niezłe, ale najważniejsza rzecz wiedzieć, dokąd możemy dostać się tą rzeczką.

— Płynie ona akurat w tym kierunku, w którym i my idziemy, ale może skrócić.

— A tak, może skrócić zwyczajnie jak rzeka i skierować się akurat w przeciwną stronę. Przyjaciele wahali się; ostatecznie jednak postanowili zostać żeglarzami.

Z wielkim mozołem nałamali grubszych gałęzi jakiegoś lekkiego drzewa, powiązali je pnączami, zaopatrzyli się w długie bambusowe kije, które miały im zastępować wiosła, złożyli na wątlej tratwce swoje rzeczy i odbili od brzegu.

— Płyniemy w krainy nieznane i niepewne. Nie wiemy, dokąd nas ta rzeka zanieśie na swojej fali — mówił Sobiesław do swego towarzysza, który widocznie niewiele sobie robił z tajemniczej przyszłości. — Musimy postępować bardzo ostrożnie. Pamiętajmy, że ludzie osiedlają się najczęściej nad rzekami.

— Właśnie tego nam potrzeba; jak spotkamy osadę albo choćby plantację, to dobra nasza! — zawołał Grzymała, w którego wstąpił nowy duch.

— Zapominasz o Indianach.

— Prawda!

Grzymała zafrasował się.

— W puszczy jeszcze przemkniesz się jako tako, ale na rzece będziemy odkryci — mówił dalej Mrocki. — Lada Indianin może nam posłać zatrutą strzałę z łuku.

— No, ale ja wolę już na wszystko narazić się, a nie wędrować przekłętymi wertepami. Et, nie zawracajmy sobie głowy Indianami i płynmy. Za to prędzej dostaniemy się w zamieszkałe okolice. Zresztą nie wszystkie plemiona są wrogie, trafiają się i przyjacielskie, jak słyszałem.

Na tym stanęło. Mrocki już się dłużej nie opierał. Chwycił za kij, zajął miejsce z tyłu tratwy i obaj zaczęli odpychać ją od dna rzeki, która nie mierzyła tutaj więcej nad parę stóp głębokości, a kilkadziesiąt kroków szerokości.

ROZDZIAŁ XV

ZBAWCZA RZEKA

Tratwa nie należała do wygodnych środków komunikacji. Nie można było się rozłożyć na niej do wypoczynku; skoro więc nadchodziła noc, podróżni musieli szukać miejsca nadającego się na przystań; tam wysiadali na ląd, rozpalali ognisko i spali czuwając na przemiany.

Za to jednak posuwano się naprzód bardzo szybko; rzeka stawała się coraz szersza, ale często trafiały się na niej miejsca niezbyt bezpieczne, wiry, a nawet skały, o które parę razy tratwa omal że nie rozbiła się w kawałeczki.

Mrocki postanowił więc zbudować indiańską pirogę, którą znał z opowiadań i opisów. Wybrał do tego drzewo brzuchate, z którego łatwo zdarli korę bez ścinania pnia. Związali ją mocno z obu końców sznurami i w ten sposób byli w posiadaniu łódki, bardzo lekkiej, mogącej pływać nawet na płytkiej wodzie. Wiosła podwójne sporządzili z bambusów, na których końcach uwiązali po pęku lian.

Władowali wszystkie rzeczy na dno, z dodatkiem paru kamieni dla utrzymania stateczku w równowadze, i ruszyli ochoczo w drogę.

Rzeka stawała się coraz szersza i jakiś czas płynęła wśród gęstej puszczy, która zwieriała się nad korytem, tworząc jakby dach nad głowami żeglarzy. W gąszczu niebotycznych drzew uwijało się tysiące papug wrzaskliwych i małpek różnej wielkości. Zachęcony tą obfitością zwierzyny, Mrocki postanowił zapolować. Dał więc ognia do stada czerwonych ar, ale chybił. Echo strzału daleko rozniosło się po lesie i zwierzyna przerażona uciekła.

Niebawem znowu Mrocki spróbował szczęścia, ale wnet przekonał się, że kulą nie potrafi dosięgnąć ptaka; na to trzeba by być doskonałym strzelcem.

— Brak nam fuzji myśliwskiej — westchnął. — Ale poczekaj, skoczę po rozum do głowy.

Wycieczka ta w zakamarki mózgu nie była bezowocna. Sobiesław powyjmował kule z nabojów, nożem zdjął z nich łuskę, ołów zaś pokrajał na kawałki wielkości grochu, obciął górną część koszulki od kuli i w tak otrzymaną rurkę wsypał ołów, przybił go kawałkiem szmatki i w ten sposób był w posiadaniu kilku ładunków mogących zastąpić ładunki śrutowe.

Próba wypadła nieźle, bo zaraz za pierwszym strzałem Mrocki stracił z wysokiej gałęzi papugę.

— Niech żyje nasz strzelec! — zawołał radośnie Witold podnosząc ptaka. — Zaraz zrobimy sobie pieczone, zwłaszcza że robi się gorąco i czas na obiad.

Na kawałku piaszczystego brzegu zatrzymano się, wyciągnięto na łódź czołno, rozpalono ognisko i na stemplu od karabina w mig upieczono oskubaną papugę.

Obawiając się, żeby dym nie przywabił jakich wojowniczych Indian, natychmiast po posiłku zepchnięto znów łódkę na wodę i pozwolono unosić się prądowi. Witold uważał tylko, żeby piroga nie zbaczała ze środka rzeki albo nie wpadła na jakiś sterczący spod wody pień przewróconego przez burzę drzewa.

Taka podróż wydała się obu przyjaciółom bardzo wygodna, miała jednak tę złą stronę, że zamiast w obranym kierunku musieli dążyć tam, dokąd rzeka raczyła ich ponieść. Ale żaden się tym nie martwił za bardzo.

„Koniec końców natrafimy na jakąś wieś albo chałupę zamieszkaną przez ludzi, którzy nam wskażą dobrą drogę albo nam dadzą jakie zajęcie. Z głodu teraz, mając możliwość ustrzeżenia czegokolwiek, nie zginiemy” — pocieszał się Witold.

Wszystko więc byłoby dobrze, gdyby nie jedna nieprzewidziana okoliczność. Rzeka, która z początku płynęła spokojnie i równo, stawała się coraz kapryśniejsza. Napotymano liczne miejsca usiane skałami, wokoło których woda pieniała się i szumiała groźnie. Starano się trzymać od tych przeszkód w bezpiecznej odległości, ale nieraz piroga omal się nie rozbiła w drobne kawałki. Musieli więc zdwoić czujność, zwłaszcza że na wybrzeżach wylegiwało się dużo aligatorów, podobnych z dala do butwiejących pni drzewnych. Ale te rzekome pnie, za zbliżeniem się łódki, rzucały się z brzegu z wielkim hałasem do wody i płynęły pod samą powierzchnią, znacząc na niej bruzdę. Obaj żeglarze zrozumieli, że wpaść do rzeki, rojącej się formalnie od tych wstrętnych bestii, to znaczy znaleźć się w olbrzymich zębach, być wciągniętym na dno i pożartym bez żadnego ratunku, bo w wodzie aligatorowi nawet kula karabinowa niewiele złego mogłaby uczynić.

Mrocki, nie mogąc oprzeć się pokusie, spróbował swej broni na olbrzymim płazie, który, nie bacząc na łódkę, spokojnie wygrzewał się na mieliźnie przybrzeżnej.

Był to okropny widok, kiedy dosięgnięty ostrym pociskiem potwór wspiął się wysoko na tylnych łapach i runął na szlam, bijąc siarczyście ogonem.

Mrocki, że to był jego pierwszy aligator, wyskoczył na ziemię, żeby się przyjrzeć z bliska ofierze.

Ponieważ bestia jeszcze się ruszała, więc strzelił jej z bliska w sam łeb. Okazało się, że kula przebiła na wylot zwierzę pomimo okrywającego je grubego i twardego pancerza. Ale zabić na miejscu aligatora można tylko wówczas, kiedy zniszczy się jego mózg. Trzeba więc zawsze trafić w łeb, inaczej potwór miota się długo, ucieka zwykle do wody i dopiero w jakiś czas potem zdycha.

Nad wieczorem rzeka stała się zupełnie niezdatna do żeglugi; z dala dochodził głośny szum; można było domyślać się sąsiedztwa większego wodospadu.

Musieli, chcąc nie chcąc, przybić do brzegu i przenocować w lesie, oczyściwszy fojsą miejsce na nocleg.

Ta okolica była widocznie rzadko uczęszczana przez białych ludzi, gdyż nigdzie nie natrafiono na najmniejszy ślad koczowiska. Las roił się za to od wszelakiego ptactwa.

Z zapadnięciem mroku z głębi puszczy dochodziły chrapliwe ryki jakichś wielkich drapieżników. Należało przeto mieć się na baczności. Rozpalono wielki ogień, przy którym czuwano kolejno aż do rana.

Na godzinę przed wschodem słońca Mrocki, siedzący z karabinem na kolanach, dojrzał w gąszczu jakby dwie gorejące latarnie. Z początku myślał, że to świetliki, których pełno w lasach podzwrotnikowych. Ale światła zielonawe tkwiły nieruchomo w jednym miejscu, po czym znikwały na chwilę, ażeby pojawić się znów o parę kroków dalej. Właśnie Sobiesław zadawał sobie pytanie, co to takiego być może, kiedy wstrząsnął nim głuchy, przenikliwy ryk. Nie namyślając się długo Mrocki zmierzył w owe latarnie i dał ognia. Słyszał wyraźnie, jak coś padło ciężko na ziemię i ślepia zgasty nagle.

Witold zerwał się ze snu.

— Co to, co to? — pytał przecierając oczy. — Indianie?

— Zdaje mi się, że jaguar zbliżył się do koczowiska. Palnąłem doń, ale nie wiem, czy trafiłem. Jak się rozwidni, to się przekonamy.

Jak tylko zaświtało, obaj przyjaciele z bronią gotową do strzału udali się na poszukiwania. Na ziemi dostrzegli odciski dużych łap z pazurami i krople krwi. Idąc śladem natknęli się niebawem na grupę gęstych zarośli, z których doszło ich głuche mruczenie jakby zagniewanego kota. Mrocki przygotował się do strzału, Witold zaś z fojsą skradał się ostrożnie. Wielki jaguar, brocząc krwią, leżał na ziemi, ale już nie miał siły, żeby się dźwignąć. Witold zdjął z ramienia karabin i celnym strzałem dobił drapieżnika.

Przyjaciele oglądali z podziwem i przestachem pana puszczy leżącego bez życia. Kula Mrockiego trafiła go w dolną szczękę, przeszła przez szyję na wylot, ale nie zabiła od razu.

Witold nie namyślając się dobył noża i w mig zdjął wspaniałą, cętkowaną żółto i czarno skórę, którą postanowili zabrać i sprzedać przy najbliższej okazji.

Grzymała chciał nawet skosztować pieczonej „jaguarzyny”, ale Mrocki odwrócił się ze wstrętem od cuchnącego nieprzyjemnie cielska.

Skóra wyschła niebawem na słońcu; przyjaciele naradzali się przez ten czas, co czynić dalej. Postanowili, że Mrocki pozostanie przy łódce, a Witold uda się dół rzeki. Po dwóch godzinach wrócił znużony i podrapany, oświadczając, że o kilometr dalej jest niebezpieczny wodospad, który trzeba koniecznie wyminąć.

Chcieli na razie porzucić łódkę, przenieść rzeczy w dół rzeki, gdzie woda już płynie spokojnie, i tam dopiero zrobić nową pirogę. Ale ponieważ drzew brzuchatych nigdzie w pobliżu nie było widać, więc postanowili wziąć na ramiona pirogę i przedrzeć się z nią lasem.

Ruszyli tedy, ale wnet okazało się, że to niełatwa sprawa z ciężarem takim iść puszcza. Ciągnięto więc łódkę na sznurze przy samym brzegu, aż dopiero niedaleko wodospadu wy dobyto ją na ład. Witold i Mrocki przerabali fojsą ścieżkę w gąszczu i wtedy dopiero puszczo się skalistym brzegiem. Ta przeprawa obok wodospadu, huczącego głośno, zajęła całuteńki dzień czasu i wyczerpała ich siły do tego stopnia, że zaraz poniżej katarakty rozłożyli się na nocny biwak.

Nazajutrz powtórzyło się to samo, z tą różnicą, że na drodze stanęła długa, na kilometr przeszło, bystrzyna. Tak daleko nieść łódkę nie starczyło sił naszym żeglarzom; z zalem więc porzucili pirogę i wędrowali znów pieszo, trzymając się brzegów rzeki, która stawała się coraz dziksza. Przez cały dzień jeden wodospad następował po drugim. Teraz nasi dwaj przyjaciele zrozumieli, że zabrnęli w bardzo niegościnne okolice. Puszcza na skalistym gruncie zamieniała się na katingę, między połaciami lasu trafiały się szmaty stepu, co ułatwiało podróż.

Nasi podróżnicy rozłożyli się na noc obozem na jednej z takich obszernych polan. Jak się niebawem przekonali, było to doskonałe miejsce do polowania; z przyległych lasów

wychodziły, zdążając do wodopoju, liczne zwierzęta, a między nimi stadko pięknych jeleni. Witold, zaczaiwszy się za krzakami, ubił celnym strzałem dużego rogakca. Uraczono się do woli smacznym mięsem. Resztę nazajutrz wysuszyli na słońcu i zabrali na zapas, skórę zaś pokrajali na rzemienie, które zamierzali zużytkować do wiązania tratewki, kiedy rzeka stanie się znów żeglowną.

Według obliczeń Mrockiego plantacja i zaludnione okolice pozostały daleko na wschodzie, gdyż koryto miało kierunek na zachód.

— Lękam się, że zabłądzimy w tych wertepach! — rzekł Mrocki do towarzysza, który mając pod dostatkiem jedzenia jakoś nie bardzo brał do serca sytuację. — Jeżeli będziemy wędrowali z biegiem wody, to z czasem musimy dostać się do rzeki Parany. Ale Bóg wie, jak do niej daleko. Może sto albo i dwieście kilometrów. Może nawet i więcej!

— Ha, trudno, koniec końców natrafimy na ludzi! — odparł niefrasobliwie Witold, który już oswoił się z puszcza. — A z głodu tu, jak widzę, nie zginiemy, bo wszędzie pełno wszelkiego zwierza.

Istotnie, puszcza okazała się, jak dotąd, gościnna dla naszych zbiegów. Wprawdzie cierpieli oni różne, nieodłączne od dziewiczych lasów, dolegliwości, ale jakoś dawali sobie radę. Powędrowali więc znowu z biegiem wody. Uszedłszy jeszcze kilkanaście kilometrów, spostrzegli z radością, iż rzeka rozlała się szeroko i płynęła spokojnie między niskimi brzegami.

Mrocki wypatrzył drzewo o grubej korze i zabrał się z Witoldem do budowy łódki. Nie poszło tym razem tak łatwo, ale po dwóch dniach pracy na wodzie zakołysała się nowa piroga, większa od pierwszej. Złożyli na niej manatki i znów rozpoczęła się wygodna podróż, nie wymagająca żadnego prawie wysiłku. Witold zrobił z liści palmowych daszek chroniący jako tako przed palącymi promieniami słonecznymi.

— Teraz będziemy płynęli jak panowie! — rzekł wyciągając się na pościeli urządzonej z trawy i mchu.

Długie żerdzie bambusowe służyły do popychania łódki. O dziesiątej zatrzymywano się w cieniu wielkich drzew i gotowano obiad, potem odbywano, za przykładem wszelkiego stworzenia, siestę; o trzeciej lub o czwartej, zależnie od pogody, puszczano się znowu w drogę, na noc rozpalano ognisko na kawałku piaszczystego wybrzeża, sporządzano wieczerzę, pito herwę, palono fajeczki i wśród gwaru wieczornego zasypiano kolejno. Niebawem zbiegowie oswoili się z dziwacznymi, tajemniczymi odgłosami ostępów leśnych. Rankiem, kiedy słoneczne promienie ukośnie przedzierały się przez gąszcz, budząc ze snu przyrodę, z przyjemnością śledzili życie mieszkańców tych pustkowi, nie odwiedzanych przez człowieka. Na gałęziach drzew, podpierających sklepienie niebieskie swymi gęstymi i potężnymi konarami, roiło się od najróżnorodniejszego ptactwa. Małpy igrały stadkami, przeskakując ze zręcznością akrobatów z drzewa na drzewo i wieszając się na pnączach. Ludzie budzili w tych pociesznych stworzeniach raczej ciekawość aniżeli obawę. Nie było nic łatwiejszego, jak strącić strzałem które z nich. Puszcza była jakby wielką spiżarnią, z której można było czerpać bez miary.

Mrocki zaczął gustować w tej niefrasobliwej włóczędce, która pozwalała mu poznać cuda przyrody podzwrotnikowego świata. Jak dotąd, nie spotkała ich żadna zła przygoda, z wyjątkiem chyba wizyty nocnej, która skończyła się zdobyciem pięknej skóry. Nocami słyszeli niejednokrotnie ryk pumy albo jaguara, chrząkanie pancerników lub dzikich świń, ścieżkami leśnymi z łomotem przedzierała się gruba zwierzyna, przypuszczalnie tapiry. Kiedy zapas suszonego mięsa się skończył, polowano z powodzeniem na duże pancerniki, które przy świetle księżycy lubiły wychodzić na polany leśne. Jedno uderzenie fojsą w nie pokryte twardym pancerzem miejsce między tułowiem a szyją — i zwierz stawał się łatwą zdobyczą, jeśli nie zdążył zagrzebać się w ziemi. Witold nie mógł się nadziwić, jak szybko pancernik mógł dokonać takiej podziemnej ucieczki posługując się swymi potężnymi pazurami. Polowa-

no także na aguti, zwierzątka wielkości naszego zająca, których mięso było bardzo smaczne. Raz Mrocki przydybał w gąszczu potężnego jaszczura zielonawożółtego i rozłożył go strzałem z karabinu, zanim ten zdążył schować się w pniu spróchniałego drzewa.

Co dzień na stole zbiegowie mieli inną pieczeń, w ostateczności strzelali ptactwo, a zwłaszcza czyhali na dzikie indyki, które miały bardzo smaczne mięso.

Gdyby nie pchły ziemne, które co dzień musieli wydobywać szpilkami spod paznokci, gdyby nie dokuczliwe mrówki i komary, pobyt w lesie byłby zupełnie znośny.

Lecz sielanka ta niebawem miała się skończyć. Pewnego poranka Mrocki dostrzegł pasmo niebieskiego dymu wznoszącego się w cichym powietrzu ponad lasem, znak nieomylny obecności człowieka.

Wędrowcy wahali się, co czynić.

— Mogą nas zamordować, ażeby osiąść naszą broń — rzekł Mrocki.

— Niech spróbują! — rzucił zuchwale Witold. — Nie damy się zjeść w kaszy!

Przygotowano się więc do zbrojnego spotkania.

Mrocki położył się na dnie pirogi z karabinem gotowym do strzału. Witold zaś podpłynął do brzegu, zerwał zieloną gałąź, potem, starając się trzymać jak najdalej od przypuszczanego nieprzyjaciela, posuwano się z bystrym w tym miejscu prądem.

Niebawem, na огоłoconym z krzaków wybrzeżu, dostrzeżono kilka nagich postaci uwijających się około nędznych szałasów. Byli to na pewno Indianie, nie nosili bowiem żadnej odzieży prócz przepasek na biodrach.

Synowie puszczy także swymi bystrymi oczami śledzili pomykającą łódkę. Kilku skoczyło do szałasów, skąd wybiegli po chwili z długimi łukami w rękach.

— Bacność! — zawołał Mrocki. — Schyl się, Witoldzie, bo cię jaka strzała dosięgnie.

Ale Grzymała wiedząc, że zielona gałązka u wszystkich ludów świata oznacza pokojowe zamiary, zaczął nią wymachiwać w kierunku Indian. Zrozumiano go, bo strzały z cięciw zdjęto. Indianie, w odpowiedzi na przyjacielskie znaki, robili gesty zapraszające podróżnych do wylądowania.

— No, czy można im zaufać, jak ci się zdaje, Mrocki? — zagadnął Grzymała wahając się.

— Ha, cóż robić, spróbujmy! Słyszałem, że w Brazylii jest dużo szczepów na wespół cywilizowanych, które białym nie czynią nic złego. Ale nie zawadzi mieć się na bacności. Przybijaj!

Piroga, popchnięta silnym uderzeniem bambusowego wiosła, zbliżyła się do brzegu. Witold wyskoczył na piasek, pozostawiając broń pod opieką towarzysza, i z gołymi rękami odważnie szedł na spotkanie synów puszczy.

Zbliżywszy się, wyciągnął na powitanie dłoń, którą pochwycił najbliższy Indianin. Jakiś starszy czerwonoskóry z powagą podszedł do przybysza i łamaną portugalszczyzną oznajmił, że jest kacykiem, po czym zwyczajem miejscowych poklepał przyjaźnie po łopatkach Witolda.

Mrocki widząc takie przyjęcie wyciągnął łódkę na piasek, rad, że po długiej włóczędce po puszczy spotyka wreszcie istoty ludzkie.

Przyglądał się ciekawie Indianom. Byli na ogół niezbyt ładni, ale dobrze zbudowani i muskularni. Cera ich przypominała marchew świeżo wyciągniętą z ziemi. Włosy mieli czarne, przycięte równo nożem na karku. Oczy nieco skośne i wystające kości policzkowe nadały im cechy mongolskie.

Synowie puszczy widocznie rzadko widywali białych, gdyż przybysze wzbudzili niepohamowaną ciekawość u kobiet i dzieci. Wojownicy, którym nie wypadało objawiać swoich uczuć na zewnątrz, zerkali ku nim, za to niewiasty, oswoiwszy się nieco, bez ceremonii zaczęły dotykać ich odzieży, rąk i szyi, tylko dzieciaki, przejęte trwogą, krzychały po szałasach, do których puciekały na widok upiornych białych twarzy.

Ale i bębny wnet pozbyły się bojaźni i nasi przyjaciele zostali otoczeni tłumem złożonym z kilkudziesięciu osób.

— No, trafiliśmy na jakichś poczcwiwców! — westchnął z ulgą Grzymała. — Trzeba by im co podarować, żeby nam dali spokój.

Przez chwilę wahał się, bo miał tylko najpotrzebniejsze przedmioty, ale wnet sięgnął do kieszeni i wyciągnął sznurek szklanych paciorków, które kupił kiedyś w zamiarze ofiarowania ich gościnnej żonie kabokla. Z całą powagą zbliżył się do kacyka podając mu perły.

Indianin wziął korale uśmiechając się przyjaźnie i ofiarował je młodej jeszcze kobiecie, widocznie swej żonie, która nie posiadała się z radości. Pozostałe kobiety otoczyły ją, dotykając z lubością paciorków.

Obdarowana przechadzała się dumnie dokoła kacykowego szałas, cokolwiek większego od innych.

Grzymała zmiarkował, że każda rada by coś dostać, uprzedzając więc prośby, wyrzucił na zewnątrz kieszeń, dając do poznania, że nie posiada więcej pereł; dano mu więc spokój.

Kacyk zawołał pewnego mężczyznę i dał mu rozkaz, żeby opróżnił swój szałas dla gości. W jednej chwili Indianin, przy pomocy swej żony, powyrzucał nędzne sprzęty na zewnątrz; po czym kacyk oddał domostwo przybyszom.

Mrocki i Grzymała wpełznięli do budy zrobionej z trzciny i krytej palmowymi liśćmi. Usiedli przy ognisku, przy którym krzątały się kobiety. Zaczęła się rozmowa na migi z dodatkiem kilkunastu słów portugalskich. Kacyk pragnął dowiedzieć się, co sprowadza białych w te odosobnione okolice.

Mrocki, po długim namyśle, wytłumaczył mu z wielkim trudem, że uciekł z plantacji kawy, gdzie mu kazano za ciężko pracować, i ukrywał się z towarzyszem w puszczy; teraz chce się dostać w inne okolice i prosi o danie przewodnika i opiekuna.

Kacyk wysłuchał poważnie tych wyjaśnień, zrobionych przeważnie na migi z dodatkiem paru słów portugalskich.

Zrobiono niezwłocznie układ. Kacyk, który posiadał dubeltówkę, pragnął otrzymać w zamian za przysługę ładunki kulowe i śrutowe. Niestety, okazało się, że naboje karabinowe nie pasują do broni myśliwskiej. Wydłubano więc nieco prochu z gilz. Mrocki zauważył, że kilku Indian miało stare karabiny; jeden pysznił się wielkim rewolwerem bębnowym. Dowodziło to, że synowie puszczy mieli jakąś styczność z białymi albo może nabyli broń od swoich bardziej ucywilizowanych sąsiadów. Amunicja była u nich w wysokiej cenie, dzięki temu za trochę prochu, kilka kul i stare, dobrze znoszone spodnie płócienne Mrocki otrzymał żądanego przewodnika.

Witold ze swej strony podarował wodzowi woreczek z tytoniem do fajki i pudełko zapalek. Ten ostatni prezent najbardziej może ucieszył kacyka.

Wódz kazał zawołać przewodnika, który nosił imię Tapir. Był to młodzieniec krępy, dobrze zbudowany, o uczciwym spojrzeniu. Mrocki nabrał doń zaufania. Uradzono odpocząć przez kilka dni w toldzie i przy tej okazji zapoznać się nieco z życiem synów puszczy, potem puścić się dalej rzeką, która, jak objaśnił kacyk, miała jeszcze dużo wodospadów. Ale kacyk nie potrafił podać jej nazwy, dał tylko do poznania, że nad nią leżą siedziby białych ludzi. Sobiesławowi nie było pilno zaprząć się znowu do pracy na jakiej plantacji albo w fabryce; życie na łonie dzikiej pięknej przyrody zaczęło mu smakować. Przywykł już nieco do niewygód, a przekonał się, że człowiek uzbrojony mógł łatwo zdobyć sobie dostatek pożywienia w selwie rojącej się od wszelakiej zwierzyny.

Zbudowano więc sobie, przy pomocy przewodnika, osobny szałas dla ochrony od deszczów, które, mimo zimy, od czasu do czasu zlewały puszcę strumieniami wody, i tam się osiedlono.

ROZDZIAŁ XVI

SYNOWIE PUSZCZY

Toldo indiańskie składało się z kilkunastu nędznych szałasów, zamieszkałych przez tyleż rodzin. Wnętrza ich były niemal puste. Oprócz kilku nędznych sprzętów gospodarskich i broni majątek Indianina składał się z kilku skór dzikich zwierząt, kamiennych skrobaczek, kościanych igieł. Nawet garnków glinianych Sobiesław nie mógł nigdzie dojrzeć, Indianie gotowali herwę w naczyniach z takuary, pili wodę z rzeki, mięso zabitych łukiem zwierząt przypiekali na ogniu i zjadali niemal na surowo. Prócz tego zbierali w lesie owoce i jagody. Nie gardzili żadnym pożywieniem, nawet jaszczurkami, węzami i tłustymi larwami owadów wyciąganymi spod kory drzew. Chłopcy zręcznie wspinali się na najwyższe drzewa i wybierali jaja z gniazd ptasich. Jedli też wierzchołki palm gotowane w wodzie. Smakowało to wyśmienicie, coś jakby szparagi czy orzechy.

Synowie puszczy rankiem udawali się do kąpieli w rzece, potem jedli coś niecoś u ogniska, a jeśli z wczorajszego dnia nie pozostało żadnej żywności, udawali się na czczo równo ze świtem do lasu z łukiem. Polowali we dwóch albo pojedynczo. Przyniesioną zwierzynę, którą traktowali jako wspólną własność, dzielili pomiędzy wszystkich współmieszkańców tolda. Zwierzyna w okolicy stawała się coraz rzadsza, tak iż kacyk mówił o przeniesieniu się w inne strony. Mrocki zaraz na trzeci dzień udał się z Indianami na polowanie, poruczywszy Witoldowi naprawę podartego ubrania. Podziwiał przy tej sposobności zręczność, z jaką synowie puszczy przedzierali się przez najbardziej zbity gąszcz, który dla niego stanowił nieprzebytą zaporę; prześlizgiwali się pomiędzy siatką lian, takuara, bambusami jak węże. Mieli tak wyćwiczone zmysły, że wprowadzali w zdumienie białego człowieka; tropili zwierzynę węchem jak wyżły, z daleka dosłyszec potrafili ciche stąpanie jaguara lub pumy, wypatrzyli ptaka na najwyższej gałęzi niebotycznego drzewa, znali wszystkie tajemne odgłosy puszczy i nieomylnie nazwali stworzenie, które się odezwało w mateczniku. Mrocki musiał przyznać, że w takich warunkach łuk i strzały miały pewną wyższość nad fuzją, z której wystrzał wystraszał w dalekim promieniu wszystką zwierzynę.

Indianin zaś, podkradłszy się niepostrzeżenie, strącał niechybną strzałą papugę albo małpę, a kiedy stadko, zdziwione raczej aniżeli przestraszone upadkiem jednego z towarzyszy przenosiło się na inne drzewo, podchodził je i w ten sposób łatwo zabijał parę sztuk.

Łuki ich były długie na dwa metry, strzały niewiele co krótsze. Za ostrza do nich służyły kości połupane albo w ostateczności kolce takuary. Z grubszą zwierzyną szło nieco trudniej, ale nawet dziką świnię i tapira Indianin umiał powalić ze swej pierwotnej broni.

W parę dni po przybyciu białych do tolda zdarzyło się, że jeden z Indian spotkał w puszczy jaguara i tylko dzięki niezwyklej przytomności umysłu zdołał ocalić życie. Wieść o tym rzuciła trwogę na całą wioskę. Indianie obawiali się wychodzić na łowy i zwrócili się do Mrockiego i Grzymały z prośbą o zgładzenie niebezpiecznego współzawodnika w wyprawach myśliwskich.

Mrocki, dla podtrzymania swego myśliwskiego autorytetu, musiał się zgodzić i w towarzystwie dwóch uzbrojonych w stare skałkowe karabiny Indian wyruszył przed świtem na spotkanie z „panem tych stron”, jak malowniczo nazywali jaguara synowie puszczy.

Zwierz obrał legowisko w płytkiej jaskini, o kilometr położonej od tolda. Ma on zwyczaj udawania się na łowy pod osłoną ciemności i wraca do legowiska przed samym świtem. Mrocki, Witold i dwaj Indianie wytropiwszy drapieżnika usadowili się na drzewie w pobliżu jaskini i z bronią gotową do strzału oczekiwali, aż powróci z rozbójniczej wyprawy.

To czatowanie na króla puszczy było bardzo uciążliwe i denerwujące. Musiano siedzieć

nieruchomo na grubej gałęzi, oddając się dobrowolnie na łup rojom moskitów i bąków, które unosiły się chmurą nad myśliwcami, tnąc ich niemiłosiernie. Mrocki jakiś czas odganiał się, ale towarzyszący mu Indianin dał do zrozumienia, że trzeba siedzieć cicho, bo lada chwila jaguar może się ukazać. Mrocki i Grzymała leżeli więc jak kłody, z bronią gotową do strzału, i nadsluchiwali.

Już zaczęło dzień, kiedy Indianin dał znak, że zwierzę jest niedaleko. Istotnie, zaszeleściły trzciny i między ich łodygami przemknął bezszelestnie cętkowany tułów jaguara. W pobliżu jaskini roślinność była wydeptana. Kiedy drapieźnik ukazał się w tym miejscu, huknęły trzy wystrzały na raz. Mrocki dojrzał, jak rozbójnik podskoczył gwałtownie w górę i ciężko runął na ziemię. Widać go było teraz w pierwszych promieniach słońca, konwulsyjnie szarpiącego potężnymi pazurami ziemię. Ponieważ nie zdechł od razu, Mrocki posłał mu jeszcze jedną kulę. Była snadź celna, gdyż zwierzę legł nieruchomo. Indianie, wydawszy okrzyk triumfu, zeskoczyli z drzewa i zaczęli wykonywać dziki taniec dokoła zwyciężonego wroga, obrzucając go gradem przezwisk obelżywych. Póki był żywy, obawiano się powiedzieć przeciwko niemu choćby słówko; teraz jednak, kiedy leżał bez życia, drwiono z niego i poniewierano niemiłosiernie. Przywiązawszy mu do tylnych łap mocne liany, zawleczono do tolda. Wszyscy mieszkańcy wioski, nie wyłączając kobiet i dzieci, zgromadzili się dokoła zwierza. Zapanowała nieopisana radość. Okrywano pochwałami białych myśliwców, których pociski, jak się okazało, były śmiertelne. Zdarto piękną skórę, którą sobie zabrał Grzymała na podkładkę, gdyby mu wypadło spać na gołej ziemi. Mięso zaś rozdzielili między siebie Indianie i zjedli, pomimo że wydawało nieprzyjemną woń. Według ich przekonania, kto zje serce tygrysa, ten nabiera odwagi. Przysmak ten po kawałku skonsumowali wojownicy dziwiąc się, że biali odrzucili go ze wstrętem.

Wynik polowania podniósł między Indianami autorytet przybyszów. Wzrósł on jeszcze bardziej, kiedy nazajutrz udało się Mrockiemu upolować ciężkiego tapira, przydybanego na ścieżce, którą zwykle chodził przed świtem do rzeki. Żywności teraz nie brakowało; całe toldo objadało się do syta. Przybysze, dzięki swej dobrej broni, potrafili wyżywić całą wioskę.

Przez parę dni, mając obfitość mięsa, synowie puszczy oddawali się słodkiej beczynności. Do późna w nocy przesiadywali u ogniska, opowiadając sobie doznane przygody albo przekazywane z pokolenia na pokolenie baśnie i podania. Mrocki i jego towarzysz mieli sposobność poznać bliżej Indian. Byli to w gruncie rzeczy spokojni, uczciwi i dobrzy ludzie. Lubili dużo mówić, śmiali się przy lada okazji, dobry humor i beztraska nie opuszczały ich na chwilę.

Mężczyźni nie robili nic, pozostawiając wszelkie zajęcia gospodarskie swym żonom. Jedynym ich zadaniem było polowanie i sporządzanie broni. Małżonkom swym okazywali wzruszającą miłość. Mrocki był świadkiem czułych scen, pocałunków i uścisków i musiał przyznać, że małżeńskie pożycie synów puszczy na ogół było przykładniejsze i zgodniejsze niż u białych. Równie czułą miłość Indianie okazywali swym dzieciom. Nigdy ich nie bili ani na nie krzyczeli. Młode latorośle indiańskie, znając tę pobłażliwość starszych, na wszystko sobie pozwalały.

Z początku bębny obawiały się białych, ale wkrótce tak dalece się z nimi oswoiły, że chciały ciągle przebywać w ich sąsiedztwie. Stawały się nieraz aż tak uprzykrzone, że Grzymała tracił cierpliwość, ale nie śmiał żadnego odepchnąć ani uderzyć, wiedział bowiem, że taki postępek wzbudziłby powszechne oburzenie. Znosił więc figle i psoty wnuków puszczy bez szemrania, nawet, dla zaskarwienia sobie względów rodziców, robił im różne europejskiego wymysłu zabawki.

Indianki z początku naprzykrzały się Grzymale o paciorki, ale kiedy się przekonały, że biały nie ma więcej tych wysoko cenionych ozdób, dały mu spokój.

Nasi przyjaciele rozdali, co tylko mogli, pozostały im rzeczy, bez których nie mogliby się już obejść. Indianie widząc to nie dopominali się już o żadne podarki. Przez cały czas

pobytu w toldzie ani Mrockiemu, ani Grzymale nic nie zginęło, co dowodziło, że synowie puszczy mają wrodzoną uczciwość.

Rozmawiając z kacykiem Mrocki dowiedział się, że w puszczy mieszka dużo szczepów indiańskich, które polują na terytoriach stanowiących ich odwieczną własność. Każdy obcy przybysz jest niemiłosiernie wypędzany. Wojny między sąsiadującymi plemionami zdarzają się często, skutkiem czego i tak już nieliczni czerwonoskórzy tępią się wzajemnie. Z drugiej strony biali, którzy posuwają się ze swymi koloniami coraz bardziej w głąb puszczy, przelewają bez żadnego skrupułu krew pierwotnych mieszkańców nowego ładu. Najmniejsza kradzież z pola, zabicie owcy czy wołu, sprowadza zemstę kabokla, w którego żyłach płynie prawie zawsze domieszka krwi indiańskiej. Toteż liczba Indian w Brazylii i innych krajach Ameryki Południowej szybko się zmniejsza. Plemiona zaś, nie prowadzące wojny z białymi najeźdźcami, padają ofiarą zawleczonych tutaj z Europy chorób, wobec których organizm Indianina nie jest tak odporny, jak białego. Największymi wrogami czerwonych jest ospa, influenza i gruźlica. Złe nałogi, a zwłaszcza wódka, osłabiają ich moralnie. Wiele licznych dawniej i wojowniczych szczepów wymarło już doszczętnie, a taki sam los czeka i pozostałe, które dotąd żyją niezawisłe, jak ich przodkowie przed odkryciem Ameryki, w swoich niedostępnych puszczech, ciągnących się na tysiące kilometrów poprzez dolinę Amazonki, aż do Peru i Boliwii.

Mrocki oddawał się życiu bez troski, jakie na podobieństwo ptaków prowadzili czerwonoskórzy. Przekonał się prędko, że synowie puszczy czuli się zupełnie szczęśliwi, czego nie można było powiedzieć o mieszkańcach krajów cywilizowanych, gdzie człowiek, otoczony surową i ubogą przyrodą, walczy ciężko o kawałek chleba z licznymi współbraćmi; Grzymale także przypadł do gustu ten tryb życia. Pewnego wieczoru, siedząc po społu z Indianami przy ognisku, wystąpił niespodziewanie z projektem, żeby na zawsze pozostać w puszczy i żyć na podobieństwo jej synów.

— Zbudujemy sobie nad rzeką, w ładnej miejscowości, chałupę, wykarczujemy kawał lasu, zasiejemy fasolę, maniok, ryż albo kukurydzę i za parę lat będziemy mieli gospodarstwo jak się patrzy. Po co nam wracać do miasta, gdzie ostatnie siły z człowieka wypędzą.

Ale po tygodniu zmienił zdanie. Puszcza zaczynała swą dziką monotonią źle oddziaływać na jego duszę, tęsknił za otwartą przestrzenią, za słońcem, którego tu nie widywał, chyba przed samym zachodem, kiedy słało swoje skośne promienie poprzez trzcinniki. Po dziesięciu dniach takiej sielanki na łonie dzikiej przyrody oświadczył, że czas ruszać w drogę.

Pożegnanie z Indianami było bardzo serdeczne. Biali musieli przyobieczać, że jeśli tylko się da, wrócą do swoich przyjaciół; dano im na drogę owoców leśnych, nauczono, jak za pomocą dwóch kawałków drzewa, pocieranych jeden o drugi, można wykrzesać ogień w braku zapalek; kacyk nakazał przewodnikowi, żeby odprowadził białych aż do granic posiadłości szczepu, po czym nasi zbiegowie wsiedli do nowej, szerszej i dłuższej pirogi, umyślnie dla nich zbudowanej, i ruszyli w dół rzeki, która stawała się coraz szersza i głębsza.

ROZDZIAŁ XVII

Z PUSZCZY NA BRUK WIELKIEGO MIASTA

Kiedy nasi przyjaciele wyruszali w towarzystwie Tapira z tolda indiańskiego, mieli nadzieję niebawem znaleźć się wśród ludzi cywilizowanych. Ale wypadki potoczyły się inną koleją.

Wędrownica po puszczy przypadła im tak dalece do serca, że bynajmniej nie śpieszyli się

dotrzeć do celu podróży, którym było jakieś małe osiedle w odległości stu kilometrów na wschód.

Okazało się, że Indianin doskonale spełniał swoje zadanie przewodnika i opiekuna dwóch białych ludzi. Był widocznie dumny ze swej roli. Wtajemniczał towarzyszków w sekrety życia na łonie dziewiczej przyrody.

Wędrówka odbywała się małymi etapami. Jeżeli gdzieś napotkano polanę otoczoną lasem i obfitość zwierzyny, to rozbijano na niej obóz. Tapir budował szałas z gałęzi, rozpałał ognisko i wszyscy trzej w słodkiej beczynności spędzali w tymczasowym osiedlu kilka dni. Jedynym zajęciem ich było polowanie. Dzięki wskazówkom Tapira zapoznawano się coraz lepiej z fauną i florą puszczy brazylijskiej. Wyruszywszy zwykle o świcie w las, w ciągu paru godzin włóczęgi po zaroślach, upolowano to aguti, to wodoświnkę, to dziką świnię, to parę indyków o niezmiernie smacznym mięsie, to pancernika, to mrówkojada.

Na żywności, dzięki dobrej broni i obfitości amunicji, nie zbywało. Do mięsa owoce lian albo wierzchołki palmy jadalnej stanowiły doskonały dodatek. Słowem, puszcza pomimo wielu niedogodności i przykrości okazała się dla przygodnych swych gości bardzo przychylna.

Dzięki ciepłemu, a raczej gorącemu klimatowi, obywano się bez odzieży. Calutki dzień boży obaj przyjaciele chodzili prawie nago, oszczędzając w ten sposób dobrze już podniszczoną garderobę. Niebawem Mrocki i jego przyjaciel zamienili się w prawdziwych synów puszczy.

Witold uważał, że taka włóczęga jest sto razy przyjemniejsza niż karczowanie puszczy albo pielęgnowanie krzewów kawowych.

Kiedy dokoła obozowiska wystraszone zwierzę, przenoszono się o kilkanaście kilometrów dalej i tam znów rozpoczynano życie na łonie przyrody.

W ten sposób, nie śpiesząc się, przez całe dwa miesiące włóczono się po puszczy. Dopiero kiedy zima brazylijska miała się ku końcowi i kiedy upały i deszcze ulewne, zamieniające selwę w jedno bagnisko, zaczynały coraz bardziej dawać się we znaki, przyspieszono nieco podróż.

Przeprowadzanie się przez wezbrane wskutek ulewy strumienie i rwące rzeki było połączone z dużym niebezpieczeństwem. Kilka razy musiano oczekiwać po trzy dni na opadnięcie wód, moknąc pod przeciekającym szałasem.

Witold, skutkiem pobytu w dusznej i wilgotnej atmosferze oraz sypiania na mokrej ziemi, dostał ataku febry, która chwyta w swe szpony każdego niezaaklimatyzowanego Europejczyka. Mrocki nie umiał ratować towarzysza, który raz trząśnięty z zimna pod wszystkim, co tylko było nań włożyć, to znów płonął gorączką bredząc.

Ale na szczęście Tapir był z nimi. Po długim szukaniu natrafił wreszcie na drzewo chinowe, zdarł z niego pęk kory i dawał pić z niej odwar choremu.

Pierwsze dwa parkosyzmy minęły szczęśliwie, Witold odzyskał na tyle siły, że mógł iść.

Teraz Mrocki śpieszył się, żeby jak najprędzej opuścić niezdrową selwę. Po kilku dniach podróży natrafiono na jakąś ścieżkę, która zaprowadziła nad brzeg sporej rzeki. Według wskazań Tapira, o kilka mil w dół leżeć miała osada białych ludzi. Ale Indianin nie chciał już iść dalej, gdyż tutaj kończyły się terytoria będące własnością jego rodzinnego szczepu, a zaczynały się obszary wrogo nastrojonego plemienia, z którym Tapir nie życzył sobie zetknięcia się ze względu na własne bezpieczeństwo. Nastąpiło więc rozstanie bardzo serdeczne, Tapir okazał się człowiekiem obowiązku i z gruntu uczciwym. Spełniwszy otrzymany od kacyka rozkaz, miał teraz sam jeden wracać do tolda odległego o sto kilometrów przynajmniej. Mrocki postanowił go czymś obdarzyć. Po długim namyśle ofiarował mu rewolwer kieszonkowy z dwudziestoma pięcioma nabojami. Trudno opisać radość Indianina, kiedy znalazł się w posiadaniu tak upragnionej broni palnej. W zamian chciał dać Mrockiemu swój

łuk i strzały, ale ten odmówił, wiedząc, że Indianin musi mieć broń dla zdobycia sobie zwierzyny.

Kiedy Tapir, uszczęśliwiony, zniknął w zaroślach takuary, nasi przyjaciele puścili się w dół rzeki i istotnie w ciągu kilku godzin natrafili na barak zamieszkały przez kabokla, który handlował z plemionami indiańskimi i spławiaczami drzewa różnymi artykułami niezbędnymi dla każdego podróżnego w puszczy.

Przyjął on dość gościnnie dwóch białych, sprzedał im fasolę, kukurydzę, poczęstował wódką, której nie mieli w ustach od kilku tygodni, i pozwolił czekać w baraku na najbliższą okazję.

Czekanie to trwało cały tydzień. Zjawiła się wreszcie tratwa zbita z cennych gatunków drzew, którą kilku Metysów prowadziło do rzeki Paranahyby i dalej do portu argentyńskiego. Argentyna bowiem, przeważnie pokryta stepami, ciągle potrzebuje drzewa i płaci za nie dobre ceny.

Na tej tratwie, w towarzystwie na wpół dzikich drwali, nasi przyjaciele, po dwóch tygodniach nie pozbawionej niebezpieczeństw podróży, dotarli do miasteczka nad Parana, gdzie się znajdowała fabryka konserw mięsnych.

Spędzane z głębi stanu stepowe bydło szlachtowano tutaj i zamieniano na różne produkty w rodzaju bulionu, suszonego mięsa itp.

Cuchnęło tam okropnie, ale właśnie okazało się, że fabryka potrzebuje robotników. Mrocki, mimo wstrętu, jaki budził w nim ten rodzaj zajęcia, zgodził się jakiś czas tu pracować dla zdobycia sobie środków na opłacenie parowca, który raz na dwa tygodnie docierał do fabryki z Montevideo i wracał tamże.

Nowe otoczenie było w rażącej sprzeczności z dotychczasowym; zamiast świeżego, wonnego powietrza selwy przyjaciele oddychali wyziewami rozkładających się szczątków zwierzęcych. Toteż z prawdziwą radością wsiedli po dwóch tygodniach na mały stateczek przeładowany ludźmi i towarami. Żywiono ich źle, nocowano jeszcze gorzej, ale za to parowiec posuwał się rażno w dół wspaniałej rzeki. Przed oczyma naszych podróżnych przesuwały się coraz to nowe krajobrazy. Puszcza towarzyszyła im na przestrzeni wielu setek kilometrów, jej tajemne odgłosy dochodziły nocami do uszu podróżnych. Statek bowiem płynął tylko w dzień, a przed samym zachodem słońca zarzucał kotwicę przy brzegu. Wtedy Mrocki i Witold robili szałas pod drzewami selwy, rozpalali ognisko i spędzali przy nim noc, ażeby tylko uniknąć zapluskwionych i brudnych kajut parowca, w których tłoczyło się kilkudziesięciu kłótliwych i ciągle pijanych Mulatów.

Nareszcie po kilkunastodniowej podróży, która wyczerpała do samego dna ich kieszenie, przyjaciele znaleźli się od razu na łonie wyrafinowanej cywilizacji — w stolicy Argentyny, dwumilionowym niemal Buenos Aires.

Tutaj skończyła się włóczęga po puszczech, a zaczął się nowy, całkiem odmienny okres życia, który we wspomnieniach Mrockiego nie należał do najprzyjemniejszych.

Wydawszy wszystkie zarobione w fabryce konserw pieniądze na podróż, przyjaciele oglądali się pilnie za jakim stałym zajęciem. Ale nie znając języka hiszpańskiego i obyczajów miejscowych, a co gorzej — nie posiadając żadnego wyraźnego fachu, nie mogli nigdzie na dłużej się zaczepić. Przez cały tydzień pomagali przy ogrodzie jakiemuś polskiemu koloniście w okolicach miasta, ale to przygodne zajęcie niebawem się urwało. Musieli zgodzić się w porcie do ciężkiej nad wyraz pracy przy wyładowywaniu węgla kamiennego. Zasmoleni, oblani krwawym potem, nosili koszami, wozili taczkami czarne diamenty przez trzy dni, po czym znów nie mieli się do czego wziąć. Liche zarobki wydawali na żywność i brudne noclegi w najgorszych oberżach.

Rozejrzawszy się lepiej, nasi przyjaciele doszli do przekonania, że w gorącym, niezdrowym klimacie Ameryki Południowej zmarnują siły i zdrowie. Żałowali chwilami, że opuścili gościnną selwę, gdzie życie z dnia na dzień było tak łatwe, ale — stało się.

Po długich naradach zdecydowali się użyć wszelkich sposobów, ażeby dostać się do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Ale jak spełnić ten zamiar?

Nie było co marzyć nawet o tym, żeby zapłacić za przejazd na jakimś pasażerskim statku. Próbowali więc zaciągnąć się na handlowy parowiec lub żaglowiec w charakterze palaczy albo robotników.

Po długich i daremnych usiłowaniach, które doprowadzały do rozpaczyny naszych przyjaciół, uśmiechnęło się im niespodzianie szczęście.

Było to na pokładzie pewnego żaglowca amerykańskiego, który odbywał z różnymi towarami regularne podróże pomiędzy Nowym Jorkiem a Buenos Aires. Właśnie wyładowywano z niego drzewo i zabierano kawę oraz inne produkty południowych krain, kiedy Mrocki stanął przed obliczem wszechwładnego kapitana „Filadelfii”. Marynarz był w złym humorze i z początku gburowato odprawił proszących go o jakiegokolwiek bądź zajęcie lichy odzianych przybyszów. Mrocki już się odwrócił na pięcie i klnąc miał zamiar opuścić pokład, kiedy Amerykanin zagadnął go, czy umie gotować.

Pytanie to zaskoczyło tak dalece naszego eksartylerzystę, że nie wiedział, jak ma odpowiedzieć.

— Co gotować? — jękał.

— Jak to co? Wodę, kaszę, kapustę, fasolę, wszystko, co się jada na okręcie — odburknął kapitan.

Twarz Mrockiego rozjaśniła się nagle: przypomniał sobie pobyt w puszczy, manewry wojskowe i żywo skinął głową.

— O tak, potrafię wcale dobrze gotować niewyszukane potrawy, piec mięso.

— No, więc zrobione! Zostajesz u mnie kukiem i otrzymasz wikt oraz dwadzieścia dolarów miesięcznie! Marsz do kambuza! Mój kucharz właśnie zdezerterował, szelma!

— A ja? — jęknął rozpaczliwie Grzymała.

— To jest mój pomocnik! — zawołał Mrocki wskazując na towarzysza. — Umie doskonale zmywać naczynia i zna się na produktach spożywczych oraz na karmieniu zwierząt.

Kapitan popatrzył badawczo na Witolda.

— Dziesięć dolarów! — wycedził przez zęby.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że Witold zgodził się bez namysłu.

Pojechałby nawet bez żadnego wynagrodzenia; ale dobre i dziesięć dolarów.

Tego samego jeszcze dnia Mrocki i Grzymała musieli zdać egzamin praktyczny. Oficer wydał im z magazynu worek fasoli, porcję słoniny i kilkadziesiąt funtów pekeflejszu, z czego polecono nowemu kucharzowi zgotować obiad w dużym kotle.

Mrocki musiał dobrze mieszać groch i mięso, żeby się nie przypaliły. Zupa zyskała powszechne uznanie u załogi złożonej z dwudziestu majtków różnej narodowości. Mrocki został więc kucharzem okrętowym na szkunerze „Filadelfia”, a Witold jego pomocnikiem. Dla podniesienia swego autorytetu Mrocki zrobił jeszcze doskonałą pieczeń wołową, duszoną z kartoflami, na stół kapitański. Oficerowie i majtkowie zgodnie orzekli, że na „Filadelfii” znalazł się po raz pierwszy prawdziwie biegły w swej sztuce kucharz. Przeprowadzenie do Nowego Jorku była więc zapewniona.

Witold miał nieco cięższe zajęcie, bo musiał myć talerze i naczynia kuchenne, utrzymywać kambuz w czystości, a w dodatku, kiedy brakło rąk, brano go do szorowania pokładu po społu z majtkami.

Nie wykręcał się od tego, toteż niebawem polubiono go.

„Filadelfia” podniosła kotwicę w parę dni po objęciu przez Mrockiego odpowiedzialnych obowiązków kuchmistrza.

Podróż była długa, ale pogoda dość sprzyjała żeglarzom. Tylko na wysokości Antyli napotkano gwałtowną, choć krótkotrwałą burzę. Ocean wrzał jak wielki kocioł na ogniu;

huragan połamał kilka rej — uszkodził dach od kambuza; fala była tak wściekła, że nasi dwaj przyjaciele padli ofiarą choroby morskiej, która nie oszczędziła nawet kilku wytrawnych marynarzy. Witold leżał jak kłoda na swej koi. Mrocki też cierpiał srodze, ale trzymał się jako tako. „Filadelfia” tańczyła na falach, kładąc się na bok, to znów stając dęba jak koń spięty ostrogą. Wszystkie naczynia kuchenne latały po kambuzie niby groch w grzechotce. Heca ta trwała przez całą dobę, potem nawałnica nagle ucichła i fale się powoli uspokoiły.

Była to jedyna przygoda w ciągu miesiąc cały trwającej żeglugi z południowej półkuli na północną.

Na równiku odbył się tradycyjny chrzest nowicjuszy; nie uniknął go Witold, choć się tłumaczył, że już raz przebył Królestwo Neptuna.

Skapano go w beczce słonej wody, wysmarowano smołą twarz, ogolono wielką drewnianą brzytwą, a w końcu oblepiono pierzem. Nawet Mrocki nie mógł się powstrzymać od śmiechu na widok swego przyjaciela podobnego do białej sowy lub kakadu. Witold śmiał się razem z kolegami; nagrodzono go za tę powszechną uciechę butelką rumu.

Wreszcie monotonna i przydługa podróż skończyła się. Ujrzano olbrzymią statwę Wolności u wejścia do olbrzymiego portu, a dalej majestatyczny szereg drapaczy chmur, u których stóp leży wielomilionowe miasto. Kiedy okręt zarzucił kotwicę, wręczono naszym przyjaciołom umówioną zapłatę, pożegnano skinieniem głowy; załoga „Filadelfii”, zwolniona od obowiązków, rozpierzchła się.

Mrocki i Grzymała znaleźli się sami wśród obojętnego tłumu, wobec nieznannej przyszłości, której jednak śmiało spoglądali w oczy.

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I

W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Wyszedszy na ulicę przyległą do rzeki Hudson. Mrocki i Grzymała czuli się z początku oszołomieni ruchem na niej panującym. Tysiące samochodów, autobusów, wozów ciężarowych płynęło jednym nieprzerwanym, bystrym potokiem. Chodniki były zatłoczone śpieszącymi się ludźmi. Potrącaли oni naszych przyjaciół nie mogąc zrozumieć, dlaczego ci dwaj nędznie odziani cudzoziemcy wloką się noga za nogą i gapią, nie wiadomo na co.

Wprędce przybysze przekonali się, jak wielki jest Nowy Jork; idąc przez parę godzin, nie dotarli nawet do żadnego przedmieścia. Ale zrobili interesujące ich spostrzeżenie, że olbrzymia stolica Stanów rozpada się jakby na kilkanaście dzielnic, z których każda zamieszkała jest w znacznej większości przez jakąś jedną narodowość.

Trafili więc na „kwartał żydowski”, gdzie im w polskim języku wskazano, którądy powinni iść, żeby się dostać w okolice niemieckie. Znając bowiem tylko bardzo słabo język angielski, Mrocki pragnął przynajmniej wykorzystać niemiecki.

Po długiej, męczącej wędrówce znaleźli się wreszcie u celu. Eksartylerzysta dopytywał się napotkanych ludzi, gdzie można dostać jakieś zajęcie, ale zbywano go albo wzruszeniem ramion, albo krótką odpowiedzią: „Nie wiem!” Dwóch zaledwie spomiędzy nagabniętych raczyło zamienić kilkanaście zdań, ale i ci nie potrafili udzielić Mrockiemu żadnych wskazówek.

Na takim daremnym wałęsaniu się i dopytywaniu minęło dużo czasu. Zaczął zapadać zmrok.

— Jestem diabelnie zmęczony! — użalał się Witold. — Musimy gdzieś zanocować, przecież nie podobna zostać bez dachu nad głową. Wypatrzmy jaki zajazd dla robotników, tylko tani, żeby te kilkanaście dolarów, jakie mamy w kieszeni, starczyło choć na tydzień, póki robota się nie trafi.

Mrocki uznał słuszność tego zapatrywania. Zaczęli poszukiwać taniego hotelu. Niebawem wskazano im duży, paropiętrowy budynek, mający to przeznaczenie.

Był to rzeczywiście hotel, ale bardzo prymitywnie urządzone. Wszystko tam było brudne, ordynarne, budziło wstręt w przybyszu; ale za to ceny były przystępne.

Pokój kosztował sześć dolarów tygodniowo.

Grzymała jednak narzekał:

— Sześć dolarów tygodniowo! Toż to straszne pieniądze! Trzeba koniecznie oszczędzać!...

— Na czym?

— Choćby na wikcie! Będziemy się obywali byle czym!

Mrocki zgodził się na to. Obaj więc zamiast schodzić na dół, do sali jadalnej, pozostawali u siebie i kazali sobie przynosić po funcie chleba z szynką albo kiełbasą. Na takim skromnym posiłku poprzestawali w nadziei, że w ten sposób opędzą utrzymanie z mieszkaniem za jakie osiem dolarów tygodniowo. Wczesnym rankiem wychodzili z domu i szukali pracy po fabrykach. Gdziekolwiek jednak zjawili się, wszędzie otrzymywali jednakową odpo-

wiedź: „Nie ma miejsc wolnych”.

Udawali się o protekcję do starych robotników, którzy mieszkali w tym samym hotelu, ale ci nie mogli także nic dla nich uczynić. Nowy Jork był przepełniony wolnymi rękami, należało chyba udać się na zachód.

Piątego dnia Grzymała zniechęcony zaczął mówić o wyjeździe. Był głodny i zamiast zadowolić się jak dotąd chlebem z szynką czy kiełbasą, postanowił zjeść cały, porządny obiad. Udali się więc obaj do jadalni i zajęli miejsca u wielkiego stołu, gdzie siedzieli już niemal wszyscy lokatorowie hotelu. Murzyni i Chińczycy roznosili potrawy; każdy nakładał sobie bez żadnej ceremonii, ile mu się podobało, jak zwykle przy table d'hote *. Grzymała naśladował ich. Na jego talerzu urosła istna góra mięsa i jarzyny, nie licząc pół bochenka chleba. Mrocki postąpił tak samo i po raz pierwszy od przyjazdu nasycili się.

Przy stole zawarli znajomość z jakimś Czechem, który z biedą, ale mógł się z nimi rozmówić.

— Cóż to, wczoraj dopiero przyjechaliście, że was tutaj nie widziałem? — pytał trącając się szklanką piwa z naszymi dwoma zuchami.

— Et, siedzimy już tu od pięciu dni, ale przez oszczędność jedliśmy na zimno, w pokoju, u siebie. Bo i tak za samo mieszkanie trzeba płacić sześć dolarów tygodniowo! — rzekł Witold.

Czech zaczął się śmiać aż do łez.

— Więc nic nie jedliście, tylko po kawałku chleba z kiełbasą przez cały dzień?

— Czegóż to wydziwiać? — mruknął Grzymała, cokolwiek urażony wesołością Czecha.

— A bo mogliście za te same pieniądze jeść, ile się zmieści!

— Gadanie!

— Prawda! Sześć dolarów od osoby kosztuje tutaj pokój z całym utrzymaniem. Dostaliście za to śniadanie, lunch i obiad.

— Bajki!

— Przecież wiem, bo sam tyle płacę!

Grzymała splunął.

— Bodajże to wciórności! — mruknął. — Człowiek każdego kęsa sobie żałował, a tu za nic pieniądze wezmą.

Istotnie, Czech miał słuszność. Rachunek trzeba było uregulować po sześć dolarów od osoby, chociaż dwaj przyjaciele zajmowali przez oszczędność tylko jeden wspólny pokój.

Ale od tego dnia Grzymała starał się odbić za swoje i odbił.

Na razie musiano pogodzić się z życiem hotelowym, ale zabrano się tym energiczniej do poszukiwania pracy.

„Co to jest? — rzekł sobie Mrocki. — W mieście żyją miliony ludzi, a ja jeden nie miałbym sobie tutaj zdobyć kawałka chleba? Nie jestem przecież niedołągą!”

Najbardziej dawała mu się we znaki niezajomość języka angielskiego. Starał się więc obcować ciągle z Amerykanami, przysłuchiwał się bacznie wymowie, kupił sobie słowniczek i gramatykę i wieczorami, kiedy nie mógł już chodzić za interesami, siedział w izdebce swojej i uczył się do późnej nocy.

Wstawali obaj rano i szli odbywać swoją pielgrzymkę. W fabrykach zajęcia nie było, panował bowiem w przemyśle zastój. Zniechęcony Mrocki zwrócił się do pospolitszych zajęć.

W sąsiedniej gospodzie mieszkało kilku kelnerów z lepszych restauracji nowojorskich. Mrocki udał się do nich o protekcję. Obiecano mu wystarać się o cokolwiek. Przez trzy dni nie było nic, nareszcie czwartego, kiedy nasi przyjaciele zamierzali już, dla oszczędności, przenieść się do innej, jeszcze tańszej gospody, pewien kelner, Czech z pochodzenia, zaofia-

* Table d'hote (czyt.: tabl dot) — dosłownie: stół gospodarza; posiłki w hotelu, pensjonacie złożone z kilku z góry opłaconych dań jednakowych dla każdego gościa.

rował Mrockiemu posadę.

Sobiesław, niezmiernie zadowolony, udał się ze swoim protektorem do wielkiego gmachu, gdzie na piętrze mieściła się jadłodajnia, urządzona prawdziwie po amerykańsku. Był to raczej wielki bar, do którego o każdej porze dnia można było wejść na zimną albo gorącą przekąskę i gdzie o pewnej godzinie dawano lunch i obiad przy ogólnym stole, jak to się praktykuje w Ameryce.

Publiczność, uczęszczająca tutaj, składała się przeważnie z ludzi biegających przez cały dzień za interesami w środku miasta i nie mających czasu na to, żeby pojechać tramwajem elektrycznym gdzieś na przedmieście, aby zjeść obiad u siebie w domu.

Ludzie ci zawsze się bardzo śpieszyli. Śmiesznie było patrzeć, jak nerwowy gość wpaadał, niby po ogień, do wielkiej sali, biegł niemal pędem do bufetu, sam sobie nakładał kawał mięsa z jarzyną na talerz, sam brał nie czekając, aż mu podadzą, nóż i widelec, stawał pod ścianą, wzdłuż której biegła półeczka marmurowa zastępująca stoliki, i pochłaniał swoją porcję, zapijając ją piwem albo bulionem. Potem płacił w kasie i wynosił się ustępując swego miejsca pod ścianą tym, którzy już na to czekali.

I tak działo się przez cały dzień, od dziesiątej rano do dziesiątej wieczorem.

Przez bufet przechodziły istne góry rozmaitego mięsiwa, niezliczone baterie butelek. W to piekło wprowadzono Mrockiego. Niestety, nie dano mu zajęcia od frontu, przy gościach, chociaż miał po temu za wysokie nawet kwalifikacje, ale zaprowadzono go na dół, do suterenu, gdzie mieściły się kuchnie i składy restauracyjne.

Sobiesław rozglądał się z podziwem w tych podziemiach, nie miał bowiem pojęcia o tym, że tyle ludzi pracuje tutaj. Nie wdawano się z nim w rozmowy, nie pytano ani czym był, ani co umie. Oddano go do rozporządzenia kucharzowi, który potrzebował właśnie człowieka do zabijania drobiu i co drobniejszej zwierzyny.

Czynność ta polegała na tym, że się brało kilkadziesiąt kur, pulard, perliczek, indyczek, królików, wreszcie kto wie, czy nie kotów, i na pieńku — małym, ostrym toporkiem — ścinało skazańcom głowy.

Mrocki, chociaż był żołnierzem, ale miał wstręt do przelewania krwi; zajęcie to zatem przejęło go niesmakiem. Nie pozwolono mu się jednak namyślać. Zapytano kategorycznie: chce czy nie chce pracować? Potem wciśnięto w rękę narzędzie śmierci i pozostawiono sam na sam w piwnicy z nieszczęsną rzeszą.

Mrocki westchnął i drżącymi rękami zabrał się do „roboty”. Z początku zabijał z zamkniętymi oczami, widok krwi bowiem sprawiał mu nieopisaną przykrość, ale po kilku godzinach „stwardniał”. Potem musiał robić to, co czynią zwykle kucharki z drobiem. Strasznie wyglądał w swoim białym fartuchu.

Na drugi dzień poczuł, że nerwy jego buntują się przeciwko rzemiosłu rzeźnika; oświadczył więc stanowczo, że woli jakiegokolwiek inne zajęcie, choćby najgorsze. Był przygotowany na wszystko, ale ku wielkiemu jego zadowoleniu znalazł się Chińczyk, który z zimną krwią wziął na siebie jego obowiązki, ustępując mu swoje. Polegały one na czyszczeniu i myciu, za pomocą maszyny, niezliczonej ilości butelek od piwa i wina, które, wypróżnione na górze, wracały do piwnicy.

Była to, jak się niebawem przekonał Sobiesław, bardzo ciężka praca; nic dziwnego, że Chińczyk starał się jej pozbyć. Najprzód należało wyciągać korki, które pozostawały często w butelkach, potem kładło się je do maszyny, myjącej drucianą szczotką za pomocą wody wewnątrz, w końcu polerowano butelkę na powierzchni, również za pomocą szczotki maszynowej obracanej motorem elektrycznym, i wieszano ją do wyschnięcia na wielkim wieszadle najeżonym kołkami.

Winda zwoziła do piwnicy po sto z górą butelek na godzinę, tak że Mrocki z najwyższym wysiłkiem mógł nadążyć z myciem ich nawet korzystając z maszyn pomocniczych. W południe czuł się niezmiernie znużony i kiedy mu przyniesiono rozkaz, żeby poszedł na obiad

do sali jadalnej dla służby, zaledwie trzymał się na nogach.

Lunch trwał pół godziny; wszyscy służący, a było ich ze trzydziestu z całej restauracji, usiedli przy dwóch stołach i jedli pośpiesznie, żeby jak najprędzej wrócić do swoich zajęć. Posiłek był obfity. Stosy mięsów, jarzyn, owoce, kawa czarna, piwo, jabłecznik, chleb, masło, słowem, nie żałowano nikomu jedzenia, traktowano na równi kelnerów z ostatnimi posługaczami. Tylko Chińczykom i Murzynom dawano osobno, bo, pomimo swoich „demokratycznych” pojęć, Amerykanin uważa za ujmę jeść razem z kolorowymi i bez ceremonii wyrzuca za drzwi każdego Murzyna, który ośmielił się siąść razem z nim do jednego stołu.

Zaraz po drugim śniadaniu musiał Mrocki wrócić do swoich butelek i do wieczora, do szóstej, kiedy się kończył dzień roboczy, umył ich coś z tysiąc. Wracał do domu zmęczony, ale zadowolony, że nie potrzebuje być już katem.

Witold nie dostał jeszcze żadnej roboty i wybierał się stanowczo wyjechać na zachód.

Nazajutrz dopiero Mrocki poczuł skutki swej pracy.

Kiedy rankiem podniósł się i zaczął ubierać, krzyż i ramiona bolały go tak, że nie mógł się zgiąć. Stawił się jednak w restauracji punktualnie i znów, z krótkimi przerwami, pracował do wieczora. Nabral już cokolwiek wprawy i robota szła mu znacznie prędzej; ilość nie umytych butelek zmniejszyła się; na czwarty dzień nie miał już żadnych zaległości, a w tydzień potem mógł sobie od czasu do czasu odpocząć pięć minut.

Za taką pracę — przy gazie, w piwnicy, wilgoci — pobierał dwa dolary dziennie.

ROZDZIAŁ II

GRZYMAŁA I MROCKI JADĄ PO SZCZĘŚCIE

Podczas kiedy Mrocki usadowił się w piwnicach baru i dochodził do szczytu wprawy w myciu butelek, jego towarzysz niedoli brazylijskiej daremnie szukał roboty. Obiecywano mu wprawdzie zajęcie, ale dzień za dniem schodził na niczym.

Grzymała nie zniechęcał się łatwo; rankiem skoro świt, wstawał i udawał się w swoją pielgrzymkę po warsztatach i fabrykach.

Roboty wprawdzie nie znalazł, ale za to poznawał coraz głębiej tajemnice wielkiego miasta.

Z głównych, pięknie zabudowanych ulic powoli przenosił się w swoich poszukiwaniach na przedmieścia, gdzie gnieździły się setki tysięcy nędzarzy.

Pewnego razu Grzymała znalazł się pomiędzy Włochami; ale panujące tam brudy i podejrzanе wielce miny przechodniów, z których wielu nosiło sztylety w cholewie od buta, wypędziły go prędko stamtąd. Współzawodniczyć z Włochami, zadowolającymi się polewką z kukurydzowej mąki, tak zwaną polentą, i owocami, było trudno nawet polskiemu wieśniakowi. Roboty więc nie znalazł, a w swojej wędrówce omal że nie postradał całego swego funduszu. Raz wieczorem, kiedy już powracał, przysunęło się do niego dwóch jakichś włóczęgów; jeden pytał go o coś, po włosku naturalnie, drugi zaś, korzystając z nieuwagi zaczepionego, mistrzowskim ruchem wyciągnął mu z kieszeni woreczek.

Dopiero w domu poczciwy Grzymała spostrzegł, że go okradziono. Na szczęście stracił tylko drobne, bo grubsze pieniądze, zamienione na parę banknotów amerykańskich, miał zaszyte w podszewce od kamizelki.

Zrażony tą przygodą, Witold udał się do żydowskiej dzielnicy. Mieszkańcy jej, w liczbie paruset tysięcy, zajmowali się przeważnie krawiectwem. Nie znając języka i warunków miejskowych biedacy ci stali się ofiarami wstrętnych wyzyskiwaczy; szyli po szesnaście

godzin na dobę za tak nędzną zapłatę że głodem przymierali. Wieczorem snuły się po ulicach wynędzniałe, chude, obdarte postacie. Wielu spomiędzy nich mówiło po polsku.

Witold, usłyszawszy ojczysty język, tak się ucieszył, że omal nie wyczałował jakiegoś Izraelity. Wdał się naturalnie z nim w pogawędkę, z której sporo skorzystał. Dowiedział się, że w jednym z sąsiednich stanów budowano nową kolej; w dziennikach ogłoszono, iż potrzeba tam silnych, przywykłych do ciężkiej pracy robotników. Witold zdobył nawet za dwa centy wycinek z gazety i rad niezmiernie pobiegł z tym do hotelu, gdzie zastał już Mrockiego.

Sobiesław nauczył się już na tyle po angielsku, że zrozumiał ogłoszenie. Nazajutrz obaj udali się pod wskazany adres, gdzie istotnie wynajmowano robotników. Warunki były doskonałe. Trzy dolary dziennie za pracę przy nasypie.

Grzymała nie wahał się ani chwili i zapisał się na listę.

— Trzy dolary! — mówił odurzony. — Toć to świetna płaca; i człowiek w ciągu roku znaczną sumę odłoży, a potem sobie kawałek ładnej ziemi kupi i dobra! Mrocki, jedźmy razem. Będzie nam raźniej.

— Tak, zarobek niezły, tylko trzeba pamiętać, że w tej Ameryce wszystko dwa razy drożej kosztuje.

— Niech i tak będzie; to znaczy wydam dolara na życie, a dwa oszczędzę. W pół roku odłożę prawie czterysta dolarów, to na grunt wystarczy! — liczył sobie Grzymała. — Miasto mi się srodze naprzykrzyło; kiedy w tych okopconych murach siedzę, skąd ani kawałka nieba nie dojrzysz, to mi się nieraz dusza na świat szeroki wyrywa.

Sobiesław nie odradzał towarzyszowi; i jemu praca w piwnicy, w wilgotnej atmosferze, przy sztucznym świetle, dawała się we znaki; pobladł, zmizerniał, choć jadł, ile zapragnął; jakiś ból wlaź mu w lewą nogę, czuł, że ta praca podkopie mu niebawem zdrowie.

Przez jedną noc namyślał się, potem machnął ręką na swoje butelki i bez żalu wymówił miejsce, które z trudem otrzymał.

— Jadę z tobą! — rzekł. — Jeżeli mi się to zajęcie nie spodoba, poszukam sobie innego.

Grzymała aż mu się na szyję rzucił.

— Poczciwy z ciebie chłop! — rzekł całując go siarczyście, z dubeltówki. — W tym mieścisku zmarniałbyś na nic. Zawsze to lepiej i przyjemniej na wsi!

Widzimy, że Mrocki miał w sobie ducha niespokojnego, który mu nie pozwalał usiedzieć na jednym miejscu; nie zastanawiał się głębiej nad nowym projektem, czuł tylko, że w piwnicy, przy butelkach, długo nie wytrzyma, bo mu brak światła i powietrza, do którego przywykł; posłuchał więc namowy towarzysza.

W parę dni po tej rozmowie obaj przyjaciele siedzieli już w wagonie kolejowym, który ich unosił do stanu Ohio, gdzie budowano właśnie kolej.

Wraz z nimi jechało stu Włochów, którzy dążyli do tego samego celu.

Mrocki zauważył, że Włochów, podobnie jak Chińczyków i Żydów galicyjskich, umieszczano osobno, zapewne jako „narodowości drugiego rzędu”.

Rodowici Amerykanie żuli przeważnie tytoń, pluli z zadziwiającą celnością nie tylko do spluwaczek, ale zarazem na buty sąsiadów; kładli bez ceremonii nogi na poręczy przeciwległej ławki, tuż obok czyjejś głowy, klęli ordynarnie i zachowywali się gburowato w całym znaczeniu tego wyrazu. A nie było sposobu uniknąć ich towarzystwa, bo amerykańskie wagony mają tylko jedną ogólną klasę. Konduktorzy musieli więc, według swego widzi mi się, rozdzielać podróżnych, przy czym Włochów sadzali osobno, kolorowych znów osobno; porządnie zaś odziane, z wyglądu zamożne osoby także osobno. Co do bogaczy, to ci jeżdżą w wolnej Ameryce przeważnie własnymi wagonami, a przynajmniej w osobnych, zakupionych dla siebie przedziałach.

W ten sposób „demokratyczna” zasada nie jest naruszona, a „porządni ludzie” nie

potrzebują stykać się z „hołotą”.

Podróż w tym harmiderze trwała cały dzień, nazajutrz Grzymała i Mrocki dojechali pociągiem roboczym do miejsca, gdzie robiono nasyp.

Kolej budował jakiś miliarder, do którego należało już kilka linii w tym samym stanie, a budował prawdziwie po amerykańsku. Nasi przyjaciele znaleźli się nagle pośród wielojęzycznego mrowia robotników spędzonych tutaj ze wszystkich krajów świata. Byli tu Murzyni, Chińczycy, Włosi, Niemcy, Czesi, Ukraińcy z Galicji, ba, nawet Indianie, Japończycy, no i — garstka Polaków.

Usłyszawszy mowę rodzinną, Mrocki i Grzymała tak się rozczulili, że łzy stanęły im w oczach. Natychmiast przedstawili się grupce swojaków, zajętych przy wysypywaniu żwirem gotowego już toru kolejowego.

— Dużo was tu jest? — zagadnął Mrocki.

— Ze dwudziestu! — odparł jeden z robotników odkładając szufłę.

— A dobrze wam?

Robotnik uśmiechnął się gorzko.

— Wrogowi śmiertelnemu nie życzyłbym — rzekł.

Sobiesławowi zrobiło się nijako, odchrząknął.

— No, niby dlaczego? Nie płacą?

— Co by nie mieli płacić? Zgodzili, to i muszą; inaczej ludzie rzuciliby łopaty i poszli sobie precz.

— Po trzy dolary?

— Niby po trzy, ale czyż tego człowiekowi wystarczy na życie?

— Co też wy gadacie! — oburzył się Grzymała. — Toć za takie pieniądze jak pan można sobie żyć i ze dwa dolary zaoszczędzić.

— Ha, to sobie zaoszczędzaj, człowieku, my tam nie potrafimy.

Rozmowę przerwał dozorca, który skinął na obu naszych, żeby szli za nim.

Praca, jak się okazało, była bardzo prosta, ale za to ciężka. Postawiono naszych dwóch przyjaciół jednego przy drugim, dano im w rękę łopaty i kazano kopać w gliniastym gruncie.

Mrocki nigdy nie zajmował się tego rodzaju rzemiosłem; co najwyżej kazano mu sypać małe szaneczki, kiedy służył w artylerii pruskiej. Nie miał on jednak pojęcia o trudach kopacza; dopiero tutaj w Ameryce nauczono go, co to jest pracować w krwawym pocie.

Każdy robotnik, jak się pokazało, miał wyznaczoną sobie działkę i musiał się śpieszyć, żeby nie pozostawać w tyle poza sąsiadami. Dozorcy, widocznie w porozumieniu z przedsiębiorcą robót ziemnych, stawiali co kilkanaście kroków, pomiędzy zwykłych robotników, kopaczy specjalistów, wytrawnych i wytrwałych, po większej części Murzynów albo Włochów. Byli to tak zwani „naganiacze”, którzy pracowali z zadziwiającą szybkością i sprawnością. Ponieważ zaś inni, obok, nie mogli pod karą pieniężną pozostawać w tyle, wyteżali więc naturalnie wszystkie siły, ażeby nadążyć.

Po godzinie Mrocki oblał się cały potem. Chciał odpocząć, oparł się na łopacie, ale niebawem zbliżył się dozorca i w ostrych słowach upomniał go, żeby nie przerywał zajęcia.

Mrocki rad nierad schwycił znów za szpadel i pracował dalej, ocierając rękawem pot spływający mu z czoła strugami.

Grzymała, przyzwyczajony do ciężkiej pracy w polu, przy kosie albo orce, nie tak bardzo narzekał, ale i on przy końcu dnia czuł się niezmiernie znużony.

Sobiesław zaś, pomimo chęci, musiał wyciągnąć się po paru godzinach na kilkanaście minut, za co mu miano potrącić z dziennego zarobku czterdzieści centów, to jest płacę za całą godzinę.

Niewiele sobie jednak z tego robił, spodziewał się bowiem, że niebawem nawyknie i będzie pracował na równi z innymi.

Jak już powiedzieliśmy, grunt w tych stronach był gliniasty; kiedy więc deszcz padał,

ziemia przylegała do łopaty tak silnie, że nie chciała się od niej odlepieć.

Bywało, Sobiesław machnie łopatą, a tu bryła na niej leżąca ani rusz. Trzeba było dwa albo trzy razy wyrzucić z całych sił w górę, żeby nareszcie pozbyć się upartej gliny.

Od tego szarpania ręce strasznie się forsowały i bolały niemiłosiernie. Ale to jeszcze byłoby najmniejsze. Każdy kopacz musiał zbyt dużo wyrzucić ziemi, żeby swoje zarobić; jeżeli pozostawał w tyle za „naganiaczem”, jak go nazywano pomiędzy robotnikami, wytrącano mu za opieszałość. A jakże tu nadażyć takiemu olbrzymowi, kiedy w dodatku ziemia nie odłazi od łopaty i kiedy człowiek ślizga się na dnie rowu i stoi po kostki albo i po kolana w brudnej wodzie?

Butów było szkoda, stali więc wszyscy boso; na jedno to zresztą wychodziło, bo najlepsze obuwie przemakało koniec końców i nogi ziębły.

Trzeba było mieć końskie zdrowie, żeby w takich warunkach nie zachorować. Sobiesław, wychowany w mieście, nie posiadał tego hartu, zaziębił się więc znowu, tak samo jak po rozbiciu się okrętu. Po tygodniu dostał gorączki i musiał położyć się do łóżka, a raczej na garści wilgotnej słomy na pastwę robactwa.

Myślał, że choroba przejdzie niebawem, ale gdzie tam! Przeleżał coś sześć dni i byłby z głodu umarł, gdyby nie poczciwy Grzymała, który mu dogadzał, kupował dobre produkty spożywcze, nabierał świeżej słomy, kupił ciepłą kołdrę, słowem, zastępował najlepszego opiekuna.

Dzięki temu Mrocki wrócił wreszcie do siebie, ale nie miał odwagi od razu brać się do takiej ciężkiej pracy.

Witold za to pracował bez przerwy, bo się obawiał stracić robotę. Co dzień dowiadywali się różni ludzie, pozbawieni zajęcia, czy nie wakuje jakie miejsce przy budowie kolei; gdy więc kto odchodził, zaraz na jego miejsce zjawiał się nowy, zdrów, silny i gotów robić, co mu kazano, nie tylko za trzy, ale nawet za dwa dolary dziennie.

Dozorcy i inżynierowie spostrzegli, że z nastaniem jesieni zgłasza się coraz więcej robotników, którzy latem pracowali na farmach, przy rolnictwie, i zaraz z tego skorzystali obniżając płacę o pięćdziesiąt centów na dobę.

Wobec tego i wobec niemiłosiernego zdzierstwa i oszustwa przekupniów zaopatrujących kopaczy w produkty spożywcze — praca przy kolei przestała się nieledwie opłacać. Polacy, pracujący dawniej, szydzili z naszych przyjaciół z tego powodu.

— Dużoście odłożyli? — pytali drwiąco.

Niebawem dzięki tym pytaniom rozeszła się między kopaczami nierozsądna pogłoska, że Mrocki i Grzymała posiadają znaczne oszczędności, które gdzieś ukrywają.

Ma się rozumieć, że nie oszczędzili oni ani centa, ale, jak wiemy, posiadali po kilkanaście dolarów zarobionych na okręcie. Pieniądze te nosili przy sobie.

Banknoty znajdowały się pod podszewką, jak zwykle, i nic im nie groziło, chybaży złodziej zdarł całą odzież. Mrocki i Witold nic więc sobie ze złodziei nie robili, ale przeklinali jesień, która dawała się im coraz bardziej we znaki.

W Ameryce Północnej klimat pod tą samą szerokością geograficzną, co w środkowej Europie, jest znacznie ostrzejszy; w Ohio panowała podobno sroga zima i z pierwszymi przymrozkami miano zawiesić roboty ziemne przy kolei. Mogło się to stać za dwa miesiące albo i za miesiąc. W takim razie nasi przyjaciele musieliby sobie szukać zajęcia.

Ale o tym, co będzie za miesiąc, żaden z nich nie myślał, tym mniej zaś o porzuceniu roboty, zwłaszcza że o tę, jak się pokazywało, w Stanach Zjednoczonych wcale nie było łatwo.

Cierpieli więc obaj, ale pracowali, pragnąc dorównać naganiaczom. Mrocki, dzięki młodości swojej i wrodzonemu zdrowiu, znowu wrócił do sił. Cierpiał on może bardziej z powodu niechlujstwa panującego w barakach aniżeli z powodu wilgoci i wysiłku fizycznego. Postanowili więc obaj z Grzymałą zbudować sobie osobny szałas i tam zamieszkać.

Nie przyszło im to łatwo, ale z desek, niepotrzebnych na razie, głównie z darniny i chrustu, rosnącego w pobliżu plantu, stanęła siedziba, której nie można było nazwać ani budą, ani barakiem, ani szałasem, ani namiotem. Była to nora, do połowy wpuszczona w ziemię, przykryta z góry deskami, na które położono darninę. Za posłanie służyła im trawa, sypiano na deskach wpuszczonych obydwoma końcami w ściany. Nawet zrobiono palenisko, żeby po pracy można w nim palić i ogrzać cokolwiek siedzibę łącie robinsonowską.

Nie było tam arcywygodnie, ale za to czysto, schludnie.

Co prawda, do siedziby tej było dość daleko, z dziesięć minut drogi, ale za to co za rozkosz wyciągnąć się wieczorem przed ogniskiem, wesóło trzeszczącym i napełniającym wnętrze szałasów błogim ciepłem, gotować przy nim pachnącą herbatę (niefałszowaną) i pić ją z cukrem (także prawdziwym) z porcelanowego kubka. Kawałek chleba i mięsa, oto była wieczerza naszych dwóch robinsonów. Nie łaknęli oni bynajmniej towarzystwa, mieli go aż za wiele w ciągu dnia i kładli się w tym przeświadczeniu, że drobna menażeria nie będzie ich w nocy prześladowała.

ROZDZIAŁ III

NAPAD NOCNY

Mrocki i Grzymała, pomimo chłodu, pracowali dalej przy budowie kolei, nie zwracając uwagi na liczne przykrości.

Obiecywali sobie, że na wiosnę wyjadą obaj na zachód, gdzie ludzi mniej i gdzie łatwiej dostać zajęcie. Witold mawiał, że kupi kawałek gruntu, na którym się obaj zagospodarują; wspólnymi siłami można znacznie więcej zrobić, aniżeli kiedy się osobno pracuje.

Często wieczorem, przy gorącej herbacie i ogniu, trzaskającym na glinianej nalepie, obaj towarzysze niedoli gwarzyli wesóło do późnej nocy, snując plany.

Ogień palił się przez całą niemal noc, bo nie żalowano sobie chrustu, do którego czasem dodano jaki uszkodzony podkład.

Upłynęło w ten sposób parę tygodni; zbliżała się zima. Pomędzy robotnikami chodziły wieści, że niebawem przedsiębiorcy zawieszają roboty kolejowe do wiosny i że trzeba się będzie wynosić precz.

Mrocki już się tym martwił, nie uśmiechała mu się bowiem wcale myśl powrotu do miasta, gdzie tak trudno o kawałek chleba. Ale zima nie była straszna dla tych, co mieli jaki taki grosz zaoszczędzony; więc i nasi towarzysze patrzyli bez obawy w przyszłość.

Pewnego razu wracali cokolwiek wcześniej aniżeli zwykle, z powodu deszczu. Grzymała niósł na plecach duży podkład, przeznaczony na opał. Mrocki po drodze naciął wiązkę chrustu i z naręczem szedł nie opodal towarzysza. Dochodząc do swojej chatki podziemnej rozweselili się na myśl, że niebawem zasiądą do wieczerzy.

Nagle Grzymała zatrzymał się stropiony.

— A to gałgany, dach nam popsuli! — zawołał wskazując palcem na zerwane łąty i rozrzuconą ziemię.

— Prawda! — rzekł oburzony Mrocki. — I kto to taki wyrządził nam tę psotę? Przecież nie mamy tutaj wrogów, z każdym żyjemy w zgodzie.

Zasmuceni i zaintrygowani, weszli do wnętrza i zastali tam większe spustoszenie. Ziemia pod narami była rozkopana, deski powyrzucane. Pod dachem ktoś najwyraźniej robił poszukiwania zaglądając do każdego zakątka.

— Tu byli złodzieje! — zaopiniował Mrocki rozejrzawszy się bacznie.

— Po cóż by do nas przyszli? — zaśmiał się Witold.

— Po pieniądze! — odparł Sobiesław marszcząc brwi.

— Widocznie wzięli nas za głupich — szydził Grzymała. — To na pewno z budowy kolei. Dużo między nimi nicponiów i różnych ptaszków, co to i w więzieniu siadywali.

Witold miał słuszość; przy kolei pracowała straszna zbieranina. Nieraz nasi towarzysze spotykali fizjonomie niezbyt wzbudzające zaufanie i myśleli sobie po cichu, że między robotnikami dałoby się zebrać bandę gotową na wszystko.

Ale Grzymała niebawem zapomniał o tym wydarzeniu; w godzinę naprawiono szkody w chałupce i położono się spać. Nazajutrz nie pracowano wcale, bo deszcz przez cały dzień lał jak z cebra i rowy były pełne wody; przez parę dni odprowadzano ją, musiano nawet wprawić w ruch pompy parowe. Połowa więc robotników snuła się bez zajęcia. Szemrano, bo dozorczy wydalać poczeli ludzi zaczynając naturalnie od najslabszych i chorowitych, którzy nie mogli pracować tak energicznie, jak zdrowi.

Mrocki oczekiwał, że lada chwila i jego ten los spotka, ale w głębi duszy był kontent, bo mu chleb kopacza przejadł się okrutnie.

Czwartego dnia dopiero uporano się z zalewem i znów zaczęto kopać. Mrocki dla odmiany wziął się do wywożenia ziemi w taczkach. Dano mu jednak tak wielkie, że ledwie mógł je prowadzić po oślizłych deskach, które zastępowały szyny. Raz, pod koniec dnia, kiedy się zmęczył, taczki zleciały w rów, pociągając i jego za sobą.

Spadł z wysokości kilku metrów i boleśnie potłukł się o kamienie. Grzymała opatrywał mu stłuczenia i przez to cokolwiek później, aniżeli zazwyczaj, wracali obaj do domu.

Ściemniło się już zupełnie; deszcz mżył znowu, mgła jesienna zasłaniała wszystko tak, że o kilkanaście kroków nie można było już nic dostrzec. Obaj przyjaciele przeziębli, myśleli o rozkoszy, jakiej doznają niebawem pijąc gorącą herbatę.

Byli już o kilkaset kroków od swojej chatki, gdy wtem zza drzew wyskoczyło kilka tajemniczych postaci i nic nie mówiąc rzuciło się na nich.

Mrocki przeczuł instynktownie niebezpieczeństwo i w mgnieniu oka przybrał obronną postawę. Grzymała zaś sięgnął po rewolwerek, który zawsze przy sobie nosił.

Nieznajomi nie tracili czasu na żadne pytania. Pięciu czy sześciu z podniesionymi nożami wpadło na Mrockiego, który zasłonił się od ciosów trzymanym naręczem chrustu. Na razie wiązka służyła mu dobrze za tarczę, ale, zaskoczony ze wszystkich stron, nie mógł się skutecznie bronić.

Właśnie chciał rzucić się do ucieczki, gdy poczuł zimne ostrze noża w boku, przenikający ból i wnet po tym ogarnęło go takie osłabienie, że upadł.

Krzyknął rozpaczliwie i bronił się gołymi rękami. Zbóje pochylili się nad nim i zaczęli mu zadawać nowe ciosy. Sobiesław czuł, jak gorąca krew spływa mu po twarzy, zasłania wzrok. Szarpał się, ale siły go opuszczały, w oczach zrobiło się ciemno; leżał bezwładny, nieprzytomny, a czterech ludzi, noszących jeszcze ślady ziemi i gliny na ubraniach, przetrząsało mu kieszenie.

Podczas gdy się to działo, Grzymała walczył zacięcie ze swymi przeciwnikami, posiłkując się rewolwerem. Strzelił raz i drugi, ale pociski, wymierzone drżąca od wzruszenia ręką, chybiły celu albo trafiły nieszkodliwie, dość że i dzielny chłopiec znalazł się pod kolanami rabusiów.

— Money! * — syknął zbój, gniotący mu piersi całym ciężarem swego potężnego cielska.

— No money! — odparł Grzymała usiłując się wydostać spod rabusia.

Pozostali schwycili go za ręce i nogi, a tamten zaczął nożem rozpruwać mu odzież, nie dbając, że ostrze rani boleśnie skórę.

* Money (czyt.: mani) — pieniądze.

Grzymała kłął, ale nikt nie zwracał uwagi na jego słowa. Nie znajdując pieniędzy zbójce wpadli we wściekłość.

Brodaty zbój podniósł nóż i przyłożył go Witoldowi do gardła.

— Pieniądze dawaj, bo...

Ostrze zagłębiało się coraz bardziej w ciało, krew tryskała; Grzymała czuł, że zbliża się jego ostatnia godzina, leżał bezsilny, nie mogąc się poruszyć.

— Gdzie pieniądze? — pytał zbój.

Na jego twarzy malowało się takie zezwierzęcie, że Kujawiak odwrócił się od niej ze wstrętem.

Mógł jednym słowem pozbyć się wrogów; wystarczyło tylko powiedzieć: „Pod podszewką w kamizelce!” i wszystko byłoby skończone.

Ale Grzymała był chłopem twardym. Milczał więc, tymczasem sztylet naciskał coraz mocniej gardło. Zbój podniósł ostrze i przyłożył je do serca.

Palcami macał, gdzie trzeba uderzyć...

— Pieniądze! — mrucał.

Inni przeszukiwali nerwowo kieszenie powalonego, ale nie mogli nic znaleźć.

— Nie mam wcale pieniędzy — odparł Grzymała zdecydowany na wszystko.

Ale w tej chwili pod palcami jednego z rabusiów zaszeleściły papierki. Nóż otworzył do nich dostęp, brudne, czarne palce chwyciły banknoty. Witold widział, jak wstrętna łapa chwyciła je i niosła ponad jego ustami.

Ogarnęła go złość wilczycy, której zabierają szczenięta ukochane. Podrzucił się, dosięgnął ręki trzymającej pieniądze, zagłębił w niej zęby i trzymał jak buldog...

Zbój zaklął; lewą ręką wy dobył nóż zza pasa i pchnął nim j w twarz Grzymały. Ten jęknął, ale nie puścił. Zbój uderzył po raz drugi, aż ostrze zgrzytnęło po kości. Teraz Grzymała puścił; chwilę szczął zębami, ale i jemu zrobiło się ciemno w oczach i leżał bez czucia.

Słyszał tylko kroki oddalających się bandytów i wnet cisza martwa zapanowała przy plancie, obok którego leżały zbroczone we krwi ciała dwóch naszych przyjaciół. Mijały godziny, a nasi ranni leżeli na słońcu, pośród ciemności. Leżeliby może tak do samego rana, gdyby nie to, że dotkliwie zimno przywróciło Mrockiemu przytomność.

Chciał się podźwignąć, ale siły mu nie dopisały; padł na powrót z jękiem na ziemię. Odpowiedział mu jęk Grzymały, który był wprawdzie przytomny, ale straciwszy wiele krwi czuł się także niezmiernie osłabiony i zaledwie zdołał dopełznąć do towarzysza niedoli. Z ust jego wybiegały przekleństwa; nieborak walczył ciągle ze zbójcami, którzy już się oddalili. Dostał gorączki i zaczął bredzić.

Świtało już, gdy nie opodał rozległy się kroki. Była to grupka biedaków śpieszących w nadziei znalezienia pracy.

Potknęli się o leżących, tak iż jeden z nich omal nie upadł.

Byli to, jak się pokazało, Białorusini. Ujrawszy pokrwawione ciała zamierzali rzucić się do ucieczki, w obawie, żeby ich nie posądzono o dokonaną zbrodnię. Kiedy jednak usłyszeli pokrewną mowę i jęki rannych, nachylili się nad leżącymi ze współczuciem, zrobili nosze z chrustu i, okrywając ich szczątkami własnych płaszczy, a raczej łachmanami, zanieśli do baraków.

Zdawać by się mogło, że widok nieszczęśliwych wzbudzi litość w sercach towarzyszy pracy. Ale gdzież tam! Zaledwie na nich spojrzano. Nikt się nie zatroszczył, czy im czego nie potrzeba, nikt nie zapytał, w jaki sposób otrzymali rany. Kiedy wybiła godzina rozpoczęcia robót, ranni pozostali zupełnie sami. Dopiero po kilku godzinach zjawił się lekarz z felczerem, opatrzył powierzchownie rannych i pozostawił ich znowu na cały dzień bez opieki.

Pod wieczór ułożono ich w wagonie dowożącym piasek i odstawiono do najbliższego miasteczka, gdzie umieszczono w szpitalu.

Grzymała leżał tuż obok Mrockiego. Nie był on na szczęście ciężko pokaleczony.

Dostał parę pchnięć w samą twarz i miał nosić ślady po nożu zbójckim przez całe życie. Pokrajano mu także skórę prując odzież; skaleczenia te były powierzchowne, kosztowały go dużo krwi, nie były jednak niebezpieczne. Zresztą Witold był to chłop twardy i nie lada co mogło go powalić. Nie martwił się więc o rany i szramy, ale o zrabowane pieniądze. Błagał na wszystko, żeby dano znać władzom o napadzie, odszukano złoczyńców i odebrano im zdobyte; lecz prośby jego nie odniosły najmniejszego skutku. Biedak nie wiedział, że w Ameryce policjanci pozostają często w cichej zмовie z rabusiami i złodziejami, że więc bandyci, którzy zrabowali mu pieniądze, mogą być bezpieczni, jeśli nie omieszkali opłacić się. Nikt nawet nie prowadził śledztwa w tej sprawie. I po co? Rabusie zniknęli bez śladu; kto by tam szukał wiatru w polu? Co dzień niemal zdarzała się jakaś bójka między robotnikami; któż zaręczy, czy to właśnie nie było jedno z tych częstych starć pomiędzy wrogo do siebie usposobionymi przedstawicielami odrębnych narodowości, które zakończyło się krwawo? A że przy tym zginęły pieniądze? Poszkodowani zmyślają wszystko. Skądże mogli mieć przy sobie pieniądze, oni, ludzie biedni, zmuszeni pracować ciężko jako kopacze? Oczywiście kłamstwo! Nie warto sobie nawet głowy zawracać takimi zeznaniami!

Co do Mrockiego, ten, jakkolwiek nie utracił tyle krwi co Grzymała, odniósł jednak znacznie cięższe rany. Pchnięcie w bok sztyletem było głębokie na parę cali. Gdyby ostrze poszło cokolwiek ku górze, Sobiesław przypłaciłby zapewne życiem przygodę. Oprócz rany w bok otrzymał jeszcze trzy inne w piersi, ale nóż zatrzymał się na żebrach i nie naruszył płuc. Dzięki młodości i sile Mrocki szybko wracał do siebie, chociaż znajdował się w najgorszych, jakie tylko wyobrazić sobie można warunkach.

Liczyli obaj z utęsknieniem każdy dzień dzielący ich od wypisania się. Nareszcie upragniona godzina nadeszła! Pewnego poranku oznajmiono im, że są zdrowi i że mogą opuścić szpital, w którym potrzeba było miejsca dla innych chorych. Nie dano im jednak na drogę nic.

Znaleźli się obaj na ulicy, bez grosza w kieszeni, bez płaszczy, chociaż przez owe trzy tygodnie spędzone w szpitalu zima zrobiła wielkie postępy. Wiał ostry wiatr, który hulał po świecie i przenikał aż do ciała przez marne łańchmany.

Dokąd się udać, co robić?

Przede wszystkim chcieli wrócić znów do pracy; jakież jednak było ich rozgoryczenie, kiedy przekonali się, że roboty od tygodnia zawieszono, a robotnicy, pozbawieni zajęcia, włóczyli się w okolicy, szukając daremnie jakiegoś zarobku. A że było ich przynajmniej sześć tysięcy, więc o znalezieniu jakiegokolwiek oparcia nawet marzyć nie było można.

Udało się tylko naszym biedakom wydostać po kilka dolarów, należnych im za trzy dni pracy przed napadem, i tym musieli się ratować od śmierci głodowej.

Do Nowego Jorku było daleko; zresztą obaj czuli się zniechęceni do miasta-olbrzyma, gdzie setki tysięcy osób walczyło o kawałek chleba, o miejsce, nawet o powietrze do oddychania.

— Nie, do Nowego Jorku za nic nie powrócę! — zarzekł się Grzymała. — Lepiej do Pittsburga, czy jak się on nazywa, bo to najbliżej. Tam ponoć wiele fabryk, może się więc jakie zajęcie znajdzie.

— Niech będzie Pittsburg! — zgodził się Mrocki. — Ale kolej kosztuje podobno kilkanaście dolarów, a skąd je weźmiemy?

— Ha, trzeba zarobić! Poszukamy gdzie roboty.

Ułożyli sobie, że będą wzdłuż kolei wędrowali piechotą, zatrzymując się w każdej napotkanej farmie.

Tak też uczynili. Był to już listopad. Nocami przymrozek ścinał ziemię, śnieg od czasu do czasu prószył, lada chwila nastanie zima. Szli w podmuchach przenikliwego wiatru, bez ciepłych płaszczy. Kiedy bardzo zziębli, szukali rozgrzewki w biegu; a kiedy nie mogli już iść, kryli się w jakiej stercie nie wymłóconego zboża. Tam też zwykle nocowali, bo nie stać ich było na opłacenie zajazdu albo miejsca w szynku.

Kupowali chleb i wątpliwej wartości wędlinę, którą się żywili.

Wprędce jednak przekonali się, że roboty na farmach już się skończyły, a jeżeli jakie drobne zajęcie wakowało, to już inni ich koledzy zajęli je, a ich odprawiano z niczym.

Raz na parę dni zdarzyło się, że gdzieś trzeba było narać drzewa, przywieźć z lasu chrustu, poprawić oborę, z której wichur jesienny zerwał poszycie. Za tę pracę płacono im dolara dziennie co najwyżej, a potem ciągnęły się znowu dni, kiedy nic nie mogli zarobić. Po tygodniu przekonali się z rozpaczą, że w ten sposób nie uciulają sobie dziesięciu dolarów, niezbędnych na wykupienie biletu kolejowego. Przy tym siły im nie dopisywały, obaj nie byli jeszcze zdrowi.

ROZDZIAŁ IV

JAK SIĘ JEŹDZI W AMERYCE „NA GAPEŃ”

— Nie dostaniemy się przed zimą do miasta — rzekł pewnego wieczoru Mrocki, kiedy obaj usadowili się na nocleg w stercie słomy, tuż przy zamożnej farmie, gdzie im właśnie odmówiono pracy. — A biada nam, jeśli śnieżycą na wsi nas przyłapie. Zginiemy z zimna bez ratunku.

Pewnego dnia nasi włóczędzy zatrzymali się późnym już wieczorem w sąsiedztwie wielkiej i zamożnej farmy i grzecznie, nawet z pewną uniżonością, zwyczajnie jak potrzebujący, zwrócili się do właściciela z prośbą o nocleg.

Farmer, opasły Niemiec, na wpol już zamerykanizowany, siedział z całą rodziną przy wieczerzy. Na stole dymiła doskonała grochówka z wędliną, miska jarzyn, chleb świeżo wyjęty z pieca, słowem, wieczerza, na jaką stać tylko zamożnego właściciela farmy.

Kiedy nasi zgłodniały robotnicy zjawili się w jadalni i, stanąwszy u drzwi, grzecznie, z pewną niepewnością w głosie zapytali, czy nie mogliby przenocować, zrazu nic im nie odpowiadano; kiedy zaś powtórzyli jeszcze uprzejmiej swoje pytanie, Niemiec wybuchnął gniewem.

— Precz! — zawołał. — Na mojej farmie nie ma miejsca dla włóczędów. Kto was tam wie, coście za jedni. Miałem tu niedawno takich gości, co sobie parę przedmiotów zabrali na pamiątkę. I wyście pewnie nielepsi. Wynoście się i nie przeszkadzajcie nam w jedzeniu.

Grzymała, który był porządnie głodny i czuł się podrażniony wonią doskonałej grochówki z wędzonką, oburzył się na takie obejście.

— Cóż to, za kogo nas pan ma? Patrzcie go, sam pewnie taki! Przecież nie przychodzimy po zebranie, ale z prośbą o gościnność.

Biesiadnicy wybuchnęli szyderczym śmiechem, który dopełnił miary wściekłości Grzymały. Kujawiak splunął obraźliwie, jakby chciał tym wyrazić swoją najwyższą pogardę obecnym, i pogroził im pięścią. W odpowiedzi na to zerwało się od stołu dwóch drabów i w jednej chwili wyrzucili za drzwi Witolda; Mrocki wyniósł się już wcześniej, nie czekając, aż i jego ten sam los spotka.

Zatrzaśnięto za nimi wrota i dwaj nasi towarzysze znaleźli się w ciemności, pod gołym niebem, na deszczu i wichurze jesiennej.

— Oto się nazywa gościnność amerykańska! Bodajbyście zmarnieli! — kłął Grzymała. — Tak się w tym kraju traktuje porządnego robotnika, który nie ma gdzie przenocować.

Szli obaj w milczeniu ze dwie godziny; kiedy oddalili się już na parę mil drogi od niegościnniej farmy, ujrzeni dużą stertę słomy i zaszyli się w niej głęboko.

Rano, skoro świt, obudzili się, dobyli z węzełków kawałek chleba i suchego sera. To

było ich śniadanie. Za napój służyła im woda z pobliskiej strugi.

— No i co zrobimy? — zagadnął Mrocki markotnie. — Znowu będziemy szukali nadaremnie roboty? Patrz, dziś już wziął przymrozek ranny, liście z drzew lecą na gwałt, tylko patrzeć, jak śniegi spadną; trzeba koniecznie dostać się do miasta, bo inaczej będzie z nami bardzo źle. Ile mamy pieniędzy?

Obliczyli starannie kasę; znajdowało się w niej razem cztery i pół dolara. Był to cały ich fundusz. Grzymała skrobał się po głowie, pokrytej bujną, konopiastą czupryną.

— Na tydzień co najmniej starczy. Gdyby nawet dojść piechotą do miasta, to staniemy tam bez grosza, a słyszałem, że zimą wszędzie trudno o robotę.

— Na zarobek tutaj także nie podobna liczyć! — dodał Mrocki.

— Trzeba koniecznie jechać koleją — zakonkludował po jakimś czasie Grzymała.

— Ba, za te pieniądze nie zajedziemy daleko!

— A jak nie można inaczej, to jedźmy na gapę! — zaśmiał się Kujawiak kontent ze swego pomysłu.

Mrocki skrzywił się.

— To prawie tyle znaczy, co oszustwo — rzekł.

— A co pocniemy? Roboty dać nam nie chcą; czy mamy z zimna i głodu ginać jak psy przy drodze? Cóż tam kolej straci, jeżeli dwóch biednych ludzi przejedzie się na nie zajętych miejscach? Nic! A dla nas to bardzo ważna rzecz dostać się do miasta przed zimą.

— Kwestia życia i śmierci — dodał Sobiesław.

— Kiedy tak, to co się namyślasz? Ot, stacja niedaleko! Wsiądziemy do wagonu i będziemy cicho siedzieli. Powiemy od razu, że nie mamy za co kupić biletów, to może nam kawałek pozwolą ujechać. A jeśli nas wyleją, to znowu wsiądziemy na inny pociąg i tak, po trochu codziennie jadąc, dostaniemy się za kilka dni do jakiego miasta.

Mrocki wahał się; ale kiedy nazajutrz nie znaleźli także żadnej roboty i nawet przenocować nie mieli gdzie, musiał się zgodzić na plan Witolda.

Nie upłynęło pół godziny, gdy ukazał się dym nadchodzącego pociągu.

Witold zapytał jakiegoś człowieka, czy pociągiem tym można się dostać do Pittsburga. Odpowiedziano mu potakującym skinieniem głowy.

Nie podobna było dłużej się namyślać. Lokomotywa rosła w oczach. Już widać długi wąż wagonów skręcających przy stacji, rozlega się sygnał i pociąg zatrzymuje się.

Grzymała, śmielszy od towarzysza, biegnie, wskakuje na schodki i za chwilę obaj siedzą na ławce.

Przystanek wydaje się im niezmiernie długi, obaj słyszą bicie własnego serca. Dopuszcili się przecież występku, chcą jechać za darmo. Cóż jednak zrobić, kiedy nie ma czym zapłacić?

Nareszcie pociąg rusza. Oddychają obaj głęboko. Stało się... Mija godzina, nikt się nie zjawia, konduktora ani na pokaz. Podróżni nasi nabierają otuchy. Witold pali fajkę za fajką. Już jadą dwie godziny, nadzieja rośnie.

Ale oto drzwi wagonu otwierają się i wkracza dwóch konduktorów. Pasażerowie pokazują bilety. Teraz kolej na Grzymałę. Ten z całą otwartością wrusza ramionami.

— No ticket * — odpowiada filozoficznie.

Mrocki usprawiedliwia się łamanym językiem, przekręcając niemiłosiernie słowa.

Konduktor jest głuchy, uparczywie domaga się biletu, potem żąda wniesienia gotówką należności za przejazd.

Nie wiadomo, gdzie wsiedli, muszą zapłacić od węzłowej stacji, po pięć dolarów, i opuścić wagon na najbliższym przystanku.

Ale Witold jest też głuchy. Wreszcie pokazuje pustą portmonetkę, daje do poznania, że jest robotnikiem bez zajęcia, musi jechać do Pittsburga. Nic to jednak nie wrusza kondukto-

* No ticket (czyt.: nou tikit) — nie mam biletu.

rów. Jeden z nich, znudzony snadź, chwyta Grzymałę za kołnierz, drugi za ramiona, wywłóczył go z wagonu na platformę. Robi się hałas, pasażerowie stają w obronie Witolda, który się też nie daje; Mrocki wstaje i przybiera groźną postawę. Konduktorzy znikają. Chwila wypoczynku. Może dadzą im spokój. Ale nie. Za kwadrans powracają w czterech. Nic nie mówiąc biorą Grzymałę i ciągną za sobą. Co to ma znaczyć? Mrocki nie może pojąć ich zamiarów, ale współpodróżni ostrzegają go gestami. Grzymała znika za drzwiami, wyniesiony przez dwóch konduktorów, silnych jak niedźwiedzie. Mrocki rzuca się za nimi, chce bronić towarzysza. Za późno! Kiedy stanął na platformie, ujrzał z przerażeniem, że Witold leci w przestrzeń. Tak, wyrzucono go z pociągu, w pełnym biegu, jak psa. Sobiesław krzyczy, klnie. Konduktorzy rzucają się na niego. Nie zdążył uchwycić się za poręcz, potężne, żyłaste łapy biorą go za ramiona tak, że nie może ręką ruszyć; zresztą jest osłabiony jeszcze, i tak nie potrafiłby się obronić. Czuje nagle pod nogami próżnię, potem jakaś straszna siła rzuca go na ziemię. Mrocki uderza głową o plant, w oczach staje mu, jak się to mówi, tysiąc świeczek, potem nagle robi się noc, noc nieprzenikniona.

Jak długo Mrocki leżał na plancie, tego się nigdy nie dowiedział. Wie tylko, że przyszedłszy do przytomności, nie mógł się podnieść z ziemi. Minał go jeden, drugi pociąg, a on leżał doznając niemiłosiernego bólu w głowie i w ręku.

„Ładny kraj! — myślał sobie, przewracając się z trudnością na bok, żeby dojrzeć, co się dzieje z jego towarzyszem. — Niby to równość i sprawiedliwość panuje w wolnej Ameryce. I ta sprawiedliwość pozwala wyrzucać ludzi z pociągu w pełnym biegu za to tylko, że nie wykupili biletów!”

Nie opodał plantu był rów napełniony wodą; Mrocki dowłókł się do niego, zmoczył chustkę do nosa i obwiązał sobie spuchniętą twarz i głowę. To mu nieco ulżyło; usiadł z wysiłkiem i zaczął obmacywać swoje ciało, szukając obrażeń.

Bolało go coś w boku, zwłaszcza w jednym miejscu. Nie było wątpliwości, miał złamane żebro. Prócz tego zranił się w głowę, na szczęście niezbyt ciężko, no i miał kilkanaście sińców od potłuczeń. Gdyby był upadł na kamienie, na pewno zabiłby się na miejscu.

Z rany na głowie ciekła mu krew; obmył ją wilgotną chustką i przewiązał miejsce skaleczone. Najgorzej jednak dokuczwały mu kolana, na których miał zdartą skórę, i złamane żebro. Mrocki oglądał się, ale nigdzie nie było widać żadnej farmy.

Pustka panowała wokół, tylko od czasu do czasu po szynach przelatywał pociąg nie zatrzymując się wcale.

Mrocki zaczął wołać na Grzymałę, ale nikt mu nie odpowiadał. Zmartwiony, przewidując coś złego, zwłókł się ze swojego miejsca i zaczął iść wzdłuż plantu, utykając mocno.

Uszedłszy ze trzysta kroków spostrzegł leżącego Witolda. Biedak był nieprzytomny. Z głowy, ciężko zranionej, płynęła obficie krew, która zastygała w wielką ciemną plamę na piasku. Grzymała natrafił na kamień. Żyje czy nie żyje? Mrocki rozpiął mu odzież na piersiach i zaczął nasłuchiwać. Serce biło! Ucieszył się tym niezmiernie.

Zdjął z własnej głowy mokrą chustkę i położył ją na bladej twarzy towarzysza. Po chwili Kujawiak otworzył oczy. Mrocki podniósł go i oparł o pobliską skałę.

— Co cię jeszcze boli? — zapytał troskliwie.

— Chyba mnie przejechali, bo kości nie czuję — odparł słabym głosem Witold.

Sobiesław obejrzał uważnie towarzysza, ale prócz wielkich i licznych siniaków nie znalazł cięższych obrażeń. Najgorsza była rana na czole. Obaj więc ponieśli mniej więcej jednakowe obrażenia. Teraz jednak byli razem i mogli sobie wzajemnie pomagać.

Grzymała, przyszedłszy nieco do siebie, począł także wymyślać Amerykanom na czym świat stoi.

Nadchodził właśnie pociąg. Mrocki zrobił rozpaczliwy gest wzywający pomocy, ale maszynista udał, że nie widzi, i wielki wąż żelazny pomknął dalej.

Widocznie jednak dano znać na najbliższej stacji, bo w parę godzin potem, o zmroku,

zjawiała się drezyna, a na niej trzech jakichś ludzi, którzy zatrzymali się naprzeciwko rannych.

Był to lekarz kolejowy, felczer i dróżnik pędzący drezynę. Nie pytali o nic Mrockiego, nie słuchali klątw Grzymały, złożyli obu na twardym posłaniu z derki i zawieźli na stację.

Doktor, jak się pokazało, był człowiekiem poczciwym. Wystuchał z oburzeniem nie tajonym opowiadania Mrockiego, opatrzył starannie jego rany, zaopiekował się również sumiennie Grzymałą i obiecał odesłać ich obu do szpitala, gdzie miano ich leczyć na koszt kolei, pod warunkiem jednak, że nie będą wnosili do sądu skargi na konduktorów.

Kiedy zaś Grzymała nie chciał się zgodzić, doktor powiedział mu, że z jadącymi na gapę zwykle tak postępują w Ameryce i sądy rzadko kiedy karzą winnych.

Mrocki i jego towarzysz widząc, że są w położeniu bez wyjścia, podpisali oświadczenie, że nie mają żadnych pretensji do kolei, potem dopiero pozwolono im leczyć się w szpitalu. Zyskali jednak to, że ich zawieziono do Pittsburga, dokąd właśnie pragnęli się dostać, tam bowiem znajdował się szpital.

Ta okoliczność jeszcze bardziej rozgoryczyła Witolda.

— Wyrzucili nas za to, że chcieliśmy przejechać się za darmo do miasta, a teraz sami nas tu przywieźli i jeszcze muszą leczyć. Czyby to nie było mądrzej pozwolić nam dojechać, a nie wyrzucać ludzi jak bydła? Nie, co ja mówię, kto by tam bydło wyrzucał? Raczej jak jaką pakę do śmieci. A potem pokaleczonych wożą i wydają pieniądze na doktorów... Słyszane to rzeczy? Aj, poznam ja ci tego konduktora, poznam; umyślnie się koleją przejadę, jak wyzdrowieję. Wpadnie on w moje ręce, niezawodnie! Wtedy żywym łotra z garści nie wypuszczę!

Plany zemsty zajmowały głowę Witolda przez cały tydzień, zwłaszcza że biedak gorączkował. Wtedy zdawało mu się, że go znowu wyrzucają z pociągu, walczył rozpaczliwie, krzyczał po nocach i spać innym nie pozwalał.

Szpital był niby to wzorowo urządony, ale kto w nim posiedział dłużej, ten dopiero poznał się na blade. Chorych karmili zgniłym mięsem, chlebem ze spleśniałej mąki, przy tym tak skapo, że większość, zdrowszych zwłaszcza, musiała za swoje pieniądze kupować produkty spożywcze, ażeby z głodu nie umrzeć.

Mrocki wydał też dolara na sam chleb, bo inaczej jeszcze by bardziej wychudł; a i tak po dwóch tygodniach wyglądał jak szczapa.

Obaj zatem oczekiwali z upragnieniem chwili, kiedy już będą mogli opuścić szpital.

Nie zatrzymywano ich tam wcale; ledwie się rany jako tako zablżyły i gorączka spadła, wypuszczono ich na wolność.

Z początku Grzymała był rad temu, bo mu już obrzydło życie w szpitalu; ale wnet się spostrzegł, że zrobił głupstwo opuszczając tak wcześnie łóżko. Nie miał bowiem jeszcze siły, a tu trzeba było wziąć się do pracy.

Kiedy nasi ranni opuścili szpital, mróz był kilkustopniowy i śnieg w dużych stosach leżał na ulicach Pittsburga.

Miasto było duże, a w nim kominy fabryczne dymiły jeden przy drugim. Sądził więc Mrocki, że roboty nie będą długo szukali.

Jakże boleśnie się zawiedli.

Rozpoczęła się wędrówka od jednej bramy fabrycznej do drugiej. Przy każdej jednak zastawali już tłumy takich samych, jak oni bezdomnych, poszukujących pracy robotników. Każdemu chodziło przy tym o zdobycie sobie miejsca najbliższej wejścia. Byli więc tacy, co nie chodzili wcale do domu na noc, tylko skurczeni siedzieli do rana pod murem, otuleni w łachmany; za to byli rano na stanowisku, zanim inni, przed świtem jeszcze, przyszli. Nie zawsze jednak udawało się. Paru z nich przeliczyło się, bo w nocy wziął taki mróz, że na śmierć zmarzli. Szwajcar, otworzywszy rano bramę dla nadciągających robotników, ujrzał pod nią trupa. Odłożono go na bok i znów tłoczyły się tłumy żądnych zarobku. Z jakąż zazdrością spoglądano na szczęśliwców, którzy dostawali zajęcie! Wrota do stalowni, gdzie

już trzeci dzień oczekiwali nasi dwaj przyjaciele na swoją kolej, wydawały im się wrotami do raju.

A jednak mijał dzień za dniem bez pożądanego wyniku.

Zima strasznie dokuczała biedakom. Przez większą część dnia stali w tłumie popychającym się i tłoczącym, a gdy ktoś odchodził na chwilę, aby kupić kawałek chleba lub napić się wody, jego stanowisko zajmowali współzawodnicy i trzeba było znowu kułakiem i siłą zdobywać sobie miejsce przy bramie. Na tym tle wybuchały pomiędzy dobijającymi się o pracę robotnikami zatargi. Kłócono się, wymyślano sobie, nierzadko nawet wszczynano bójkę na pięści; ale wtedy zjawiało się kilku policjantów, którzy gumowymi pałkami brutalnie rozpędzali tłum. Wówczas nikt nie dostawał roboty.

Co dzień jednak zdarzały się wakanse, przeważnie skutkiem wypadków. Co kilka godzin któryś z robotników zajętych w stalowni (a pracowało ich pewnie ze sześć tysięcy w tym olbrzymim zakładzie) albo złamał rękę, albo stal roztopiona poparzyła go, albo wózek nań najechał, dość że placówki opróżniały się. Na miejsce wywożonych do szpitala ofiar stawali natychmiast inni. Tyle było rąk wolnych i tyle zgłodniałych żołądków, że stalownia zawsze miała dostatek robotników. Dość było otworzyć bramę, a tłoczyli się jeden przez drugiego.

Nasi przyjaciele zmieniali się, żeby utrzymać miejsce. Kiedy Witold musiał iść do pobliskiego szynku na rozgrzewkę i posiłek, Mrocki stawał w długim szeregu czekających. Po kilku godzinach znów go zwalniał Grzymała i tak dalej.

Sobiesław korzystał z tej przerwy, żeby gdzie indziej spróbować szczęścia. Nie wiodło mu się jednak. Napływ robotników do miasta na zimę był tak olbrzymi, że wszystkie miejsca pozajmowano i wskutek wielkiej podaży rąk zarobki zaczynały spadać.

Najgorzej czuli się wieczorem. Trzeba było przecież gdzieś nocować. Na opłacenie mieszkania nie starczyło. Jedynym ratunkiem dla biedaków bezdomnych były posterunki policyjne, gdzie pozwalano w ogrzanej izbie spędzać noc nędzarzom. Spać bowiem na ulicy prawo wzbraniało. Posterunki te, a raczej przytułki policyjne, otwierano dopiero o północy. Do północy zaś trzeba było marznąć niemiłosiernie, bo mróz z przenikającym do kości wichrem hulał po ulicach miasta.

Zmarznięci, szczękający zębami nasi dwaj towarzysze niedoli musieli zatem zaglądać do szynku, gdzie za kilka centów mogli dostać kieliszek obrzydliwej wódki i jakąś nędzną przekąskę. Ale po wypiciu jednego kieliszka gospodarz pozwalał siedzieć gościowi w ciepłej izbie nie dłużej nad godzinę. Po upływie tego czasu trzeba było albo się wynosić, albo na nowo wypić i zjeść. Kto nie stosował się do tego, tego bez ceremonii wypraszano za drzwi.

Jeżeliby zatem zechcieli w ten sposób spędzić cały wieczór, musieliby wydać z pół dolara co najmniej i po paru dniach zostać bez grosza.

Wstępowali wprawdzie obaj do szynku, bo gdzie indziej nie mogli dostać przekąski za małe pieniądze i rozgrzać się nieco, ale poprzestawali na jednym kieliszku i potem znów wędrowali pod bramę jakiej fabryki albo wałęsali się po sklepach i kantorach, odprawiani zewsząd, a nieraz i zwymyślani przez zniecierpliwionego właściciela, który nie mógł się opędzić poszukującym zajęcia natrętom.

W ten sposób upłynęło kilka dni. Noce spędzano w przytułkach policyjnych. Na godzinę przed otwarciem ich pode drzwiami czekało już po kilkuset nędzarzy. I tutaj zdobywał miejsce posiadacz silnej pięści, a słabi musieli nocować pod gołym niebem.

Wreszcie udało im się jako tako ulokować w przytułku. Wszyscy tu spali na gołej podłodze pokrytej grubą warstwą cuchnącego błota. W ciągu dnia Sobiesław zbierał gazety porzucone na ulicy; one służyły mu w nocy za materac; rozpościarał je na podłodze i kładł się na nich, żeby przynajmniej nie stykać się z błotem i zaoszczędzić odzieży, która i tak wyglądała bardzo nędznie.

Ci, którzy korzystali z przytułków policyjnych, należeli do najgorszych nędzarzy; każdy

niemal był brudny do obrzydzenia, pokryty łachmanami, jedzony przez robactwo albo gorzej, przez jakąś zaraźliwą chorobę. Z początku Mrocki nie mógł w takim otoczeniu, w atmosferze przenikniętej alkoholem, tytoniem, zaduchem smrodliwym, zmrużyć oka, ale po kilku nieprzespanych nocach oczy mu się natychmiast kleiły, skoro tylko się położył. Nic dziwnego, przez cały dzień nabiegał się po fabrykach, był więc śmiertelnie znużony.

A zima stawała się coraz cięższa. Śnieżyca spadła taka, że chodzić po ulicach było nie podobna; nawet tramwaje elektryczne przestawały kursować. Często dwaj nasi przyjaciele nie dostawali się na noc do przytułku policyjnego i musieli szukać sobie schronienia w starych pakach, beczkach, pod mostami, w sieniach domów, w wagonach kolejowych stojących na stacjach, słowem, gdziekolwiek, byle nie znosić straszego zimna i nie być narażonym na podmuchy mroźnego wichru.

Ale unikając jednej klęski wpadali w inne niebezpieczeństwo. Kilkakrotnie policja wykrywała ich w takich norach i prowadziła do urzędu. Tam tłumaczyli się, że nie mają gdzie spędzić nocy, i udawało im się uniknąć aresztu. Toteż obaj marzyli o tym, żeby znaleźć robotę w jakiej fabryce i wynająć sobie chociażby mały kątek, jak to robili biedacy, którym zabrakło środków na własną izbę.

Mrocki, który znał już cokolwiek język angielski i należał do ludzi inteligentnych, czytywał przy sposobności gazety, gdzie co dzień było kilkanaście ogłoszeń o miejscach wolnych. Z początku Sobiesław biegł bez straty czasu pod wskazany w ogłoszeniu adres. Ale niebawem przekonał się, że go chcą oszukać i nic więcej.

Poszedł raz, kupiwszy niemal za ostatni grosz gazetę, do pewnego właściciela drukarni, który szukał ludzi do zyskownego zajęcia. Był to wydawca jakiegoś małego dziennika, do którego sam pisywał, który sam drukował, tylko nie mógł sam sprzedawać. Ten pan oszłomił Mrockiego zapewnieniem, że jego „Dziennik Robotnika” ma niezmiernie wielu czytelników w mieście, że dość jest wyjść na ulicę i krzyknąć, że się sprzedaje gazetę, ażeby ludzie zaczęli ją na wyścigi kupować.

Ażeby jednak wziąć do sprzedaży sto egzemplarzy tego poczytnego dziennika, należało złożyć dwa dolary kaucji.

W kasie wspólnej znajdowało się niewiele więcej. Mrocki po krótkim namyśle, nie podejrzewając nic złego, zdecydował się. Złożył dwa dolary kaucji, wziął plik dziennika, podzielił się nią z Grzymałą i obaj zaczęli na ulicach wykrzykiwać tytuł pisma.

Nikt jednak nie zwracał na nich uwagi; zaczęli więc częstować dziennikiem przechodniów ubranych ubogo, był on bowiem przeznaczony dla robotników. Ale przez cały dzień, pomimo największych starań, nie zdołali sprzedać więcej nad dwa egzemplarze. Zniechęceni, udali się wieczorem do drukarza i odnieśli mu nie sprzedane numery, żądając zwrotu kaucji. Wydawca jednak nawymyślał im, wyrzucił za drzwi i jeszcze groził policją, jeżeli się będą upominali o to, co im się nie należy. Mrocki nie miał, naturalnie, kwitu, nie mógł więc wystąpić z pretensjami; zresztą bał się jak ognia policji amerykańskiej, o której wiedział, że jest przekupna i trzyma zawsze stronę tego, kto jej płaci. Tak więc obaj stracili ostatnie pieniądze, a numerów dziennika, wydawanego, jak się potem okazało, dla łapania od łatwowiernych kaucji dwudolarowych, użyli jako materaców w przytułkach policyjnych.

W innych miejscach żądano także kaucji. Ci, co naprawdę potrzebowali robotników, nie podawali ogłoszeń do dzienników, bo po co, kiedy pod każdą bramą fabryczną wystawały tłumy zgłodniałych robotników, gotowe na skinienie przyjąć każde zajęcie, nawet najcięższe, najgorzej płatne.

Zanim jednak nasi tułacze poznali się na tym, zdarli niemal doszczętnie buty latając pod wskazane im adresy, gdzie zwykle proponowano im niezmiernie korzystne zajęcia, ale pod warunkiem, że złożą kaucję, której naturalnie nie oglądaliby potem nigdy.

Musieli więc znowu wystawać pod bramami fabryk. Gdyby nie to, że parę razy trafiły im się przygodne zarobki na jeden dzień albo nawet na parę godzin, na przykład za mycie

podłóg lub za przenoszenie ciężarów, to na pewno by już z głodu pomarli w Pittsburgu.

Witold chciał sprzedawać gazety pokupne, ale Mrocki, zniechęcony, oparł się temu. Znowu więc trzeba było myśleć o jakim przygodnym zajęciu, bo w kieszeni mieli obaj zaledwie dwadzieścia centów. Pewnego dnia Grzymała, który ciągle myślał nad zarobkiem, przyszedł uradowany. Zarobił ćwierć dolara za bagatelkę. Pomógł jakiejś bogatej, strojnej pani wsiąść z dorożki i zaniósł jej do kolei walizkę, kilkadziesiąt kroków zaledwie.

— Pójdziemy na stację i będziemy czekać, aż wyjdzie jaki pan, który nie może się dostać do tramwaju, bo ma za dużą walizkę, a nie chce wydawać na auto; poniesiemy mu pakunek do domu i zawsze coś za to kapnie.

Pomysł ten wydawał się Mrockiemu praktyczny; postanowili zatem obaj spróbować szczęścia.

Nie czekali długo na sposobność. Pociąg osobowy przyszedł, ze stacji wysypał się tłum najrozmaitszych ludzi poczynając od biedaków, takich jak oni, a kończąc na bogaczach, którzy siadali do oczekujących na nich samochodów.

Mrocki spostrzegł jakąś damę, która oglądała się wkoło i trzymała walizkę w ręku; skoczył, grzecznie się uklonił i zaofiarował jej usługi; dama przyjęła je z uśmiechem. Sobiesław wziął walizkę i zaczął iść za ową panią, która zapewne niedaleko od dworca mieszkała, skoro nie chciała brać dorożki.

Zaledwie jednak zrobił kilkadziesiąt kroków, gdy wtem zbliżyło się do niego trzech drabów. Jeden z nich uderzył go pięścią w głowę, tak że się przewrócił na ziemię, drugi tymczasem pochwycił walizkę. Dama zaczęła krzyczeć, zjawił się policjant, ale obdartusy zaczęli mu coś tłumaczyć.

Wreszcie jeden z nich poniósł walizkę za przestraszoną damą, którą przedstawiciel władzy uspokajał. Mrocki oburzył się, żądał aresztowania napastników, ale w odpowiedzi zagrożono jemu samemu aresztowaniem. Czy ma prawo nosić pakunki za podróżnymi? — pytał go policjant. Czy nie wie, że tym zajmują się inni? Dlaczego odbiera porządnym ludziom kawałek chleba?

Policjant formalnie krzyczał na niego, jak gdyby to on napadł na owych drabów, a nie odwrotnie. Mrocki z początku stawiał się, jak to mówią, ale widząc, że policjant trzyma stronę drabów, którzy zapewne mu za to płacą, stulił uszy.

Kujawiakowi zdarzyło się zupełnie to samo, tylko z tą różnicą, że ci, którzy wzięli w monopol odnośnienie pakunków, poturbowali go porządnie, kiedy się zaczął bronić.

Trzeba było wyrzec się łatwego zarobku. Mrocki, nie przygotowany na takie zawody, na taką ciężką walkę o kawałek suchego chleba, tracił energię, ale Grzymała podtrzymywał towarzysza.

Pewnego dnia niespodziewanie nasi dwaj włóczędzy zrobili interesującą znajomość.

Od kilku tygodni nie nocowali już inaczej, jak w przytułku policyjnym; ale towarzystwo włóczędów najgorszego gatunku naprzykrzyło się im do tego stopnia, że postanowili poszukać sobie innego schronienia.

Niedaleko od fabryki stali, gdzie szukali zajęcia od paru tygodni, nad rzeką znajdował się wielki skład drzewa. Wieczorem Grzymała z Sobiesławem przekradli się przez parkan i zaczęli szukać jakiejś dziury, osłoniętej od wiatru, gdzieby mogli przenocować, bo noc nie była zbyt zimna.

Przemykając się chyłkiem pomiędzy stosami krokwi i belek, dosłyszeli rozmowę prowadzoną półgłosem. Zatrzymali się obaj stropieni, zdawało się im bowiem, że natrafili na stróża pilnującego składu. Już nawet mieli się cofnąć, gdy wtem spomiędzy desek wyjrzała jakaś głowa, która natychmiast schowała się znowu. To nie byli na pewno stróże, ale tacy sami bezdomni włóczędzy, którzy tutaj urządzili sobie przytulisko.

Grzymała bez wahania zbliżył się i wtedy ujrzał bardzo ciekawą rzecz.

Pomiędzy deskami był zbudowany jakby szałas czy domek z wejściem doskonale

zamaskowanym, tak że na pierwszy rzut oka nie można było niczego się domyślić. Ale uchyliwszy jedną z tarcic, zastępujących drzwi, wchodziło się do izdebki dosyć nawet obszernej i nie pozbawionej pewnych wygód.

Na podłodze leżała słoma i stare worki, które służyły zamiast pościeli. Deska, wsparta na dwóch kamieniach, odgrywała rolę stołu, na którym stała blaszanka do kawy, leżał bochenek chleba jeszcze nie napoczęty, obok widniała butelka z wódką. Kawał kiełbasy był ozdobą tej uczty, do której właśnie zabierali się dwaj mieszkańcy tajemniczego schroniska.

Jeden z nich był znany z widzenia Mrockiemu. Codziennie wystawał pod bramą fabryki stali, snadź tak samo jak Sobiesław czekając na wakans, drugi miał spojrzenie niepewne, czy latające niespokojnie i nie patrzące na tego, do kogo mówił. Czarna broda okalała twarz pochmurną i energiczną.

Człowiek ten, ujrawszy naszych dwóch tułaczy, z początku zamierzał ich odpędzić, ale po zastanowieniu się bliższym, postanowił nie wszczynać kłótni; przeciwnie, zrobił gest zapraszający.

— Jak widzę, nieźle się tutaj urządziliście — zaczął Grzymała kalecząc niemiłosiernie angielski język. — No, a myśmy myśleli, że tu nie ma nikogo i że nikt nam nie przeszkodzi spędzić noc pomiędzy deskami.

— Dlaczego nie? Nikt was stąd nie wygania. Jesteście równie dobrzy jak każdy. Tutaj lepiej niż w przytułku policyjnym.

Ponury człowiek wybuchnął nieszczerym śmiechem i odsunął lepiej deskę, dając znak naszym dwu przybyszom, żeby weszli do środka improwizowanej chaty.

Witold bez wahania przyjął zaproszenie, Mrocki wśliznął się za nim.

Nastąpiły wzajemne przedstawienia; włóczędzy nazywali się: pierwszy — Mac Gregory, drugi — O'Monel. Szkot i Irlandczyk z pochodzenia, dwaj nierozłączni towarzysze, a jednak różniący się bardzo pod każdym względem jeden od drugiego.

Szkot robił wrażenie uczciwego robotnika, Irlandczyk zaś nicponia, który już dawno przestał myśleć o uczciwym zarobku. Niebawem wyjaśniło się to zupełnie.

— Nie macie na wieczere, hę? — zaczął ponury człowiek udając wesołego. — Pewnie szukacie pracy? No, że też to nie nauczyliście się jeszcze rozumu? Pracy nie trzeba szukać, bo jest jej aż nadto dla każdego, kto chce choćby palcem ruszyć.

Grzymała zainteresował się.

— Wskaż nam pan cokolwiek, a będziemy bardzo wdzięczni — r rzekł błagalnym tonem.

Irlandczyk nalał w jakiś słoiczek, zastępujący kieliszek, wódki z flaszki i przepił do nowych znajomych.

— Najprzód trzeba się cokolwiek rozgrzać — rzekł. — No, w wasze ręce.

Ani Mrocki, ani Grzymała nie odmówili poczęstunku, byli bowiem skostniałi od zimna. Irlandczyk uprzejmie poczęstował ich potem kiełbasą z chlebem, tak że zaspokoili pierwszy głód.

Ale Witold nie miał spokoju i wrócił zaraz do przerwanej rozmowy.

— No, gdzież ta robota? — zagadnął. — Strasznie nam jej potrzeba.

— A dlaczego pan szuka miejsca w fabryce — zapytał Mrocki Szkota — skoro pański przyjaciel ma zajęcie nie tylko dla siebie, ale i dla innych?

Szkot nic nie odpowiedział, ruszył tylko ramionami i legł na barłogu.

— Robota, robota! — powtórzył przekomarzając się Ponury. — A co byś, towarzyszu kochany, chciał robić, hę?

— Mnie jest zupełnie wszystko jedno, co się zdarzy — odparł Witold.

— Jeżeli masz dobre nogi i oczy, to zbieraj niedopałki od cygar. Wskażę ci osoby, które kupują takie ogryzki i potem przerabiają je na dobre, świeże cygara wirgińskie... A jak nie, to szukaj korków, skórek od pomarańcz, podnoś stare pudełka od papierosów, zawsze w ten

sposób zarobisz ze dwadzieścia pięć centów dziennie.

Wymówiwszy te ostatnie wyrazy, Ponury znowu się zaśmiał ironicznie.

— A pan co robi? — zapytał Mrocki, któremu fizjonomia mówiącego nie podobała się. Ponury nieco się zmieszał.

— Co się nadarzy. Dawniej byłem w fabryce, ale teraz pozostawiam to innym; zma-
drzałem. W Pittsburgu, no i w całych Stanach, a jakże! Wszędzie porządny robotnik chodzi
bez butów, tak jak wy, przymiera głodem większą część roku, tuła się od jednej bramy fabry-
cznej do drugiej, a jak się gdzie dostanie, to za parę miesięcy znów jest na bruku i tak dalej,
dopóki mu się nie uprzykrzy, jak mnie. Rzuciłem wszystko i już nikogo o robotę nie proszę,
żyję własnym przemysłem, jak tylu innych. No i mam whisky, mam kiełbasę, a wy co?
Napijemy się jeszcze po jednym, bo nie ma po co oszczędzać; jutro znajdzie się świeża
butelka, a gdzie, niech was o to głowa nie boli. Nie zbraknie tego w Pittsburgu.

— No, co pan teraz robi? — naglił Grzymała, który nie żywił dotąd żadnych podejrzeń.
Ponury odchrząknął.

— A no. nic. Wódkę piję i kiełbasą zagryzam.

Znowu zaśmiał się i nalał po raz drugi w puste kieliszki.

Rozmowa urwała się; poczęstunek zniknął szybko, nie upłynęła godzina, a już nic nie
zostało w butelce.

Ponury westchnął.

— A no, trza się wynosić — mruknął. — Będziecie mieli więcej miejsca — dodał
podnosząc się.

Nadstawił ucha, jakby nasłuchując w ciemności.

— Idą! — rzekł wreszcie.

W tejże chwili deska cicho podniosła się i jakaś kosmata głowa z błyszczącymi oczami
zajrzała do wnętrza schroniska.

— Gotowi? — szepnął głos.

Irlandczyk podniósł się, sięgnął ręką w szczelinę i wyciągnął z niej jakiś rzemień, na
którego końcu wisiła spora kula ołowiana.

Zwinął to starannie i schował do kieszeni tak, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Witold i
Mrocki, uważnie śledząc, widzieli jednak dokładnie ten dziwny przyrząd. Sobiesław już miał
na języku pytanie, do jakiego celu miał służyć rzemień przypominający lasso, ale ugryzł się w
język.

Ponury, ogarnawszy się jako tako, kiwnął głową swym towarzyszom i wysunął się jak
wąż ze schroniska, ażeby się połączyć z jakimiś dwiema tajemniczymi postaciami stojącymi o
parę kroków. Wnet wszyscy trzej znikli jak mary. Szkot zamknął za nimi deskę i znalazł się
sam z naszymi tułaczami.

Chwilę panowało przykre milczenie. Mrocki śledził oblicze Szkota czekając, aż zacznie
mówić, ale ten bynajmniej nie okazywał ochoty do rozmowy.

Rozłożył się na ziemi i wskazał naszym dwa przyległe kąty.

— Czas spać — rzekł krótko.

Potem przykrył się łachmanami na głowę i widocznie usiłował zasnąć.

Mrocki urządził sobie, jak potrafił najwygodniej, legowisko i wyciągnął się obok Wito-
lda, żeby się wzajemnie ogrzać. Zgaszono lampkę i zapanowała cisza, przerywana świstem i
turkotem przebiegających lokomotyw i dalekim gwarem ulicznym wielkiego miasta, który
jednak powoli .cichł. Ani Grzymała, ani Sobiesław nie mogli zmrużyć oka. Instynktownie
czuli, że przypadek zbliżył ich do ludzi podejrzanych. Ponury wyglądał stanowczo na jakie-
goś przestępcę. Mrocki ciągle miał w oczach jego tajemniczą twarz i zły uśmiech. Po co
Irlandczyk poszedł, kiedy powinien był spać? Czyżby miał nocne zajęcie w fabryce? I to się
często zdarza, to prawda, lecz...

Upłynęła może godzina, gdy w pobliżu schroniska rozległ się szmer. Szkot, który, jak

się pokazało, nie spał, podniósł zaraz głowę i nasłuchiwał z wyraźnym niepokojem.

Koło schroniska przechodziło kilku ludzi. Przez szpary widać było postacie otulone w płaszcze.

Szkot patrzył za nimi i położył się dopiero, kiedy znikli w ciemnościach.

— Co to? — zagadnął go Witold.

— A nic. Policja często tutaj myszkuje i przeszkadza nam spać — mruknął.

Grzymała, usłyszawszy o policji, zaczął złorzeczyć.

— Przekłęci policjanci, nie darują nikomu, największego biedaka najgorzej właśnie prześladowają, a bogaczom nic nie robią, choćby grubo zawinili. Co im przeszkadza, że człowiek się tutaj prześpi pomiędzy deskami jak pies albo kot? Przecież nic nie ukradnie.

Mrocki słuchał towarzysza, ale w głębi duszy inaczej myślał.

„Policja jest przekupna w Ameryce, ani słowa; ale musi mieć powody, dla których robi tutaj poszukiwania. Widocznie pomiędzy kłodami drzewa i stosami desek ukrywają się niebezpieczni przestępcy”.

Szkot zauważył niepokój towarzyszków.

— Gdyby przypadkiem odkryto nasze schronienie, to musicie wiedzieć, którędy się wycofać — rzekł po pewnym wahaniu. — O, pod tą deską zaczyna się rowek. Śmiało pełzajcie nim na brzuchu, dopóki nie wydobędziecie się na wolne miejsce. Będzie tam drugi stos desek i o trzy kroki na prawo wejście do innego rowu, przywalone kamieniem, który należy odsunąć, żeby się do niego dostać. W ten sposób można, pełzając, dotrzeć aż do samego parkanu, przeleźć na drugą stronę i wyjść na ulicę, zwykle pustą. Pamiętajcie o tym. Nigdy nie wiadomo, kiedy się co stać może! — dodał filozoficznie, otulając się w płaszcz.

Ta przemowa jeszcze mniej podobała się Mrockiemu od nocnej wycieczki Irlandczyka. Usiadł i nasłuchiwał z rosnącym niepokojem. Szeptem wytłumaczył koledze, co mu powiedziano, i nie mógł już w żaden sposób usnąć.

O drugiej po północy, w pobliżu schroniska ukazało się znów parę cieni, przemykających się chyłkiem.

Było prawie widno, bo księżyc wyglądał spomiędzy chmur; Mrocki widział, jak podejrzane postacie, obładowane tobołami, przesunęły się tuż koło schroniska i o kilkanaście kroków dalej znikły pomiędzy belkami.

Szkot przyglądał im się także przez szpary i uspokojony legł znów na spoczynek.

Widocznie oczekiwał powrotu towarzyszków, od czasu do czasu bowiem nadstawiał uszu. Dopiero jednak za dnia ukazał się Irlandczyk z dwoma ludźmi, tymi samymi, z którymi poszedł. Odchylił deskę i zaraz wybuchnął śmiechem, w którym brzmiał triumf.

Nic nie mówiąc usiadł, wyciągnął z kieszeni garść banknotów dziesięciodolarowych i rzucił je niedbałym ruchem na stół.

Witold oniemiał na widok tyłu pieniędzy, Mrocki zaś struchlał, oglądając się mimo woli.

— Gładko poszło? — zagadnął od niechcienia Szkot ziewając. — Policja szukała — dodał po chwili, tonem na wpół obojętnym.

— Blisko? — zagadnął żywo Irlandczyk, widocznie zatrzwożony.

— Tuż.

— No i co?

— A no, poszli.

— Bogu dziękować! — odetchnął Ponury.

— A nikogo nie capnęli?

Szkot potrząsnął głową.

Irlandczyk zagarnął na powrót banknoty, których było kilkaset dolarów, i schował do kieszeni.

— Dobrze trafiliśmy! — zaczął dobywając z drugiej kieszeni rzemień z kulą. — Ha!

ha! Każdy taką paczkę papierków dostał.

— I kto to był? — pytał Szkot.

— Chyba jaki bogacz. Jutro dowiemy się z gazet, nic pilnego. Tymczasem niech który pójdzie po przekąskę i wódkę. Dziesięć dolarów daję, ale żeby pić i jeść było w bród. — I podał papiera Grzymale.

— Nie drapniesz? — zagadnął ironicznie. — Wszystkiego niedaleko stąd dostaniesz.

Witold spojrzał pytająco na towarzysza, ale spostrzegłszy, że ten lekko potrząsa głową, odsunął banknot.

— My tam nie będziemy korzystali z waszych pieniędzy! — rzekł zimno. — Przyszliśmy się nieco rozgrzać i noc spędzić, a teraz czas nam do roboty.

Ponury zaśmiał się groźnie.

— No, no, o robocie mi nie gadać. Wiadomo, że nie ma się do czego wziąć. Nie chcesz ty, to Szkot pójdzie, ale nic nie dam.

Pogróżka ta rozdrażniła tylko Witolda.

— Cóż to, myślicie, że potrzebujemy waszej łaski? — oburzył się Kujawiak. — My tam jesteśmy ludzie uczciwi, po ulicach nikogo nie okradamy. Przyszliśmy przenocować, a teraz do widzenia na święty nigdy!

Wypowiedziawszy te słowa na wpół po angielsku, na wpół po polsku, Grzymała zaczął zabierać się do odejścia.

— Oho! Nic z tego! — zawołał Irlandczyk. — Przyszliście nas wyszpiegować, a teraz może policję na nas sprowadzicie.

Zaśmiał się ponuro, a oczy błysnęły mu groźnie.

Mrocki zmiarkował, że się zanosi na awanturę. Chcąc ją załagodzić, odezwał się:

— No, no, tylko bez przytyków. Nikogo zdradzać nie mamy zamiaru. Róbcie sobie, jak chcecie, to wasza rzecz. Przenocowaliście nas, dziękujemy za to i wędrujemy z Panem Bogiem. Możemy wam nawet przynieść co do śniadania, ale za poczęstunek dziękujemy. Pora nam szukać roboty.

Zaczęli obaj zabierać się do opuszczenia bandyckiej kryjówki, ale Irlandczyk zawiał się.

— Mac Gregory, nie puszczaj tych ptaszków! — zawołał. — Trzeba ich związać, a potem zobaczy się, co za jedni.

Z tymi słowy sięgnął po ramię z kulą ołowianą na końcu, ale Witold nie czekał. Rzucił się do otworu, popchnął deskę, która wyleciała z łoskotem, i wylał zwinnie na zewnątrz. Mrocki nie zdążył; Irlandczyk schwycił go za ramiona, potem związał mu ręce jak wprawny rzeźmieszek i żelaznymi palcami chwycił za gardło.

Grzymała stał obok kryjówki i wołał po imieniu towarzysza.

— Witold, ratuj, duszą mnie! — krzyknął Sobiesław.

Grzymała zmiarkował, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi towarzyszowi. Nie wahając się wydobył z kieszeni swój rewolwerek i dał ognia dla postrachu w powietrze.

Wystrzał odezwał się gromkim echem w pustkowiu. Skutek był zdumiewający. O'Monel puścił Mrockiego i jeszcze wypchnął go z kryjówki; potem obaj ze Szkotem szybko zaczęli wycofywać się wiadomym korytarzem.

Niebawem kryjówka była pusta.

— Uciekajmy! — zawołał Mrocki przyszedłszy do siebie. — W ładne towarzystwo dostaliśmy się. Zaraz zleci się policja i może być z nami źle.

Grzymała uznał, że Mrocki ma słuszość. Nie czekając dłużej obaj zaczęli się chyłkiem wycofywać i w kilka minut znajdowali się za bramą składu.

Wyszli w samą porę, bo akurat naprzeciw biegło klusem dwóch policjantów w stronę, gdzie niedawno rozległ się wystrzał.

Nie zwrócili jednak uwagi na naszych przyjaciół, wpadli do bramy składu, którą nieda-

wno otwarto, i zniknęli.

Witold wybuchnął śmiechem.

— A tośmy im napędzili stracha! — rzekł.

Sobiesław uściskał dłoń Kujawiakowi.

— Dziękuję ci! — rzekł. — Gdyby nie ty, nie wyszedłbym żywy z łap tego łotra Irlandczyka. Toż to bandyci. Założę się, że obrabowali kogoś na ulicy albo może nawet dopuścili się morderstwa.

Obaj obejrzeni się za siebie w obawie, czy łotrzyki nie śledzą ich. Ale na ulicy było zupełnie pusto.

ROZDZIAŁ V

PIEKIELNA PRACA

Nareszcie po miesięcznej poniewierce i nędzy szczęście uśmiechnęło się Mrockiemu i jego towarzyszowi. Dostali miejsce w stalowni, dokąd już od tak dawna pragnęli się wkręcić.

Podobno roboty było dużo i postanowiono zwiększyć liczbę robotników. W tym celu polecono szwajcarowi, żeby wpuścił za wrota kilkudziesięciu ludzi z tego tłumu, który wystawał na zimnie i słońcu od niepamiętnych czasów i nigdy się nie zmniejszał. Między tymi szczęśliwcami, budzącymi zazdrość wpośród setek współtowarzyszy niedoli, znajdowali się obaj nasi przyjaciele. Prowadzono ich do dozorczy przez kilka oddziałów stalowni.

Mrocki, który nie był nigdy w tego rodzaju zakładach, czuł się oszołomiony tym, co widział.

Najprzód ogłuszył go przeraźliwy łoskot. To wielkie młoty parowe, ważące po kilka tysięcy kilogramów, spadały na olbrzymie bryły stali, rozpalone do białości, i dawały im potężnymi uderzeniami formę wielkich płyt albo wałów. Zaraz w sąsiedniej sali piły-cyrkularki, czyli obracające się z zawrotną szybkością kółka stalowe, krajały z niemiłosierdnym zgrzytem, sypiąc tysiące iskier, długie szyny, jakby to były belki miękkiego drzewa. Małe wózki albo lokomotywki, ciągnące równie małe platformy, krzyżowały się co chwila na podłodze pokrytej szynami. Na tych platformach leżały bryły stali, podobne do wielkich żarzących się do białości węgli. Wieziono je do kuźni albo do walcowni z potężnych pieców, które co chwila otwierały swoje ogniste gardziele i wypływały z nich kawały rozpalonego i świecącego metalu.

Potężne cęgi i lewary mechaniczne chwytały te ogniste bryły i kładły je wprawnie, szybko na wagonikach. Trzeba było bardzo się wystrzegać, żeby nie być przejechanym przez wagon pędzący szybko pośród uwijających się, na wpół nagich robotników. W dusznej atmosferze roiło się od iskier, które padały wszędzie, nawet na ciała brunatne i spalone. Nikt jednak nie zwracał na nie uwagi. Mrocki przerażony oglądał się dokoła, zdawało mu się bowiem, że lada chwila padnie zmiażdżony albo okaleczony.

Grzymała pozostał w oddziale, gdzie walcowano wielkie bryły stali na blachy różnej grubości. Przyglądał się, jak wielkie wargi stalowe obracających się walców chwytały bryłę stali. Bryła, wpuszczana w coraz to nowe wargi, ciaśniejsze jedne od drugich, jęczała, robiła się coraz cieńsza, a za to coraz szersza i dłuższa. Nareszcie po wielu takich uściskach, spłaszczona, ale jeszcze czerwona, wychodziła niby olbrzymi język ognisty i pełzała po podłodze pokrytej czarnym pyłem. Maszyny chwytały ją już zimną i nawijały na wielką rolę, a platformy zawoziły do składów.

W drugim końcu sali robiono szyny w ten sam sposób. Długi wąż z czerwonego żelaza

pełzał po sali, a obok niego uwijali się robotnicy z cęgami w rękach; chwyтали nimi węża i wpychali w nowe stalowe paszce, póki nie nabrał pożądanej długości i grubości. Ostatecznie maszyna ze zgrzytem krajała go i bryła zamieniała się na długie, ciężkie szyny, po których miały przebiegać z hukiem pośpieszne pociągi.

Mrocki nie dostał jednak zajęcia razem z towarzyszem, wzięto go bowiem do oddziału wielkich pieców, gdzie topiono stal. W wielkiej, długiej na paręset kroków sali stał cały rząd pieców, w których bulgotał z łoskotem ciekły metal. Kiedy otwierano drzwi, buchały z wnętrza takiego pieca światła różnokolorowe, które oślepiały nie przyzwyczajone oko. Strach było patrzeć na te masy ciekłego metalu, który czekał tylko odpowiedniej chwili, aby wyostać się z więzienia.

Od czasu do czasu wypuszczano go istotnie. Była to chwila straszna. Gardziel ognista otwierała się nagle i z niej wylewała się rzeka roztopionej stali rzucająca iskry na wszystkie strony, wrząca, ciężka i lśniąca tak, że robotnicy musieli patrzeć na nią przez ciemne okulary, żeby nie oślepnąć.

Ten strumień, wlewany z dźwiganych przez robotników tygli do wielkich form, zastygał w wały do maszyn, osie, koła rozpędowe, cylindry i inne części maszyn.

Potem te odlewy stygły godzinami, a nawet dniami.

Mrocki pracował przy wyjmowaniu potężnymi parowymi żurawiami tych odlewów. Ładowano je następnie na wagoniki i oddawano młotom, które na potężnych kowadłach nadawały im jeszcze większą wytrzymałość i poprawiały niedokładności formy.

Przez kilka pierwszych dni Mrocki nie mógł oswoić się i tym piekłem, w którym się nagle znalazł.

Był jak we śnie, ogłupiony, ogłuszony, oślepiiony. Musiał przy tym mieć się na baczności, żeby nie stracić życia przez nieuwagę albo nie ponieść kalectwa. Za taką piekielną pracę dostawał trzy dolary dziennie.

Sobiesław przez długi czas nie mógł się przyzwycząić do hałasu, jaki panował w fabryce. Skrzyp żurawi dźwigających ciężary, gwizd, zgrzyt, turkot, huk, wszystko to składało się na jedną nieustanną, piekielną symfonię, od której puchły uszy i nerwy drżały jak w febrze.

Kilka dni chodził jak nieprzytomny, na wpół głuchy, dopiero po upływie jakiegoś tygodnia przestał zwracać uwagę na hałasy nieznośne. Robota jego była bardzo niebezpieczna. Kiedyś zdarzyło się, że stalowe łąpy źle pochwytyły rozpaloną bryłę metalu czy też łańcuch się urwał, dość że ze dwadzieścia cetnarów żelaza czerwonego spadło na ziemię z wysokości kilku metrów. Cud istny, że nikogo nie przygniotło, bo mnóstwo ludzi uwijało się dokoła żurawia.

Człowiek istotnie może nawyknąć do wszystkiego. To, co go z początku napawa śmiertelną i słuszną trwogą, po kilku dniach przestaje mu się wydawać groźne; jeszcze później zaczyna patrzeć na niebezpieczeństwo obojętnie, a w końcu szydzi sobie z niego. Zupełnie tak samo było z Mrockim. Wiedział, jak straszna byłaby śmierć pod kołami lokomotywki ciągnącej platformę z bryłami stali rozpalonej albo od przygniecenia rozpalonym kawałem metalu. W tydzień jednak po wstąpieniu do fabryki już nie zwracał uwagi na to, że olbrzymie ciężary zawisały co chwila nad jego głową i że mogły się oberwać jak tamten. Ledwie raczył się usuwać z drogi pociągom fabrycznym i nieraz musnęła go niemal bryła białej stali, ciągniona z hukiem do walcowni.

Mrocki wkrótce poznał stosunki panujące w stalowni i oburzało go wiele rzeczy, które zaczął spostrzegać.

Ostrzeżono go najprzód, żeby był w dobrych stosunkach z podmajstrzym, jeżeli nie chce stracić miejsca. Być w dobrej komitywie znaczyło tyle, co przepijać przynajmniej dziesiątą część tygodniowego zarobku albo dawać co tydzień pół dolara. Tylko w ten sposób robotnik, najsumienniejszy zresztą, był pewien, że się do niego nie będą wtrącali niesłusznie

za złe jakoby wykonywanie roboty.

Sobiesław, chociaż ze wstrętem, musiał się do tego zastosować. W oddziale Grzymały panowały zupełnie takie same zwyczaje. Obaj towarzysze niedoli zamieszkali znowu razem u pewnego Polaka, który wynajmował kąt do spania za dwa dolary miesięcznie. Ale teraz zarobek był niezły i można było pozwolić sobie nawet na większe i wygodniejsze mieszkanie; tylko sumienny Mrocki obawiał się wynajmować pokój w gospodzie, póki się nie upewni, że praca w stalowni jest stała.

Praca w fabryce była tak wyczerpująca, że na najgorszym nawet posłaniu sen kleił naszym dwu przyjaciółom powieki, zaledwie przyłożyli głowy do poduszki. Potem trzeba było o szóstej wstawać, pić lurę z żyta i żołądź, którą uprzejmy rodak sprzedawał swoim lokatorom jako mokkę, i zjadłszy do tego kawałek chleba z masłem, które nie miało nic wspólnego z krową, siadać do elektrycznego tramwaju i za kilka centów jechać do pracy. W stalowni odbywało się wszystko we wzorowym porządku; nawet ten porządek trochę był sztuczny i obliczony na krzywdę robotników. Na dziesięć minut przed siódmą już wszyscy musieli się znajdować na swoich miejscach, chociaż dzień roboczy liczono dopiero od siódmej; w ten sposób fabrykanci zyskiwali na każdym z ośmiu tysięcy robotników po dziesięć minut, co razem stanowi 80 tysięcy minut, albo, inaczej licząc, po dziesięć godzin dziennej pracy, 133 bezpłatnych dni roboczych, po trzy dolary. Ponieważ gwizdawki oznajmiały wieczorem o dziesięć minut za późno zawieszenie robót, przeto właściciele zarabiali tą drogą 266 dni roboczych dziennie, tj. na pieniądze przeszło 800 dolarów.

Ale nie na tym koniec. Oznaczyli oni kary na spóźniających się. Kto na przykład przyszedł do pracy o pięć minut za późno, temu strącano za godzinę i tą drogą zbierała się codziennie równie pokaźna sumka. Robotnicy opowiadali sobie, że stalownia była w porozumieniu z zarządem tramwajów miejskich, który umyślnie wypuszczał rano niedostateczną liczbę wagonów, żeby robotnicy musieli się spóźniać.

Niezależnie od tego płacono, gdzie to było możliwe, od sztuki i to marnie. Robotnik więc chcąc zarobić trzy dolary dziennie, co starczyło na bardzo skromne utrzymanie, musiał w szaleńczym tempie pracować przy piecach czy młotach.

W stalowni roiło się od postaci, które formalnie trzęsły się i rwały do pracy, nawet najniebezpieczniejszej. Prześcigali się oni wzajemnie, żeby więcej zrobić w ciągu godziny.

Ci robotnicy mimo woli pociągali przykładem towarzyszy, którym tak dalece nie chodziło o wysokość zarobku. Ale trudno przecież ociągać się samemu, kiedy inni, od których się w pracy zależy, rzucają ci na ręce czynności, których nie podobna odłożyć nawet na sekundę pod groźą śmierci lub kalectwa.

Toteż Mrocki i Grzymała dostali się do istnego piekła i w pierwszych tygodniach czuli się tak dalece wyczerpani gorączkową pracą, że wracali do domu na chwiejących się nogach, bladzi, z oczami błędnymi, jakby wychodzili z domu wariatów.

A właściciele, którzy tak umieli naganiać swoich ludzi, pisali piękne artykuły w gazetach, chwając się, do jakiego stopnia doskonałości potrafili doprowadzić organizację w swoich zakładach i jak wysoka jest u nich wydajność pracy; a inni im zazdrościli i od czasu do czasu zjawiali się w stalowni i przyglądali się z zaciekawieniem, niby w cyrku na przedstawieniu, robotnikom skaczącym od pieca do pieca, biegającym od formy do formy z wielkimi tyglami roztopionej stali i innym dziwom nie czując nawet na sobie pełnych nienawiści spojrzeń tych sztukmistrzów pędzonych głodem do piekielnej pracy.

Grzymała, który u siebie w domu pracował na roli za trzy złote, tutaj w Ameryce narzekał, że zarobek trzech dolarów dziennie ledwie mu wystarczy. A w jakim położeniu znajdowali się robotnicy obarczeni w dodatku rodzinami? Obdzierano ich niemiłosiernie na każdym kroku, poczynając od piekarzy i rzeźników, a kończąc na różnych wydrwigroszach, którzy błagają albo nawet oszukańczymi sposobami wyłudzali od biedaków ciężko zapracowany grosz za różne rzeczy. W dodatku produkty spożywcze, jak wszędzie prawie w Ameryce,

były często fałszowane, a prawo nie ścigało tych fałszerzy zarabiających na cudzym zdrowiu. Jeżeli się chciało jadać codziennie obiad, mieszkać w gospodzie i ubrać się choćby w niedzielę, to trzy dolary ledwie starczyły.

Robotnicy w stalowni, a zresztą i w całym Pittsburgu, narzekali coraz głośniejsze, bo płaca w ciągu ostatniego roku pozostawała na tej samej stopie, co dawniej, kiedy panował zastój w przemyśle; obecnie zaś fabrykanci nie podwyższali nikomu, chociaż byli zawaleni obstalunkami i robili podobno doskonałe interesy.

W warsztatach pojawili się niezadowoleni, którzy podburzali towarzyszy; opowiadali, że w innych miastach są znacznie wyższe zarobki, że dość jest upomnieć się, a podniosą na pewno płacę dzienną przynajmniej o pół dolara. Ludzie ci robili powoli swoje i w stalowniach zaczynał się ferment strajkowy.

Ferment rósł z dnia na dzień, aż wreszcie robotnicy wybrali delegatów spośród siebie i posłali ich do zarządu stalowni z żądaniem podwyżki płacy o dwadzieścia pięć procent.

Zarząd jednak stanowczo odmówił. Wobec tego robotnicy porozumiewszy się zagrozili strajkiem, jeżeli w przeciągu trzech dni żądaniu ich nie stanie się zadość.

Strajk w oznaczonym czasie wybuchnął. Agitatorzy wypowiadali w warsztatach mowy do robotników przeciw zarządowi. Opowiadali, że akcjonariusze mieli w ubiegłym roku dwadzieścia dziewięć procent dochodu z przedsiębiorstwa, a robotnikom nie chcą nic użyczyć z tych kolosalnych zysków, że wobec polepszenia się warunków zbytu na towary metalowe byłoby głupstwem nie do darowania poprzestać na dawnej płacy; robotnicy słuchali ich chętnie. Odbyła się podobno w związku zawodowym walna narada z delegatami wszystkich oddziałów fabryki i nazajutrz nikt nie miał przyjść do roboty.

W tej sytuacji Grzymała namówił towarzysza, żeby szukali gdzie indziej tymczasowego zajęcia.

Rozpoczęła się więc dobrze im już znana włóczęga od fabryki do fabryki, od magazynu do magazynu.

Zaraz jednak przekonano się, że na taki sam sposób wzięło się mnóstwo innych robotników; spotykano więc na każdym niemal kroku swoich i nigdzie nie podobna było zaczepić się nawet na parę dni.

Witold z dnia na dzień tracił wiarę w powodzenie strajku.

Ot, tak z przyzwyczajenia chodził co rano do fabryki i stawał przed zamkniętą bramą. Spotykał tam z tysiąc kolegów, którzy przyszli się dowiedzieć, czy fabrykanci nie ustąpili czasem i czy niebawem praca w stalowni znowu się nie zacznie. Ale mijały dni, a nic się nie zmieniało. Kominy stały nie uwieńczone, jak dawniej, pióropuszcami dymu, olbrzymie młoty wisiały w powietrzu, kowadła nie jęczały pod ich uderzeniami, walcownie stały ciemne, jakby zastygły w czarodziejskim śnie, piece wielkie stygły, niektóre nawet z metalem, który się w nich znajdował w chwili zawieszenia pracy.

W miarę tego jak czas upływał, a dyrektorzy nie ustępowali, wśród robotników zaplanowywał coraz bardziej niepokojący nastrój. Co dzień przychodziło ich więcej do stalowni, aż wreszcie za namową jakiegoś gorętszego tłum wpadł do sal, gdzie stały maszyny, począł łamać i niszczyć urządzenia za pomocą żelaznych drągów. Była to zemsta na fabrykantach, którzy, jak mówili robotnicy, postanowili ich ogłodzić i zmusić do ustępstw. Ale fabrykanci przewidzieli taką ewentualność i w pół godziny już zjawiała się konna policja z rewolwerami i pałkami gumowymi. Wpadła w tłum i zaczęła bić na prawo i na lewo. Dostało się boleśnie kilkudziesięciu robotnikom, najwięcej zaś plag oberwali ci, co nie zdążyli zawczasu wycofać się z fabryki. Policjanci zbili ich niemiłosiernie i kilku schwytyanych aresztowano.

Fabrykanci postawili wojsko przy stalowni, policja zaś nie pozwoliła zgromadzać się strajkującym.

Po kilku dniach rozeszła się wieść, że akcjonariusze sprowadzają sobie nowych robotników na miejsce tych, którzy nie chcą pracować. Jakieś usługowe towarzystwo otrzymawszy po

trzy dolary od głowy i zwrot kosztów kolejowych sprowadziło z sąsiedniego stanu pięć tysięcy zgłodniałych ludzi, gotowych podjąć się pracy na wszelkich warunkach. Robotnicy przyjęli łamistrejków pogroźkami, ale fabrykanci niewiele sobie z tego robili.

Łamistrejki zabrali się do pracy pod opieką policji i stalownię znowu w ruch puszczono. Tak przeszło kilka dni; wreszcie Grzymała stracił cierpliwość.

— Pójdę gdzie indziej szukać sobie roboty, a najpewniej na wieś powędruję.

Namawiał Mrockiego, żeby z nim jechał, ale ten, nie mając pieniędzy, w zimie nie chciał się puszczać na nowe przygody; Grzymała więc, choć z żalem, pożegnał towarzysza prosząc, by często doń pisał.

— Na wiosnę spotkamy się na wsi — mówił wsiadając do wagonu — i razem zgodzimy się gdzie na farmę. To ci będzie życie! Ja wnet napiszę, gdy tylko co znajdę dla siebie. A gdyby mi się dobrze działo, to i ciebie sprowadzę, bośmy przecie stare kamraty.

— Życzę ci, żebyś głodem nie przymierał, boć teraz w zimie bardzo ciężko — mówił na pożegnanie Sobiesław całując bladą i pożółkłą twarz poczciwego Kujawiaka.

Uściskali się jak rodzeni bracia. Pociąg potoczył się w dal i biedny Mrocki pozostał sam jeden w Pittsburgu.

Przez chwilę żałował niemal, że nie towarzyszy Grzymale, ale się opamiętał.

„Głupstwo nieborak robi, widzi mi się — pomyślał. — Boję się o niego”.

Po kilku dniach strajkujący wrócili do pracy. Fabrykanci nie postąpili ani jednego centa; przeciwnie, wyzyskując jeszcze bardziej porażkę robotników, obniżyli płace w niektórych oddziałach.

Mrocki znów znalazł się w stalowni, ale przeniesiono go do druciarni, gdzie z dużych bloków żelaza maszyny wyciągały coraz to cieńszy drut.

Mrocki musiał chwycić koniec żelaznej żmii wypełzającej z drutownicy i wsadzać jej łeb do innej maszyny, która ją jeszcze bardziej wydłużała.

Nie udawało mu się to z początku; widział, jak wąż ognisty dotyka niemal jego nóg i z wielkim napięciem unikał jego parzących uścisków.

Czuł się w ogóle zdenerwowany, nieswój, nigdzie nie chodził i zaraz z fabryki wracał do domu, kładł się na łóżku i spał kamiennym snem do rana.

W duszy Mrockiego zaczynał podnosić się bunt przeciwko takiemu życiu.

Napisał pewnej niedzieli długi list do rodziców, w którym opowiedział swoje losy, i to mu przyniosło ulgę.

W wolnych chwilach rozmyślał nad tym, jakby się wydobyć z tego piekła, w którym się znalazł, i powoli dochodził do przekonania, że musi to uczynić koniecznie, inaczej zginie marnie. Marzył nieraz o Ameryce, a teraz, kiedy się w niej znalazł, nabierał zupełnego obrzydzenia do tego kraju, gdzie spotykał przemoc, wyzysk i bezprawie na każdym kroku.

I w duszy jego zapadło postanowienie. Zapragnął, podobnie jak Grzymała, pracy na otwartym powietrzu, na zielonych polach.

Musiał jednak czekać wiosny, która w Ameryce nieraz późno się zaczyna. Tydzień schodził za tygodniem, a mrozy nie ustępowały.

Pewnego dnia w początkach kwietnia Mrocki poszedł, jak zwykle, o świcie do fabryki, czując się bardziej niż zwykle przygnębiony i osłabiony. Nerwy jego, sterane ciągłymi przejściami, zaczynały się wyczerpywać.

Chwycił swoje cęgi i stanął przed walcami, z których wypełzał czerwony wąż. Teraz już miał wielką wprawę w tej czynności. Jeszcze wąż znajdował się pomiędzy stalowymi wargami, a już czyhały na niego obcegi Sobiesława, chwyciły go z błyskawiczną szybkością i ciągnęły do innej paszczy żelaznej, która pożerała go z głuchym warczeniem.

Ale dnia tego Mrocki czuł się źle. Do obiadu pracował jeszcze jako tako. Pod wieczór opanowało go znużenie, z którym daremnie walczył.

W oczach mu się dwoiło. Stawał chwilami, oczekując na powrót węża ognistego, i

zapadał w jakieś odrętwienie.

Stoi oparty na nogach i patrzy w otwór gardzieli.

Patrzy i nie widzi, jak żmija wychyla się. Już wypełzło z dziesięć stóp, a on jeszcze stoi. Towarzysze krzyczą, Mrocki podnosi głowę i biegnie do żmii wijącej się po czarnej podłodze, goni z obcęgami za wypuszczonym z uwięzi potworem, ale jego wściekłe skręty unikają zębów stalowych. Zaczyna się straszna gonitwa; Mrocki widzi, jak skręty ogniste okrążają go, jak pełzają u jego stóp. Spomiędzy ciemnych gardzieli maszyny wysuwają się coraz to nowe zwoje tego potwora, napełniają salę, syczą dotykając mokrej podłogi.

Mrocki ściga je zawzięcie. Daremnie. Chwycił za jeden skręt, a tu inne otaczają go ognistym kołem. Nagle zaskwierczała skóra, Sobiesław wydał bolesny okrzyk. Jeden ze skrętów wielkiej żmii oplótł się około jego ciała i kąsa ognistym żądłem.

Mrocki broni się rozpaczliwie, ale wąż mściwy dotyka go czerwonym żądłem po raz wtóry. Znowu rozlega się syk i woń spalenizny. Nadbiega kilku robotników, rzucają się na rozszalałego gada, chwytają każdy jego zwój, przygniatają do ziemi, unieruchamiają.

Wydobyto ze splotów Mrockiego, zemdlonego z bólu, i wyniesiono. Ale maszyny nie zaprzestały na jedną chwilę swej pracy. Żmija poskromiona, wraca pomiędzy walce, które wsysają ją na wpół ostygłą, i znów wszystko idzie po dawnemu.

Sobiesława odwieziono do szpitala. Miał sześć pręg bolesnych na ciele; żmija wpiła się głęboko, znacząc każdy swój uścisk raną.

Tak przyplącił Sobiesław jedną małą chwilę nieuwagi, chwilę słabości, pochodzącej z nadmiernego wyczerpania nerwów, targanych przez pół roku w najstraszniejszy sposób.

Leżał w szpitalu obok podobnych jemu ofiar stalowni wyrzucającej codziennie parę kalek ze swego zadymionego wnętrza.

Sześć tygodni cierpień, sześć tygodni życia szpitalnego, gorszego może nawet aniżeli praca przy tych smokach i ognistych węzach kąsających boleśniej od jadowitych gadzin.

Była już piękna wiosna, kiedy Sobiesław, wychudły, opuścił podwoje szpitalne.

Nie wiedział, dokąd się obrócić. Miał przy duszy parę dolarów. Udał się machinalnie na stare mieszkanie. Zastał je od dawna wynajęte komu innemu, a rzeczy sprzedane za zaległe komorne. Nie było tego wiele, garść bezwartościowych przedmiotów. Mrocki machnął ręką. Co mu po tym!

Kiedy już chciał wychodzić, gospodarz, rodak, wręczył mu list. Mrocki rzucił okiem na pismo i uśmiechnął się radośnie.

Od Grzymały!

Tak, było to pismo skreślone ręką Kujawiaka.

Sobiesław czytał je pośpiesznie; tęsknił do towarzysza niedoli.

„Kochany Sobiesławie — pisał dzielny Kujawiak niezgrabnymi literami. — Jestem w stanie Indiana na farmie za parobka i powodzi mi się wcale dobrze, chociaż mam pracy po uszy.

Ludzi tu brak; jeżeli chcesz, przyjeżdżaj zaraz; dostaniesz mieszkanie i życie w dodatku. Nie trać czasu, bo tu daleko lepiej, nie tak ciężko, jak w mieście.

Napisz, czy się namyślił przyjechać, i zostawaj zdrów.

*Twój
Witold Grzymała”*

Do tego lakonicznego, ale tchnącego życzliwością pisma, dołączony był adres.

Mrocki schował je starannie do kieszeni.

— Jadę! — powiedział sobie bez wahania.

ROZDZIAŁ VI

Z „PARTIĄ”

Sobiesław należał do tych ludzi, którzy energicznie wykonują swoje postanowienia.

Postanowił jechać na wieś i od dnia tego myślał ciągle, jakby dopiąć celu.

Zadanie nie było bynajmniej łatwe. Jak wiemy, u Mrockiego nie przelewało się nigdy w kieszeni, ale teraz było tam tylko płótno. Z drugiej strony, podróż do Indiany była daleka, a więc kosztowna.

O tym, żeby co odłożyć z zarobków, nie można było nawet marzyć; do stalowni nie śpieszyło się z powrotem Mrockiemu. Ogarniał go lęk na myśl, że znów znajdzie się wpośród splotów wielkiej zmił ognistej, z której podstępami musiał co dzień walczyć; drżał po prostu, kiedy uprzytomnił sobie jej jadownicze uściski. Wolał najgorszą robotę, byle z dala od niej. Może by mu dali zajęcie w innym oddziale, ale wszędzie czyhało nań podobne niebezpieczeństwo. Miał świeżo w pamięci wypadek z ludźmi, na których wylało się żelazo ze złe przygotowanej formy; słyszał jęki i krzyki umierających w strasznej męce.

Nie poszedł więc do stalowni. Bo i po co? Żadnej zapomogi nie mógł się spodziewać, bo uległ wypadkowi „skutkiem własnej nieostrożności” i nie postradał zdolności do pracy. Przyjęto by go co najwyżej na dawne miejsce.

Popróbował jeszcze raz szczęścia po fabrykach, ale nigdzie mu się zarobek nie nadarzał.

„Trzeba jechać! — pomyślał sobie. — Jechać, w ostatecznym razie towarowym pociągiem albo nawet wozem, byle uciec z przeklętego miasta jak najprędzej”.

Mrocki, nauczony smutnym doświadczeniem, nie miał odwagi jechać na gapę, ale zaczął na ten temat rozpytywać się znajomych robotników.

Ci dali mu niebawem bardzo cenne wskazówki. Jeden z nich, Polak, ofiarował się zaprowadzić go na miejsce, gdzie mieszkali robotnicy udający się właśnie koleją na farmy.

Nazajutrz poszli razem na przedmieście, do ubogiego domku parterowego. Była tam mizerna oberża, rodzaj przytułku dla ubogich robotników, a zarazem kantor najmu pracowników rolnych.

Za trzydzieści centów dziennie można było tu dostać nocleg i kawałek chleba z gorącą zupą na śniadanie.

Właścicielem tej gospody był Ukrainiec z Galicji, mówiący doskonale po polsku.

Wysłuchawszy, o co idzie, Ostap zobowiązał się przyłączyć Mrockiego do partii, która miała jechać na gapę.

Sobiesław dziwił się, że można całymi partiami robić to, co jemu tak na złe wyszło; ale nie chciano odpowiadać na jego pytania w tej kwestii; kazano mu stawić się nazajutrz o świcie na stacji kolejowej i przygotować jednego dolara gotówką jako wpisowe oraz nieco żywności na drogę.

Mrocki usłuchał i o oznaczonej porze przyszedł na dworzec, gdzie znajdował się już Ostap w otoczeniu piętnastu może biedaków szukających jak Mrocki pracy na roli.

Zamiast jednak wsiąść od razu do pociągu, partia poszła pieszo do najbliższej stacyjki i tam zatrzymała się na noc.

Kiedy zrobiło się już ciemno, przywódca, dobrze, jak się niebawem pokazało, obznajmiony z tego rodzaju wyprawami, rzekł:

— O dwunastej zatrzyma się tutaj pociąg odchodzący do Saint Louis nad Missouri; kiedy zagwizdzą, powłażcie do wagonów; tylko trzymać się kupy.

Tak się też stało.

Cichaczem, przez nikogo nie widziani, nasi bezpłatni podróżni wśliznęli się pomiędzy

stojące na platformach, pookrywane płótnem maszyny rolnicze, pokładli się tak, żeby ich służba kolejowa nie dostrzegła, i po chwili nic już nie zdradzało ich obecności.

Ci, którzy nie zmieścili się na tej platformie, ulokowali się na sąsiedniej. Było im tam bardzo wygodnie. Mrocki schował się pod samą maszynę tak doskonale, że nawet towarzysze nie wiedzieli, gdzie się znajduje.

W kwadrans potem pociąg ruszył. Kiedy się znalazł w otwartym polu, towarzysze podróży zaczęli wypełzać ze swych kryjówek i korzystając z pogodnej nocy księżycowej grali w zasmolone karty...

Mrocki przyłączył się do kompanii, a ponieważ było w niej paru Polaków, wszczęła się więc rozmowa.

— A jeżeli nas zobaczą? — zagadnął Sobiesław pewnego Litwina.

— No to co?

— To nas powyrzucają z pociągu jak mnie kiedyś.

— To was wyrzucili z wagonu? — zaśmiał się Litwin. — O, ja wiem, oni takie sztuczki potrafią. Ale niechby spróbowali nas zaczepić. Dalibyśmy im bobu.

Z tymi słowy wyciągnął z kieszeni rewolwer i błysnął lufą w świetle księżyca.

— Pozwalają sobie te łajdaki na coś podobnego tylko z pojedynczymi ludźmi w pociągach osobowych. Ale kto osobowymi jeździ?! Chyba jaki frajer! Nie my się boimy służby kolejowej, ale oni nas! My tu pany, nie oni.

Bezpłatni pasażerowie wysłuchali opowiadania Mrockiego z wielkim oburzeniem.

— Niech no się który zbliży, zrobimy mu to samo! — wołano zewsząd.

Ten i ów nie zważając na to, że go dostrzegą, podniósł się z miejsca i wygrażał pięścią w kierunku wagonu, w którym jechali konduktorzy.

Mrocki teraz miał sposobność przekonać się, co to znaczy zjednoczyć się, choćby w takim niezbyt godnym pochwały celu, jak bezpłatna jazda koleją.

Piętnastu czy dwudziestu ludzi trzymało w postrachu obsługę pociągu; udawała ona, że nic nie widzi, choć ślepy nawet musiałby dostrzec postacie siedzące i stojące na jasno oświetlonych księżycem platformach.

Ci sami konduktorzy, którzy nie wahaliby się wyrzucić z pociągu Mrockiego, gdyby był sam, trzymali się w przyzwoitej odległości od naszych podróżnych. Wiedzieli oni z doświadczenia, jak niebezpiecznie jest ruszać pasażerów gotowych w obronie swoich miejsc użyć rewolwerów albo noży.

Nieraz też zdarzają się krwawe bójkі między służbą kolejową a takimi włóczęgami, którzy, doprowadzeni do rozpaczyny drożyny biletów, muszą używać siły, aby dostać się do miejsca, gdzie czeka na nich kawałek chleba.

Na małych stacjach, gdzie nie było nikogo, partia nie ruszała się nawet z miejsca; ale w miastach, rozporządzających telefonami i policją, uciekano się do pewnego manewru.

Oto wynoszono się z pociągu zauważywszy coś podejrzanego, ale jeden pozostawał na straży. Reszta zaś mieszała się z tłumem znajdującym się na dworcu. Jeżeli policja nie zjawiała się — znak, że zarząd kolei nie zamierzał siłą zbrojną pozbyć się bezpłatnych pasażerów — czekano spokojnie odejścia pociągu i wskakiwano na platformy, już cokolwiek poza stacją.

Trzeba było do tego pewnej wprawy; ale Mrocki, przyzwyczajony dosiadać konia w galopie, niewiele sobie robił z tego ćwiczenia gimnastycznego.

Zaraz nazajutrz Sobiesław miał sposobność przekonać się, że ci sami konduktorzy, którzy bez wahania narażają na kalectwo jadących na gapę pojedynczo, żywią wielki szacunek dla bezpłatnych pasażerów podróżujących całą partią.

Było to w biały dzień, kiedy jeden z konduktorów, pragnąc coś obejrzeć w wagonie zajęтым przez towarzyszy Mrockiego, natknął się, jak to powiadają, nos w nos na nich.

Nie rzekł jednak ani słowa, choć miał za pasem rewolwer. Zamienił tylko z bezpłatnymi

podróżnymi nienawistne spojrzenie, na które odpowiedziano mu drwiącym śmiechem.

Poszedł jakby nigdy nic, a potem już starannie unikał niebezpiecznego spotkania.

Na najmniejszy znak dany przez Ukrainca wyrzucono by go w jednej chwili z pociągu.

Wszyscy pamiętali opowiadanie Mrockiego i gotowi byli pomścić go przy pierwszej nadarzonej sposobności.

Po całodziennej podróży nasza partia dojechała do krańca linii. Należało teraz przesiąść się na inną kolej, na której podobno panowały daleko mniej przyjazne stosunki.

Opowiadano sobie, że w miarę posuwania się ku zachodowi, obyczaje stają się coraz dziksze. Przy tym partia zmniejszyła się o kilku ludzi, którzy wysiedli po drodze.

Należało badać grunt przez dwa dni, podczas których obozowano w lesie o parę mil od stacji.

Naczelnik bezpłatnych podróźnych, za pomocą paru dolarów prowadził układy z konduktorami, ale ci zachowywali się bardzo opornie.

Ostatecznie nic się nie dało zrobić i trzeba było siłą zająć miejsce w wagonie.

Nikt się nie wahał; przeciwnie, uczestnikom wyprawy podobała się ta awanturniczość.

Dowódca partii, od wszelkiego przypadku, jak mówił, zakupił trzy rewolwery z obfitą ilością amunicji za pieniądze złożone przez uczestników. Tak więc co drugi podróżny był uzbrojony. To dodawało wszystkim odwagi.

W nocy, pod osłoną ciemności, powskakiwano na platformy, przy czym partia poniosła stratę; pewien gruby Irlandczyk, nie posiadający dość wprawy w tego rodzaju ćwiczeniach, a w dodatku zbyt ciężki, dostał się pod koła wagonu, które snadź zmiażdżyły mu nogę, leżał bowiem na plancie bez ruchu. Mrocki chciał wyskoczyć, żeby biedakowi nieść pomoc, ale zatrzymano go niemal przemocą.

— Nie można przecież zatrzymywać całej partii, dlatego że komuś się nie udało — mówili towarzysze. — To się co dzień zdarza. Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą.

Kiedy zaś Mrocki zaczął mówić o obowiązkach względem bliźniego, zagłuszono go drwinami i śmiechem.

— Kto tu w Ameryce myśli o bliźnich?! — wołano z goryczą. — Może ci fabrykanci, którzy drą z robotnika ostatnie łyka, jeżeli tylko potrafią, albo ci kapitaliści, którzy wzięli w monopol linie kolejowe i biednych ludzi zmuszają wysokimi cenami przejazdu do takich karkołomnych przedsięwzięć.

Zaczęły się na ten temat gawędy, z których Mrocki dowiedział się, jaka gorycz i niechęć napętnia dusze tych nędzarzy zmuszonych zdobywać krwawy istic kawałek chleba.

Wszyscy pozostali jednak pod wrażeniem tego wypadku, który, zdaniem Sobiesława, nie wróżył nic dobrego.

Z początku podróż odbywała się spokojnie. Konduktorzy jakby nie zwracali uwagi na bezpłatnych pasażerów.

Partia miała się jednak na ostrożności.

Przez całą noc jechano bez przeszkód, ale zaraz rano pociąg zatrzymał się na jednej z większych stacji. Przyczepiano jedne wagony, odczepiano inne, ładowano towary, słowem, panował wielki ruch. Bezpłatni pasażerowie musieli opuścić swe kryjówki i czekać, co nastąpi.

Położenie okazało się fatalne; kiedy bowiem pociąg miał ruszyć, zjawilo się na stacji kilku policjantów, ustawili się wzdłuż wagonów i z bronią gotową do strzału patrzyli surowym okiem na snujących się w pobliżu włóczęgów.

Wobec takiej wyzywającej postawy dowódca partii nakazał odwrót. Pociąg ruszył, a podróżni pozostali, jak to się mówi, na lodzie.

W partii zapanowało wielkie oburzenie.

— Bo nikt inny, tylko konduktorzy dali znać policji! — zawołał Ukrainiec o kędzierzawej głowie. — Ale my nauczymy tych nicponiów!

Należało jednak zatrzymać się na stacji przez kilkanaście godzin, chociaż to się na nic nie zdało, bo policja nie opuszczała swoich stanowisk.

Wobec tego udano się pieszo do następnej stacji.

Była to wycieczka długa i mozolna, bo maszerowano przez dziką niemal okolicę. Ale podróżnicy niewiele z tego sobie robili.

Kiedy jednak znaleźli się na następnej stacji, oświadczyli naczelnikowi, że teraz nie dadzą się już wystrychnąć na dudków i że pojedą, choćby ich to nie wiadomo ile kosztować miało.

Mrocki przez jakiś czas miał zamiar odłączyć się od towarzyszy. Do farmy jednak, gdzie pracował Grzymała, było jeszcze bardzo daleko — półtorej doby jazdy koleją. Musiał się więc poddać konieczności albo zrezygnować z prób dostania się do przyjaciela.

Wahać się nie było można; rad nierad, Mrocki czekał, co nastąpi.

Litwin podał projekt zuchwały: zająć wagon, ufortyfikować się w nim i jechać, dopóki siła zbrojna nie wyrzuci partii.

Ten niebezpieczny projekt przyjęto grzmiącym „hura!”

Przewodnik dowiedział się, że następny pociąg idzie daleko i w pożądanym kierunku. Kiedy pociąg przyszedł, partia zupełnie otwarcie, nie kryjąc się przed nikim, usadowiła się w jednym z ostatnich wagonów, pomiędzy wielkimi pakami, które stanowiły doskonałą ochronę w razie potyczki.

Żywności i wody zabrano pod dostatkiem, ludzie byli weseli, wszystko zapowiadało się dobrze.

Podróżowano sobie przez kilkanaście godzin bardzo wygodnie; konduktorzy trzymali się w pełnej uszanowania odległości od wagonu zajętego przez partię, która też rozzuchwalała się coraz bardziej.

Nikt nie raczył zejść z wagonu nawet na stacjach, tylko straż wystawiona śledziła, czy nieprzyjaciel w postaci uzbrojonych policjantów nie zjawia się.

Była może piąta albo szósta po południu, kiedy pociąg wtoczył się na większą cokolwiek stację położoną w pobliżu miasteczka kilkunastotysięcznego.

Mrocki radził zejść, ale większość oparła się temu stanowczo; okazało się wnet, że rada była trafna.

Skoro tylko pociąg stanął, do zajętego przez bezpłatnych podróżnych wagonu zbliżyła się brygada konduktorska z rewolwerami w rękach i w brutalny sposób zażądała od partii, ażeby się wynosiła precz.

Nie raczono jednak odpowiedzieć na to wezwanie.

Konduktorzy powtórzyli swoje żądanie. Litwin zaczął liczyć siły nieprzyjaciela, który miał dziesięciu ludzi, partia zaś szesnastu, bo paru znów przybyło, w tym uzbrojonych ośmiu.

— Jak dojedziemy, dokąd nam potrzeba, to sami pójdziemy! — zawołał Litwin, który przezornie ukrywał się za największą paką i tylko wychylił głowę dla rozmówienia się z przeciwnikami.

— Będziemy umieli was wyrzucić! — odparł jeden z konduktorów.

— A no, to spróbujcie.

Partia zmiarkowała, że zanoszą się na awanturę, wszyscy zajęli obronne stanowiska i przygotowali broń.

Mrocki nie miał rewolweru, trzymał się więc w rezerwie.

Nagle padł strzał. Jeden z bardziej krewkich podróżnych, którego konduktor pochwycił za nogę w zamiarze ściągnięcia z platformy, dał ognia pierwszy. Odpowiedziano salwą rewolwerową i zaczęła się prawdziwa bitwa.

Członkowie partii, ukrywając się za pakami, strzelali bez miłosierdzia w brygadę konduktorską i w jednej chwili położyli paru przeciwników.

Ale stała się rzecz nieprzewidziana. Z wagonów wybiegło kilkunastu żołnierzy z

karabinami i otworzyli ogień do partii.

— Zdrada! — zawołał Litwin. — Uciekać!

Widząc, że to nie przelewki, rozpoczęto odwrót. Zeskakiwano z platformy i kryjąc się pomiędzy wagonami, stojącymi na stacji, cofano się strzelając od czasu do czasu do nacierającego nieprzyjaciela.

Ten jednak korzystając z przewagi wyzyskiwał ją niemiłosiernie. Ukraińiec, trafiony w głowę, padł trupem przy Mrockim, który podniósł wypuszczony przez zabitego rewolwer, aby się bronić.

Na szczęście trafił na jakąś maszynę, poza którą mógł się wycofać nie narażając się na kule żandarmów.

Wszyscy trzymali się Litwina; niebawem pobici podróżni znaleźli się w zaroślach i tu na krótko zatrzymali się dla nabrania tchu.

Obliczono straty. Były one, niestety, bolesne; czterech z partii, zabitych lub ciężko rannych, pozostało na placu; prócz tego trzech otrzymało lżejsze postrzały. Mrockiemu kula rewolwerowa przeszła pośrodku marynarki.

— To łotry! — wymyślał Litwin, któremu towarzysze bandażowali rękę. — Sprawdzając wojsko przeciwko spokojnym robotnikom!

— Czekajcie, zapłacimy wam z nawiązką! — groził jeden popędliwy Irlandczyk.

— Tak, tak, musimy się pomścić koniecznie! — przytakiwano.

— Trzeba im pokazać! — zawołał Litwin machając zdrową ręką. — Tyle lat jeżdżę w partii i nigdy mi się coś podobnego nie przytrafiło.

— A ja drugi raz w życiu i znów wpadłem — wtrącił Sobiesław kiwając głową.

— Masz, chłopie, pecha — zawołał Irlandczyk uderzając go po ramieniu. — Ale to im nie ujdzie na sucho.

— Towarzysze! — dodał odwracając się. — Przyszedł mi do głowy doskonały plan. Urządzimy im figła, co się zowie. Tylko cicho, sza. Za mną. Musimy wyprzedzić pociąg.

— Tak, trzeba się stąd wynosić, bo jeszcze nas tu znajdują!

I partia, ukrywając się w gąszczu, podążyła, jak tylko mogła najprędzej, w kierunku, dokąd miał odjechać pociąg.

Uszedłszy ze dwie mile, wszyscy zatrzymali się.

Nasyp kolejowy był w tym miejscu wysoki na sześć metrów przynajmniej.

— No, jaki kawał obmyśliłeś? — zapytał Irlandczyka przywódca. — Poczęstować ich z zasadzki kulkami, he?

— To na nic! Można chybić!

— Prawda! Więc co?

Irlandczyk uśmiechnął się szatańsko, wgramolił się na plant i rzucił okiem wkoło.

— A chodźcie no tu, chłopcy, bo sam nie poradzę! — krzyknął.

Wszyscy żywo wdarli się na tor. Mrocki, wiedziony ciekawością, szedł w tyle za nimi.

Irlandczyk nic nie mówiąc chwycił ze stosu leżącego obok plantu stary podkład i, przy pomocy towarzyszy, położył go w poprzek szyn.

— Cóż to? Pociąg chcecie wykoleić? — zagadnął przerażony Mrocki.

— No to co? — odparł Irlandczyk. — Inaczej nie dostaniemy tych łobuzów.

— Ależ to straszna zbrodnia! — zawołał Sobiesław. — Ja do tego za nic w świecie nie przyłożę ręki.

— Gdybyś sam co oberwał, nie byłbyś tak głupi! — odezwał się z przekąsem jeden z rannych.

— Pewnie! — dorzucił drugi.

— Jak was złapią, pójdziecie na całe życie do więzienia — przekładał Mrocki.

— Choćby i posiedzieć za takich łajdaków, to się opłaci! — rzekł Irlandczyk. — No, prędzej, bo już dym widać! Trzeba ułożyć te trzy podkłady i jeszcze podeprzeć kamieniami,

żeby lokomotywa na bok ich nie odsunęła!

Mrocki widząc, że nie zdoła przeszkodzić zamachowi, usunął się na bok i, bezsilny, z dala patrzył, co nastąpi.

„Czyby nie ostrzec maszynisty? — myślał stanąwszy na plancie. — Zatrzymam pociąg”.

Byłby tak postąpił, ale Litwin, płonący nienawiścią za otrzymaną ranę, kazał wszystkim odsunąć się na sąsiednie wzgórze i stamtąd patrzeć, jak z łoża cyrkowej, przyglądała się nadbiegającemu szybko pociągowi.

Mrocki, widząc, że lokomotywa zbliża się do fatalnego punktu, zerwał się, podniósł ręce w górę i już, już miał krzyknąć: „Stop!”, gdy go przemocą obalono na ziemię.

— Jaki mi litościwy! — rzekł szyderczo Irlandczyk. — Siedź, bo na świętego Patryka, nauczymy cię, z kim powinieneś trzymać.

Zamiar udaremnienia zamachu pociągnąłby niezawodnie bolesne dla Mrockiego następstwa, lecz dano mu spokój w takiej chwili. Wszyscy z natężoną uwagą śledzili pędzący pociąg.

Wnet lokomotywa natknęła się na podkłady; pierwszy szczęśliwie odrzuciła, ale drugiego już nie zdołała.

I nagle stała się rzecz straszna.

Wśród ogłuszającego trzasku olbrzym stalowy gwałtownie wyskoczył z szyn, zachwiał się i stoczył z nasypu, pociągając za sobą najbliższe wagony. Inne z łomotem, których milę wokoło było słyhać, wspinały się na siebie, przewracały, spadały z wału.

Trwało to parę sekund zaledwie. Sprawcy widząc zniszczenie wykrzyknęli radosne „hura!” Na twarzach tych uczciwych skądinąd ludzi malowała się nienawiść i okrutna radość.

Kiedy wiatr odpędził tuman, ujrzano lokomotywę, która leżąc obracała szybko kołami i machała korbami jak zraniony zwierz usiłujący daremnie się podźwignąć. Z czterdziestu wagonów składających pociąg pozostało dziesięć zaledwie na nasypie. Reszta leżała w rowie pogruchotana tworząc długi stos połamanego drzewa i pogiętego żelastwa.

Mrocki utkwiał oczy w tych szczątkach i upatrywał, czy nie ukaże się wśród nich . ktoś z ocalonych konduktorów. Ale nie mógł nikogo dostrzec. Po piekielnym łoskocie, jak po wybuchu, nastąpiła głęboka cisza.

Nagle ciszę tę przerwał rozziewający krzyk bólu. Odpowiedział mu jęk z pobliskiego wagonu. Ktoś usiłował się wydobyć spod szczątków; deski z trzaskiem poruszyły się. Mrocki rzucił się znów naprzód, ale żelazne ramię Irlandczyka powstrzymało go. Sobiesław spojrzął po swoich towarzyszach.

— Idźmy stąd! — rzekł sucho Litwin.

ROZDZIAŁ VII

NA FARMIE

Po tym strasznym dniu Mrocki nie chciał ani chwili dłużej pozostać wśród dotychczasowych towarzyszy.

Zarząd kolejowy postąpił z nimi okrutnie — ani słowa; ale płacić zbrodnią za nieludzkosć, mścić się tak bezlitośnie...

Postępowanie takie nie licowało z poglądami Sobiesława.

Tego samego więc dnia niepostrzeżenie opuścił partię, która zresztą, na razie przynajmniej, nie mogła mu posłużyć do urzeczywistnienia planów.

Po wykolejeniu pociągu sprawcy musieli się ukrywać przed okiem sprawiedliwości, która, mówiąc nawiasem, niedowidzi często w Ameryce.

Nasz tułacz pozostał więc znowu oddany swoim środkom i siłom.

„Przyłączę się do innej gromadki albo spróbuję zapracować. Może tutaj, z dala od Pittsburga, pójdzie mi to łatwiej” — myślał.

Zakrzątnąwszy się dostał istotnie zajęcie, ale tymczasowe. Po tygodniu przyszedł na jego miejsce robotnik dawniej zgodzony i Mrocki postanowił co prędzej jechać do Grzymały, za którym było mu już tęskno.

Polubił niezmiernie poczciwego Kujawiaka, który z nim dzielił tyle przygód.

Mrocki udał się zatem na stację i nocą śledził, czy nie jedzie którym pociągiem partia.

Czekał dwa dni bezskutecznie, trzeciego więc wieczorem ukrył się doskonale w wagonie naładowanym dużymi pakami. Ma się rozumieć, że wagon był otwarty, dla łatwiejszej ucieczki w razie konieczności.

Sobiesław żywił się oszczędnie, głównie jadł suchy chleb ze słoniną zjeżdżając od starości. Za napój służyła mu woda czerpana na stacjach.

Nauczony doświadczeniem, Sobiesław chował się tak dobrze, iż nie wykryto jego obecności. Podróżował wyłącznie nocą, w dzień zaś wysypiał się w zaroślach przydrożnych. Raz tylko spostrzegł go któryś z brekowych, ale udał, że nie widzi intruza; bał się widocznie wszczynać awanturę, bo owa bitwa z partią, opisana w gazetach w mocno przesadzonej postaci, rzuciła popłoch na konduktorów i rozgoryczyła silnie warstwy pracujące. Nie szczędzono słów oburzenia zarządowi, który wywołał całą tę awanturę.

Młodzieniec nasz czuł się wielce wyczerpany, kiedy nareszcie dotarł do wskazanej przez Witolda stacji kolejowej.

Tutaj dowiedział się z przestraczem, że czeka go przechadzka pieszo około osiemdziesięciu kilometrów, towarzysz bowiem pracował w farmie dość odległej i tym się tłumaczy wysoka płaca, jaką w niej otrzymywali pracownicy rolni.

Była to najgorsza próba, ale Mrocki podjął ją po bohatersku, jak przystało na żołnierza.

Znajdował się w stanie zamieszkanym przez Indian i z zaciekawieniem słuchał o plemionach czerwonoskórych, które tutaj prowadziły życie na wpół koczownicze, na wpół osiadłe.

Farma, gdzie pracował Witold, leżała już na granicy posiadłości indiańskich. Wędrując Mrocki dowiedział się, że gdyby poszedł o paręset kilometrów dalej, dotarłby do wigwamów indiańskich.

„Muszę poznać tych ludzi, o których tyle nazywałem się w opisach podróży Aimarda, Coopera i innych autorów — myślał sobie Mrocki. — Skorzystam z pierwszej lepszej sposobności, żeby to uczynić”.

Sobiesław nie przeczuwał nawet, jak niedaleka jest chwila, w której jego pragnienia zostaną spełnione.

Tymczasem jednak maszerował wytrwale do celu podróży, zatrzymując się na noclegi w farmach, gdzie go przyjmowano dość gościnnie.

Nie tylko pozwalano mu przespać się za darmo, ale chętnie dawano coś do zjedzenia, zwłaszcza za drobne usługi domowe; raz zaproponowano mu, żeby pojechał do lasu po drzewo, kiedy indziej znów, żeby narabiał opału, napoił konie; słowem, za drobne czynności, które kosztowały go nie więcej nad godzinę czasu, otrzymywał w naturze szczerą zapłatę.

Żałował, że teraz dopiero poszedł za radą Witolda, który szukał sobie chleba na roli. Pobyt w mieście, praca w przemyśle były istną katorgą w porównaniu z przyjemnym i korzystnym zajęciem na roli.

Nareszcie po trzydniowej uciążliwej wędrówce po wertepach w pustkowiu, bo jedna farma leżała od drugiej nieraz o kilkanaście mil angielskich, Mrocki dowlóknął się do kolonii, gdzie go oczekiwał przyjaciel.

Grzymała znajdował się właśnie na polu, kiedy zjawił się Sobiesław. Ujrawszy towarzysza przygód brazylijskich rzucił mu się na szyję witając niby rodzonego brata.

Mrocki musiał w krótkości opowiedzieć swoją podróż; Kujawiak wysłuchawszy pokiwał głową.

— Cud, żeś się tu dostał, ale nie pożałujesz trudów; roboty tu huk, a ludzi nie ma; wszyscy siedzą tam na wschodzie i szukają wiatru w polu, dając się ze skóry odzierać. Głupcy!

— Może by tu niejeden przywędrował, gdyby koleje nie były takie drogie — odparł Mrocki. — Widzisz sam, jak trudno się tu dostać! No, ale powiedz mi, jakie zajęcie otrzymam.

— A no będziesz pomocnikiem gospodarza. U nas taki pomocnik nazywa się wprost parobkiem, a tu, w Ameryce, nazywa się „pomocnik”.

Witold powiedział to z pewną dumą i dodał:

— Ale teraz nie czas na gawędę, bo gospodarz baczy, żeby nie próżnować. O, tutaj tęgo trzeba pracować, ale za to nieźle płacą. No, chodź, to cię do farmera zaprowadzę.

Za chwilę Mrocki już miał miejsce. Zadano mu tylko trzy pytania: czy jest zdrow, czy chce robić, co mu każą, czy się zgadza na wynagrodzenie i koniec!

Nasz tułacz został „pomocnikiem farmera” i niezwłocznie, tego samego jeszcze dnia, zaczął pełnić swoje obowiązki.

Nie należały one do ponętnych.

Ponieważ nie było na farmie kobiet, z wyjątkiem gospodyni, poruczono więc Mrockiemu dojenie dziesięciu krów.

Z początku nie wiedział, jak się do tego wziąć, ale niebawem nauczył się, zwłaszcza że mu sam farmer pokazywał. Sobiesław, zapomniawszy o swojej „męskiej godności”, rano chwycił za skopek, szedł do obory, siadał na stołku przy krowie i sprawował się już po paru tygodniach tak gracko, jak najlepsza dójka. Potem wlewał mleko do wirówki, odciągał śmietankę i robił masło, które co tydzień odstawiano do miasteczka odległego o trzydzieści kilometrów.

Z mleczarza przedzierzgał się Mrocki w oracza albo też czyścił konie. W ogóle mianowano go opiekunem krów, koni i wszelkich zwierząt domowych. Musiał zrywać się przed świtem, żeby je napoić, zadać obroku, oczyścić, potem robił masło, a koło południa wyjeżdżał na pole czy pracował przy młocarni.

Po miesiącu Sobiesław był już doskonałym pracownikiem rolnym i czuł się, jeżeli nie szczęśliwym, to zadowolonym. Do miasta za nic nie chciałby powrócić; obrzydło mu to uganianie się ciągle za kawałkiem chleba, ta nędza, to lekceważenie, jakiego tam doświadczał...

Farma była założona sześć lat temu na gruntach, które do niedawna służyły jeszcze za schronienie Indianom. Ale rząd dał czerwonoskóрым inne terytorium, a to pozwolił zająć kolonistom. Na farmie wznosił się porządny dom drewniany, obora i stajnia z okrągłaków, stodoła murowana z kamienia, takiż spichrz, słowem, wszystko, co było do gospodarstwa niezbędne.

Na farmie, prócz naszych przyjaciół, pracował tylko sam gospodarz ze swoim czterystoletnim synem. Roboty było zawsze więcej niż rąk i czasu; Sobiesław musiał wstawać o świcie, a nieraz kładł się o północy, bo nie mógł żyć jak zwierzę. Wieczorem, pomimo zmęczenia, czytywał gazetę i książki w angielskim języku dla nabrania wprawy. Nie potrafił też odmówić sobie przyjemności porozmawiania z towarzyszem, który, jako już obyty, dawał mu pojęcie o życiu na farmie.

Niedziela, która powinna być dniem rozrywki i wypoczynku po trudach znojnego tygodnia, upływała Mrockiemu nudnie; musiał zresztą, jak co dzień, karmić i poić inwentarz, doić krowy i namęczyć się porządnie. Raz na dwa tygodnie farmer, noszący nazwisko Grant, udawał się z rodziną i domownikami do odległego o dwadzieścia mil angielskich kościoła. Grzymała zaprzęgał do resorowego wózka, słał trzy pęczki słomy. Na pierwszym siadała żona

kolonisty, Fanny, mała, wcale przystojna kobiecina. Mister Grant żywił ambicję, żeby stroić żonę. Do kościoła brała zwykle pani Grantowa, co posiadała najlepszego, a więc: lila spódnice jedwabną, atlasową bluzkę obszywaną koronkami francuskimi, broszkę z prawdziwymi brylantami, kolczyki ze szmaragdami, pierścionki z rubinami, słowem, całą biżuterię wartości kilkuset dolarów. Białe rękawiczki na czerwone i popuchnięte od ciężkiej pracy ręce, lakierowane buciki na ogromne nogi, kryjące się w obuwiu raz na tydzień, i wielki kapelusz z ogrodem sztucznych kwiatów i długimi piórami dopełniały niedzielnego stroju farmerki.

Obok tej szykownie, według ostatniej mody przyodzianej damy siadał mąż. Ubiór pana Granta składał się z butów wysmarowanych świeżym sadłem, z pasa o wielkiej mosiężnej klamrze, spodni kortowych i kolorowej koszuli ściągniętej jaskrawej barwy krawatem. Kamizelkę, a nawet surdut czy marynarkę mister Grant uważał latem za zupełnie zbyteczne części garderoby dla szanującego się obywatela Stanów Zjednoczonych. Te braki nie przeszkadzały mu wprowadzać pod rękę do kościoła swojej wystrojonej żony.

Pani Grantowa nie protestowała przeciwko oszczędnej odzieży męża, byle tylko koszula była czysta, zwłaszcza że inni farmerzy, znacznie zamożniejsi od niego, ubierali się tak samo. Kościół stał zaledwie od czterech lat w miasteczku, które dopiero wyrastało wśród terytoriów indiańskich.

Pastor był znakomitym kaznodzieją i za wysłuchanie z porządnego krzesła swej pobożnej przemowy do wiernych owieczek kazał sobie płacić dolara od osoby. Nie należy się temu dziwić, gdyż w stanach północno-amerykańskich kościół jest niezależny od państwa i duchowni muszą żyć z opłat pobieranych od parafian za wejście do świątyni. Sobiesław i Grzymała, jako katolicy, nie brali udziału w nabożeństwie. Jeździli jednak kolejno do miasteczka, żeby ludzi choć raz na miesiąc zobaczyć.

Goście na farmę rzadko zaglądali. Czasami jaki woźnica, prowadzący furgon z towarami, wstępował na godzinkę, żeby wypocząć; stawiał w sieni bat, witał się z gospodarzami i siadał w „salonie” nie otrząsnąwszy nawet pyłu z butów; przyjmowano go chętnie, bawiono rozmową, częstowano kieliszkiem wódki, cygarem.

ROZDZIAŁ VIII

WIZYTA CZERWONOSKÓREGO

Mrocki wiedział, że w sąsiedztwie zamieszkuje kilka znanych mu ze słyszenia szczepów indiańskich, ale minął miesiąc, zanim miał sposobność zetknąć się z czerwonoskórym.

Pewnego popołudnia, kiedy wszyscy siedzieli przy obiedzie, rozwarły się nagle drzwi i bez stukania ukazał się w nich wysoki, niby z brązu odlany Indianin. W milczeniu podszedł do stołu, uściśnął po kolei wszystkim obecnym dłoń w swej muskularnej łapie i siadł na krześle.

— Jak się masz, Żelazna Ręko? — rzekł żartobliwie gospodarz.

Czerwonoskóry kiwnął poważnie głową.

Jedzono dalej; nikt prócz Sobiesława nie zwracał uwagi na przybysza, który był podobny do posagu.

Miał na sobie kurtkę z jakiegoś materiału niewyraźnego, spodnie kortowe jak pierwszy lepszy farmer, ściągnięte pasem skórzanym, spod którego sterczała rękojeść noża ozdobiona kolorowymi rzemykami. Głowę przykrywała mocno znoszona czapka, postać ta miała, mimo pospolitych pozorów, jakieś piętno niezwykłości.

Indianin z początku zajął miejsce na krześle, wśród biesiadników, ale znużony wido-

cznie tą pozycją, usiadł na ławie z podwiniętymi nogami.

Oprócz powitania z ust jego nie wyszło ani jedno słowo.

Grantowie nie przerywali sobie posiłku, nie bawili gościa, prawie że nań nie patrzyli. Wreszcie skończono obiad. Wszyscy podnieśli się od stołu; Grant wyszedł. Grzymała wziął czapkę, Grantowa zamierzała wymknąć się do kuchni, Mrockiemu było także pilno do roboty.

Indianin widząc, że lada chwila pozostanie sam, zdecydował się otworzyć usta.

— Od trzech dni nic nie jadłem — rzekł lakonicznie.

Oczy jego błysnęły i zatrzymały się na gospodyni.

— Żelazna Ręka zawsze głodny! — odparła z grymasem niezadowolenia Grantowa.

Indianin ani mruknął.

Sobiesława zdjęła litość.

Co, ten wspaniały wojownik, potomek dawnych królów prerii, przypominający posąg bohaterów rzymskich cierpi głód, niemal zebrze? W gościnie, gdzie mu nawet kęsa chleba nie chcą ofiarować ci, co go z ziemi praojców wyzuli? Bez wahania Mrocki sięgnął do kieszeni i dał Indianinowi dolara.

Srebrna moneta znikła w łapie czerwonoskórego, Grantowa jednak oburzyła się:

— Dolara takiemu próżniakowi? Toż to marnotrawstwo niesłychane. Mrocki, zastanówcie się! Musicie ciężko pracować cały dzień na te pieniądze, a on przepije to w godzinę.

Żelazna Ręka słuchał nie drgnąwszy nawet; siedział jak przedtem na podwiniętych nogach. Twarz jego nie zdradzała ani gniewu, ani oburzenia.

Grantowa, pragnąc widocznie odczepić się od natręta, podsunęła mu ze złością kawałek chleba z mięsem.

Indianin zjadł w jednej chwili, połknął raczej posiłek, potem, mruknąwszy niewyraźnie pod nosem pożegnanie, opuścił izbę.

— Głupstwo pan zrobił, wielkie głupstwo! — krzyknęła farmerka. — Czerwoni to nicponie, którym nie warto i ochłapa rzucić.

— Być może! — odparł Mrocki. — Ale niech pani nie zapomina, że biała rasa postąpiła sobie z czerwoną bardzo źle; zabraliśmy im ziemię przodków, na której żyli według swych własnych tradycji i upodobań, wytępiono bezmyślnie bawoły, które dostarczały Indianom głównych środków utrzymania.

— Tak, tak! Pewnie! — mówiła z goryczą Grantowa. — Ale poczekaj pan, jeszcze dadzą się oni panu we znaki.

— Przecież nic im nie zawiniłem i nie stykam się z nimi, co najważniejsze.

— Nie będzie pan na to długo czekał. Już słyhać, że czerwoni szykują się do wojny. Oni nie mogą długo siedzieć spokojnie. W zeszłym roku napadli jednego z naszych sąsiadów, o dwadzieścia mil zaledwie stąd zamieszkałego, spalili mu dom, pokradli bydło i konie, na nędzarza wykierowali jednej nocy.

— Dlaczegoż więc nie pozwolono im polować jak dawniej na bawoły? Niechby mieli z czego żyć, to by nie potrzebowali nastawać na cudze.

Sobiesław umilkł nie mogąc przeciwstawić mocnych argumentów wymownej kobiecie.

Indian można podzielić na dwie kategorie: tych, co uprawiają ziemię i żyją mniej więcej na sposób białych, i koczownicze, myśliwskie plemiona. Tych drugich jest w Stanach najwięcej.

Policzone są dni tych walecznych szczepów, które mieszkają na ziemi północno-amerykańskiej. Liczba Indian zmniejsza się szybko, nawet jeżeli zajmują się uprawą ziemi i nie są na stopie wojennej z białymi.

Czirokezów jest osiemnaście tysięcy, Kriksów — dwanaście, Czotkawsów tyleż, Czika-zawsów zaś — zaledwie cztery i pół tysiąca głów.

Dziś, kiedy do Stanów przyłączono ziemię Indian, jak Kalifornia, Alaska, Teksas i Nowy Meksyk, liczba czerwonoskórych wcale się nie powiększyła w porównaniu z tym, ilu

ich było przed 1846 rokiem, na dawnym obszarze, znacznie szczuplejszym. Bardzo tylko nieliczne plemiona osiedliły się i uprawiają rolę; są to jednak po większej części mieszkańcy.

Czystej krwi Indianin jak wilk ciągnie do lasu, do życia koczowniczego na łonie dzikiej przyrody i nie go nie utrzyma na miejscu.

Dawniej czerwoni odbywali długie wędrówki: latem ciągnęli śladami bawołów ku Yellowstone i Białej Rzece, zimą zaś na południe, do Arkanzas przez pustynie; dziś jednak, kiedy traperzy, zaopatrzeni w broń odtylcową, wytępiłi te pożyteczne zwierzęta, Indianie cierpią głód i są na łasce i niełasce rządu, który im wydziela terytoria łowieckie i przenosi ich z jednej okolicy do drugiej.

Ciekawa jest polityka rządu Stanów w stosunku do czerwonoskórych. Polityka ta była i jest, niestety, przewrotna, nieuczciwa, nie licząca bynajmniej z godnością cywilizowanego narodu. Oto rząd wziął na siebie obowiązek dostarczania Indianom kołder, odzieży, żywności, żądając od nich w zamian, żeby zachowywali się spokojnie. Rząd, jak widzimy, wchodzi w układy z Indianami, traktuje ich niby prawych właścicieli gruntów przez nich zajmowanych, uważa niejako za stronę wojującą, zawiera ze szczepami umowy na piśmie po to, żeby ich potem nie dotrzymać.

I w gruncie rzeczy żaden minister amerykański urzędowo nigdy by się nie przyznał do tego, że prowadził jakieś układy z czerwonymi, że uznaje istnienie na wół niezależnych szczepów. Ukamienowaliby go za to wyborcy.

Żaden rząd nie miał tyle odwagi, żeby powiedzieć czerwonym: „My tu panowie niepodzielni, nie uznajemy waszych praw do ziemi waszych przodków, którą faktycznie zagarnęliśmy, i posiadamy dość siły, żeby ją utrzymać. Jeżeli chcecie, wojny, możecie ją prowadzić; ale z góry wiedzcie, że się musi skończyć wytępieniem was do nogi”.

Indianie na pewno wypowiedzieliby, wojnę Stanom. Naturalnie byliby sromotnie pobici.

Tylko że rząd boi się Indian; nie chce z nimi wojny, którą oni prowadziliby latami na swój sposób; podstępami i okrucieństwem. Ulegliby w końcu, ale samo ich wytępienie kosztowałoby tyle krwi i dolarów, że taniej i wygodniej wchodzić w pozorne układy, powiedzieć, oszukiwać Indian.

W roku 1867 powołano nową komisję celem uporządkowania stosunków z Indianami. Postanowiono ich przesiedlić na terytorium odległe od zamieszkanym okolic, od dróg żelaznych. Te ziemie miały na zawsze pozostać własnością bezsporną czerwonoskórych i biali mogliby przebywać na nich tylko za pozwoleniem prawych właścicieli. Komisja miała utrzymywać Indian kosztem rządu przez kilka pierwszych lat, dostarczać im narzędzi rolniczych, zachęcać do życia osiadłego, słowem, dbać o ich przyszłość.

W roku 1883 osiągnięto takie wyniki na terytorium indiańskim: Czirokezi osiedlili się w liczbie osiemnastu tysięcy i założyli rodzaj osobnego państwa, z własnym rządem, narodową ustawą, prawami, pootwierali szkoły, kościoły, gazety, nawet akademie. Są to dziś najbardziej wykształceni, najbardziej cywilizowani w Stanach Indianie. Oddają się oni rolnictwu i hodowli bydła. Czotkawszi i Czikazawszi także na terytorium indiańskim tworzą podobne społeczeństwa, obok wielu drobniejszych szczepów. Spotkać tam można i głośnych Seminołów, którzy toczyli zacięte boje z kolonistami na Florydzie.

Przez kilka dni Sobiesław myślał ciągle o Indianinie, który należał do dogasającego plemienia Seneikasów, i nie żałował bynajmniej dolara. Postanowił przy pierwszym nadarzo-nym spotkaniu porozmawiać z Żelazną Ręką.

Czas szybko upływał na farmie; zbliżały się zniwa. Grant myślał zawczasu, skąd weźmie robotnika do kosy w tych oddalonych okolicach graniczących z terytorium indiańskim.

Na czerwonoskórych nikt nie liczył; woleli oni całymi tygodniami wałęsać się beczynnie anizeli pracować, nawet za dobrym wynagrodzeniem, na roli.

Roboty z dnia na dzień przybywało; Sobiesław, nie mogąc nadażyć, nieraz z konieczno-

ści zaniedbywał się.

Ubiwszy masło, Mrocki oporządzał inwentarz, potem wędrował w pole pomagać Grzymale. We trzech z farmerem, uznojeni, wracali na obiad. Gdyby nie pożywne jadło, Sobieśław straciłby wkrótce zdrowie.

Było to mniej więcej w dwa miesiące po przyjeździe Mrockiego, kiedy okolicą wstrząsnęła wieść, że dwa sąsiadujące ze sobą plemiona indiańskie gotują się do wojny.

Jeden z tych ludów liczył coś osiemset głów, drugi niecały tysiąc; wojna zatem nie pociągnęłaby za sobą ofiar znaczniejszych.

Mrocki zainteresował się tą wiadomością i, siedząc przy wieczerzy, zagadnął:

— Mister Grant, powiedzcie mi, po co ci Indianie tępią się wzajemnie, kiedy mają wspólnego wroga w białym, przeciwko któremu powinni by właściwie obrócić zjednoczone siły. Czy nie dałoby się zapobiec rozlewowi krwi?

Farmer uśmiechnął się smutnie.

— Indianom na pewno nie przysłoby do głowy bić się, gdyby ktoś trzeci nie miał w tym interesu — rzekł.

— Nic a nic nie rozumiem!

— No, to przekonasz się sam; jutro mam interes do Indian; pojedziemy we dwóch kupić od nich futer, bo podobno mają zapas prawdziwych szopów, na których można by nawet zarobić porządnie. Przyjrzyj się pan na miejscu stosunkom, które są nieosobliwe.

Jakoż nazajutrz Mrocki zaprzął wóz parokanny; Grant wziął nań trochę zboża, baryłkę prochu, krążek ołowiu, no i sporą beczułkę rumu, podłego, ale mocnego; wsiedli obaj i puścili się w drogę.

Była to podróż uciążliwa, bo żadnych dróg w tamtych stronach nie ma; jechano przez cały dzień stepem albo przetrzebionym lasem lub też kamienistymi obszarami, napotykając z rzadka rozrzucone szałas, opuszczone przez dawnych mieszkańców Grant kierował się do wioski, gdzie zamieszkiwał naczelnik szczepu Toksesów liczącego około dwóch tysięcy głów.

Obaj podróżnicy nie omieszkali uzbroić się od stóp do głów. jak to mówią. Za pasami mieli rewolwery i noże, obok leżały winchestery siedmiostrzałowe, bo na terytoriach indiańskich obcy przybysz zawsze jest narażony na niespodziewany, podstępny napad.

Po dwóch dniach takiej jazdy, podczas której często musiano iść pieszo obok wozu, ukazała się grupka konnych Indian.

Grant natychmiast zaczął wywijać przygotowaną już białą chorągiewką na znak, że przybywa w zamiarach pokojowych. Pomimo to czerwoni nie od razu się zbliżyli. Zatrzymawszy sir w zaroślach, odbyli widocznie krótką naradę, po której wysłali ze swej strony parlamentariusza. Farmer musiał się opowiedzieć, po co i dokąd jedzie, parlamentariusz odjechał i wtedy dopiero Indianie otoczyli wóz i konno odprowadzili go do swego naczelnika.

Wioska Toksesów składała się z samych namiotów, przeważnie płóciennych, noszących stempel rządowy, a więc zrobionych z dostarczonego czerwonoskórym, jako zapomoga, materiału.

Mrocki poznał od razu, że Indianie prowadzili życie koczownicze, a raczej włóczyli się bez celu, łudząc samych siebie, że polują. Obok namiotów poniewierały się stare paki od sucharów, beczułki od solonego mięsa, szczątki uprzęży i statki gospodarskie, przeważnie fabrycznego pochodzenia.

Przed namiotami, na kołdrach wełnianych albo na gołej ziemi, wygrzewali się czerwonoskórzy pykając z krótkich fajeczek.

Zamiast malowniczych ubiorów indiańskich, mieli na sobie odzież kroju europejskiego, z tandetnych materiałów.

Rzadko gdzie zagrały żywszą barwą hafty na skórzanych spodniach.

Mrocki przypatrywał się z najwyższym zaciekawieniem Indianom pochodzącym z

licznego i dzielnego ongi szczepu.

Rysy twarzy, cera brunatnoczerwona, wystające kości policzkowe, czarne, proste włosy — wszystko to znamionowało rasę amerykańską; ale otoczenie, odzież, sprzęty, zachowanie się ludności przypominało białych.

Grant zatrzymał się przed porządnie z drzewa zbudowaną chatą; mieszkał tutaj naczelnik szczepu.

Kolonista pozostawił Sobiesława przy koniach, sam zaś prowadził jakieś układy z wodzem.

Mijała godzina za godziną, a Grant nie ukazywał się. Mrocki napatrzył się do woli czerwonoskórym, którzy ze swej strony małą, pozornie przynajmniej, zwracali nań uwagę.

Zaniepokojony wreszcie przydługą nieobecnością towarzysza zajrzał do wnętrza.

Grant siedział w izbie, urządzonej i umeblowanej zupełnie po europejsku, i prowadził rozmowę z naczelnikiem odzianym w nowiutki garnitur surdutowy, uszyty przez pierwszorzędnego krawca.

Obaj siedzieli na wygodnych fotelach amerykańskich, w swobodnych pozycjach, przy stole, na którym parowały filiżanki doskonałej japońskiej herbaty. Obok sterczała oplatana butelka starego rumu jamajka, którego zapach napełniał pokój, zapełniony porządnymi sprzętami, cackami i dywanami.

Mrocki, zdziwiony, rozglądał się dokoła, nie spodziewał się bowiem zastać tutaj, w pustyni, takiego komfortu.

Grant spostrzegł go i z grzecznością przedstawił naczelnikowi na sposób europejski:

— Mister Mrocki, mój pomocnik rolny.

Sobiesław uklonił się i uścisnął wyciągniętą ku niemu dłoń wodza. Zauważył przy tej sposobności, że czerwonoskóry naczelnik miał przepysznie wyprasowaną, śnieżnobiałą koszulę.

Wódz wskazał mu krzesło; Grant zaczął się tłumaczyć.

— Mamy ważne interesy do załatwienia! — rzekł.

— W takim razie jestem tu zbyteczny! — zawołał Mrocki podnosząc się.

— Och, pozostań pan! — odparł naczelnik. — Nie mamy żadnych tajemnic — zwykajne interesy handlowe. Umawiamy się o dostawę towaru, którego właśnie potrzebuję.

— Tak, tak, nic pan nam nie przeszkadza! — potwierdził kolonista.

— Więc jakże będzie? — spytał wódz nalawszy gościom świeżej herbaty. — Naboje musimy mieć najdalej za dwa miesiące.

Grant westchnął.

— Krótki termin jak na tak duży obstalunek! — rzekł.

— No, w ostateczności za dziesięć tygodni, lecz nie później. Po dostawieniu towaru płacę natychmiast czekiem bankowym.

— A zadatek?

— Dziesięć procent gotówką mógłbym panu dać zaraz przy podpisaniu umowy. Zgoda?

Kolonista wahał się widocznie. Obecność Sobiesława krępowała go. Kręcił się niespokojnie na krześle.

— Gdybym otrzymał zapewnienie, że naboje istotnie będą użyte w wojnie z jednym z sąsiednich szczepów, nie zaś przeciwko komu innemu — rzekł wreszcie, podnosząc się.

— Mogę pana zapewnić, że nie inaczej! — zawołał naczelnik. — Ma pan na to moje słowo.

— Czy wszystkie ładunki muszą być z prochem bezdymnym?

— Ależ naturalnie i kule opancerzone. Zwyczajne ładunki wojskowe nowego modelu do broni małego kalibru. Szczegółowy wykaz każe panu przygotować w kancelarii, gdyż, na nieszczęście, posiadamy broń niezupełnie dobraną.

— Kiedyż zamierzacie wypowiedzieć wojnę owemu szczepowi? — spytał Grant po

chwili milczenia.

— To zależy całkowicie od tego, kiedy otrzymamy niezbędną amunicję.

Mrocki przysłuchiwał się tej rozmowie z rosnącym zdziwieniem.

Przecież Grant przyjechał tutaj po futra, a prowadzi układy o dostarczenie czerwonoskórym naboju karabinowych. Cóż znaczy taka zmiana?

Wódz, jak to od razu uderzyło Mrockiego, wyrażał się najpoprawniejszą w świecie angielszczyzną; poruszał się jak człowiek przywykły do towarzystwa. Całe jego zachowanie znamionowało gentlemana w pełnym znaczeniu tego wyrazu. Wypowiadał swe myśli jak człowiek, który otrzymał wyższe wykształcenie.

Istotnie, Mrocki niebawem dowiedział się, że naczelnik skończył kurs prawa na uniwersytecie w Filadelfii i posiada nawet tytuł adwokata przysięgłego.

Układy toczyły się ciężko. Grant snadź miał jakieś skrupuły czy podejrzenia. Czerwonoskóry wódz, który nosił nazwisko amerykańskie — Burns — nalegał na kolonistę.

— Przyznaję, że po tej cenie zbyt mało zarobię na dostawie — rzekł Grant. — Jeżeli mi pan nie postąpi pięciuset dolarów, nie podejmę się. Przy tym ryzyko, odpowiedzialność...

— Żadnego ryzyka ani odpowiedzialności! — zawołał naczelnik. — Gdyby nie to, że mam nawał zajęć, pojechałbym sam i porobił zamówienia wprost w fabrykach. Ale... „time is money” *! Ostatecznie postąpię panu te czterysta dolarów.

— Pięćset! — poprawił Grant.

— Niech będzie pięćset.

— Postaram się dostarczyć towar punktualnie, pod warunkiem jednak, że mi pan sędzia dopomoże nabyć trochę futer we wsi.

— No, no, wymagania pańskie rosną szybko, w miarę tego, jak ja się staram robić panu wszelkie ustępstwa! — zawołał Burns klepiąc po ramieniu kolonistę.

— To będzie cały mój zysk! — odparł Grant. — Upewniam pana; prowizję oddam agentom i innym pośrednikom.

— A zatem umowa stoi?

— Tak jest; dotrzymam jej. Proszę o przyrzeczoną zaliczkę.

Naczelnik oddalił się do sąsiedniego pokoju i po kilku minutach wrócił niosąc zamówienie na milion ładunków karabinowych, wypisane na maszynie Hammonda, oraz tysiąc dolarów w banknotach.

— Podpisz pan pokwitowanie — rzekł podsuwając Grantowi papier. — Oto zadatek w stosunku dziesięciu procent od sumy.

Mrocki spostrzegł, że Grantowi drżała nieco ręka, kiedy kładł swoje nazwisko pod kwitem, na którym wyraźnie wymieniono rodzaj zamówienia. Położywszy pióro, zgarnął śpiesznie pieniądze i odetchnął z ulgą.

— Mister Mrocki, jedziemy! — rzekł zwracając się do Sobiesława.

— Tak, zatrzymajcie się przed szałasem starego Samuela; on już wie, jakiego rodzaju futer potrzebujecie, i ułatwi wam ich nabycie. Kiedy pan wraca do domu?

— Jutro!

— Doskonale. Proszę nie tracić czasu i zająć się niezwłocznie moimi interesami.

Grant solennie przyrzekł słowność; pożegnano naczelnika i ruszono na poszukiwanie Samuela.

Handel powiódł się nadspodziewanie.

Indianie bardzo chętnie sprzedawali futra, ale za gotówkę. Rum rozszedł się, przeważnie jednak na poczęstunki. Za to proch i ołów rozchwymano w mgnieniu oka. Indianie dobijali się formalnie o amunicję, z czego Mrocki wywnioskował, że czerwonoskórzy istotnie zamysłali prowadzić wojnę ze współziomkami, i w głębi duszy miał im to bardzo za złe.

* Time is money (czyt.: tajm yz mani) — czas to pieniądz.

Nazajutrz, po pracowicie spędzonym dniu, Grant wracał na wózku obładowanym futrami wartości tysiąca z górą dolarów. Zadatek, otrzymany od naczelnika, cały prawie pozostał we wsi.

Kolonista widocznie pragnął się usprawiedliwić wobec Mrockiego i, nie pytany wcale, zaczął wtajemniczać swego pomocnika w interesy.

— Od miesiąca mówią o tej wojnie — zaczął. — Prawdę powiedziawszy, sami koloniści rozdmuchują zarzewie, kłócą pomiędzy sobą czerwonych, żeby potem zarobić na czubiących się kogutach. Nie wiem jednak, dlaczego to naczelnik mnie, a nie komu innemu powierzył taką korzystną dostawę. Agenci zarobią, ale i mnie się sporo dostanie. Snadź nikt nie chciał podjąć się dostarczenia ładunków... To mnie cokolwiek niepokoi.

— A to dlaczego? — zagadnął M rocki.

— Hm... nie znasz pan czerwonych! — zawołał Grant zacinając konie. — Są to zawołani łgarze, chytry i przebiegli. Zapewniają, że pragną załatwić porachunki z Seminolami czy innymi diabłami, ale kto ich wie. Może się noszą w głębi duszy z daleko gorszymi zamiarami.

— Cóż może być gorszego od bratobójczej walki?

— Et, co nas obchodzą ich nieporozumienia?! — zawołał Grant machając ręką. — Niechby się wytępił do nogi, skoro im to robi przyjemność. Nic a nic na tym nie tracimy; przeciwnie, rząd oddałby nam ich terytoria. I owszem. Ale może zamyślają znowu urządźć powstanie przeciwko białym. Tego właśnie się obawiam.

— Czyżby się odważyli?

— Oh, dla nich nie ma nic niemożliwego! A teraz właśnie mają więcej powodów niż kiedykolwiek. Czyś pan zauważył, jaka u nich bieda? Narzekają powszechnie na złodziejstwo komisarza rządowego, który istotnie okrada ich beczelnie od trzech lat. Dostarcza zaledwie połowę zapasów, które rząd wyznacza czerwonym, a drugą chowa do własnej kieszeni. Indianie po prostu zdychają z głodu i zaczynają się buntować. Nasłuchałem się niemało wyrzeknięć, pogroźek, i to pogroźek pod naszym adresem. Wie pan, że teraz, po zastanowieniu się głębszym, to zamówienie na milion naboju karabinowych wydaje mi się podejrzanym. A jeśli te kule dla nas są przeznaczone? Założyłbym się, że naczelnik nie ma karabinów, ale sprowadza je po cichu i za pośrednictwem kogo innego.

— Widzę stąd, że nie powinien pan załatwić otrzymanego zlecenia albo przynajmniej zawiadomić o otrzymanym obstalunku gubernatora.

— Tak! I stracić dziesięć tysięcy dolarów, a w dodatku narazić się na zemstę Indian! — zawołał Grant śmiejąc się. — Przepyszna rada!

— A jeżeli Indianie naprawdę myślą o wojnie z białymi?

— Ha, tym gorzej dla nich, bo nic nie wywojują, a dostaną po skórze; nasi przy tej sposobności zarobią cokolwiek. Cóż to szkodzi? Znam takich, co umyślnie intrygują, żeby czerwoni za łby się brali, i zyski porządne stąd ciągną.

Pomimo tych wątpliwości, Grant był zadowolony z otrzymanego zlecenia i natychmiast po powrocie do domu wyjechał w dłuższą podróż.

Interes poszedł widocznie gładko, bo kolonista wrócił zadowolony. Przy tym na futrach zarobił paręset dolarów.

W parę dni po powrocie Granta zjawił się znów stary Indianin Żelazna Ręka. Zamiast jednak zajrzeć do domu farmera, zatrzymał się w podwórzu, gdzie rąbał drzewo Sobiesław, w milczeniu, jak zwykle, siadł w pobliżu na ziemi i zapalił z powagą krótką fajeczkę.

— Jak się masz, stary?! — zawołał przyjaźnie Mrocki wyciągając dłoń do gościa. — Pewnieś głodny, hę? Grant w polu, a gospodyni na pewno ci nic nie da.

Żelazna Ręka nie odpowiedział ani słowa.

Sobiesław, nie zrażony milczeniem Indianina, porzucił na chwilę siekiere i przyniósł ze swej izdebki kawał chleba i kiełbasy.

— Niech Żelazna Ręka to zje! — rzekł podsuwając poczęstunek czerwonoskóremu.

Indianin nie dał sobie tego dwa razy powtarzać. Zapuścił białe zęby w razowiec, kielbasę zaś pochłonał osobno, w mgnieniu oka.

— Co tam słyhać u czerwonych ludzi? — zagadnął Mrocki.

— Wszystko dobrze idzie, all right! — odrzekł lakonicznie Żelazna Ręka.

Sobiesław postanowił zasięgnąć języka o zamiarach Indian, ale szło mu to z trudnością. Żelazna Ręka niechętnie odpowiadał wystrzegając się wyraźnie, żeby za dużo nie powiedzieć.

Sobiesław, pragnąc rozwiązać język gościowi, przyniósł butelkę z wódką.

— Jeżeli Żelazna Ręka będzie odpowiadał na moje pytania, otrzyma w podarunku wodę ognistą — rzekł.

Na widok pożądanego napoju oczy Indianina zaświeciły jak karbunkuły, wyciągnął skwapliwie rękę, ale Mrocki schował wódkę poza siebie.

— Czy to prawda, że sąsiednie plemiona indiańskie zamierzają prowadzić ze sobą wojnę? — zagadnął.

— Oh, nic o tym nie słyhać! — odrzekł Indianin.

— To nieprawda; wiem na pewno, że Burns szykuje się do walki.

Na dźwięk tego nazwiska oczy Żelaznej Ręki zamigotały jakimś niepokojem, ale żaden mięsień w twarzy nie drgnął.

— Przeciwko komu Burns uzbraja swoich wojowników? — pytał dalej Mrocki.

Żelazna Ręka potrząsnął głową.

Sobiesław, nie mogąc przełamać oporu Indianina, udał, że odchodzi z butelką; ale gość zatrzymał go energicznym ruchem.

— Indianie są bardzo biedni! — rzekł wreszcie.

— Mają wiele ziemi, o ile słyshałem.

— Nie mogą na niej wyżyć z polowania, a komisarz rządowy nie daje im prawie nic, więc są głodni i obdarci.

— Niechaj się upomną o swoją krzywdę, gdzie należy.

— Na nic się to nie zda; komisarz połowę kołder, mąki, mięsa i płótna sprzedał, a pieniądze schował do kieszeni. .

— Czyżby?

— A tak! Wszystkie szczepy cierpią nędzę i z tego powodu są między nimi niezadowoleni.

Indianin, raz zacząwszy mówić, wyrażał się gładko i wcale niezłą angielszczyzną. Sobiesław nalał mu pół szklanki wódki. Żelazna Ręka miał, jak się pokazało, wcale nie żelazną głowę; pod wpływem alkoholu, przechodząc jak dziecko od jednej ostateczności do drugiej, zaczął się zwierzać ze swych uczuć Mrockiemu:

— Mój szczep był przed laty jak trawa w stepie; nie zliczyłbyś męźnych, rozrostłych jak dęby, a twardych jak skała wojowników. Wszyscy się lękali spotkania z nimi, bo byli oni szczęśliwi w wojnie i odważni. Mieszkaliśmy daleko stąd, w okolicach obfitujących w zwierzynę. Biali pokazywali się u nas rzadko i zaraz uciekali ujrzawszy naszych wojowników. Z biegiem czasu atoli przyszło ich tak wielu, że bez ustanku siekiera wojenna znajdowała się w chacie wodza; waleczni wojownicy padali jak drzewa rażone piorunem w puszczy; szczep cofał się coraz dalej, lecz koloniści naciskali na nas zewsząd; ich kupcy znosili nam wodę ognistą, która smakuje i wlewa wesołość w serca, ale osłabia rękę i wolę. Jeszcze gorsze od kul białych ludzi były ich choroby; ospa oszpeciła nasze kobiety, zabierała nie tylko dzieci, ale i starych wojowników nawet. Nie upłynęło trzydzieści lat, a już nie miał kto bronić wiosek. Szczep musiał się zgodzić na przesiedlenie tutaj, na terytorium wyznaczone od rządu. Jest nas dziś niecałe dwieście głów, w tym zaledwie sześćdziesięciu mężczyzn. Niezadługo ostatni z naszych wojowników pójdzie polować na bawoły w krainie Wielkiego Ducha. Mały szczur wypędza dużego, chwast zagłusza szlachetne rośliny, biały człowiek rozmnaża się na

ziemi człowieka czerwonego; przyjdzie czas, kiedy nie będzie puszczy, nie będzie Indian i biali zajmą cały świat od północy do południa, gdzie wielka rzeka wpada do morza. Czerwonych wojowników — kończył Żelazna Ręka wskazując palcem w niebo — czekają nieprzejrzone stopy, na których są niezliczone stada bawołów i koni, tam słońce nigdy nie zachodzi, a jednak trawa zieleni się cały rok i rzeki nie wysychają; tam nie ma ani jednego białego człowieka; Wielki Duch wzywa do błogosławionych niebieskich krajów swoje dzieci. Pójdą do mego i będą żyły w zgodzie ze sobą, bo zwierzyny dla wszystkich starczy.

Indianin zamilkł i pograżył się w milczeniu.

— Więc czego chcą czerwoni ludzie? — zagadnął po chwili Mrocki.

— Oni chcą sprawiedliwości — odrzekł Żelazna Ręka.

— Niech się upominają o nią!

Indianin zrobił grymas.

— Biali mają sprawiedliwość, ale nie dla nas. Dzieci wielkiego Ducha nie będą już ich o nic prosić, bo język ich jest kłamliwy. Odgrzebiemy wojenną siekierą i będziemy zdobywali z bronią w ręku, co się nam należy.. Powiedziałem.

I Żelazna Ręka wyprostował się, wyciągnął rękę po butelkę wychylił jednym haustem resztę ognistego płynu, owinął się w opończę tak szczelnie, że było mu spod niej widać tylko płonące jak u rysia oczy, i w milczeniu, nie rzuciwszy nawet zwykłego „good bye” na pożegnanie, zniknął za drzwiami.

ROZDZIAŁ IX

POWSTANIE INDIAN

Zanim ujrzymy naszego tułacza w nowej jego roli, przypomnijmy w paru słowach dzieje Indian.

Indiańskie plemiona, osiedlone na tak zwanym terytorium indiańskim, oburzone i przywiedzione do rozpaczki łupieżstwem urzędników wyznaczonych przez Kongres Stanów na oficjalnych ich opiekunów, zjednoczyli się pod wodzą głośnego Siedzącego Byka i wystąpili, doskonale uzbrojeni, przeciwko białym.

Okazało się, że dzięki przekupstwu albo fałszywej naiwności takich Grantów czerwoni posiadają pod dostatkiem karabinów i amunicji. Połączone plemiona wystawiły „armię” złożoną z kilku tysięcy doskonale wyćwiczonych na sposób indiański wojowników, którzy w partyzanckiej wojnie mogli skutecznie stawić czoło parokrotnie liczniejszemu wojsku regularnemu.

Było to w jakieś sześć tygodni po rozmowie Sobiesława z Żelazną Ręką, kiedy całkiem niespodzianie gruchnęła wiadomość, że osiedlone na południu terytorium szczepy Komanców i Apaczów napadły na sąsiednie kolonie białych, niszcząc wszystko ogniem i mieczem.

Grantowie nie czekali długo na potwierdzenie tych wiadomości, bo wnet zaczęli nadciągać w ich okolicę wypłoszeni najściem Indian farmerzy. Uciekali oni z rodzinami na krytych wozach z całym ruchomym dobytkiem.

Na kolonię Granta zjechało pewnego wieczora aż sześć wozów napełnionych uciekającymi przed nawałą indiańską farmerami. Mieszkali oni na samej granicy wschodniej terytorium i padli jedni z najpierwszych ofiarą. Wieźli ze sobą kilku ciężko rannych, jednego oskalpowanego żywcem i opowiadali rzeczy okropne.

Indianie szli naprzód ławą; otaczali kolonie położone na uboczu i palili; mieszkańców zaś, którzy w porę nie umknęli, wycinali co do nogi. Taki los spotkał kilka szkockich rodzin

osiedlonych niedawno. Roztaczano obrazy wyrafinowanych tortur, jakie zadawali Indianie jeńcom, bez różnicy płci i wieku. Naturalnie, było w tym niezmiernie wiele przesady, ale i cokolwiek prawdy. Indianie istotnie powstali i oświadczyli przez usta naczelników, że albo sami padną, albo wypędzą ze swych dziedzic otaczających ich coraz ciasniejszym pierścieniem kolonistów. Krew lała się o kilkanaście mil na południowy wschód, a bliższe plemiona przybrały groźną postawę.

Grant, który sam dostarczył, jak wiemy, amunicji czerwonoskórym, zmiarkował od razu, że położenie jego jest groźne.

Lada dzień mógł go spotkać ten sam los, co farmerów, których gościł; nie namyślając się więc długo, władował sprzęty i narzędzia rolnicze na wozy i uciekł z żoną i dziećmi do najbliższego miasta, gdzie zgromadziło się już kilkaset rodzin, równie jak on przerażonych.

Wracano jeszcze dwukrotnie chcąc zabrać wszystko, co miało jakąś wartość, w końcu na kolonii pozostały jedynie budynki i goła ziemia.

Ubezpieczywszy się tak od możliwych strat i niebezpieczeństw, Grant podziękował krótko i wężłowato swoim pomocnikom:

— Żniwa skończone, zboże sprzedam wojsku, gospodarstwa już w tym roku nie będę prowadził; nie macie więc co u mnie robić. Oto płaca za tydzień, wędrujcie do miasta, bo na wsi wszędzie robota się kończy. Może tam co dla siebie znajdziecie. A teraz do widzenia! Na przyszły rok, jeśli mnie czerwoni nie spalą, przybywajcie do mnie znowu, chętnie was przyjmę.

W podobny sposób postąpili ze swymi pomocnikami inni farmerzy.

Sobiesław i jego przyjaciel w miasteczku pozostać nie mogli, zapanowała tam bowiem drożyzna nie do wytrzymania. Skromny fundusik, zapracowany w pocie czoła przez lato, wnet by się wyczerpał. Wobec tego należało co prędzej wynosić się precz z okolic objętych powstaniem indiańskim.

Grzymała był tego samego zdania.

Pewnego poranku nasi dwaj towarzysze puścili się z tłumoczkami na plecach do najbliższej stacji kolejowej, która leżała o dzień drogi od miasta.

Kujawiak chciał od razu jechać do Chicago, ale Mrocki oparł się temu.

— Mam po same uszy słodczy wielkemiejskich — rzekł. — Sądzę, że lepiej poczekać i zobaczyć, co się stanie. Ciekawym, jaki weźmie obrót powstanie indiańskie.

— Co mi tam czerwonoskórzy! — zawołał Grzymała machając ręką. — Im dalej od nich, tym lepiej. Powiadają, że przyjdzie wojsko, skórę im porządnie wytrzebie i na tym się skończy. Nic a nic nie zyskają, a jeszcze drogo zapłacą.

— Pojedziemy, ale niedaleko: do sąsiedniego stanu na przykład. Tu daleko łatwiej o robotę niż w wielkim mieście, gdzie na jedno miejsce zjawia się kilku konkurentów. Pieniądzy cokolwiek zostało, nic tedy pilnego śpieszyć do Chicago — mówił Mrocki.

Tak się też stało. Nasi tułacze pojechali do Canzas City i tam zaczęli oglądać się za zarobkiem.

W mieście, jak się pokazało, fabryk istniało zaledwie kilkanaście, i to małych. Mieszkańcy byli bardzo zainteresowani przebiegiem powstania; gazety zadrukowywały całe kolumny wiadomościami z teatru wojny. Sobiesław dowiedział się z tego źródła, że przeciwko zbuntowanym plemionom rząd wysyła armię regularnego wojska: ale wprzód należy ją skompletować. Postawienie pułków na stopie wojennej idzie wolno z powodu braku ochotników. Gazety zachęcały wykwalifikowanych ludzi, zwłaszcza Niemców, którzy w ojczyźnie odbywali powinność wojskową, do wstępowania w szeregi. Warunki były doskonałe: pensja sześćdziesiąt dolarów miesięcznie i kompletne utrzymanie.

Mrocki czytał te ogłoszenia obojętnie. Całymi dniami szukał pracy. Wkrótce przekonał się, że znalezienie jakiegokolwiek zajęcia jest prawie niemożliwością. Grzymała zdecydował się raz jeszcze szukać szczęścia w dużym mieście, tym razem w Chicago, ale Mrocki nie

chciał tam jechać. Dobrze pamiętał dni poniewierki i nędzy w Pittsburgu. Pewnego dnia, idąc ulicą, spotkał oddział wojska udający się na teatr wojny. Niemal bezwiednie poszedł za oddziałem do koszar tymczasowych i tam wpadł w łapy werbownikom.

Kiedy się wygadał, że służył w artylerii pruskiej, wciągnięto go niemal przemocą do biura. Właśnie artylerzystów rząd na gwałt potrzebował do trzech baterii dział szybkostrzelnych.

W artylerii, jak się pokazało, dla braku kandydatów odpowiednich, płaca była jeszcze wyższa aniżeli w piechocie, bo wynosiła aż dziewięćdziesiąt dolarów miesięcznie z utrzymaniem.

Oficer, ubrany w świecący od złota i guzików mundur, zachęcał gorąco Mrockiego.

— Artylerzyści konni są najbardziej poszukiwani — mówił. — Brak podoficerów także daje się mocno we znaki. Posiadasz pan pewne wykształcenie, jak sam utrzymujesz, otrzymasz więc od razu szarżę bombardiera, czyli podoficera, z pensją stu dwudziestu dolarów miesięcznie, skoro tylko nauczysz się angielskiej komendy i zaznajomisz się z naszymi działami, które różnią się nieco od typu niemieckiego. Kampania cię nie znuży, bo nie potrwa długo. Zniesiemy czerwonoskórych w pierwszej potyczce w polu, o ile będą tacy głupi, że przyjmą walkę w takich warunkach. Ty nie małaś się przyczynisz do zwycięstwa, a rząd nasz umie wynagradzać zasługi położone dla kraju. Kto wie, czy nie otrzymasz nawet szmata ziemi po wysłużeniu paru lat w armii.

Słowa oficera przykuły uwagę Mrockiego.

Po co się mordować jak pies, niedojeść, znosić poniewierkę w tej olbrzymiej armii pracy, w której służył dotąd z tak małym powodzeniem? Nikt jego rąk ani zdolności w przemyśle nie potrzebował. Zbliżyła się zima, a z nią poszukiwanie roboty, upokorzenia, głód, dwunastogodzinne natężanie mięśni i umysłu. Po co to wszystko? Jeżeli idzie o kawałek chleba, to znajdzie go w wojsku.

Oficer podsuwał mu papier do podpisania. Mrocki rzucił okiem na druk. Był to kontrakt formalny zobowiązujący do służby na umówionych warunkach przez trzy lata, bez możliwości podania się do dymisji. Jedną ręką podawano mu papier i pióro, drugą pokazywano pensję miesięczną jako zadatek.

Sobiesław z rezygnacją machnął ręką. Pochwycił umoczone pióro i jednym zamachem podpisał kontrakt.

Oficer poklepał go po ramieniu, wręczył mu zadatek w monecie złotej, zapisał miejsce zamieszkania i kazał stawić się zaraz nazajutrz, bo każdego artylerzystę miano niezwłocznie wysyłać do baterii.

Mrockiemu, kiedy już położył swoje nazwisko na papierze zrobiło się markotnie.

„Stało się — myślał — klamka zapadła! Palnąłem głupstwo! Ale też poniewierka, to ciągle uganiecie się za zarobkiem do cna mi się naprzykrzyło. Po prostu boję się zimy jak samej śmierci”.

Stały mu przed oczyma noclegi w przytułkach policyjnych, wypraszenie za drzwi, kiedy pytał o pracę, wystawanie dniami całymi pod bramą fabryk z tysiącem współzawodników, przypomniał sobie nieludzki wrzask palonych żywcem przez gorące żelazo, uścisk czerwonej zmi, która się koło niego oplotła, i tupnął nogą.

— Dobrzem zrobił, dobrze! — mówił w godzinę później do Grzymały. — Nie mam siły, żeby znosić znowu to, com już z tobą znosił w zimie. Niech się, co chce, dzieje. Zostałem żołnierzem, najemnym żołnierzem; mam sprzedawać swoją krew za tyle i tyle dolarów kwarta, mam zabijać biednych, ciemnych, skrzywdzonych Indian! Po co mnie zmusili do tego?! To nie moja wina, ale ich wina! Chodźmy się napić, bo jutro każdy ruszy w swoją stronę. Pożegnamy się może na zawsze. No, pieniądze są, robaka trzeba zalać! Bo widzisz, bracie, sumienie nie daje spokoju...

— Et, przesadzasz — pocieszał go Grzymała. — Z tej wojny to nic nie będzie. Indianie

ustąpią; nie zastrzelisz ze swej armaty ani jednego, gotów jestem na to przysiąc. Ani kropli krwi z ciebie nikt nie wytoczy także, bo tamci, czerwoni, armat przecie nie mają, więc wam nic nie zrobią złego. A czy pot, czy krew sprzedawać, to mała różnica.

Dwaj przyjaciele zasiedli sobie w porządnej gospodzie i uraczyli się doskonałą wódką; potem wysączyli ze dwie butelki wina, aż sobie głowy coś niecoś zaproszyli.

Była noc, kiedy Mrocki, zapomniawszy o swoich wyrzutach sumienia i zmartwieniach, położył się spać. Teraz mu już było wszystko jedno.

ROZDZIAŁ X

NOWE ROZSTANIE

— Nie możemy jakoś być razem — mówił melancholijnie Mrocki, ściskając swego przyjaciela przed wsiadaniem do wagonu. — Ciągłe nas jakieś лихо rozłącza.

Witold bez słowa rzucił się na szyję Mrockiemu i rzetelnie go wyczałował w oba policzki.

Pociąg miał ruszać, zamieniono więc ze sobą ostatnie słowa pożegnania.

— A pamiętaj, pisz do mnie na poste restante do Chicago w zimie! — upominał Grzymać.

— A i ty do trzeciej baterii konnej artylerii adresuj, to list zawsze dojdzie, gdziekolwiek bym się znajdował — odparł Mrocki. — Jeżeli będziesz w biedzie, śmiało się zwracaj do mnie o pomoc. Bywaj zdrow!

W tej chwili wagon zaczął się toczyć, pocziwy Kujawiak pozostał na peronie dworca i znikł niebawem w tłumie.

Sobiesław znowu uczuł się samotny i smutny.

Przyszłych artylerzystów jechało razem coś sześciu, zbieranych ze wszystkich stron świata.

Było najprzód trzech Niemców. Był także jeden Francuz imieniem Gaston, mały, chudy, ale ruchliwy jak żywe srebro człowieczek, który dosłużył się już był w ojczyźnie podoficerskiego stopnia, no i mrukliwy Szkot, który dopiero w zeszłym roku porzucił czynną służbę w Anglii, stary doświadczony artylerzysta. Odbył on niejedną kampanię zamorską w służbie jej królewskiej mości Wiktorii.

Oficer, który jechał z partią, tego właśnie Szkota najwyżej cenił, chociaż okazywał i Mrockiemu dużo względów.

Podróż nie trwała długo. Po paru godzinach pociąg zatrzymał się w niewielkim miasteczku, gdzie formowała się artyleria.

Armaty stały w szopie obok zaimprovizowanych stajen, gdzie czekało, grzebiąc kopytami ziemię, kilkadziesiąt półdzikich koni, materiał doskonały. Zaprząg był zatem w porządku, jaszczyki pełne nabojów, działa nowiusieńkie, ale żołnierzy jeszcze brakło! Werbunek szedł opornie. Niewielu było chętnych do walki z Indianami. Razem z przyjezdnymi było ze trzydziestu ludzi zaledwie, tymczasem do skompletowania baterii, z sześciu dział złożonej, trzeba było, licząc po dwunastu artylerzystów na działą, przynajmniej siedemdziesiąt dwie osoby.

Ale ci, co przyjechali, zostali od razu przydzieleni do armat i rozpoczęła się nauka najprzód teoretyczna, a w parę dni praktyczna.

Wyjechano na step i tam zaczęto ćwiczyć się. W krzakach pokładzono drewniane figury, które miały wyobrażać Indian, i strzelano do nich szrapnelami, które, pękając w powietrzu

nad głowami ukrytego nieprzyjaciela, zasypują go z góry gradem kulek ołowianych wielkości wisien.

Zaraz pokazało się, że spomiędzy wszystkich artylerzystów najlepiej umiał obchodzić się z działem Mrocki. Potrafił nie tylko pełnić funkcję podoficera, ale i bardzo szybko przyswajał sobie inne niezbędne wiadomości.

W kilka dni potem dano mu galony podoficerskie, wsadzono na dobrego konia i kazano kierować działem.

Zwykle przy każdej armacie powinien znajdować się młodszy oficer, ale oficerów jeszcze większy panował brak aniżeli podoficerów.

Dzięki temu Mrocki od razu niemal otrzymał nieco wyższe stanowisko aniżeli prostego szeregowca.

Dzienników nie miał sposobności czytywać, nie wiedział zatem, co się dzieje na teatrze wojny. Słuchy jednali chodzący między ludźmi, że położenie wcale się nie poprawia, że biali po większej części puciekali z okolic objętych powstaniem, że czerwoni zbierają siły i występują coraz to groźniej.

Snadź rządowi było pilno wystąpić przeciwko zbuntowanym plemionom, bo na gwałt werbowano ochotników, gdzie się dało i sprowadzano coraz to gorszy materiał; przyjechał w parę dni do baterii jakiś Serb, nawet Turek, który nie rozumiał prawie po angielsku.

Mówiono, że skoro tylko pół baterii będzie skompletowane, to ją zaraz wyślą, nie czekając na drugą połowę.

Mrocki spędzał całe dni na strzelaniu i nie zsiadał z konia przez dziesięć godzin z rzędu. W tydzień potem nadszedł rozkaz, żeby półbateria jak najprędzej połączyła się z oddziałem wojsk przeznaczonych do działań przeciwko Indianom.

Wsadzono więc konie i ludzi do wagonów, na platformach ustawiono armaty i Mrocki wraz ze wszystkimi swymi kolegami pojechał na terytorium indiańskie, skąd niedawno wrócił.

Jechano cały dzień, zatrzymując się na niektórych stacjach.

Nareszcie wieczorem pociąg stanął u celu podróży.

Noc spędzono pod gołym niebem, przy ogniskach, na tak zwanym biwaku.

Żołnierze gotowali sobie wieszery w kociołkach, poili konie w strumieniu, potem spętane puścili na sąsiednią łąkę pod strażą kilku młodych towarzyszy.

Mrocki ulokował się przy swoim działem, które, odprzodkowane, stało z lufą zwróconą na zewnątrz obozowiska, gotowe jakby do strzału, chociaż nieprzyjaciel był jeszcze daleko.

Młodzieniec miał pewną trudność porozumiewania się z podwładnymi. Była to bowiem, jak już wspominaliśmy, straszna zbieranina; najwięcej Niemców i z tymi Sobiesław doskonale dawał sobie radę, ale za to z Irlandczykami, z Turkami i z Serbem szło mu bardzo trudno. Ludzie ci znali, prócz komendy, jakichś parę wyrazów. Nieosobliwie też szła Mrockiemu gawęda z Bawarczykami, którzy mówili gwarą.

Noc minęła całkiem spokojnie. Raniutko odezwała się pobudka i zakomenderowano wsiadanego. Półbateria otrzymała rozkaz połączenia się z kompanią piechoty, którą jej przysłano dla ochrony. Artyleria bowiem, napadnięta z bliska przez mały nawet oddział piechoty, zwłaszcza z zasadzki, jak to czynią Indianie, jest niemal bezbronna.

Rozpoczął się teraz marsz dość powolny przez pustynie do miejsca, gdzie się gromadziły wojska Unii, wojujące ze zbuntowanymi czerwonoskórymi.

Gdyby artyleria konna miała ochronny oddział złożony z kawalerzystów, podróż trwałaby znacznie krócej; tak zaś znajdowano się w drodze dwa dni.

Nareszcie ukazał się obóz wojsk rządowych, który zrobił na Mrockim niezbyt pochlebne wrażenie. Sobiesław, służąc w jednej z najlepiej zorganizowanych armii, przyzwyczał się widzieć żołnierzy spełniających bez szemrania, automatycznie, wszelkie rozkazy przełożonych. Tymczasem wojska amerykańskie pod względem karności wiele pozostawiały do

życzenia.

Żołnierze rozmawiali poufale z przełożonymi, ledwie racząc oddać im ukłony wojskowe, w szeregach stali nierówno, poruszając się niedbale, jakby do ćwiczeń tego rodzaju małą przywiązywali wagę. Istotnie tak było.

Mrocki przekonał się jednak niebawem, że ci żołnierze, wyglądający na pierwszy rzut oka jak zbieranina, bardzo dobrze znają swe rzemiosło; strzelają zwłaszcza znakomicie; pełno bowiem w szeregach było traperów, którzy, lubując się w wojnie z Indianami, na wezwanie stawili się tłumnie do pułków.

Nie byli to sztywni, pruscy grenadierzy, ale w każdym razie przeciwnicy wielce niebezpieczni w zbrojnym spotkaniu.

Półbaterię Mrockiego przyłączono do brygady piechoty, czyli do dwóch pułków.

Rozbito namioty, ustawiono działa w szyku bojowym, zbadano, czy wszystko w porządku, i Sobiesław mógł sobie odpocząć po podróży.

Skorzystał z wolnego czasu, żeby porobić znajomości i rozejrzeć się w swym nowym otoczeniu.

Był ciekaw, co się dzieje na teatrze wojny, ale niewiele się dowiedział. W wojsku, rzecz dziwna, niezbyt się interesowano wypadkami; wiedziano, że trzeba wyruszyć naprzeciw Indianom, ale gdzie oni przebywali, ilu ich stało pod bronią, tego nikt nie potrafił powiedzieć. Słuchy chodziły, że Indianie są jeszcze daleko, a wszyscy mieli na ustach imię Sitting Bulla, czyli Siedzącego Byka, który był podobno duszą buntu czerwonoskórych.

Sobiesław wziął na odwagę i zapytał oficera, kiedy wyruszy wojsko na nieprzyjaciela, ale ten zbył go niczym; pewnie sam niewiele więcej od niego wiedział.

ROZDZIAŁ XI

PIERWSZA POTYCZKA

Uplłynęło jeszcze kilka dni, zanim drugie pół baterii zjawiło się na punkcie zbornym. Przez ten czas piechoty także sporo napłynęło. Unia, jak liczone, zgromadziła już ze dwanaście tysięcy wojska przeciw Indianom, o których mówiono, że mają znacznie większe siły...

Przebąkiwano, że niebawem rozpocznie się pochód przeciwko Sitting Bullowi, że wydadzą mu walną bitwę.

Pogłoski te jednak nie sprawdzały się, na razie przynajmniej. Za to dochodziły wieści o rzeziach dokonywanych przez zbuntowanych czerwonoskórych.

Pewnego wieczoru w obozie zjawiło się paru farmerów z miejscowości odległej o kilkanaście mil, z żądaniem, żeby ich zaprowadzono do głównodowodzącego.

Jak się pokazało, ludzie ci przybyli błagać o pomoc.

Silny oddział Apaczów napadł na ich siedziby i trzymał je w oblężeniu od kilku dni. Oni cudem niemal zdołali wymknąć się stamtąd, żeby sprowadzić odsiecz.

Generał nie namyślał się długo i wydał rozkaz, żeby oddział złożony z batalionu piechoty, szwadronu kawalerii i jednego działa, udał się z przybyszami i zaatakował Indian.

Zły los chciał, że owo działko należało do Mrockiego.

Kazano natychmiast zaprzęgać i w dwie godziny po otrzymaniu polecenia oddziałek wyruszył z obozu, żegnany przez kolegów gromkim „hura!”

„Idę się bić pierwszy raz w życiu” — myślał Sobiesław, siadając na konia,

Świadomość, że narazi życie, że będzie zabijał nieprzyjaciela, do którego nie czuł żadnej nienawiści, napełniła go znowu smutkiem.

Koloniści, którzy służyli za przewodników, pośpieszali bojąc się, czy nie powrócą za późno. Wojsko wyczerpało wszystkie siły, żeby za nimi nadażyć. Piechocie było szczególnie ciężko, zwłaszcza że panował upał nie do zniesienia.

Maszerowano tak przez cały dzień. Dopiero nad samym wieczorem oddział prowadzony przez pułkownika zatrzymał się w lesie.

Kazano żołnierzom doprowadzić do porządku broń, gdyż nieprzyjaciel był podobno w pobliżu.

Kawalerię wysłano na zwiady, piechocie zalecono ustawić w kozły karabiny i zachowywać się jak najciszej. Oficer, dowodzący armatą, wezwał Mrockiego do siebie.

— Czy zabraliśmy dużo naboju szrapnelowych? — zagadnął.

— Mamy ich więcej aniżeli zwyczajnych granatów — odparł Mrocki.

— To dobrze, przydadzą się nam niebawem.

Nie upłynęła godzina, kiedy rekonesans, w którym brali udział koloniści, wrócił co koń wyskoczy.

Brakło trzech jeźdźców; kule Indian, zacząonych w zasadzce, zrzuciły ich z siodeł. Był to sygnał do wyruszenia w pochód.

Oddział zaczął znów maszerować, w szyku bojowym naturalnie, lada chwila bowiem spodziewano się napadu ze strony Indian, którzy, wierni swojej zwykłej taktyce, nie przyjęli bitwy w otwartym polu. choć doskonale wiedzieli o zbliżającym się nieprzyjacielu.

Działo Mrockiego jechało nieledwie na samym końcu, otoczone plutonem piechoty, który miał je bronić przed niespodziewanym napadem.

Postępowano tak wśród głębokiej ciszy, czekając wystrzału.

Minęła jedna godzina, potem druga, a nic nie zamąciło ciszy w pustyni.

Indianie, którzy byli tuż, nie dawali znaku życia.

Ośmieleni tym kawalerzyści znowu rzucili się na wszystkie strony, poszukując w okolicznych krzakach nieprzyjaciela. Nie mogli jednak odkryć nic podejrzanego. Czerwonoskórzy znikli jak duchy.

— Czy daleko jeszcze do wsi, którą oblegali Indianie? — zagadnął Mrocki kolonistę, który wracał siedząc z kawalerzystą na jednym koniu.

— Trzy mile stąd — odparł mu brodaty farmer.

— No, to bitwa zaraz się powinna rozpocząć.

Kolonista potrząsnął głową.

— Indianie dawno opuścili swe stanowiska i uwolnili naszych, skoro się dowiedzieli, że prowadzimy odsiecz.

— W takim razie pułkownik każe nam wracać do obozu.

— Nie zna pan, jak widzę, charakteru Indian — rzekł farmer. — Te diabły usunęły się, ale zjawiają się natychmiast, jak tylko wojsko odejdzie. Musicie ich dobrze przepędzić.

— Gdzież oni są?

Farmer pokazał ręką na otaczające grupy drzew.

— Gdzie są? Wszędzie: za tym, za tamtym drzewem, może z tyłu za nami. Nasi nie umiemy ich odkryć, ale to niczego nie dowodzi. Niebawem przekonają nas o swojej obecności.

Jeszcze kolonista nie dokończył, kiedy w powietrzu rozległ się ostry świst kilkunastu kul karabinowych, wyrzuconych z odległości kilkuset metrów przez niewidzialnego wroga. Kule te były dobrze wymierzone, bo aż czterech kawalerzystów spadło nagle z siodeł. Pozostali jednak, nie zrażeni tym wcale, zwrócili konie w kierunku, skąd padły pociski, i czekali rozkazu, żeby przypuścić szarżę.

Oficer jednak wahał się. Gdzie stoją Indianie? W której grupie drzew? Dokąd należy skierować atak? Wprawdzie pociski wypadły od strony zachodniej, ale żaden ślad nie pozwalał na pewno określić stanowiska nieprzyjaciela.

— Te łotry mają naboje z prochem bezdymnym! — zawołał oficer, daremnie wypatru-

jąc przez perspektywę białego obłoczku, jaki zwykle pozostawia strzał karabinowy po sobie.
— Zejść z koni! — dodał zwracając się do swoich ludzi.

Kawalerzyści, którym pilno było pomścić śmierć dwóch, a ciężkie rany innych dwóch kolegów, usłuchali niechętnie tego polecenia.

Indianie zaczęli znów strzelać, ale tak doskonale byli ukryci w zaroślach, że napadnięci słyszeli tylko świst pocisków koło uszu, a w żaden sposób nie mogli zorientować się, skąd były miotane.

Tym razem jednak nie trafiła żadna kula, piechota bowiem leżała na ziemi, kawaleria przykucnęła z końmi za krzewami.

— Zdaje się, że to tam! — rzekł w końcu oficer wskazując pułkownikowi kilkanaście dużych kamieni rozrzuconych w odległości jakiegoś tysiąca metrów.

Pułkownik skinął głową.

— Jedna kompania skierować ogień na kamienie! Odległość tysiąc sto metrów! — zakomenderował.

Żołnierzom nie potrzeba było dwa razy tego powtarzać. Posypał się ogień sztucerowy we wskazanym kierunku, na który Indianie skwapliwie odpowiadali.

Strzelanina trwała z dziesięć minut, ale widocznie bez żadnego skutku; ogień bowiem indiański nie ustawał ani na chwilę i zamiast słabnąć, był coraz gęściejszy. Dwóch żołnierzy, pomimo osłony, otrzymało ciężkie rany w głowy...

— Musimy zbliżyć się do nich — rzekł oficer.

Żołnierze pęczali na brzuchach w kierunku kamieni, poza którymi siedzieli Indianie.

Okazało się jednak, że nie taka łatwa sprawa z Indianami, którzy umieli wyzyskiwać dalekonośność swoich karabinów.

Jeszcze żołnierze, rozsypani w tyralierkę, nie przeczołgali się na dwieście kroków, a już dziesięciu pozostało po drodze.

Widząc to pułkownik podskoczył na swoim siwku do działa, przy którym stał Mrocki.

— Proszę mi wykurzyć stamtąd czerwonoskórych! — zawołał wskazując na kryjówkę nieprzyjaciela.

Oficer zasalutował, otrzymując rozkaz, i dał znak Mrockiemu, żeby nabił działo.

— Szrapnel, osiemset pięćdziesiąt jardów! — zakomenderował.

Nie upłynęło pięć sekund, kiedy pocisk znajdował się już w lufie armaty. Mrocki, siedząc na małym krzeselku przymocowanym do lawety, naprowadzał działo na szereg kamieni, poza którymi leżeli Indianie.

Na komendę „pal!” kanonier pociągnął za sznurek przywiązany do zapału, rozległ się huk i pocisk poleciał w powietrze, pozostawiając poza sobą lekki obłoczek dymu, który znaczył w przestrzeni jego drogę.

Po, sekundzie zaledwie, ponad kamieniami, na wysokości kilkudziesięciu jardów, ujrano większy obłok dymu pękającego szrapnela.

— Mnie się zdaje, że cokolwiek za daleko! — rzekł Gaston przymrużając jedno oko.

Musiano nabić powtórnie działo. Tym razem szrapnel pękł przypuszczalnie nad samymi głowami Indian.

— Mają za swoje! — zawołał Gaston. — Sypnęliśmy na nich całą kwartę ołowianego grochu, który pewnie ostudzi nieco ich zapał.

Ale skutek nie był wcale doraźny. Ogień spoza kamieni nie osłabł, przeciwnie, nabrał większej jeszcze gwałtowności.

— Widzę, żeśmy spudłowali najpaskudniej w świecie! — zawołał Gaskończyk wybuchając śmiechem. — Zrobiliśmy tylko szkodę Unii na dziesięć dolarów, bo przynajmniej tyle kosztowały wystrzelone szrapnele. Poprawmy się, bo „wujaszek Sam” zbankrutuje przez nas na pewno!

Artyleria rzadko kiedy trafia pierwszym razem do upatrzonego celu, zwykle musi

wyrzucić kilka pocisków, zanim znajdzie prawdziwą odległość. Ale skoro już znajdzie, ogień jej staje się zabójczy.

Następny szrapnel wystrzelony przez Mrockiego, który sam na oko ocenił odległość, musiał wyrządzić Indianom szkodę, nagle bowiem zaprzestali ognia.

Artylerzyści śledzili ciekawie skutek swych pocisków. Oficer, który patrzył przez lunetę, spostrzegł, że nieprzyjaciel chyłkiem opuszcza swoje stanowisko za głązami i przenosi się do zarośli opodal.

— Spójrzcie no uważnie — odezwał się do Mrockiego. — Zdaje mi się, że w pobliżu krzaków sterczą spomiędzy gałęzi pióra czerwone, jakimi zwykle Indianie zdobią sobie głowy udając się na wojnę.

— Nie widzę tak daleko — odparł Sobiesław wyteńczywszy wzrok.

— Weź moją lunetę.

Mrocki popatrzył baczenie; rzeczywiście, pomiędzy gałązkami krzewów rysowały się całkiem wyraźnie pióra czerwone związane w pęk.

Obok poruszało się coś niewyraźnego.

— Tak jest, kapitanie, Indianie opuszczają swoje stanowisko licząc na to, że nie spostrzeżemy tego i będziemy nadal strzelali w dawne miejsce.

— Ale trafiła kosa na kamień; oni mają chytrą głowę, a my przebiegłość głodnego wilka i nie damy się wziąć na taki marny kawał.

— No, Mrocki, celuj, a dobrze! Zaraz przekonają się, że im takie manewry na nic się nie przydadzą.

Sobiesław wymierzył starannie działą i znów w powietrze poleciał szrapnel, który pękł nad krzakami.

— Pióra znikły, trafiono! — zawołał oficer. — Poprawić.

Nabito znów armatę, i szrapnele zaczęły lecieć jeden po drugim w powietrze i pękały wszystkie z nadzwyczajną dokładnością ponad krzakami, dokąd przenieśli się Indianie.

— Mają dosyć! — rzekł oficer, kiedy wkładano dziesiąty coś pocisk; ogień umilkł prawie zupełnie. — Resztę zrobi piechota.

Pułkownik nie tracił czasu. Na sygnał, dany trąbką, żołnierze, którzy leżeli strzelając, podnieśli się na nogi i zaczęli biec, jak mogli najprędzej, w kierunku nieprzyjaciela zasypanego gradem szrapnelowych kulek i, jak się spodziewano, zupełnie zdemoralizowanego olbrzymimi stratami. Mrocki patrzył ciekawie na walkę, nie biorąc już w niej żadnego udziału. Widział, jak piechota zbliżała się do zarośli, zamierzając wyprzeć stamtąd bagnetem niedobitki Indian.

Kiedy żołnierze znajdowali się o sto zaledwie kroków od nieprzyjaciela, stała się rzecz niespodziewana. Zza głązów, gdzie nieprzyjaciel ukrywał się z samego początku bitwy, posypał się nagle istny grad morderczego ognia karabinowego. Skutek był okropny, bo z pięćdziesięciu żołnierzy padło na miejscu, reszta, zaskoczona tym oporem, stanęła jak wryta. Indianie zaś skorzystali z tego i dawali salwę za salwą. Teraz dopiero zrozumiano, że czerwonoskórzy wyprowadzili w pole swych przeciwników. Siedzieli oni, jak przedtem, poza głązami, które dawały im doskonałą osłonę, a owe domniemane przenosiny na inne stanowisko były tylko podstępem z ich strony.

Mrocki strzelał do kilku pęków piór, zręcznie zawieszonych w krzakach, gdy tymczasem Indianie oczekiwali bezpiecznie w zasadzce, aż się żołnierze zbliżą dostatecznie, zadali też im prawdziwą klęskę, która sprowadziła powszechny odwrót.

Teraz wszystko niemal zależało od artylerii. Czy zdoła ona zapobiec powszechnej porażce, czy zasłoni cofające się w nieładzie wojsko.

Oficer, nie tracąc przytomności, zakomenderował znowu ognia. Równocześnie mały oddziałek piechoty przysunął się do armaty, położył się przed nią o parę kroków i ze swej strony gotował się do odparcia spodziewanego ataku Indian.

Jakoż ci nie dali na siebie długo czekać. Zanim żołnierze, rażeni nielitościwie kulami karabinowymi przez nie tkniętych szrapnelowymi pociskami Indian, zdołali doprowadzić do porządku swoje przerzedzone szeregi, z zarośli wypadł zastęp czerwonych wojowników na rozrukanych i na wpół dzikich mustangach; błysnęły w promieniach słońca ostrza dzid i dzirytywów rozległ się przeraźliwy okrzyk wojenny i w jednej chwili rozpoczęła się straszna walka na białą broń.

Porucznik dowodzący armatą zaklął potężnie; odtąd rola artylerii skończyła się, nie można było przecież strzelać do swoich pomieszanych z nieprzyjacielem.

Czekano beczynn timer na sposobność, kiedy da się sypanąć kartaczami w tłum czerwonych jeźdźców.

Zasłaniający działo strzelcy, którzy odgrywali rolę rezerwy, musieli także zaprzestać ognia karabinowego i przypatrywali się walce w ponurym milczeniu.

Indianie rzucali z zadziwiającą zręcznością oszczepami i dzidami w przeciwników, którzy zasłaniaли się bagnetami, ale wyższość czerwonoskórych w tej bitwie ręcznej od razu rzucała się w oczy. Rzadko który jeździec, rażony kulą rewolwerową, spadł z konia, tymczasem po stronie amerykańskiej straty były olbrzymie.

Piechota, leżąca przy artylerii, z niepokojem spoglądała na przebieg walki; kilkunastu lepszych strzelców brało na cel jeźdźców indiańskich i posyłało im nie chybiające nigdy pociski. Byli to traperzy, którzy wstąpili niedawno w szeregi armii rządowej. Oni to głównie nie dopuścili do ostatecznego pogromu. Indianie, straciwszy kilkunastu swoich, zwrócili się do prażącego ich celnym ogniem oddziału jak burzowa chmura. Ale wystrzał kartaczami, który zrzucił kilkunastu wojowników z siodła, zmusił resztę do szybkiego cofnięcia się.

Mrocki odetchnął; zdawało mu się bowiem przez chwilę, że cała załoga armaty padnie pod ciosami Indian.

Nabito granat i posłano go w ślad za uciekającymi jak wichur Indianami.

— No, mam nadzieję, że nieprędko odważą się atakować artylerię! — zawołał porucznik widząc, jak odłamy pękającego o kilkadziesiąt kroków poza Indianami granatu znów obaliły kilka koni i jeźdźców.

Artylerzyści wespół ze swoją osłoną nie pozwolili Indianom wyzyskać zwycięstwa, ale pomimo to klęska, jaką poniosły wojska rządowe, była dotkliwa.

Kiedy obliczono straty, pokazało się, że sześćdziesięciu żołnierzy padło trupem, a stu kilkadziesięciu odniosło rany, przeważnie od białej broni.

Było to tym bardziej upokarzające, że ze strony Indian pozostało na placu zaledwie dwudziestu dwóch zabitych i kilkunastu rannych. Pociski armatnie nie wyrządziły czerwonoskórym prawie żadnej szkody. Szrapnele zasypywały gradem ołowiu krzaki, w których nieprzyjaciel wcale nie przebywał. Dopiero wystrzał kartaczami i granatami położył kilkunastu jeźdźców. Żołnierze kipieli z wściekłości i to ich skłoniło do hańbiącego czynu dobicia rannych Indian. Ocalał jeden zaledwie, bo chciano od niego za pomocą środków granicznych z torturami dostać wiadomość o siłach i stanowisku nieprzyjaciela.

Dowiedziano się, ku wielkiemu swemu upokorzeniu, że oddział indiański liczył zaledwie pięciuset wojowników, czyli był dwa razy słabszy aniżeli wojsko rządowe z nim walczące.

Żołnierze zdawali sobie sprawę ze wstydu, jaki na nich spadał, i pragnęli jak najrychlejszego odwetu.

Ale dowodzący wyprawą nie miał zamiaru ściagać Indian, bo jego kawaleria była słaba. Opatrzono rannych na miejscu, pogrzebano poległych, wypoczęto kilka godzin i ruszono do kolonii, niedawno jeszcze osaczonej przez czerwonoskórych.

Ludność wyszła naprzeciw wojska witając ich jako zwycięzców, co jeszcze bardziej rozgoryczyło żołnierzy.

Musiano przyznać się do porażki, tym bardziej upokarzającej, że poniesionej w otwar-

tym polu, gdzie regularne wojsko zaopatrzone w artylerię, ma — teoretycznie — stanowczą przewagę nad Indianami.

Mrocki, którego ciągle trapiły wyrzuty, że bierze udział w tak niesprawiedliwej wojnie, miał nielepszy humor od towarzyszy. Jeden tylko Gaston, ów wesoły, ruchliwy Francuz, śmiał się i trąkotał jak zwykle.

— Myśmy zrobili, co do nas należało! — mówił. — Trafiliśmy tam, gdzie nam kazano; nie nasza wina, że oficerowie dali się wywieść w pole czerwonoskórym. Ale nie dziwię się im; nigdy nie bili się z takim przeciwnikiem, musieli frycowe zapłacić. Podług mnie odpowiedzialność za porażkę spada na tych panów, co to nieraz spotykali się z Indianami, zanim do wojska wstąpili, a teraz byli do niczego! Ot, co jest!

W istocie, pomiędzy żołnierzami było kilkunastu traperów i ci, słysząc rezonowanie Gaskończyka, czuli się srodze dotknięci.

Nie mogli bowiem odmówić mu słuszności.

Jeden z nich, wysoki, chudy strzelec, zbliżył się do działa, przy którym rozprawiał Francuz otoczony liczną grupą słuchaczy.

— Skądżeś to przywędrował, ty szeroka gębo?! — zawołał oburzony. — Umiesz krytykować innych, a sam niewiele byś zdziałał.

— Gdyby nie nasze kartacze i granaty, Indianie wytlukliby was jak głupie bizony w polu. Zapamiętaj to sobie, cienka fujaro, że artylerzyści ocalili was od niechybnej zagłady, i miej dla nich większy szacunek!

— A kto, jeśli nie nasi obronili was od Indian z waszą armatą razem, która strzelała do krzaków i naboje tylko marnowała?

— Samiśmy kartaczami czerwonych odpalili! — krzyczał zaperzony Francuz swą łamaną do śmieszności angielszczyzną. — To wasza rzecz była poznać się na fortelu nieprzyjaciela i nie dać się wziąć na pęczek piór kolorowych jak dzieciaki.

Wywiązała się gorąca sprzeczka w której brali udział prawie wszyscy. Położyli jej koniec oficerowie, którzy kazali się stawić przed sobą wszystkim byłym traperom.

Pułkownik był to sobie mieszczuch zwyczajny, który, jak się pokazało, jeszcze naprawdę prochu nie wachał. Porażka zmartwiła go bardzo; nie przypuszczał bowiem, żeby Indianie mogli go wystrychnąć na dudka; wyobrażał sobie, że czerwoni, są groźni tylko dla jednego lub kilku białych i na „armię” nie odważą się napaść; a jeżeliby nawet się odważyli, to dostaną wnyki, co się zowie. Słuchając dowodzeń traperów, którzy głośno krytykowali niedoęstwo komendy, postanowił się ich pozbyć i w tym celu obmyślił, jak mu się zdawało, dowcipny kawał.

— Pozwoliliście sobie na złośliwe uwagi o postępowaniu swoich przełożonych — rzekł pobrękując szablą. — Chętnie jednak wybaczam to, widzę bowiem, że kierujecie się dobrem kraju i pragniecie, żeby armia Stanów, w której macie honor służyć, zwyciężała. Pragnę was powołać do oddziału ochotniczo-wywiadowczego, który otrzyma polecenie śledzenia Indian i donoszenia mi o ich stanowiskach, sile i ruchach. Przyznaję, że zwykli żołnierze, chociażby najwaleczniejsi, na nic by się tutaj nie przydali. Tu potrzeba ludzi przebiegłych, oswojonych z życiem w pustyni, znających na wylot wybiegi indiańskie. Kto z was zechce należeć do tego latającego rekonesansu?

— Cieszy mnie wasza gotowość! — zawołał pułkownik. — Mogę wam dać konie, jeśli chcecie.

Traperzy jednak woleli udać się na zwiady pieszo.

Dowódca nie sprzeciwiał się.

„Tym prędzej czerwonoskórzy dostaną w łapy tych buntowników, co moją powagę podkopują” — pomyślał.

Ponieważ jednak nie bardzo ufał tym „odrzyskórom”, jak pogardliwie nazywał traperów, postanowił więc uformować jeszcze jeden latający oddziałek złożony z najlepszych

kawalerzystów.

ROZDZIAŁ XII

NA OCHOTNIKA

Rozpoczęło się poszukiwanie dobrych jeźdźców w oddziale. Znalazło się kilkunastu byłych pastuchów, czyli cowboyów, ale niewielu. Widząc, że do kompletu brak jeszcze sporo ludzi, wcielono do oddziału co lepszych jeźdźców. Między nimi znalazł się także Mrocki.

Oddziałek składał się z kilkudziesięciu żołnierzy, po największej części byłych pastuchów, ludzi na wpół dzikich, którzy zapewne dla różnorodności zaciągnęli się do wojska, a przyjęto ich, bo na siodle czuli się jak na krześle.

— Niech tamci włóczą się piechotą — rzekł pułkownik, kiedy wywiadowcy stanęli przed nim. — Czerwonoskórzy na pewno im nie darują i niewiele się pewnie od nieboszczyków dowiem. Wy to zupełnie co innego, macie między sobą paru takich, co z Indianami nieraz już mieli do czynienia, a jeździecie dobrze konno, tak łatwo więc im się nie dacie; żebyście tylko w zasadzkę nie dali się złapać! Pilnujcie mi tych czerwonych diabłów i jeśli się o nich co dowiecie, zaraz mi znać dajcie. No, jazda!

Po tej przemowie machnął ręką; oddział skoczył na koń i, prowadzony przez młodego podporucznika, świeżo upieczonego, oddalił się dobrym kłusem.

Mrockiemu było wszystko jedno, kto go prowadzi. Od czasu gdy w obawie przed czekającą go nędzą wstąpił do wojska, pogrążony był w jakiejś dziwnej apatii. Nic go nie obchodziło, dokąd i z kim jedzie.

Spomiędzy jego towarzyszy jeden tylko mógł się przydać do śledzenia Indian, a mianowicie cowboy ze stanu Texas. Oficer wiedział snadź o jego kwalifikacjach, bo nie odjechało jeszcze mili, kiedy kazał się zatrzymać i odbył z nim krótką naradę wojenną. Cowboy jechał odtąd przy boku dowodzącego rekonesansem i dawał baczenie na wszystko dokoła.

Upatrywano na wilgotnej ziemi śladów, ale nie dostrzeżono na razie nic podejrzanego; dopiero w kilka godzin potem cowboy, który nosił imię Jonasza, kazał wszystkim zejść z koni i ukryć się w pobliskich zaroślach.

Mrocki zeskoczył z siodła.

Okazało się, że nieprzyjaciel w bardzo znacznej liczbie przechodził tamtędy nie dawniej niż przed godziną. Należało tedy zachowywać jak największe środki ostrożności, żeby nie ściągać na siebie nawały wroga.

Pomiędzy drzewami wznosiła się wysoka topola, z której Jonasz umyślił rozejrzeć się po okolicy.

Zaledwie jednak dotarł do połowy wysokości, kiedy zaczął pośpiesznie złazić na powrót.

— O milę stąd obóz nieprzyjacielski! — zawołał. — A tośmy ładnie wpadli! Czerwoni nie rozpalili ognisk w obawie zdrady, ale mam niezłe oczy i widziałem dokładnie kilku wojowników prowadzących konie luzem do wodopoju, bo płynie tędy rzeczka. Na pewno nad nią się rozłożyli. Mielibyśmy się z pyszna, gdyby i oni nas dostrzegli.

Żołnierze w mgnieniu oka znaleźli się znów na siodłach.

Jeszcze oficer nie zdążył zakomenderować, kiedy Jonasz, który w dalszym ciągu prowadził obserwacje, przybiegł z alarmem.

— Już nas zobaczyli! — krzyczał z dala. — Nie zdążymy im umknąć. Ze stu jeźdźców na najlepszych koniach pędzi w naszą stronę. Za parę minut tu będą.

— A gdyby tak odplacić im pięknym za nadobne? — rzucił jeden z cowbojów.

— Jak to? — zapytał oficer.

— A no, kiedy oni nam wczoraj kazali strzelać do krzaków, to niech i oni do tego lasu sobie popukają. Trzeba tylko, żeby się ktoś z naszych ofiarował na wabia.

Podporucznik wybuchnął śmiechem.

— Rzeczywiście, pyszny pomysł! — zawołał. — No, kto będzie odgrywał rolę pęku piór?

Przez chwilę zapanowało milczenie; wreszcie spomiędzy wywiadowców jeden dał ostrogę koniowi i wyskoczył naprzód.

— Dlaczego bym ja nie miał spróbować tej przyjemności?

— Oho! Gruby Dick! Niech żyje! — zawołano zewsząd.

Dick zdjął czapkę i poważnie uklonił się towarzyszom.

— Co mam robić? — zagadnął salutując.

— Jonaszu, powiedz mu, jak się ma zachować, żeby wziąć na kawał Indian! — zawołał podporucznik.

— A no, prosta rzecz! Tylko nie ma ani chwili do stracenia. Włóż oto na tę samą topolę, z której ja się teraz spuściłem, trzymaj w garści karabin i niezbyt się ukrywaj, żeby cię czerwoni bez trudności spostrzegli.

Siedź sobie na grubszej gałęzi z bronią gotową do strzału i rozglądaj się z wyciągniętą szyją, patrz w tamtą stronę, konia uwiąż sobie pod drzewem; Indianie pewnie zaczną do ciebie pukać, ale nie odpowiadaj na strzały, tylko siedź i patrz. Oni pomyślą, że to czata pilnująca całego oddziału. Najpewniej nie zbliżą się, będą nas szpiegować, żeby się przekonać, czy nie za wielu nas tu w lasu się ukryło. Rozumiesz? No, leż, bo nas tu nie będzie za chwilę; a czy masz dobrego konia? Nie dogonią cię czasem? He? Bo byłoby mi bardzo przykro, gdybyś stracił swą piękną czuprynę w tej przygodzie.

— Jak to? Więc zostawimy go tutaj na łaskę przeważającego wroga? — oburzył się Mrocki.

— No, jeden musi zostać — odparł Jonasz. — Jak nie on, to może ty?

— Prędzej od ciebie! — mruknął Sobiesław.

— Jeżeli nasz porucznik nie ma nic przeciwko temu, to sobie zostań.

— Kiedy tak, to zostanę!

— Doskonale! — zawołał porucznik. — Będiesz utrzymywał łączność pomiędzy czatą a nami.

Oddział wywiadowczy pod osłoną lasu odjechał szybko, Dick jak kot wdarł się prawie na sam szczyt topoli. Mrocki trzymał jego konia za uzdeczkę i zza pnia wychylał się, żeby także coś zobaczyć. Ale z tego miejsca nie widział nic.

Był tak jakby sam, bo towarzysz jego, usadowiwszy się według wskazówek kolegi na grubej gałęzi, zachowywał się jak mumia.

Powoli Mrockim zaczynał miotać niepokój. Nadstawiał uszu, zeskoczył nawet z siodła i przyłożył ucho do ziemi, czy nie dojdzie go tętent zbliżającego się zastępu indiańskiego; ale dokoła panowała głucha cisza.

„Czyżby Jonasz fałszywie nas zaalarmował? — myślał młodzieniec. — Ale nie, nie odważyłby się żartować sobie ze wszystkich. Indianie muszą znajdować się w pobliżu, a jeżeli się zatrzymali, znak to niezawodny, że sztuczka się udała. Dlaczego jednak nie strzelają?”

Mrocki, stojąc pod topolą, gubił się w domysłach.

Zdawało mu się, że lada chwila ukażą się Indianie na spienionych mustangach, z dzidami wzniesionymi nad głową i rzucają się na niego.

Co w takim razie zrobić? Walczyć z przeważającą siłą? Ależ byłoby to szaleństwem! Rósądek nakazywał umykać co koń wyskoczy. Szczęściem Mrocki czuł pod sobą bardzo dobrego wierzchowca. To go nieco uspokoiło, ale ciągle denerwowała go ta niepewna sytuacja.

cja. Wreszcie nie wytrzymał.

— No i cóż? — zagadnął głośno Dicka, który siedział jak lalka, nieporuszony na swej gałęzi.

Dick nie wziął mu za złe tej ciekawości.

Nachylił się do niego i zawołał równie głośno:

— Indianie niedaleko! Bacność!

Mrocki instynktownie zdjął z ramienia karabinek, który mu dano na wyprawę, i odwiódł zamek gotując się do strzału.

Patrzył dokoła podejrzliwie, czując, że da ognia do pierwszego lepszego poruszającego się przedmiotu.

W takim napięciu minęło kilka długich minut.

Nagle z odległości paruset metrów padł strzał i kula karabinowa, dobrze wymierzona, trafiła snadź w grubego Dicka, bo ten, rozłożywszy ręce, spadał z gałęzi na gałąź i w parę sekund runął u samych nóg Mrockiego. Oczy miał przewrócone, z ust płynęła obficie krew. Chciał coś powiedzieć, ale już nie mógł. Ręka szukała jakby broni, potem zaczęła szarpać konwulsyjnie trawę. Odważny Dick konał.

Rumak Sobiesława, przerażony widokiem trupa, dał dęba. Jeździec rzucił dokoła oczami, ale nic nie dostrzegł. Instynktownie szarpnął za cugle, wbił ostrogi w boki konia i puścił się szalonym galopem w kierunku swoich.

Było to, jak się okazało, w samą porę zrobione, gdyż ledwie Mrocki minął ostatnie drzewka lasu, gdy z gąszczy wypadła lawina czerwonoskórych kawalerzystów i pędziła za uciekającym, wywijając arkanami.

Przez chwilę zdawało się Sobiesławowi, że jedna z tych strasznych, rzemiennych zmij owinęła się dokoła jego ciała, lecz ześliznęła się bezwładnie po gładkiej kurtce.

Młodzieniec nie mogąc powstrzymać ciekawości obejrzał się.

Istotnie, o kilkadziesiąt kroków zaledwie poza nim galopował na roslym mustangu ponury jeździec indiański i ścigał właśnie arkan. Mrocki ścisnął mocniej konia ostrogami.

Był, jak wiemy, doskonałym jeźdźcem, ale przez jakiś czas obawiał się, czy jego wierzchowiec zdoła wyprzedzić mustangi dosiadane przez równie wprawnych kawalerzystów indiańskich.

Rzucał okiem poza siebie, co chwila mierząc z przestrachem odległość pomiędzy sobą a ścigającymi go. Nie zmniejszała się na szczęście! Szukał też wzrokiem swoich, ale prócz rzadko rosnących w stepie drzew nie widział nic.

Oddział wojska znikł, nie wiadomo gdzie, jak gdyby pod ziemię zapadł!

Już Mrocki nabrał otuchy, gdy wtem tuż koło jego ucha rozległ się przeciągły, ponury świst. To kula karabinowa przeszła mimo. Za nią zabręczała druga, potem trzecia, rzekłbyś rój olbrzymich, złośliwych szerszeni starających się wbić jadowite żądło w ciało młodzieńca.

„Jeszcze nie ta i nie ta! — myślał sobie Mrocki, ilekroć postyszał złowieszczy świst koło siebie. — Ta, co brzęczy, już nie jest niebezpieczna”.

Spodziewał się jednak, że lada chwila któraś dosięgnie go albo zrani konia. W obu wypadkach śmierć pewna!

Gdyby nie to, że nieprzyjaciel strzelał w biegu, już dawno któryś z pocisków trafiłby w uciekającego.

Koń i jeździec, pierwszy z wyciągniętą szyją, drugi pochylony na siodle, tworzyli jakby jedną całość.

Step tętnił pod kopytami, ścieląc się skutkiem szybkiego biegu w oczach Mrockiego jak równa, szarozielona wstęga.

Niespodziewanie naprzeciw temu niepokojącemu rojowi kul, który ścigał Mrockiego, wyleciał drugi, jeszcze liczniejszy.

Młodzieniec mimo woli obejrzał się. Zauważył, że Indianie, smagnięci gradem ołowiu, ściągnęli cugle swych rumaków tak gwałtownie, że omal nie poupadali razem ze zwierzętami; potem zawrócili w mgnieniu oka. Pozostało tylko na trawie kilka koni zabitych albo rannych, które miały się konwulsyjnie, obok nich leżeli jeźdźcy.

Odezwała się druga salwa i znowu rój szerszeni ołowianych poleciał za uciekającymi. Mrocki miał tyle przytomności, że zatrzymał się, zeskoczył na ziemię i kazał położyć się koniowi. Czuł bowiem, że choć minęły go kule indiańskie, trafić go mógł pocisk przeznaczony dla nieprzyjaciela.

Wnet jednak grad ołowiu ustał, natomiast zza drzew wypadł cały szwadron kawalerii, który, co koń wyskoczy, rzucił się w pogoń za Indianami.

Mrocki znalazł się akurat na samej drodze pędzącego oddziału i w jednej chwili zmiarkował, jak straszne grozi mu niebezpieczeństwo. Szwadron rozstratuje go na śmierć! Zerwał się więc z szybkością błyskawicy, podniósł konia potężnym kopnięciem i wskoczył na siodło. Miał zaledwie tyle czasu, żeby schwycić za uzdeczkę i uderzyć ostrogą swego rumaka, a już kawaleria nadbiegła. Nie wiedząc sam, jak i kiedy, Sobiesław uczuł się porwany przez lawinę i galopował wraz z nimi.

Konie Amerykanów były niewątpliwie lepsze aniżeli mustangi przeciwnika. Niebawem też odległość pomiędzy Indianami a pościgiem zaczęła się zmniejszać. Czerwonoskórzy zmiarkowali to. Chcąc więc powstrzymać pogoń, z zadziwiającą zręcznością odwracali się w pełnym galopie na siodłach i posyłali, nie celując nawet, kule karabinowe poza siebie.

Nie były to pociski dobrze wymierzone, ale niemniej jeden na sto trafiał. Co kilkadziesiąt kroków któryś koń potykał się albo jeździec zlatywał na ziemię. Kawalerzyści rządowi odpowiadali, choć z mniejszym skutkiem.

Taka strzelanina w pełnym biegu trwała parę minut..

Szwadron jednak, podniecony, nie zatrzymywał się. Za kwadrans najdalej miano dosięgnąć uciekających.

Mrocki pędził ze szwadronem, gdy nagle poczuł lekkie uderzenie w piersi. Zaraz potem ogarnęło go takie osłabienie, że zaczął słaniać się na siodle. Chciał złapać się za grzywę swego konia, lecz nie miał siły; w oczach zrobiło mu się ciemno; wiedział tyle tylko, że spada, że uderza głową o coś twardego.

Kiedy otworzył oczy, leżał na ziemi, a nad nim klęczał jakiś oficer i paru żołnierzy z białymi przepaskami na ramieniu. Oficer trzymał w ręku szeroki kawałek płótna zbroczonego zupełnie krwią i obmywał piersi Sobiesława. Potem zdjęto z niego mundur, koszulę, położono go na noszach i bandażowano długo i starannie. Opatrunek ten nie sprawiał Sobiesławowi żadnego bólu; przykro mu było tylko patrzeć na tyle krwi, zwłaszcza że była to widocznie jego własna krew.

Kiedy go felczerzy i ich pomocnicy ułożyli znów na noszach i zaczęli iść, mgła powtórnie zasłoniła mu oczy.

Odzyskał przytomność dopiero w lazarecie polowym, na łóżku. Zmieniono mu snadź opatrunek, bo go rana bolała. Chciał się zapytać o coś, lecz felczer położył palec na ustach na znak, że nie powinien mówić.

„Nie wolno mi się nawet spytać o nic — pomyślał sobie ze smutkiem Sobiesław. — Kiedy tak, to muszę być ciężko ranny”.

I biedak nie mylił się wcale. Kula indiańska przebiła mu na wylot pierś, nadwerężając płuca; stąd właśnie ten silny krwotok i osłabienie.

Mrockiego ogarnęła apatia. Nic go nie obchodziło, czy umrze, czy wyzdrowieje. Myślał tylko przez chwilę o swoich biednych rodzicach, o siostrzyczce. Żał mu się zrobiło, że jej już nigdy nie zobaczy. Ale wszystko to trwało niedługo. Młodzieniec, wyczerpany, usnął głęboko. Miał snadź gorączkę, gdyż majaczyło mu się, że siedzi na koniu i jeździ pod okiem

porucznika Bialskiego, na dziedzińcu koszarowym. Porucznik smaga go niemiłosiernie batem, i to w same piersi. Uderzenie bicia pali go strasznie, nasmołowane konopie wrzynają się głęboko w ciało i kłują jak owa żmija żelazna. Oh, żmija! Sobiesław widzi się znów na wielkiej, czarnej od dymu i sadzy sali, w głębi której jarzą się wyloty pieców. Obok niego zgrzytają walce kręcące się jak szalone. Aha, z paszczy walców wyrzała żmija, gruba, czerwona, tryskająca iskrami, i pełza wolno, wolno do stóp Sobiesława. On stoi, chce uciekać, ale nie może.

Strach sparaliżował mu mięśnie w nogach. Czeka, a żmija już podczołgała się do jego nóg, podnosi czerwony łeb i zaczyna owijać się dokoła jego ciała. Ach, jak strasznie parzy. Już, już dosięgła piersi, wpija się w nie jadowitym żądłem.

Mrocki krzyczy:

— Ratunku!

Otwiera oczy i widzi nad sobą twarz pielęgniarza, który niecierpliwie patrzy na ranego.

— Leżże cicho — woła nań. — Masz gorączkę, dostaniesz lekarstwo, żebyś się nie darł, bo innym chorym spać nie dajesz!

Kładą mu w usta łyżkę z jakimś słodkim płynem. Połyka i znów zamyka oczy.

Ale gorączka rozpała w nim wszystkie dawno przecierpiane bóle, prowadzi go tam, skąd mu się udało umknąć. Przesuwa się przed nim cały łańcuch okropnych wspomnień. Widzi siebie na morzu, łaknącego wody. „O, wody, wody! Dajcie mi choć kroplę!” Kapitan zabiera butelkę i przytyka ją sobie do ust! Niegodziwiec! Sam chce wypić wszystko do ostatniej kropli i on, Sobiesław, nie dostanie nic! A ogień pali jego wnętrzności! Oburzenie ogarnia Mrockiego. Rzuci się na samolubnego kapitana, ażeby mu odebrać butelkę, ale ten nie wypuszcza jej z rąk. Mrocki walczy, ciągnie butelkę ze wszystkich sił, powala kapitana na tratwę... pasują się. Wtem uderza fala i pokrywa ich obu. Mrocki otwiera spieczona usta i pije wodę morską, która wydaje mu się tak słodka, jak to lekarstwo! Oh, pić, pić!

Znowu otwiera oczy i widzi obojętną twarz pielęgniarza lazaretowego.

Szepce: „Pić!” Przytykają mu do ust kubek z wodą.

Oh, ta gorączka!

— Czy ja się wyleczę? — pyta przechodzącego felczera.

Ten wzrusza ramionami.

— Kto wie! Może Bóg da! Rana ciężka, płuca przebite! Przede wszystkim trzeba leżeć spokojnie; a ty się rzucasz jak wściekły i opatrunki się zsuwają. Doktor kazał cię pilnować. No, teraz się napiłeś, więc śpij; ale nie ruszaj się, bo będzie źle!

Mrocki leży cicho, pragnąłby się obrócić na prawy bok, lecz nie ma siły. Spróbował; zabolalo go w piersi. Smutno mu! Dokoła stoją łóżka, a na nich ranni. Słychać jęki. Robi się wieczór. Zapalają światła w baraku, a raczej w wielkim namiocie!

Młodzieniec nie może jednak czuć długo, oczy same zamykają mu się, zapada znów w sen przerywany widziadłami.

Musi przeżywać powtórnie nieszczęścia, które go spotykały na ziemi amerykańskiej. Ale wszystko to nic w porównaniu z pragnieniem. On już nigdy nie będzie pracował w hucie ani w stalowni! Jak tam gorąco! Pot go ciągle oblewa, a to pragnienie takie straszne!

ROZDZIAŁ XIII

UŚMIECH LOSU

Mrocki długo leżał w szpitalu. Był, jak to się mówi, między życiem a śmiercią, bo rana z trudnością się goiła.

Skorzystano z pierwszego transportu, żeby go przewieźć do pobliskiego miasta, do szpitala wojskowego.

Sobiesław leżał tam i czekał cierpliwie, jak się los jego obróci: czy wstanie uzdrowiony, czy też spocznie w ciemnym grobie.

Okazało się jednak, że nasz bohater miał wiele sił żywotnych; pomimo trudów i niedostatków organizm jego zwyciężył, rana zgoiła się wreszcie, krwotoki nie powtarzały się już tak jak z początku; zaczynał wracać apetyt; gorączka znikła bez śladu; na błądą, poźółkłą i wychudłą twarz występowały coraz częściej rumieńce wracającego zdrowia, a z nimi i uśmiech pojawiał się nieśmiało na ustach.

W szpitalu opieka była wcale niezła, doktorów wystarczająca ilość, utrzymanie było także nienajgorsze, choć i tu, jak wszędzie, działały się nadużycia. Mrockiemu obiecywano, że za dwa tygodnie będzie mógł wrócić do swojej baterii.

Zanim jednak przepowiednie ziściły się, upłynął miesiąc. Przez ten czas wiele się zmieniło. Po krótkich i mało znaczących potyczkach, bo do walnej bitwy nie doszło z Indianami wcale, rząd Unii wstąpił w układy z buntownikami, zawarł z nimi pokój obiecując jak zwykle wszystko, a nie mając zamiaru i połowy dotrzymać.

Armia rządowa, zamiast się powiększać, malała; nie przyjmowano już wcale ochotników; wojska wysłane przeciwko czerwonoskórym wracały na zwykłe leże. Pozostawiono tylko część na terytorium indiańskim, a żeby odjąć Indianom chętkę odgrzebania tylko co schowanej siekiery wojennej.

Kiedy Sobiesława wypisano jako zdrowego ze szpitala, udał się do swojej baterii, która kwaterowała w jednym z pogranicznych miasteczek. Przyjęto go, jakby powracał z tamtego świata.

Koledzy urządzili na jego cześć pijatykę, w której pękło coś dziesięć butelek; okazało się, że pomiędzy artylerzystów on jeden odniósł rany!

Nastał okres pokoju. Życie w baterii płynęło dość monotennie; w zimie siedzieli wszyscy w koszarach; latem było weselej, bo wprawiano się w strzelaniu do celu pod gołym niebem, w stepie. Mrocki, który miał naturę czynną, nie potrafił pogodzić się z próżnowaniem. Raziły go bezmyślne ćwiczenia. Ponieważ czuł się zupełnie zdrow, najbliższą więc zimę poświęcił nauce języków w nadziei, że po wygaśnięciu kontraktu łatwiej mu będzie znaleźć pracę.

Po pewnym czasie, gdy otrzymał urlop, postanowił spełnić słowo, które dał ongi na tratwie, wśród oceanu, nieszczęśliwemu marynarzowi, staremu Billowi, konającemu z rany i pragnienia.

Dotąd pamiętał słowa tego biedaka, który powierzył mu los swego ukochanego dziecka.

Teraz nadeszła pora spełnienia woli umierającego.

Kwit ocalał pomimo tyłu ciężkich przygód Mrockiego. Młodzieniec zaszył go w odzieży i nawet rabusie podczas budowy kolei nie zabrali mu cennego papieru.

W Baltimore szukał Nelly parę dni, aż nareszcie dopytał się o nią.

Jej matka umarła, dziewczyna pozostała sierotą i pracowała jako zwyczajna robotnica w fabryce wstążek.

Zdziwiła się niezmiernie, otrzymawszy list od nieznanego człowieka, obiecującego jej wiadomości od ojca, którego nawet dobrze nie pamiętała. Poszła na umówione miejsce do parku, i jeszcze bardziej się zdumiała, zastawszy młodego, zręcznego podoficera artylerii.

Mrocki przedstawił się dziewczynie z całą uprzejmością. I on również był zmieszany; spodziewał się bowiem ujrzeć zwyczajną, ubogą, wynędzniałą dziewczynę, tymczasem stanęła przed nim uroczą panną, o złocistych włosach i ciemnoniebieskich oczach, takich właśnie jak otchłanie oceanu, gdzie spoczywał wiecznym snem jej ojciec.

Stali chwilę naprzeciw siebie, nie wiedząc, co mówić. Pierwszy otrząsnął się z wrażenia Mrocki.

Usiedli na ławce i on zaczął opowiadać jej wszystko; o dostaniu się na „Delfina”, o burzy, rozbiciu, smutnej tułaczce po morzu na tratwie, o strasznym pragnieniu i głodzie, o chorobie i tragicznej śmierci starego marynarza.

Kiedy w opowiadaniu doszedł do miejsca, w którym Bill powierzał mu swoją tajemnicę i oddawał pod opiekę dziecko, Nelly najprzód zarumieniła się po same uszy, a potem wybuchnęła płaczem. Sobiesław musiał ją pocieszać, a robił to z taką kobiecą pieczołowitością i serdecznością, że młoda dziewczyna podniosła na niego pełne wdzięczności i zachwytu oczy.

— Dzięki panu! Dzięki! — powtarzała ściskając go za rękę. — Musi pan być zacnym człowiekiem, kiedy tak sumiennie wypełnia włożony na siebie przez konającego towarzysza obowiązek.

Mrocki pokazał Nelly kwit i oświadczył, że wyda go prawej właścicielce, skoro ta dojdzie do pełnoletności albo będzie wychodziła za mąż, tak bowiem postanowił ojciec.

Na te słowa Nelly zarumieniła się jeszcze bardziej i oświadczyła, że nie ma narzeczonego i nie myśli w ogóle o zamęściu.

Ale równocześnie spojrzała na Mrockiego tak serdecznie, że młody człowiek zarumienił się także.

Nelly była istotnie przeslicznym, najwyżej siedemnastoletnim dzieckiem, prawie panną, pączkiem, który lada chwila ma się rozwinąć we wspianiały, odurzający wonią i barwą kwiat.

Gdyby nie to, że musiała ciężko pracować na kawałek chleba, wyglądałaby jeszcze powabniej.

Rozstali się, oczarowani sobą wzajemnie, bo Sobiesław był chłopcem jak malowanie.

Nazajutrz „opiekun”, jak nazwał siebie żartobliwie Mrocki, widział się znów ze swoją pupilką i te odwiedziny powtarzały się przez całe dwa tygodnie pobytu Mrockiego w Baltimore.

Sympatia, która zjawiała się tak nagle pomiędzy obojgiem młodych, szybko zamieniła się w trwałe i głębokie uczucie.

Sobiesław odjeżdżał żegnany przez płaczącą skrycie za nim pannę. Nie powiedzieli sobie jeszcze o swoich uczuciach, ale oboje zdawali sobie dokładnie z nich sprawę.

Obiecali, że będą do siebie pisywać. Mrocki pozostawił kwit w rękach pewnej zaufanej osoby obawiając się, że jako wojskowy, będzie musiał znów udać się w dalekie strony i że cenny dokument mógłby zaginąć.

Odtąd Sobiesław marzył o Nelly, posyłał do niej co kilka dni długie listy, w których nie ukrywał już swych uczuć. Nelly odpowiadała mu wzajemnością, był więc szczęśliwy jak nigdy w życiu.

ROZDZIAŁ XIV

ROZSTANIE Z BOHATEREM POWIEŚCI

Rozpoczynając prawdziwe opowiadanie przygód Mrockiego zaznaczyliśmy, że chcąc dać pełny obraz życia tego młodzieńca, musielibyśmy napisać nie dwa, ale przynajmniej dziesięć tomów... Ta wielka obfitość ciekawych wydarzeń i przygód Sobiesława skłania nas do smutnej konieczności położenia kresu naszemu, przydługiemu już nieco opowiadaniu. Towarzyszyliśmy Mrockiemu jako żołnierzowi w artylerii pruskiej, w jego ucieczce po awanturze z prześladowającym go porucznikiem Bialskym, w jego podróży przez morze; widzieliśmy go jako rozbitka z „Delfina”, błakającego się wraz z kilku kolegami na tratwie pośród wodnej pustyni Atlantyku, potem byliśmy świadkami jego nędzy i prześladowań na plantacji kawy, skąd wy dostał się po tylu nadzwyczajnych przygodach w puszczy brazylijskiej; potem musieliśmy podziwiać jego krwawą walkę o kawałek chleba jako robotnika fabrycznego, wreszcie poszliśmy za nim na pole bitwy, gdzie odniósł ciężką ranę.

Przesunął się przed naszymi oczami cały szereg obrazów, które dobitnie dowodzą, jak ostrymi cierniami jest usłana ścieżka życia biedaka zmuszonego pracować na kawałek chleba. Mrocki zdobywał sobie iście „znojny chleb”.

Nie sądźmy jednak, że przygody Mrockiego skończyły się.

Należy opowiedzieć o nich, chociaż w krótkości, skoro nie ma czasu ani miejsca, żeby je szczegółowo przedstawić naszym czytelnikom.

Otóż niebawem po zakończeniu wojny ze zbuntowanymi Indianami, zanim jeszcze Sobiesław zdołał osiągnąć cel swych marzeń i poślubić córkę Billa, wybuchła dość niespodziewanie wojna pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Hiszpanią.

Z początku te dwa państwa nie miały najmniejszego zamiaru toczyć ze sobą krwawych zapasów, ale na wyspie Kubie, która stanowiła do niedawna perłę kolonii hiszpańskich w Ameryce, wybuchło powstanie. Ciągnęło się ono bowiem już od dłuższego czasu. Wojska hiszpańskie nie mogły pokonać powstańców ukrywających się w lasach niedostępnych, ale też i ci nie zdołali wypędzić z wyspy Hiszpanów.

I nie wiadomo, jakby się skończyła ta walka o wolność odważnych Kubańczyków, gdyby nie wmięszanie się Stanów Zjednoczonych uważających się za naturalnego opiekuna ludów amerykańskich.

Nie była to, niestety, wojna bezinteresowna. Stany ujrzały swój handel z wyspą zagrożony. Właścicielom plantacji trzciny cukrowej w południowych stanach szło o to, żeby zniszczyć plantacje tejsze trzciny na Kubie i w ten sposób podnieść ceny na cukier, pozbywszy się niebezpiecznego współzawodnika. Milionerzy amerykańscy zasilali więc po cichu nie tylko pieniędzmi, ale i ludźmi, powstańców kubańskich. Wysłano z Ameryki na wyspę oddziały ochotnicze, tak zwane flibustierskie *, które, łącząc się z powstańcami, utrudniały niezmiernie Hiszpanom walkę. Przy sposobności oddziały takie niszczyły plantacje trzciny cukrowej należące do Hiszpanów.

Ostatecznie jednak Stany uznały za właściwe wmięszać się czynnie do tej wojny. Kiedy Hiszpania nie chciała przyznać niepodległości Kubie, Stany wysłały na tę wyspę swoje wojsko i potężną flotę, która urządziła formalną wyprawę na hiszpańską flotę wojenną znajdującą się pod dowództwem admirała Cervery. Flota szukała schronienia w Santiago, ale, zmuszona przez oblegające od strony lądowej wojska amerykańskie do opuszczenia swojego stanowiska zagrożonego przez wielkie działa, wypłynęła na morze otwarte. Wybuchła krótka,

* Wojnę tę odmalował autor niniejszej powieści w utworze: *Flibustierowie*.

ale niezmiernie krwawa bitwa morska, w której Hiszpanie ponieśli srogą porażkę ze strony przeważającej siłą i liczbą okrętów floty Stanów Zjednoczonych.

Jakąż rolę w całej tej kampanii odegrał nasz bohater?

Oto zaraz w samym początku wojny nadeszła wieść, że bateria, w której służył Sobiesław, ma się udać na plac boju. Pogłoski bardzo szybko się sprawdziły. W parę tygodni po rozpoczęciu kroków nieprzyjacielskich Mrocki wsiadł na statek, który wysadził go wraz z całą baterią pod Santiago.

Jakkolwiek Mrocki nie ostrzeliwał ze swej armaty okrętów Cervery, bo na to było potrzeba ciężkich dział oblężniczych, to jednak brał udział w utarczkach załogi z oblegającymi miasto i kilka razy znajdował się w bardzo silnym ogniu. Z potyczek tych wychodził cało; raz tylko odłamek granatu drasnął go lekko w głowę.

Jakież jednak było zdziwienie Sobiesława, kiedy raz, siedząc w namiocie i czytając list, świeżo skreślony do rodziców, ujrzał przed sobą... dawnego towarzysza doli i niedoli — pocziwego Grzymałę.

Z początku nie poznał go wcale, Witold bowiem był odziany w mundur flibustierski. Zaciągnął się on do jednego z tych oddziałów ochotniczych wysyłanych prywatnie niejako, ale z wiedzą rządu Stanów, na Kubę.

Na wyspie bawił już od kilku miesięcy, nie mógł się jednak w żaden sposób ze swym dawnym towarzyszem spotkać.

Dopiero teraz odnalazł go dzięki zbiegowi okoliczności.

Pocziwy Grzymała nie śmiał rzucić się w ramiona Mrockiemu — podoficerowi, choć miał na to wielką ochotę; stał nieborak wyprostowany, z rękami opuszczonymi wzdłuż bioder, jak każe dyscyplina wojskowa...

Ale niedługo czekał, bo Sobiesław podbiegł ku niemu i ucałował go serdecznie w oba policzki.

— Bój się Boga, z nieba chyba zleciałeś! — zawołał rozradowany. — Siadajże! A to niespodzianka! Flibustierem jesteś? Co cię, u licha, do tego zmusiło?

— At, cóż było robić! Wolałem wojaczkę niż tę poniewierkę, którą razem przynosiliśmy — odparł Grzymała siadając na obozowym krzeselku. — Mój Boże, od miesiąca pytam wszystkich o ciebie...

— No, gadajże mi o sobie. Kawał czasu się nie widzieliśmy! — mówił rozradowany Mrocki.

— Ze dwa lata chyba! — zawołał Grzymała. — Mój ty Boże, jak to czas szybko leci, jak sokół!

Sobiesław postawił butelkę ratafii i rozgadano się na dobre przy oddalonym huku dział amerykańskich, ostrzeliwujących flotę admirała Cervery.

Witold opowiedział swoje przygody od chwili rozstania się z Mrockim.

Historia Grzymały była krótka, ale bardzo smutna. W Chicago otrzymał miejsce w szlifierni kamieni. Musiał cały dzień łykać kurz i słuchać takiego zgrzytu, że po jakimś czasie ogłuchł, dostał choroby nerwów i kaszlu, z którego do tej pory nie może się wyleczyć.

Schorowany, porzucił pracę, choć bardzo zyskowną; inni robotnicy, którzy się dłużej trzymali w szlifierni, zwykle zapadali na suchoty i umierali.

Potem pracował przy budowie kolei podziemnej i znów z braku powietrza i światła, a także z powodu wilgoci, dostał reumatyzmu. Znużony, schorowany, postanowił mieszkać na wsi przez cały rok. Istotnie zdołał przepracować na jednej farmie przez dziesięć miesięcy, ale po ostrej sprzeczce z właścicielem farmy trudno mu było znaleźć pracę w okolicy, postanowił więc zaciągnąć się na Kubę.

Nie przyjęto go na żołnierza rządowego, bo jeszcze nie zamierzano wysyłać wojska na Kubę, dał się więc namówić na flibustierkę. Wysadzono go po cichu na brzeg z setką takich, jak on ryzykantów, oddano pod dowództwo oficera amerykańskiego, no i od kilku miesięcy

nieborak tułał się po lasach, ścigany przez żołnierzy hiszpańskich na równi z dzikim zwierzem. W końcu dopiero, kiedy Stany wypowiedziały wojnę Hiszpanii, położenie jego poprawiło się nieco. Oddziały flibustierskie walczyły razem z amerykańską armią regularną.

Oddział Grzymały zawędrował pod Santiago i tu się poczciwy Witold ku wielkiej swojej radości dowiedział, że Mrocki służy w artylerii i że jest w pobliżu.

Gawędka serdeczna przy kieliszku przeciągnęła się do samego świtu, po czym przyjaciele rozstali się.

Sobiesław spodziewał się, że go towarzysz doli i niedoli będzie co parę dni odwiedzał. Zdziwiło go więc, że upłynął tydzień, a Grzymała nie pokazywał się wcale.

Mrockiego ogarnął niepokój.

Udał się więc na poszukiwanie oddziału flibustierskiego, w którym Grzymała służył.

Flibustierowie obozowali niedaleko. Sobiesław znalazł bez trudności namiot, w którym spodziewał się zastać przyjaciela.

Flibustierowie, nie mając w tej chwili nic lepszego do roboty, palili cygara zrabowane plantatorom, a sądząc po aromatycznym dymie, bardzo drogie, i grali na ziemi w karty. Ujrawszy podoficera artylerii, podnieśli nań pytający wzrok.

— Czy tu służy Witold Grzymała? — zagadnął Sobiesław.

Jeden z grających zerwał się, stanął przed podoficerem, przyłożył po wojskowemu palec do czapki i uśmiechnął się, przy czym zrobił ruch ręką, wskazując na usta.

— Grzymały już nie ma — odparł.

— A gdzie się podział?

— Połknął hiszpańską kulkę.

— Jak to, ranny? — pytał tknięty złym przeczuciem Mrocki.

— Poległ przed trzema dniami w nocnej utarczce — rzekł flibustier siadając najobjętniej w świecie do przerwanej na chwilę gry.

Sobiesław drgnął. W gardle zaczęło go dławić, lzy cisnęły mu się do oczu.

— Może się mylisz? — pytał nerwowo. — Powiedz prawdę; ja jestem jego przyjacielem, więcej, jego bratem. Jakże to było?

Flibustierowie, widząc wzruszenie Mrockiego, podnieśli się i opowiedzieli w paru słowach, co się stało.

Kazano im podsunąć się pod okopy hiszpańskie, ażeby przeszkodzić obleganym wznosić nowe wały. Hiszpanie, widząc zbliżających się nieprzyjaciół, zaczęli strzelać z karabinów. Jedna z pierwszych kulek trafiła biednego Grzymałę w same usta. Chciano go podnieść, krew lała mu się strumieniem z gardła, nie mógł się nawet ruszyć. Wybełkotał parę niewyraźnych słów, których znaczenia nikt z kolegów nie mógł się domyślić, i skonał. Ot, padł na placu zwyczajnie, nawet nie w wielkiej bitwie, ale w marnej nocnej utarczce, zraszając polską krwią odległy zakątek świata.

Ale padł jak na prawego Polaka przystało walcząc za wolność upośledzonego, choć obcego jego ojczyźnie narodu, który, kto wie, nie słyszał może nawet imienia Polski.

Sobiesław, czując, że nie zdoła opanować swego żalu, kiwnął głową flibustierom i, zapytawszy, czy przy zmarłym nie było jakiego listu albo testamentu, odszedł.

Kiedy się znalazł opodal między drzewami i był pewien, że nikt go już nie widzi, usiadł na trawie i wybuchnął gorzkim płaczem, jakby po stracie najdroższego brata. Witold, poczciwy, zacny Witold, był mu równie bliski jak brat, najbliższy w świecie po rodzicach i siostrze, był mu jedynym przyjacielem w tym dalekim kraju. Sobiesław uczuł się teraz taki samotny, taki dziwnie opuszczony, że musiał przywołać całą energię, żeby nie wpaść w zwątpienie.

Przez następne parę tygodni nie mówił do nikogo prawie, unikając towarzystwa kolegów. Odszukał wspólny grobowiec, gdzie złożyli kilku poległych owej nocy, uwił własnymi dłońmi wianek z najpiękniejszych kwiatów rosnących w pobliskim gaju, wystrugał krzyżyk z drzewa i zaniósł to wszystko na miejsce wiecznego spoczynku przyjaciela.

W kilka dni potem wypadła owa bitwa floty admirała Cervery z flotą Stanów. Amerykanie zajęli Santiago i niebawem wojna skończyła się.

Sobiesław, złamany, strudzony, chory, wrócił do Stanów.

Parę miesięcy spędzonych w gorącym, febrycznym klimacie Kuby, trudy i niedostatki życia obozowego podkopały mocno zdrowie Mrockiego. Nelly zaledwie go poznała, tak zmizerniał i pobrał.

Dzięki jednak silnemu organizmowi, jak dawniej, tak i teraz szybko powracał do zdrowia.

Życie płynęło mu teraz monotonnie przez dłuższy czas. Jedyłą jego rozrywką było pisywanie listów do ukochanej narzeczonej i marzenie o chwili, kiedy będzie mógł nazwać ją swoją żoną.

Jednakże losy odłożyły tę oczekiwaną chwilę na długo.

Wybuchło powstanie na Wyspach Filipińskich, które Stany odebrały zbrojną ręką Hiszpanii podczas wojny o Kubę. Rząd postanowił poskromić walecznych wyspiarzy, choć nie przychodziło to łatwo. Musiano wysłać znaczne siły na wyspy, musiano toczyć uciążliwą, długą partyzancką wojnę z krajowcami, których po cichu zaopatrywali w broń Niemcy i inni skryci nieprzyjaciele Amerykanów.

Mrocki zaraz na początku kampanii musiał pojechać na dalekie wyspy i walczyć z powstańcami całkiem inaczej aniżeli na Kubie. Był to, tak jak w wojnie z Indianami, cały szereg drobnych potyczek, starć w lesie lub na moczarach, uciążliwych niezmiernie pochodów. Słowem, wojna ta dała się bardzo we znaki Sobiesławowi, jakkolwiek, w przeciwieństwie do piechoty, artyleria niewiele występowała przeciwko nieprzyjacielowi. Walka z narodem, który, bądź co bądź, dobijał się wolności, ciążyła Mrockiemu na sumieniu. Był więc zadowolony prawie, kiedy zabójcza febra rzuciła go na łożo boleści. Miał kilka tak silnych ataków tej strasznej choroby, że zwątpiono nawet o jego życiu. Potem powoli wracał do zdrowia w warunkach jak najgorszych.

Dużo, dużo musielibyśmy jeszcze pisać, gdybyśmy chcieli skreślić jego przygody i życie na Filipinach. Ograniczymy się tylko do krótkiej notatki, ażeby doprowadzić nasze opowiadanie do chwili obecnej.

Otóż Sobiesław, zniechęcony, chory, postanowił wracać do Stanów. Podał się zatem do dymisji i, obdarowany ładnym kawałkiem ziemi w Kalifornii, rozpoczął nowe życie.

W precudnym klimacie gór kalifornijskich, który można porównać chyba z włoskim, Sobiesław w pół roku odzyskał zupełnie siły i energię.

W jego głowie dojrzewały szerokie plany. Zabrał się energicznie do budowy małego, ale bardzo ładnego domu na własnej ziemi. Było to istne gniazdko otoczone dokoła wyniosłymi drzewami niedawno przerzedzonej puszczy i krzakami o pachnącym i barwnym kwieciu.

Na kilkunastu hektarach urodzajnego gruntu Sobiesław z niemałym nakładem pracy i pieniędzy zdołał urządzić wielki ogród, Kalifornia bowiem jest słynna na całą Amerykę ze swych doskonałych owoców. Obok sadu, w którym rosły brzoskwinie nie zrównanego smaku, morele nadzwyczajnej wielkości, gruszki i śliwy, nasz tułacz projektował sobie urządzić plantację pomarańcz. Ale dopiero „potem”.

Kiedy domek był ukończony, drzewka w sadzie przyjęły się i okryły na wiosnę białoróżowym kwieciem, które rozlewało rozkoszny zapach, Mrocki pojechał do Baltimore i stanął przed Nelly, która przyjęła narzeczonego rumieńcem wzruszenia.

— Wszystko gotowe na twoje przyjęcie, najdroższa Nelly! — mógł rzec dumny ze swego dzieła młodzieniec.

Piękna córka marynarza odpowiedziała na to uśmiechem szczęścia. Ceremonia zaślubin odbyła się skromnie przy dwóch zaledwie świadkach, po czym młoda, rozkochana w sobie para pojechała do uwitego w Kalifornii gniazdka.

Młoda Nelly wniosła jako wiano swemu mężowi ów kwit na ciężko zarobione przez ojca, a złożone przez niego w banku pieniądze, które wraz z procentami wynosiły tysiąc dolarów. Była to suma nieduża, ale bardzo się młodemu przydała. Mrocki założył za te pieniądze plantację pomarańcz.

Odtąd życie Sobiesława popłynęło jednym potokiem szczęścia. Wszystko w sadzie i na plantacji, posadzone jego ręką, rosło prześlicznie. Pracowali oboje na wyścigi i mieli to zadowolenie, że trud im się sownie opłacał. Na trzeci rok po ślubie mieli pierwsze zbiory. Dostatek najprzód, a potem dobrobyt wchodziły w progi ich uroczego, tonącego w powodzi kwiecia gniazdku.

Pierwszym czynem Sobiesława było sprowadzenie do siebie siostry i ojca; jego bowiem ukochana matka nie doczekała tej szczęśliwej chwili.

Obecnie Mrocki mieszka w Kalifornii, w swym gniazdku.

Jego uroczą Nelly obdarzyła go trzema synami, którzy, pomimo że urodzili się i wychowują na obczyźnie, nie zerwali bynajmniej serdecznych nici łączących ich z ojczyzną Sobiesława. Mówią doskonale po polsku, tak jak ich ojciec, i uważają się za Polaków. Siostra Mrockiego wyszła za mąż za jednego z sąsiadów brata, także Polaka.

Niedawno, wracając z pewnej dość odległej podróży, dziwnym zbiegiem okoliczności na pokładzie parowca spotkałem się z Mrockim. Nie potrzebuję chyba opowiadać, jak serdeczne było powitanie moje z długoletnim tułaczem.

Padliśmy sobie w objęcia i przez całą drogę opowiadaliśmy sobie wzajemnie swoje przygody życiowe. Słuchałem z natężoną uwagą opowiadań kolegi, którego uważałem za zaginionego bez wieści. To, com słyszał, opowiedziałem wam, kochani czytelnicy, bardzo mało zmieniając.

POSŁOWIE

Ostatnia kartka przeczytana. Zostawiamy Sobiesława Mrockiego w jego pachnącym gniazdku kalifornijskim wśród bladioróżowych kwiatów brzoskwiń i moreli, wśród złocistych kul pomarańcz wychylających się z ciemnej zieleni liści.

Bohater przebył długą drogą. Namęczył się, nacierpiał, ale wreszcie się wszystko dobrze skończyło.

*Jednak... ten szczęśliwy koniec, ten tak zwany „happy end” * jest bardzo smutny.*

Polubiliśmy Mrockiego od pierwszych kart książki. Trudno było nie polubić młodego Sobiesława, szlachetnego i buntowniczego ucznia, czy Sobiesława żołnierza, który targnął się na oficera pruskiego w obronie deptanej godności swojego narodu. Towarzyszyliśmy Mrockiemu w jego tułaczce za pracą i chlebem.

Cieszylibyśmy się z białego domku dla naszego tułacza — ale nie domku zdobytego za taką cenę: cenę wyrzeczenia się ideałów, które kazały mu podnieść rękę na katów swego narodu, wyrzeczenia się ideałów walki o wolność i godność narodową. A taką właśnie cenę zapłacił Mrocki za swoje przytulne gniazdko. Cenę krwi Indian, przeciw którym walczył jako najemny żołdak amerykański, krwi filipińskich powstańców, których bohaterską walkę o wolność tłumił.

Takie zakończenie wzbudzi u niejednego żal do autora. Dlaczego Władysław Umiński, pisarz o tak wspaniałej fantazji, nie mógł znaleźć dla swego bohatera innej drogi, która doprowadziłaby go do dobrobytu. Czyżby to było niemożliwe? Przecież Sobiesław Mrocki był zdolny, inteligentny, nie lękał się żadnej pracy i z każda, umiał sobie dać radę.

Nie. Fantazja Władysława Umińskiego nic tu nie poradzi. Fantazja tego świetnego pisarza młodzieżowego opierała się zawsze na prawdzie. Punktem wyjścia dla jego książek były najczęściej nowe wynalazki i odkrycia naukowe. (Np. „Balonem do bieguna”, „Na drugą planetę” i in.) Fantazja dopowiadała dalszy ciąg tych wynalazków, otwierała przed czytelnikiem wszystkie wspaniałe możliwości, którym te wynalazki drogę torowały.

Nawyk rzetelnego studiowania praw naukowych zmusił wielkiego fantastę Władysława Umińskiego do zdegradowania swego bohatera. Chcąc znaleźć szczęśliwe zakończenie powieści wprowadził go autor na drogę poddania się i rezygnacji ze swych ideałów. Drogę wiodącą do białego domku w Kalifornii.

Innej drogi nie widział.

Można uciec z plantacji kawy. Można znaleźć wyjście z dziewiczej puszczy brazylijskiej. Można wymknąć się śmierci, kiedy jest się wyrzuconym z pędzącego pociągu jak „paczka śmieci”. Nie można uciec od żelaznych praw kierujących życiem w Ameryce, praw niepisanych, a wszędzie obecnych, wszystko obejmujących, przemożnych praw kapitalizmu. Można albo im ulec, albo z nimi walczyć.

Nie swego bohatera oskarża Umiński. Oskarża plantatorów kawy, zmieniających ludzi w niewolników. Potężnych „królów kolejowych”, na których rozkaz wyrzuca się ludzi z pędzących pociągów. Oskarża prawa, które zmieniają robotników kolejowych w bandytów i sprowadzają bezrobotnych na drogę bandytyzmu. Oskarża system, który skazuje ludzi zdrowych i żądnych pracy na bezrobocie i z tego bezrobocia skręca bicz świszczący nad głowami pracujących, zmieniający ich w naganiaczy, w przepracowane, nieszczęsne „roboty”. Oskarża „demokrację amerykańską” — jak bóg Janus dwulicową. Demaskuje sławetną amerykańską wolność przymierania głodem dla jednych, absolutnej bezkarności zbrodni dla drugich.

W czasie gdy Władysław Umiński pisał „Znojny chleb”, burżuazja polska prowadziła

* Czytaj: hepi end.

szeroką kampanię za emigracją polskich robotników i chłopów do Ameryki.

Pałace i dwory obszarnicze leżały jak zmora na piersi polskiej wsi, wysysały z niej wszystkie soki. Głodni, wynędzniali i zadłużeni chłopcy wyjeżdżali za chlebem z ojczyzny, która im tego chleba nie dawała. Chleba i pracy za oceanem szukali również i robotnicy niemiłosiernie wyczyszczeni w swej ojczyźnie.

W tym czasie gazety i książki aż zachłystywały się opisem cudów, jakie czekają na emigrantów za oceanem. Ameryka! Kraj wszelkich możliwości! Klondike * złotodajna! Schył się tylko, człowieku, i podnieś to złoto, które ci wpychają w ręce. Zacznieś jako pucybut — dojdiesz do miliardera. A ty, chłopie, otrzymasz ziemię i to nie morgę czy dwie, ale setki hektarów! Jedź, karczuj, uprawiaj ją i wzbogacaj się — tam, za oceanem. A my, którzy tu zostajemy, będziemy handlowali, rozwijali nasze fabryki i w ten sposób odbudujemy siły naszej ojczyzny. Nie przez jakieś mrzonki wolnościowe, nie przez powstania czy walki z zaborcą! — wykrzykiwała burżuazja.

Przy zaborcy można się również wzbogacać... i to nienajgorzej.

Zaroily się książki od nowych bohaterów. Kupców i przemysłowców, dzielnych szlachcianek, które ze zbankrutowanych dworów przeniostały się do miasta i nie wstydziły się brukać rączek handlem, patriotycznych fabrykantów, przedsiębiorczych chłopców z ludu, którzy dzięki swej inteligencji i pracy „wychodzili na ludzi”.

A tymczasem robotnicy i chłopcy polscy wyjeżdżali tysiącami za ocean. Wpadali w łapy nowoczesnych handlarzy niewolników na plantacjach Brazylii, marli z głodu i zimna pod murami fabryk Pittsburga i Chicago, tracili zdrowie i siły przy kopaniu linii kolejowych, ginęli w trybach miażdżącej maszyny kapitalizmu amerykańskiego. Rzadko który znajdował drogę do swojego domku w Kalifornii.

Za jaką cenę? To już nie było ważne dla nich. Ważny był głód, zimno i bezrobocie, przed którym uciekali — właśnie tak, jak Mrocki.

Ta straszna rzeczywistość musiała sobie utorować drogę do kraju. Coraz częściej w literaturze polskiej zaczęły się ukazywać głosy prawdy nie tylko o emigracji polskiej w Ameryce, ale również o stosunkach w kraju, które za los emigrantów pełną ponoszą odpowiedzialność.

Zaczęła się rodzić literatura krytykująca ustrój kapitalistyczny, obnażająca jego ohyde.

Jednak w literaturze młodzieżowej nic się nie zmieniło. Bohater książki młodzieżowej obracał się nadal w cudownym, nie istniejącym świecie harmonii społecznej, w którym wszystko jest możliwe, szlachetność święci tryumfy, fabrykant jest bratem robotnika, a bandyta cofa rękę przed uśmiechem dziecka. Prawda nie miała dostępu do książek dla młodzieży.

W ten świat zakłamany wszedł Władysław Umiński ze swoimi powieściami pełnymi przygód, fantazji i egzotyki. Ale w tych powieściach, które zyskały mu sławę „polskiego Verne'a”, rozbrzmiewały często zupełnie nowe akcenty. Akcenty ostrej krytyki społecznej i konieczności walki o wolność swego narodu. Umiński kontynuował w ten sposób krytykę ustroju kapitalistycznego zapoczątkowaną przez największych polskich pisarzy XIX w., Konopnicką, Orzeszkową, młodego Sienkiewicza i Prusa. Najwyraźniej widzimy to w dwóch powieściach Umińskiego: „Flibustierowie” i „Znojny chleb”.

Tragiczne dzieje Sobiesława Mrockiego stanowią oskarżenie i krytykę nie tylko Ameryki, ale całego systemu kapitalistycznego. Mrocki czuje wyrzuty sumienia idąc do walki przeciwko powstańcom. Czuje, że miejsce syna narodu polskiego jest zawsze po stronie narodów uciskanych, walczących o wolność. Mimo to nie cofa się. Zaciąga się w szeregi wojska amerykańskiego. Innego wyjścia nie widzi. Straszne tryby maszyny kapitalizmu zrobiły swoje: złamały człowieka.

* Czytaj: klondajk.

Innego wyjścia nie widział Władysław Umiński. Świat, który krytykował, którego ohydę obnażał, ten świat przedstawiał mu się jako jedyny i niezniszczalny. Dlatego w powieści „Znojny chleb” robotnicy Pittsburga, walczący z nieludzkim wyzyskiem, muszą zatamować się w strajku, muszą się ugiąć przed wszechmocnymi — według autora — prawami kapitalizmu. Dlatego autor widzi dla swego bohatera tylko dwa wyjścia: albo nędzę, albo poddanie się nieludzkim prawom. I autor kazał się poddać bohaterowi. Mrocki zdobywa swój domek, rezygnuje z powrotu do Polski i sprowadza do siebie rodzinę z kraju.

Smutny „happy end” pokonanego bohatera.

Nasz dzień dzisiejszy udowodnił autorowi istnienie trzeciego wyjścia. Wskazał mu, że „siła podłych nie jest prawem”, że potęga kapitalizmu nie jest wieczna, że klasa robotnicza jest dość potężna, by prawa podłych, prawa wyzysku i deprawacji człowieka obalić i zdruzgotać.

Sędziwy autor dożył tych czasów, gdy w wolnej i niepodległej ojczyźnie zapanowały nowe prawa. Prawa CZŁOWIEKA. Polska Ludowa w uznaniu zasług sześćdziesięcioletniej działalności pisarskiej odznaczyła Władysława Umińskiego Krzyżem Oficerskim Odrodzenia Polski.

Dzisiejsze, trzecie z kolei, pokolenie czytelników Władysława Umińskiego — mimo wszystkich zastrzeżeń co do losów bohatera jego powieści — na pewno przyjmie gorąco jego książkę „Znojny chleb”, którą znaty i kochały pokolenia poprzednie.

J. Wętykanowicz

SPIS TREŚCI

Część pierwsza

I.	Chwilka zapomnienia i doniosłe jej następstwa	002
II.	W artylerii pruskiej	003
III.	Z rozpaczy	008
IV.	Krew nie woda	011
V.	Dezerter	014
VI.	W szeroki świat	017
VII.	Na oceanie	024
VIII.	Zdradne wody	030
IX.	W morskiej pustyni	038
X.	W pułapce	046
XI.	Na plantacji kawy	056
XII.	Na plantacjach brazylijskich	058
XIII.	Ucieczka z plantacji	062
XIV.	Zabłąkani w puszczy	066
XV.	Zbawcza rzeka	072
XVI.	Synowie puszczy	078
XVII.	Z puszczy na bruk wielkiego miasta	080

Część druga

I.	W Stanach Zjednoczonych	085
II.	Grzymała i Mrocki jada po szczęście	088
III.	Napad nocny	092
IV.	Jak się jeździ w Ameryce na gapę	096
V.	Piekielna praca	107
VI.	Z „partią”	113
VII.	Na farmie	118
VIII.	Wizyta czerwonoskórego	121
IX.	Powstanie Indian	129
X.	Nowe rozstanie	132
XI.	Pierwsza potyczka	134
XII.	Na ochotnika	140
XIII.	Uśmiech losu	145
XIV.	Rozstanie z bohaterem powieści	147
	<i>Postówie</i>	152